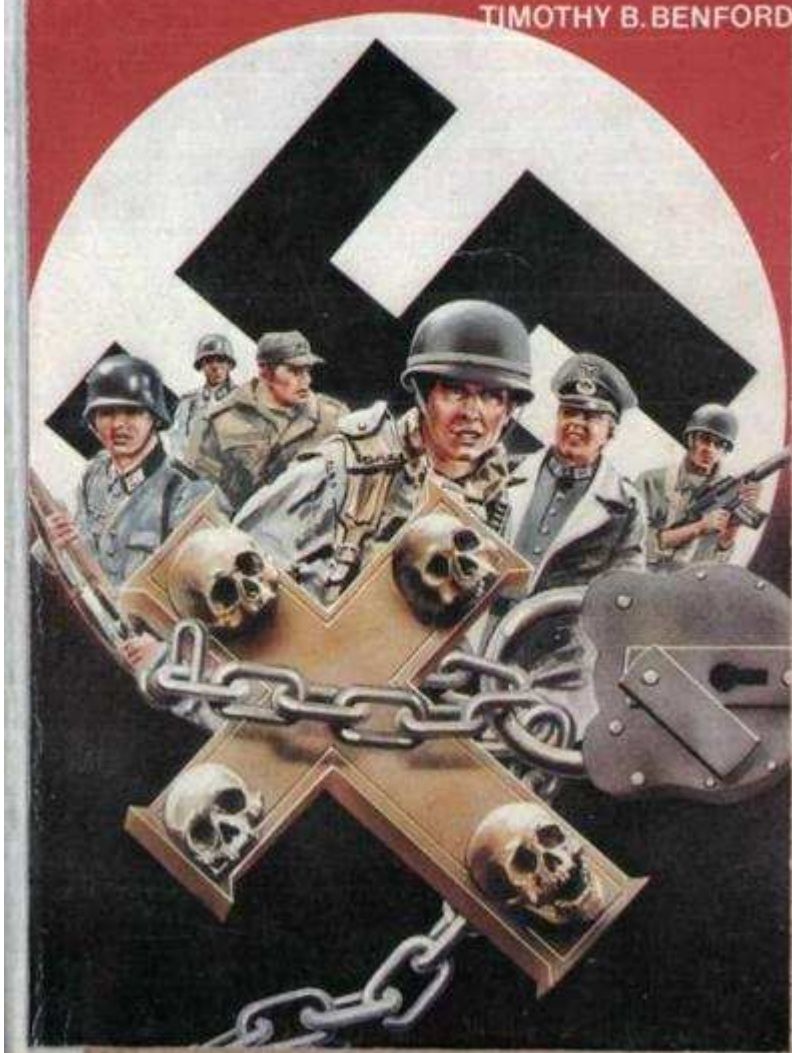


ardzeńskie taśmy

TIMOTHY B. BENFORD





ISBN 83-900080-0-9

— *Sluchajcie, chłopcy. Nie ja wymyśliłem reguły gry. Moim zdaniem jednak wiecie już i tak dużo; zostaliście zebrani na ściśle strzeżonym terenie jako wykonawcy tajnej misji, miejsce roi się od wart wstawionych przez wywiad, nikt nie może się tu dostać ani stąd wyjść bez odpowiednich papierów, wszyscy mówicie po niemiecku. — Frank podniósł się z krawędzi biurka i zbliżył do jednego z okien. Miał rozkaz ujawniać tylko absolutnie niezbędne informacje i dlatego powstrzymał się od powiedzenia im, że są jedną z pięciu grup o różnych celach, zgromadzonych na tym terenie. — Nawet jeśli tylko tyle informacji trafi w niepowołane ręce, to wszyscy miłośnicy Niemców we Francji będą próbowali dojść, co tu się dzieje. A nie trzeba Maty Hari, żeby zrozumieć, że planujemy akcję na tyłach wroga, może się mylę?*

Czy Niemcy i alianci wiedzą z kim przyjdzie im toczyć walkę? Komu przypadnie zagrabiona fortuna? „Ardeńskie taśmy” to książka, w której dobro i zło targają ludzkimi namiętnościami. To karkołomna mieszanina sensacji i horroru na tle autentycznych wydarzeń II wojny światowej.

ardeńskie taśmy

TIMOTHY B. BENFORD

PRZEŁOŻYŁ
WOJCIECH USAKIEWICZ

Warszawa 1991 • Publishing Services

Tytuł oryginału: The Ardenes Tapes

Projekt okładki

Andrzej Bilewicz

©1989 by Timothy B. Benford

©for the Polish edition Publishing Services 1991

ISBN 83-900080-0-9

Prolog

Watykan, luty 1943

— *In Nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sanctus. Amen.*

Robiąc u stóp ołtarza tradycyjny znak krzyża na czole, sercu i od ramienia do ramienia, monsignore Klaus Koenig zaczął celebrować mszę w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu.

— *Introibo ad altare Dei* — zaintonował po przerwie.

— *Ad Deum qui laetificat, juventutem meam* — zabrzmiała w śpiewnym unisono obowiązkowa, rutynowa odpowiedź dwóch klęczących ministrantów.

Cała trójka przystąpiła do zwyczajowego dialogu liturgicznego. Monsignore Koenig podniósł tymczasem wzrok i zatrzymał go na *Trójcy* Pietro da Cortony. Był to rytuał, któremu nie potrafił się oprzeć.

Chociaż *Trójca* bez wątpienia nie należała do najbardziej znanych ani najpiękniejszych obrazów w licznych zbiorach Watykanu, to znajdowała się wśród dzieł darzonych przez monsignore Koeniga szczególną sympatią. Była już na tym ołtarzu, kiedy wkrótce po wyświęceniu w Niemczech, mniej niż przed dziesięcioma laty, po raz pierwszy odprawiał mszę w Rzymie. Kaplica zaś zaliczała się do niewielu w bazylice św. Piotra, gdzie msze celebrowano przez cały dzień, jedna po drugiej.

Na zakończenie modlitw wstępnych ministranci podnieśli się i uklękli obok kapłana. Ten wstał, wszedł po trzech stopniach, po czym zbliżył się nieco do ozdobnego ołtarza.

Położył dłonie na kamiennej powierzchni, schylił się i pocałował ukrytą w ołtarzu relikwię. Płynnym ruchem wyprostował się i z rozłożonymi ramionami odwrócił się do wiernych, wzywając ich do udziału w modlitwie.

— *Oremus.*

Jego wzrok przyciągnęła natychmiast zaciemiona postać stojąca z dala od pozostałych, klęczących bliżej ołtarza. Widział, że jest to mężczyzna, ale nikt ze starszych ludzi regularnie uczestniczących w codziennej mszy Jak zwykle, wśród może dziesięciu osób, które przyszły na szóstą rano, zdecydowaną większość stanowiły kobiety.

Monsignore Koenig zapisał w pamięci, żeby w odpowiedniej chwili włączyć do stałych tekstów mszalnych modlitwę dziękczynną za tę nową duszę. Miał sie, pomodlić również za to, by coraz więcej ludzi znajdowało pociechę w Kościele by nie tylko ta, lecz także wszystkie

msze odprawiane codziennie w Watykanie odbywały się z udziałem tłumu wiernych. Ofiara trwała i monsignore przed komunią nie myślał już o nieznannej postaci.

Kapłan zdjął srebrny klucz z łańcuszka na szyi i otworzył drzwiczki brązowego tabernakulum, w którym znajdował się Najświętszy Sakrament. Po blisko stu latach ciągłego użytkowania klucz wytarł się i był prawie gładki. „Nawet taki prosty przedmiot niesie z sobą bogatą tradycję, i tak jest w Watykanie niemal ze wszystkim”, pomyślał kapłan.

Przykłąknął, a następnie wyjął z tabernakulum jedno z dwu złotych, inkrustowanych diamentami cyboriów. W tych ozdobnych naczyniach liturgicznych, które laicy często biorą za kielichy, przechowuje się komunikanty. Monsignore Koenig zdjął przykrywkę, chcąc sprawdzić, czy jest w środku dostatecznie dużo konsekrowanych hostii, i uznał, że wystarczy.

Pięknie wykuta żelazna bramka, która oddziela wiernych od prezbiterium w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, została zaprojektowana przez Francesco Borrominiego (1599-1667). Jest to funkcjonalne dzieło sztuki, gdyż jednocześnie służy jako balustradka, przy której kłękają ludzie, z pobożnie złożonymi rękami i otwartymi ustami czekający na przyjęcie ciała Chrystusa.

Zbliżając się do balustradki przed udzielaniem Najświętszego Sakramentu, monsignore Koenig spodziewał się zobaczyć dobrze znane twarze dwóch kobiet, matki i córki, które, niezmiennie całe w czerni, zawsze przyjmowały komunię jako pierwsze. Zamiast nich ujrzał najpierw mężczyznę, widzianego przedtem z oddali. Matka z córką zostały bezceremonialnie zepchnięte na drugie i trzecie miejsce. Na ich twarzach malowało się jawne niezadowolenie.

Kapłan pomyślał, że w mężczyźnie jest coś dziwnego. Jego czysta narzutka, wykrochmalona biała koszula i świeżo wyglądający krawat uderzająco nie pasowały do strojów pozostałych ludzi w świątyni. Jasnobrażowe, porządnie uczesane włosy były niedawno strzyżone. Na tym człowieku w żaden sposób nie odcisnęło się piętno, znaczące wszystkich żyjących w ciężkich wojennych warunkach. Ksiądz stwierdził, że jest to cudzoziemiec, prawdopodobnie dyplomata.

Nawet kłęcząc przy balustradce, mężczyzna wydawał się wysoki. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę. Według oceny monsignore Koeniga musiał zbliżać się do czterdziestki.

Ksiądz bez wahania stanął przed mężczyzną, wypowiadając zwykle słowa poprzedzające położenie hostii na języku:

– *Corpus Domini nostri Jesu Christi custodial animam tuam in vitam aeternam. Amen.*

W chwili, gdy udzielał mężczyźnie Najświętszego Sakramentu, dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Monsignore spojrział w oczy mężczyzny i poczuł się, jakby patrzył w zimną, bezkresną otchłań. Nie wiedząc dlaczego, powtórzył w myśli słowa liturgii w ojczystym języku. Miał świadomość, że przez cały czas udzielania komunii mężczyzna nie odrywa od niego wzroku. Nawet kiedy skończył i powrócił do ołtarza, a wierni, którzy przyjęli Chrystusa znaleźli się z powrotem na swoich miejscach, ksiądz czuł, jak zimne, puste oczy śledzą każdy jego ruch. Jakoś zwalczył gwałtowne pragnienie, by odwrócić się i jeszcze raz spojrzeć

na mężczyznę. Przez pozostałe do końca kilka minut monsignore Koenig odprawiał mszę rozproszony, przeczuwając, że zbliża się coś złego, bardzo złego.

Kiedy udzielał końcowego błogosławieństwa i znowu odwrócił się twarzą do wiernych, nie potrafił opanować pragnienia. Natychmiast wbił wzrok w miejsce, gdzie ujrzał mężczyznę po raz pierwszy.

Nie było go jednak ani tam, ani gdziekolwiek indziej w kaplicy.

* * *

Dźwięk skórzanych obcasów kapłana odbijał się ostrym echem, gdy szedł szybkim krokiem przez cztery półkoliste rzędy kolumn zamykające Plac Świętego Piotra. Ksiądz spieszył właśnie po, porannej mszy do pobliskiego szpitala, gdzie dwa razy w tygodniu modlił się z cywilami, którzy padli ofiarą wojny, kiedy ni stąd ni zowąd usłyszał głos.

— Guten Morgen, monsignore. — Powiedział to mężczyzna, który był na mszy.

Zaskoczonemu nieoczekiwanym pozdrowieniem księdzu odebrało na chwilę mowę. Nieprzyjemne wrażenie, które opanowało jego ciało podczas komunii, zaczęło ogarniać go znowu.

— Zdaje się, że monsignore jest zdziwiony, słysząc ojczysty język.

Dopiero teraz duchowny zdał sobie sprawę z tego, czego nie mógł zauważyć przy kościelnej balustradce: mężczyzna miał postawę wojskowego i mówił po niemiecku.

— Ja... no... tak — wyjąkał, nieświadomie dostosowując się do języka. — Normalnie słyszę niemiecki tylko w ustach żołnierzy, tej garstki, która pamięta, że jest wyznania katolickiego, i przychodzi do spowiedzi albo...

— Albo kiedy monsignore jest proszony, by towarzyszyć kardynałowi Montovie w charakterze tłumacza podczas dyplomatycznych wizyt w ambasadzie niemieckiej.

— Owszem, ale skąd pan to wie? Kim pan jest?

Oczy monsignore Koeniga zwężyły się. Ksiądz przyglądał się badawczo. Gestapo? Możliwe, ale jak na gestapowca człowiek stojący przed nim ma stanowczo zbyt staranny wygląd. Strój też nie pasuje. Tajna policja odznacza się niemal śmiesznym upodobaniem do długich skórzanych płaszczy. Nie, to prawdopodobnie ktoś z armii po cywilnemu. Niewykłuczone, że oficer.

— Czego pan sobie życzy? I dlaczego interesują pana moje sprawy? — w głosie duchownego brzmiała stanowcza, defensywna nuta.

— Pytania, wciąż pytania. A tak naprawdę, to za kogo monsignore mnie uważa? — jego twarz przeciął szeroki uśmiech, który odsłonił idealnie równe, lśniące uzębienie. Mężczyzna był wyraźnie zadowolony z siebie.

Ksiądz przygryzł wargę i lustrował mężczyznę od stóp do głów. To mógł być ktoś z gestapo. Kapłan zbył go zniecierpliwionym ruchem ręki i obracając się rzucił:

— Nie mam czasu na zagadki. Spieszę się.

— Do szpitala, nieść pociechę ofiarom wojny i modlić się z nimi.

Monsignore Koenig zatrzymał się gwałtownie, po czym dokończył pełnego obrotu.

— Tak, do szpitala! A teraz proszę mnie zostawić. Niczego nie zrobiłem. Dlaczego mnie pan prześladowuje? — Jeszcze raz obrócił się w swoją stronę.

— Proszę wybaczyć, monsignore. Nie miałem zamiaru budzić popłochu — mężczyzna zbliżył się i blokował teraz księdzu drogę. Ciało miał naprężone, spięte, jakby gotował się do błyskawicznego skoku. — Proszę pozwolić, że jednak zajmę kilka minut cennego czasu i wszystko wyjaśnię.

Duchowny pomyślał, że nie przypadkiem mężczyzna urządził to spotkanie. Było to coś więcej niż zwykłe najście gestapo. Ale w jakim celu? Zdecydował się na pewne ustępstwa.

— No więc dobrze — powiedział spokojnie. — Niech pan mówi, o co chodzi... Ale najpierw proszę powiedzieć, kim pan jest.

Mężczyzna rozluźnił się. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął papierośnicę. Poczęstował księdza, który odmówił, kręcąc głową.

— Jestem oficerem Abwehry — skłamał, osłaniając tymczasem ręką zapalnego papierosa. — Moje nazwisko nie ma znaczenia. Podobnie jak monsignore, jestem tylko funkcjonariuszem o wiele większej organizacji. Ksiądz podlega Rzymowi, ja Berlinowi. — Ton jego głosu stał się obojętny.

— Abwehra? A cóż takiego ciekawego dla niemieckiego wywiadu mógłbym wiedzieć? — Wyjaśniło się przynajmniej, co go tak zaintrygowało i skąd się wzięła pomyłka z gestapo.

— Trudno powiedzieć. Możliwe, że nic. Ale urząd admirała Canarisa zlecił mi zadanie księdzu kilku szczególnych pytań.

Nazwisko głowy Abwehry wywarło zamierzony efekt. Zrobiło na księdzu wrażenie. Duchowny odparł bez wahania:

— Jestem co prawda Niemcem, ale przez ostatnie dziesięć lat mieszkam w Rzymie. Ponadto, gdybym nawet cokolwiek wiedział, to trudno byłoby mi się zgodzić na współpracę z... z nazistami. Nienawidzę hitleryzmu i wszystkiego, na czym się opiera.

— Podobnie jak ja, monsignore — przekonująco skłamał mężczyzna. — A także sam admirał Canaris. Musi ksiądz mieć świadomość, że są również lojalni Niemcy, którzy starają się o doprowadzenie wojny do honorowego końca.

Duchownego nie opuściły jeszcze złe przeczucia, ale nieco się rozluźnił.

— Oczywiście, nie wolno mi ujawnić powodu, dla którego sądzimy, że monsignore mógłby być pomocny, ani zdradzić celu czy istoty mojego zadania. — Przerwał na chwilę. Otoczył ręką ramiona księdza i obaj ruszyli wolnym krokiem. — Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego, co ksiądz może mi powiedzieć o jaskiniach w pobliżu Akwizgranu... w Chapelburgu. Najbardziej interesuje mnie wielkość, głębokość i wszelkie inne informacje tego typu.

— Cygańskie Jaskinie? — w głosie monsignore Koeniga brzmiało wyraźne zaskoczenie. — Nie sądziłem, że ktokolwiek z innych stron o nich wie. Miejscowi zawsze byli bardzo tajemniczy, a to przez legendę. Jak pan wpadł na ten ślad?

— No cóż, monsignore. Sekret Abwehry. — Zmiana intonacji zabrzmiała protekcyjnie. Mężczyzna pytał dalej. - Monsignore był w jaskiniach, prawda?

— Tak, ale wiele lat temu. Byłem jeszcze bardzo mały.

— Czy ksiądz pamięta ich głębokość? Czy miały więcej niż jeden poziom?

— O, były bardzo głębokie, a poziomów miały wiele. Ciągnęły się i ciągnęły.

— Czy są równie duże, jak, powiedzmy, bazylika św. Piotra?

— O wiele obszerniejsze. Zaryzykowałbym twierdzenie, że cały Watykan zmieściłby się w nich trzy, może cztery razy... a dotyczy to tylko powierzchni, którą obszedłem jako chłopak. Kto wie, o ile większe są naprawdę — ksiądz zamilkł, jakby wspominał wędrówki z dzieciennych lat.

— Monsignore wie o nich co nieco dzięki wujowi — mężczyzna starał się pokierować marszem tak, by znaleźli się w przestrzeni między kolumnami, które zasłaniały ich przed wrokiem przechodniów i kierowców znajdujących się na placu.

— To prawda. Kiedy miałem osiem lat, zmarł mój ojciec. Wuj był księdzem w Akwizgranie. Matka wzięła mnie z siostrą i przeprowadziliśmy się tam. Czasy w Niemczech po wojnie były ciężkie, bardzo ciężkie. Wujowi udało się załatwić pracę dla matki na plebanii i wygodny dom w pobliżu.

— Skąd monsignore dowiedział się o jaskiniach?

— Chappelleburg jest małą wioską, mniej więcej trzydzieści kilometrów od Akwizgranu. Nie ma w niej kościoła. Mojemu wujowi powierzono opiekę nad tamtejszymi wiernymi. Wspólnota była nieliczna. We wsi mieszkało nie więcej niż pięćdziesiąt osób, a katolicy stanowili zaledwie połowę. Wuj miał odwiedzać Chappelleburg raz w tygodniu. Byłem jego ministrantem. Jeździliśmy tam w soboty i zostawialiśmy na noc. W czasie tych podróży wuj opowiadał mi historie z Biblii. Rozmawialiśmy o wszystkim, co tylko może zainteresować małego chłopca. W soboty wieczorem lub w niedziele rano przed mszą wuj słuchał spowiedzi. Czasami zdarzały się wezwania do chorych i sprawowanie sakramentów. Do Akwizgranu odjeżdżaliśmy w niedzielę po południu. — Zapadła krótka cisza, duchowny zbierał myśli. — Ludzie we wsi zawsze byli zapóźnieni. Mieli słaby kontakt z otaczającym światem. Tylko niektórzy z nich pojawiali się w Akwizgranie, i to wyłącznie wtedy, gdy zmusiła ich absolutna konieczność. Myślę, że wuj i ja byliśmy jedynymi ludźmi z zewnątrz, którzy ich niepokojili. Nasze kontakty ograniczały się do katolików. Pozostali po prostu nas ignorowali.

— Jak długo monsignore towarzyszył wujowi podczas tych wizyt?

— Prawie przez osiem lat, dopóki nie skończyłem szesnastu. Wtedy przyszedł czas na rozpoczęcie studiów w seminarium. To było piętnaście lat temu i od tamtej pory nie zaglądałem do wioski. Wuj zmarł w rok później.

— A co z legendą, o której monsignore wspomniał?

— Legendy powstałe przez stulecia i związane z tym terenem są liczne, wiele odnosi się do Karola Wielkiego. Ale legendę dotyczącą jaskiń pod Chappelleburgiem wszyscy traktują tam serio. Na ile pan zna własną historię?

— Wystarczająco dobrze, proszę mówić dalej, monsignore — popędził go mężczyzna. Słońce wspięło się już na porannym niebie dość wysoko i kolumny rzucały teraz podłużne cienie. Ksiądz wrócił do opowieści, a tymczasem mężczyzna dyskretnie wprowadził ich w zacienione miejsce.

— W czasie, gdy Karol Wielki był królem Franków, czyli od roku 768 aż do śmierci w roku 814, Akwizgran nosił nazwę Aix-la Chapelle i stanowił jego fortecę. Dzięki podbojom Karol Wielki zjednoczył prawie wszystkie chrześcijańskie kraje Europy i od roku 800 panował jako cesarz. Wieś, o której pan mówi, również była w tym czasie ufortyfikowana. Jej ludność składała się wyłącznie z węgierskich Cyganów. Zwykle sądzi się, że Cyganie prowadzą życie nomadów, i tak najczęściej jest. Z tą grupą było inaczej. Kiedy zaczęto oczyszczać okolice z Cyganów, Chappelleburg stał się ich twierdzą. Zajadłe odpierali stamtąd wszystkie ataki. Jest kilka teorii wyjaśniających, w jaki sposób przeżyli. Pierwsza głosi, iż dla dworu Karola Wielkiego stanowili jedynie mały i miejscowy problem w porównaniu z innymi rodzajami zagrożenia. W myśl drugiej, Cyganie przeżyli, gdyż przyjęli wiarę chrześcijańską i jeśli ich nie niepokoiono, nie rzucali się nikomu w oczy. Przypuszcza się również, że cesarstwo miało wówczas poważniejsze kłopoty na głowie. W każdym razie ostatecznie zostawiono ich w spokoju. Zgodnie z legendą, kobieta o imieniu Magda oszalała wtedy z miłości do Mikłosa, który miał zostać królem Cyganów. Mawiano o niej, że urodziła się przeklęta. Poza Miklosem, który był człowiekiem pełnym żądz, wszyscy we wsi bali się Magdy i unikali jej. Nikt nie miał odwagi wejść jej w drogę. Miklos spotykał się z Magdą w młodości, ale potem zostawił ją, i kiedy został po ojcu królem, pojął za żonę młodszą kobietę. Wciąż opierał się zalotom Magdy. Ta po pewnym czasie złożyła przysięgę, że przyzwie z otchłani złego ducha, żeby zemścić się na królu i jego stronnikach. W kilka miesięcy później wyszło na jaw, że Magda jest brzemienna. Wkrótce na Chappelleburg zstąpiła zagadkowa seria śmierci i chorób. Przesądni Cyganie wierzyli, że powodem jest klątwa Magdy. Mijały miesiące, straszne wydarzenia nadchodziły jedno po drugim. Odczepiony wóz zmiażdżył siostrę króla z niemowlęciem, kilka osób zmarło po zjedzeniu pieczarek podczas uczy, ktoś inny zginął zaduszony przez zerwany łańcuch od studni, który owinął mu się wokół szyi. Za każdym razem kiedy coś się działo, Magda znajdowała drogę do króla i wykrzykiwała słowa klątwy. W końcu Miklos nakazał Magdzie przenieść się do pobliskich jaskiń i wygnał ją ze wsi na zawsze. Tej nocy młoda królowa nagle zachorowała i udusiła się własnym językiem. Miklos, oszalały z bólu i wściekłości, zebrał kilku ludzi i wyruszył w stronę jaskiń, chcąc odnaleźć Magdę. Uzbrojeni w miecze, maczugi i pochodnie, mężczyźni spieszyli na szczyt skalnej ściany, przysięgając że zabiją dziewczynę. Zanim jednak osiągnęli wierzchołek i dotarli do wejścia, spotkali matkę Magdy. Dała ona Miklosowi złoty krucyfiks. Dłuższe ramię było świeżo zaostrzone. Kobieta błagała króla, by zatopił je w łonie Magdy i uwolnił w ten sposób duszę córki spod władzy złego ducha.

— Zły duch, złoty krucyfiks? Monsignore, dlaczego wszyscy chrześcijanie wierzą w takie bzdury?

Wyraz trwogi przebiegł przez twarz księdza.

— Mój Boże, człowiecze, czyżbyś nie bał się o swoją nieśmiertelną duszę? Legenda może być prawdą lub nie, ale musisz przecież wierzyć, że takie rzeczy są możliwe.

— Przepraszam, monsignore. Zachowałem się niegrzecznie. Chciałbym usłyszeć resztę tej niezwykłej historii. Proszę mówić dalej. — Mężczyzna zauważył, że pomiędzy kolumny wciska się smuga słonecznego światła i znów odszedł kawałek, wciągając księdza głębiej w cień.

Monsignore Koenig poczuł nagle, że ma ochotę odwrócić się i uciec. Opanował się jednak i podjął wąż.

— Miklos wziął krucyfiks i odepchnął kobietę. Wkrótce mężczyźni weszli do jaskini i zaczęli szukać. Robili to przez dłuższy czas, bez skutku. Sprawdzali pieczarę po pieczarze, poziom po poziomie. Jaskinie były o wiele obszerniejsze niż im się wydawało. Potem usłyszeli słabe dźwięki, dochodzące z głębi, do jakiej nigdy nikt się nie opuścił. Poszli w tę stronę. Zrozumieli, że słyszą jęki odbijające się echem o ściany olbrzymich komnat skalnych. Szli tak kilka minut, wciąż głębiej i głębiej. W końcu znaleźli Magdę nagą. Rodziła. Chwila rozwiązania była tuż tuż.

Leżała w jasnym miejscu, otoczona płonącymi świecami. Cienie tańczyły po ścianach i zanurzały jej ciało w zielonej poświacie. Mimo niewygody, zobaczywszy ich, Magda wyprężyła się w łuk, opierając ciało na łokciach. Zarechotała odrażająco i powtórzyła przekleństwo. Powiedziała, że dziecko, które nosi w łonie, zostało poczęte w piekle. Kiedy to mówiła, jej ciało chwycił skurcz. Odrzuciła głowę do tyłu i znów opadła płasko na ziemię. Nagle w jaskini rozległ się przeciągły świst wichru i rozszedł się mdły odór. Kilku mężczyzn zaczęło wymiotować. Zatrzęsa się ziemia.

Jeden z mężczyzn skoczył naprzód i zatopił miecz w pachwinach kobiety. Rozdzierający wrzask Magdy, wzmocniony tysiącrotnie przez echo, rozszedł się po jaskiniach. Drugi człowiek pchnął ją w brzuch, po nim następny. Przyłączyli się i pozostali, dźgając, tłukąc i zatapiając w niej śmiercionośne narzędzia. Wicher, a wraz z nim odór ulotniły się równie nagle, jak nadeszły. Przerwali zmrożeni. Dziewczyna już nie wrzeszczała, dziewczyna się śmiała! Jedno z takich pchnięć, jakie jej zadano, wystarczyłoby do zabicia każdego człowieka, ona tymczasem parla. Przybliżała się chwila rozwiązania!

Kilku strwożonych mężczyzn rzuciło się do ucieczki. Reszta podążyła za nimi. Po chwili został tylko Miklos i jeden stary człowiek, sparaliżowany strachem. Miklos spoglądał z niedowierzaniem. Drżał i trząsał się, kiedy zaczął z niej wypływać ohydny, żółty śluz. Oblał go pot, poczuł smak żółci wzbierającej w gardle. Przypomniał sobie o krucyfiksie. Wydostał go zza pasa, padł na kolana i wycelował zaostrzonym końcem w łono Magdy. Z imieniem Boga na ustach pchnął przed siebie, wzmacniając pchnięcie obrotami w prawo i lewo. Przeszył infanta i wbił się w ciało dziewczyny. Krucyfiks, niczym świder, wdzierał się coraz głębiej. Pastwiąc się, Miklos docierał ostrzem coraz dalej, szarpiąc i rozrywając wnętrzości. W końcu - rzucił się na Magdę całym ciałem i pchnął ze wszystkich sił, tak że krucyfiks przeniknął ją na wylot. Dziewczyna wydała mrozący krew w żyłach wrzask, przechodzący w wycie. W tej samej chwili zacisnęła dłonie na szyi Miklosa. W wychodzących z orbit oczach

miała ogień i Miklos zdał sobie sprawę, że walczy już nie z Magdą, lecz z siłą piekielną. Wystarczył szybki ruch, kark Miklosa pękł, a on osunął się miętko. W chwilę później także dziewczyna padła martwa. Ściany komnaty zaczęły się rozsypywać, a dookoła pękał grunt. Starzec nie mógł jednak oderwać wzroku od dwóch ciał, leżących przed nim. Na jego oczach płomienie świec zamieniły się w wąskie strużki ognia, spływające na ziemię. Niczym węże podpełzły do zwłok i błyskawicznie je objęły. Po kilku sekundach ogień pożarł oba ciała. Gorąco nie do wytrzymania, bijące w twarz, wytrąciło starca z transu. Zewsząd waliły się skały, roztrzaskując się o podłoże. Człowiek zaczął biec. Udało mu się jakoś dotrzeć do wyjścia zanim komnata została zatarasowana. Im dalej był od straszego miejsca, tym mniej drżała ziemia, aż w końcu dostał się tam, gdzie było całkiem spokojnie. Wyglądało na to, że wstrząsy objęły tylko komnatę Magdy i jej otoczenie. Starzec był jednak wciąż głęboko pod ziemią i wydostanie się na zewnątrz zajęło mu jeszcze prawie godzinę. Kiedy wyszedł, opowiedział dokładnie, co widział, każdy szczegół... i padł bez życia. Tę legendę przeniesiono przez stulecia.

— Ładna historia, monsignore, i dobrze opowiedziana. — Mężczyzna włożył ręce głęboko do kieszeni i stanął twarzą w twarz z księdzem.

— Dokładnie tak usłyszałem ją, kiedy byłem małym chłopcem, a potem jeszcze wiele razy. Inaczej niż niektóre legendy, ta się nie zmienia.

— Ale czy ksiądz w nią wierzy?

— Czy wierzę? Myślałem o niej często przez te lata, które upłynęły od mojego wyjazdu z Akwizgranu. Należę do Boga. Wierzę, że jest On przyczyną dobra. I wierzę w historię stworzenia taką, jak została opowiedziana w Biblii. Jest więc przeto i zło, za sprawą upadłych aniołów. Wierzę, że diabeł i jego świta są obecni wszędzie, gdzie mogą kusić słabych. Ale ta historia? Prawdopodobnie jest zwykłą cygańską legendą. W każdym razie mnie się tak wydaje. Jestem pewien, że ludzie z Chappelleburga wierzą w nią do dzisiaj.

— Czy ktoś kiedyś jeszcze poszedł do jaskiń?

— O, tak. Miejscowi ludzie mają z nich od lat wiele pożytku. Niektóre części zostały wyraźnie oznakowane. Ale jeśli nie wie się, gdzie patrzeć, to nigdy się jaskiń nie znajdzie. Jestem prawdopodobnie jednym z niewielu ludzi nie stamtąd, którzy byli kiedykolwiek w środku. Pytałem o nie ponad dwa lata i dopiero chłopak, z którym się zaprzyjaźniłem, zabrał mnie tam.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko dymem z kończącego się papierosa, po czym odrzucił niedopałek.

— Czy wlot jest wystarczająco szeroki dla ciężarówki?

— Sam wlot nie, ale korytarz dalej owszem. Jak mówiłem, jaskinie ciągną się bez końca, w głąb i na wielu poziomach. Pewne ich części są używane przez ludzi do przechowywania w chłodzie wina, piwa, sera i innej żywności, kiedy nastają ciepłe miesiące. W zimie natomiast na niższych poziomach trzyma się zboże. Temperatura jest tam stała i nigdy nie spada. Ale w zakazane rejony nikt nie wchodzi. Jaskinie są wystarczająco duże, więc nawet nie ma potrzeby. Zresztą proszę mi wierzyć, że nikt nie zgodziłby się iść. Ludzie wierzą, że

jeśli zakłóci się spokój złu, to uwolniona diabelska siła dostanie się na ziemię i będzie się po niej włóczyć.

— A w jaki sposób można zakłócić jego spokój? — Nieznajomy wyjął z kieszeni jasnoszare skórzane rękawiczki i powoli je nałożył.

— Zabierając krucyfiks z miejsca, gdzie spoczywa od wieków — odparł ksiądz. — Zgodnie z wierzeniami, pieczętuje on bramę piekielną. Ludzie zrobiliby wszystko, dosłownie wszystko, żeby zapobiec poruszeniu krucyfiksu.

— Nawet do tego stopnia, by zabronić użycia innych części jaskiń? W interesie Niemiec?

Oczy monsignore Koeniga rozszerzyły się.

— Czyżbyście chcieli to zrobić? Wjechać do jaskiń ciężarówkami? Rozlokować tam żołnierzy? Czyżby pan nie wierzył, że coś z tego, o czym przed chwilą mówiłem, jest jednak możliwe? — Krew napłynęła do twarzy księdza i pojawił się na niej wyraz zaniepokojenia.

— Nie, monsignore. Sądzę, że nic nie jest możliwe! Takie legendy są po prostu pełnymi zabobonów chrześcijańskimi historiami, mającymi uzasadnić istnienie Boga, waszego Boga. Kleci się, żeby trzymać masy w lęku przed złem, które może zwalczyć tylko Kościół. Dlaczego zawsze tym, co zwycięża zło, jest symbol chrześcijaństwa?

Monsignore Koenigowi zabrakło słów.

— Niech mi pan powie, monsignore, czy wasz Bóg uznaje szczerze starania innych religii, ich świątobliwych przedstawicieli, albo symbole tych religii?

— Zło jest złem — rzucił w odpowiedzi duchowny, a na jego ustach pojawiła się ślina. — Bóg chroni wszystkich świątobliwych ludzi, wszystkich, którzy w Niego wierzą.

— Niemcy potrzebują tych jaskiń — przerwał mężczyzna — i będą je miały, wszystko jedno, czy jest to legenda, czy nie!

— Ludzie tego nie zniosą. Będą stawiać opór.

Monsignore Koenig cofnął się o krok i spojrzał mężczyźnie prosto w oczy, szukając w nich czegoś, czego tam nie było. Zobaczył pustkę. Ogarnęło go to samo niepokojące uczucie, którego doznał podczas komunii. Musiał odwrócić spojrzenie.

— Zabawił się pan moim kosztem, posłużył się pan mną. Popelnilem omyłkę, mówiąc panu... — monsignore Koenig nie był w stanie dokończyć zdania. Przez chwilę czuł, jak szyja nabrzmiewa mu niezwykłym ciepłem.

Natychmiast potem pojawił się krótki, lecz dławiący ból. Odwrócił głowę ku mężczyźnie, który oddalił się o kilka kroków, starając się nie zabrudzić karmazynowa ciecżą, która nagle rozprysnęła się na ziemi pomiędzy nimi.

Monsignore uniósł dłoń do gardła. Natychmiast zabarwiła się na czerwono. „Czyżby krew?“, zdziwił się. Była to ostatnia myśl, jaka przysłała mu do głowy na ziemi.

Śmierć dosięgła go, zanim jeszcze upadł.

— Nie, monsignore, omyłkę można skorygować. Jeśli nie, staje się błędem — mężczyzna upuścił brzytwę na nieruchome ciało duchownego i powoli ruszył wśród częściowo oświetlonych kolumn na plac św. Piotra.

W niecałe dwie minuty później wyrosła przed nim niska, płynna sylwetka czarnej

limuzyny „Mercedes”, zaparkowanej bez ostentacji za rogiem, kilka metrów w głąb przecznicy.

Czarno-srebrna chorągiewka z trupa czaszką, symbol SS, złapała podmuch porannego wiatru i zatrzepotała na prawym przednim błotniku.

— Dzień dobry, Herr Oberst! — nieskazitelny kapral strzelił obcasami, błyskawicznie przyjmując postawę zasadniczą i przytrzymując tylne drzwiczki.

Generał warknął coś w odpowiedzi i odczekał chwilę, zanim wsiadł do samochodu. Z oddali dobiegło go powolne bicie jednego z watykańskich dzwonów. Zdejmując rękawiczki z kozłej skóry, spojrzął w niebo i przez moment patrzył na stado gołębi, szybko wlatujących w górę i zataczających koła w oczekiwaniu na resztę. Gołębie odleciały na zachód, w kierunku Tybru.

Już w limuzynie generał spojrzął na zegarek, i tu spotkała go przykra niespodzianka. Szkiełko było zachlapane krwią.

Rozdział I

Bethesda, stan Maryland, współcześnie.

Sekretarz obrony, Edward Hayes Burns, siedział z tyłu w wielkiej limuzynie, mając wygląd człowieka, który cierpi z powodu niewygody. Patrzył, jak wielkie, delikatne płatki śniegu spływają na ziemię.

W rzeczywistości sekretarz był całkowicie rozluźniony i nie raz w ciągu półtoragodzinnej jazdy siłą powstrzymywał się od przyśnięcia, mimo że czekało go kłopotliwe spotkanie.

Pozycję opanował kiedyś jako sztuczkę na użytek rodziców, po niezliczonych napomnieniach, by siedział przyzwoicie. Przez czterdzieści lat weszła mu w krew.

Burns miał pięćdziesiąt trzy lata i nieco ponad sześć stóp wzrostu, prezentował się schludnie i krzepko. Był jasnym brunetem z obfitą, falującą czupryną. Swą funkcję podkreślał dystygowanym wyglądem człowieka wychowanego w odpowiednich szkołach. Chociaż rodzina pozwalała sobie na nie z dużym trudem, były wśród nich wyłącznie szkoły najlepsze. Syn członka Kongresu przez dwanaście kadencji, Clifforda Burnsa, nie powinien znać pojęcia „za dobry”. Kongresman wierzył bowiem, iż jak cię widzą, tak cię piszą.

Kiedy Edward miał dwadzieścia sześć lat, otrzymał nominację do Izby Reprezentantów na miejsce chorego ojca. Jego kampania okazała się ojcowskim łabędzim śpiewem. Burns senior zmarł w noc poprzedzającą zaprzysiężenie Edwarda. „Mały Eddy” był potem wybierany do Izby Reprezentantów przez trzy kolejne kadencje, a zniechęcony zdrobnieniem wciąż mu towarzyszyło, zanim po raz pierwszy uwieńczył powodzeniem zabiegi o miejsce w Senacie. Później był senatorem jeszcze dwukrotnie.

Gorączką prezydencką zaraził się wcześniej. W dwóch ostatnich kampaniach przepadł, walcząc o nominację z ramienia swojej partii. Za każdym razem ponosił fiasko w ostatniej fazie prawyborów. Drugie podejście niemal zrujnowało go finansowo. Urząd prezydenta

stał się jednak jego obsesją i Burns wiedział, że będzie próbował znowu. W pół drogi do następnej kadencji w Senacie nagle zobaczył przed sobą światło. Prezydent wybrał go na miejsce wakujące w gabinecie po śmierci sekretarza obrony, Jamesa Vodella. Burns przyjął mianowanie, ponieważ sądził, że zapewni mu eksponowaną pozycję w kraju oraz korzystny grunt do ponownego rozpoczęcia zabiegów o prezydenturę. Dawało mu, w jego przeświadczeniu, wiarygodność i status męża stanu. Ale ostatnie pięć miesięcy było najnieszczęśliwszym okresem w jego karierze na Kapitolu. Oczekiwania zawiodły, pokazać się na nowym stanowisku po prostu nie mógł. Poza tym nie lubił swojej pracy. Rezygnacja z Senatu okazała się błędem.

Jego rodzinny stan przygotowywał się do przyszłorocznego wyścigu o fotel gubernatora. Może to była baza, jakiej potrzebował? W tym stuleciu obaj Rooseveltowie, Wilson, Carter i Reagan przyszli do Białego Domu z parlamentu stanowego. Reputacja byłego senatora i członka gabinetu powinny tym razem wystarczyć. Jego ojciec do znudzenia powtarzał: „Jeśli dają ci cytryny, zrób z nich lemoniadę”. Zdaniem Burnsa stanowisko sekretarza obrony było taką cytryną.

Do spraw wojskowych czuł odrazę i w zasadzie nie starał się ich zrozumieć. Senat, którym tak się znudził, wydawał mu się teraz rajem w porównaniu z Pentagonem. Brakowało mu kolegów i władzy, jaką miał w izbie wyższej Kongresu. Upokarzała go powszechna opinia, iż stanowisko piastuje tymczasowo, do końca kadencji prezydenta. Prezydent obiecywał mu zresztą „krótką, niemniej jednak pożyteczną służbę w gabinecie”.

„Dzięki Bogu, jeszcze niecały rok i będę miał z tym spokój”, pomyślał. Zdecydował się kandydować na gubernatora.

Kierowca zwolnił i samochód zaczął się ciężko wspinać serpentyną do czerwonego dworku. Budynek, wciąż jeszcze dość odległy, był widoczny poprzez szpaler wiecznie zielonych drzew i niskie, pokryte śniegiem krzewy.

Burns nieświadomie westchnął. W tej samej chwili jego lincoln wyrzucił z siebie kłęb burych spalin, gwałcąc dziewiczy śnieg na częściowo zakrytej tabliczce z napisem „Administracja”.

Był prawie na miejscu.

Sekretarz spojrział na zegarek: siódma trzydzieści dziewięć. Drogę tutaj z jego rodzinnego Georgetown można było nazwać różnie, tylko nie miłą przejażdżką. Ostatnie opady śniegu stanowiły jedynie dodatek do niebezpiecznych warunków, stworzonych przez zamieć półtorej doby wcześniej. Przeklinał w myśli los, który wyrwał go z ciepłego posłania o tak wczesnej godzinie w wigilię Bożego Narodzenia.

„Byłoby lepiej dla generała, żeby miał wyjątkowo dobre wytłumaczenie”, pomyślał. Mimo rozdrażnienia wiedział jednak, że musiała być ważna przyczyna. Ludzie z dowództwa nie pozwalali sobie na kaprysy. Czterogwiazdkowy generał nie domagałby się spotkania z członkiem gabinetu o tak nieprzyzwoitej porze, gdyby nie zaszło coś cholernie ważnego. Jakiś niespodziewany ruch Rosjan? Może Zatoka Perska? A może Ameryka Środkowa?

Przebiegał w myślach tysiące scenariuszy, z których każdy dotyczył wystarczająco

ważnych spraw, żeby usprawiedliwić klauzulę „Tylko osobiście” na depeszy. Ale dlaczego spotykali się tutaj? Dlaczego generał nie posłużył się telefonem z urządzeniem kodującym ani nie pojawił się osobiście w domu Burnsa?

Chociaż regulacja temperatury w lincolnie działała aż za dobrze, po ciele sekretarza obrony przebiegł złowróżbny, zimny dreszcz. Parę razy w czasie jazdy miejsce rozdrażnienia zajmowała silnie rozbudzona ciekawość, granicząca z lękiem. Teraz, patrząc na zabłąkane płatki śniegu, które całowały boczną szybę samochodu i zamienione w wąskie strużki pędziły w dół, zastanawiał się, co zaalarmowało generała do tego stopnia, że nie mógł czekać na normalne godziny urzędowania.

Sekretarz Burns sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął cienką białą kopertę i jeszcze raz badawczo przyjrzał się klauzuli „Ścisłe tajne”, kodowi oraz nadrukowi „Tylko osobiście”, umieszczonemu po obu stronach. Na palcach jednej ręki mógłby policzyć, ile razy w ciągu dwudziestu siedmiu lat spędzonych w Waszyngtonie dopuszczono go do korespondencji podobnej wagi. Strzelił kopertą o drugą rękę i wydobył pojedynczą białą kartkę, żeby jeszcze raz przeczytać krótką, szyfrowaną wiadomość. Mógł coś przeoczyć. Doręczono mu ją przecież o piątej rano.

**SPRAWA NAJWIĘKSZEJ PILNOŚCI. WYMAGA
OSOBISTEGO STAWIENICTWA NATYCHMIAST.
POWTARZAM. NATYCHMIAST.**

Poza datą i dokładną godziną napisania oraz krótkimi wskazówkami, jak dojechać do administracji szpitala, wiadomość zawierała jedynie podpis generała. Nie było tam nic więcej. Starania Burnsa, by dodzwonić się do generała lub administracji szpitala okazały się bezowocne. Odkładając depeszę do koperty i chowając z powrotem do kieszeni, znowu spojrzął, jak za szybą szaleje zawieja.

Samochód zatrzymał się przy bielonym drewnianym ganku. Burns przysunął twarz do szyby i lustrował jaskrawe płaskorzeźby zdobiące ramę ganku. Uznał, że architektura budynku pochodzi sprzed pierwszej wojny światowej. „W innych porach roku widok tego dworku musi cieszyć oczy”, pomyślał. Nawet teraz, ze stożkowatymi czapami śniegu wieńczącymi rozmieszczone w równych odstępach sztachety płotu, dom wyglądał wygodnie i bezpiecznie.

Przez dużą szklaną szybę w drzwiach, ozdobioną przez mróz fantazyjnymi wzorami, dojrzał sylwetki dwóch mężczyzn. Drzwi otworzyły się i natychmiast rozpoznał generała. Doszedł do wniosku, że cywil stojący po lewej jest administratorem. Obaj ruszyli w jego stronę, ale zatrzymali się, kiedy szofer szybko obszedł limuzynę i stanął przy tylnych drzwiczkach z parasolem.

Kiedy wysiadł z pojazdu, skrzypiący odgłos stóp deptających po czystym śniegu przypomniał mu zimy spędzane w Maine w latach młodości, dawno temu.

Krótką drogą do ganku przedłużyła się nieco, w tych warunkach trudno było zrobić bezpieczny krok. Stanąwszy na tarasie. Burns energicznie strzepnął z butów warstwę śniegu, a dopiero potem spojrzął za oczekujących mężczyzn. Zaskoczył go ich wygląd.

Generał, którego Burns dobrze poznał przez ostatnie trzy miesiące, należał jego zdaniem

do wojskowych nie wychodzących poza stereotyp glansowanych butów, a jednak robił wrażenie, jakby spał w mundurze. Głęboko rzeźbione rysy krzepkiej twarzy znaczył nieogolony zarost. Atletyczna choć chuda postać wyglądała znacznie starszej niż zwykle. Towarzyszący mu cywil nie wydawał się w lepszej formie. Sekretarz obrony odezwał się pierwszy.

— Wesołych świąt, panowie — w głosie słychać było więcej niż ślad niezadowolenia z powodu wezwania. Zimne, niebieskie oczy Burnsa przesuwały się szybko z jednego mężczyzny na drugiego, w oczekiwaniu na odzew. Nie było żadnego.

— Proszę, panie sekretarzu — generał cofnął się i przytrzymał drzwi, skinieniem zapraszając do wnętrza. Widać było, że nie ma nastroju do grzecznościowych rozmówek, nie chce też udzielać wyjaśnień przed domem.

Burns nie był jednak przyzwyczajony, żeby go poganiano albo rozkazywano mu. Przeniósł spojrzenie na cywila stojącego przy nim po prawej.

— Rozumiem, że to jest administrator.

— Tak, panie sekretarzu. Nazywam się David Kent. Jestem tu lekarzem. Proszę do środka. — Nie czekając na rozwój dyskusji, Kent wszedł pierwszy, ignorując zarówno Burnsa, jak i generała, którzy ruszyli jego śladem.

— Pana szofer może poczekać w pokoju dla personelu pomocniczego — ciągnął Kent. — Pan Filmore pokaże mu drogę.

Kiedy znaleźli się w ciepłym foyer, wzrok Burnsa padł na barczystego mężczyznę w białym szpitalnym kitlu, stojącego w rozkroku przy końcu krótkiego hallu i jakby na coś czekającego. Sekretarz obrony słusznie odgadł, że jest to Filmore. „Z takim facetem nie warto zadzierać”, pomyślał.

W milczeniu Kent poprowadził Burnsa i generała do swojego prywatnego biura, a tymczasem szofer podążył za Filmorem przejściem, które łączyło dworek z obszerniejszym budynkiem, znajdującym się w pewnej odległości, od tyłu.

Wyposażenie całego dworku i biura było spartańskie. Dopiero kiedy Burns usiadł na krześle wskazanym przez administratora, zauważył dyplomy i świadectwa oprawione w ramy, wiszące wokół biurka.

Generał splótł dłonie na plecach. Wpatrywał się przez podwójną szybę w padający śnieg. Kent wsunął się za biurko i usiadł na krześle przygarbiony, jakby właśnie zdjęto mu z ramię wielki ciężar. Szybko jednak wrócił do normalnej postawy, położył ręce na księdze raportów i zatrzymał wzrok na sekretarzu obrony.

— Przede wszystkim, panie sekretarzu, bardzo przepraszamy za niepokojenie pana dzisiaj rano, ale zapewniam, że sprawa, która nas czeka, usprawiedliwia to najście...

— Może darujmy sobie te wstępy — uciął Burns — i przejdźmy do tego, co, jak uważacie, jest dostatecznie ważne, żeby wymagać ode mnie jazdy w taką pogodę. — Wykonał szeroki gest prawą ręką, jednocześnie poprawiając się na krześle.

Cokolwiek Kent miał nadzieję osiągnąć dzięki wprowadzeniu, zostało to uniemożliwione przez wstęp Burnsa. Sekretarz skrzyżował nogi, wyjął papierosnicę z marynarki i zapalił, zupełnie nie zwracając uwagi na plastikową tabliczkę z napisem „Dziękuję za niepalenie”,

stojącą na biurku Kenta. Burns wierzył święcie, że pozycja daje mu pewne przywileje.

Generał nadal wypatrywał czegoś przez okna, Kent pochylił tymczasem głowę i zamknął na chwilę oczy, chcąc zebrać myśli. Po kilku sekundach podniósł wzrok i Burns zauważył na jego twarzy niesamowite napięcie.

Od pierwszego słowa Kent spoglądał z wielką powagą, a w pobliżu ust zagnieździł mu się lekki tik.

— No więc? — warknął Burns. — Zaczynamy. O co chodzi, do cholery?

Generał obrócił się. Oczy miał ogromne z przerażenia.

— Zapewniam, sir, że mamy poważny problem. Pański udział jest niezbędny. W innym przypadku nie sprowadzałbym pana tutaj. W związku z tym, co za chwilę usłyszymy, konieczne jest natychmiastowe działanie, albo z pana strony teraz, albo ze strony Białego Domu. Na taki krok również jestem przygotowany, gdyby okazał się nie do uniknięcia.

Z twarzy generała biła stanowczość, a w oczach miał, zdaniem Burnsa, wyraz absolutnej determinacji. Na chwilę, wydającą się wiecznością, zapadła w pokoju kompletna cisza. Potem generał znów powoli odwrócił się do okna.

Chrzążąc Burns pochylił się, żeby zgasić świeżo zapalonego papierosa w popielniczce na biurku doktora Kenta. Czy mu się podobało, czy nie, to generał i Kent mieli rozgrywać tę grę, i w obliczu tego faktu postanowił spokojnie czekać.

Doktor Kent zignorował wymianę zdań, jakby wcale do niej nie doszło, i ciągnął:

— Dwa dni temu mieliśmy tu wypadek. Rozerwało ciśnieniową rurę ogrzewczą na drugim piętrze w budynku C, czyli jedynym miejscu w tym zakładzie, gdzie mieszkają chorzy umysłowo i ludzie z poważnymi zaburzeniami emocjonalnymi. Wybuch zdarzył się około piątej po południu, kiedy część pacjentów znajdowała się w świetlicy, oglądając video. Jak zwykle, za biurkiem niedaleko drzwi siedział strażnik, który miał do rury chyba mniej niż metr. Cała siła uderzenia poszła na niego. Rozszarpało go na strzępy, a pozbawiony członków korpus cisnęło o kilkanaście stóp, do sali rekreacyjnej, gdzie o mało nie przewrócił choinki. Prawie wszyscy pacjenci doznali szoku, a niektórzy zostali poparzeni przez buchającą parę. Pełno było wrzasku i krzyku, ludzi ogarnęła panika. Istny dom wariatów... — Kent przerwał, wyraźnie zmieszany mimowolnym sformułowaniem. Po chwili zaczął mówić dalej.

— Jeden z pacjentów, niejaki Daniel Miller, człowiek, który nie przemówił ani słowa, od kiedy czterdzieści lat temu przyjęto go do Szpitala Weteranów Wojennych został tak pobudzony, że zaczął coś wykrzykiwać. Miller jest klasycznym przypadkiem wstrząsu po wybuchu — ciągnął lekarz. — Przez lata, które tu spędziłem, nigdy nie było z nim kłopotów. Mieliśmy nad nim całkowitą kontrolę. Zanim dotarłem do sali rekreacyjnej, Miller wcisnął się w kąt i wygrażał stamtąd krzesłem każdemu, kto chciał się do niego zbliżyć. Cały czas błagał i wykrzykiwał, żeby się kryć, opisywał też okropności wojny, przez jakie przeszedł...

— Drugiej wojny światowej? — przerwał zaskoczony sekretarz obrony.

— Tak, sir, Miller odtworzył wydarzenia z walk w Ardenach — odparł generał.

— Kiedy udało nam się go okiełznać i uspokoić, nagrałem z nim kilka wywiadów — Kent skinął głową w stronę skromnej szafki ściennej, zawierającej przestarzały magnetofon

szpulowy. — Miller pozostawał w hipnotycznym stanie regresji, myślał całkiem jasno i odpowiadał z najdrobniejszymi szczegółami. Przez całą sesję mówił i reagował tak, jakby wszystko, czego doświadczył, działo się znowu, jakby znowu był rok 1944, a on ożywił wydarzenia. Przypadek całkowitej regresji; nigdy czegoś takiego nie spotkałem, nawet nie myślałem, że to możliwe. Najważniejsze jednak, że doszedł do tego stanu sam. Bez wątpienia bodźcem był szok, wywołany z kolei przez rzeź, która dokonała się na jego oczach w świetlicy.

— Przepraszam, doktorze — wtrącił generał, odwracając się od okna.

— Zanim usłyszysz pan taśmy, sir, musi pan otrzymać pewne zasadnicze informacje. Będę się starał mówić krótko.

Burns przyglądał się obu mężczyznom przez dłuższą chwilę, po czym skierował niepodzielną uwagę na generała:

— Proszę dalej.

— Dziękuję, sir. Działo się to w grudniu roku 1944. Jednostka, do której był przydzielony Miller, znalazła się w bezpośredniej bliskości swojego celu, czyli wsi Chapelleburg koło Akwizgranu.

— Akwizgran? — zapytał Burns, powtarzając to słowo bardziej dla siebie.

— Akwizgran. To jedno z proponowanych przez prezydenta miejsc spotkania na szczycie między głowami Wschodnich i Zachodnich Niemiec, które ma się odbyć na początku przyszłego roku. Wybrane z przyczyn politycznych... Zdaje mi się, że w dziewiątym wieku Akwizgran był twierdzą Karola Wielkiego — Burns przerwał. Chcąc zaakcentować swoją przewagę, dodał jeszcze: — A podczas drugiej wojny światowej stanowił pierwsze opanowane przez nas niemieckie miasto, zgadza się?

— Po trzykroć, sir — odpowiedział generał. Rozplótł ręce, wsadził je do kieszeni spodni i w niezwykły dla siebie sposób oparł się o parapet, używając go jako podpórki do siedzenia. — Nas interesuje Akwizgran jako potencjalne miejsce szczytu. — „Ja też tu mam coś do powiedzenia”, pomyślał.

— Wciąż jestem na przegranej pozycji, generale — wtrącił sekretarz obrony. — Jakie znaczenie dla spotkania na szczycie mogą mieć przemowy pacjenta na temat bitwy sprzed czterdziestu lat?

— Jeśli można, sir — zachowanie generała wskazywało, że odpowiedź przyjdzie w swoim czasie. — Zgodnie z G2 — generał zorientował się i powtórzył: — Zgodnie z raportami wywiadu wojskowego... — Zdawał sobie sprawę, że Burns nie ma przygotowania wojskowego i nie rozumie nawet zwyczajowo przyjętych terminów. „Lepiej zawniczyć”, uznał. Istniały cztery szanse na pięć, iż na tym obszarze Niemcy nie będą stawiać oporu. Mimo to nasze wojska weszły w kontakt z doborową grupą oddziałów specjalnych SS. Wybuchła prawdopodobnie jedna z najkrwawszych potyczek w tej wojnie. Z niemal stu ludzi po każdej stronie przeżyła zaledwie garstka. Należał do niej Miller. Rzeź w świetlicy musiała go cofnąć w rok 1944.

Miller był żołnierzem jednej z pięciu grup specjalnych utworzonych naprędce do wypełnienia niezwyklej misji. Każda z grup dysponowała wybitnymi ekspertami i każda miała

określony cel w innej części Niemiec. Kiedy wyruszały one z Francji we wrześniu 1944 roku, zdawaliśmy sobie sprawę, że cztery wypadki służą jedynie stworzeniu pozorów. Przed jedną grupą rysowała się jednak całkiem realna szansa trafienia w dziesiątkę. Kłopot polegał na tym, że nie wiedzieliśmy, przed którą.

— O jaki rodzaj misji chodzi, generale? Jakie cele? Bardzo proszę o konkrety. — Sekretarz skrzyżował nogi i wcisnął się głębiej w krzesło. — I jeszcze coś, generale. Proszę zapamiętać, że jestem sekretarzem obrony i opowiadać tę historyjkę, jakby słuchał jej laik, nieznający wojskowej terminologii. Słucham dalej.

Generał zaczerwienił się.

— Tak jest, sir — tyle udało mu się wydobyć z siebie przez zaciśnięte zęby. Pomyślał, że Burns jest nieznośnym kutasem. Miał podejrzenia, iż uwaga stanowiła tylko nieudaną próbę ukrycia ograniczeń wiedzy militarnej sekretarza obrony.

— W 1940 roku brytyjscy specjaliści od szyfrów z Bletchley Park pod Londynem zdobyli niemiecką maszynę szyfrującą Enigma, która wykorzystywała najbardziej w owym czasie wyrafinowaną, najbardziej pomysłową i najbezpieczniejszą metodę przekazu szyfrowanych wiadomości. Zdobyć umożliwiła Brytyjczykom, a później także Amerykanom, wnikanie w najtajniejsze informacje niemieckiego wywiadu.

Na początku roku 1943 Brytyjczycy całkiem przypadkowo przejęli treść dwóch pilnych kontaktów pomiędzy sekretarzem Hitlera, Martinem Bormannem, i kimś w Paryżu. Przekazano je z mocą i na częstotliwości, które zupełnie nie odpowiadały wcześniej zakładanej charakterystyce Enigmy. Brytyjczycy spędzili nad nimi wiele czasu i poświęcili im dużo pracy, w końcu doszli do wniosku, że w szyfrowanych tekstach jest zawarty kod, którego nie da się złamać, zanim na podstawie następnych przekazów nie zdobędzie się klucza. W tym stanie szyfry przekazano wywiadowi amerykańskiemu. Brytyjczycy uważali również, że informacje miały raczej charakter polityczny niż wojskowy i dlatego zakwalifikowali je do mniej istotnych.

— Tak, Enigma — przerwał Burns nonszalancko. — Wiedzę, którą nam dawała, nazywaliśmy magią. Prawdopodobnie ułatwiła ona pokonanie państw osi w znacznie większym stopniu, niż większość ludzi przypuszcza. — Rozdrażnienie Burnsa ustępowało miejsca przewrotnemu zaciekawieniu. Pozwolił temu prymitywowi w generalskim mundurze pokazać wszystkie atuty, a teraz go przygwoździł.

Generał mówił dalej.

— Amerykańscy specjaliści od szyfrów i G2 nie zgodzili się z Brytyjczykami. Woleli potraktować depesze dosłownie, a nie jako płaszczyk dla wewnętrznej intrygi nazistów. Przy takim podejściu, depesze łączyły nazwisko Bormanna z operacją dotyczącą złota w sztabach wartości ponad sześćdziesięciu milionów dolarów, dzieł sztuki z podbitych krajów i podejrzanych przelewów ze szwajcarskich rachunków bankowych, będących pod kontrolą SS. Dla G2 szybko stało się jasne, że Brytyjczycy poślizgnęli się na prywatnym przedsiębiorstwie Bormanna, w które po prostu nie mogli uwierzyć. Krótko mówiąc, depesze wskazywały, że

Bormann i jego wspólnicy okradali nazistów z fortuny, Brytyjczycy nie umieli zaś zobaczyć lasu, widząc drzewa. Na początku sądzili, że mają do czynienia z oszustwem lub z testowaniem nowego kodu. Dopuszczając najgorsze obawy, brali pod uwagę także prawdopodobieństwo dywersji, mającej na celu sprawdzenie, czy Enigma nie została rozpracowana. Im dłużej jednak zajmowali się obydwoma depeszami, tym bardziej byli przekonani, że ostatni przypadek nie zachodzi. W analizie, która została przekazana do G2, Brytyjczycy wyrazili przypuszczenie, że depesze nie są niczym więcej, jak zręcznie zamaskowaną polityczną pogawędką Bormanna z nieznanym adresatem w Paryżu.

— Czego dotyczyła wymiana informacji, generale.

— Pierwszy tekst to depesza z Paryża do Bormanna w Berlinie. Ograniczała się do wyliczenia kilku ładunków okrętowych, które zostały wysłane, i informacji, kiedy powinny dotrzeć na miejsce. Nie było jednak wyjaśnione, gdzie dokonano załadunku i dokąd ten fracht płył. G2 sądziło, że była jeszcze co najmniej jedna wcześniejsza depesza, której Brytyjczycy nie przechwycili, a dwa znane teksty stanowią zakończenie dłuższej korespondencji. Później żadnych depesz już nie było. Wiadomość z Paryża zawierała spis skarbów, które Bormann zebrał. Odpowiedź Bormanna była krótka i utrzymana w cukierkowym tonie. Przyjmował do wiadomości harmonogram i wyrażał na niego zgodę. Wzmiankował jednak o podróży, która umożliwi kontakt poza Paryżem, a prawdopodobnie w ogóle poza Francją.

— Jeśli G2 miało rację, to czy Bormann nie podejmował zbyt wielkiego ryzyka, przekazując informacje tak delikatnej natury?

— Nie, sir. Proszę pamiętać, że Niemcy nie mieli nawet świadomości, że cokolwiek wiemy o Enigmie, a co dopiero mówić o zdobyciu przez nas maszyny i czytaniu wiadomości. Natomiast ze względu na moc i częstotliwość, dla Bormanna było zupełnie oczywiste, że nadaje w tajemnicy przed swoimi nazistowskimi zwierzchnikami. Po drobiazgowym badaniu G2 osiągnęło prawie stuprocentową pewność co do pochodzenia złota. Były to brytyjskie sztaby z jednego z amerykańskich transportów w ramach operacji „Ryba”. — Generał odnotował zakłopotany wyraz twarzy sekretarza obrony. „Mam cię, skurwielu”, pomyślał.

— W miarę jak niemiecka *blitzkrieg* przetaczała się przez Europę i sięgała na północ, do Skandynawii, zasadniczą sprawą stało się uchronienie europejskiego złota przed wpadnięciem w ręce nazistów. Norwegia, Holandia i Francja załadowały swoje złoto na pokład statków zdążających do Kanady i Stanów Zjednoczonych. W Wielkiej Brytanii decyzję podjęto o wiele później... w przededniu bitwy o Anglię. W sumie okręty Marynarki Królewskiej i statki handlowe odbyły między październikiem 1939 i kwietniem 1941 ponad 120 transatlantyckich rejsów na zachód. Przetransportowały praktycznie co do uncji złoto trzymane w The Bank of England. Ich ładunek był wart miliardy dolarów. Ale gdzieś po drodze fracht wpadł w ręce Niemców i ludzie Bormanna przejęli nad nim kontrolę. Do dziś jeszcze Brytyjczycy utrzymują, że w czasie operacji „Ryba” nie stracili ani uncji złota. Ponieważ jednak nasze G2 nie wątpiło w przejęte informacje, to miało na ten temat inne zdanie. Prawdopodobnie Brytyjczycy uznali depesze za niewiarygodne, gdyż o stracie takiej ilości złota mogły

wiedzieć jedynie najwyższe kręgi rządowe.

— Muszę przez chwilę wystąpić jako adwokat diabła, generale — wtrącił Burns. Jedyny pewny sposób na przyciągnięcie uwagi sekretarza obrony stanowiła wzmianka o pieniądzach lub wielkim bogactwie. Zaciekała go więc sugestia, iż sprawa, o której mówi generał, nieważne po co, ma związek z olbrzymimi ilościami złota. — Te informacje musiały dotrzeć drogą służbową do kogoś we władzach, kto wiedział o przejęciu transportu złota. Nie sądzi pan?

— Rozważano taką możliwość, sir. Jeśli pańska sugestia nie mija się z prawdą, to prawdopodobnie Brytyjczycy uznali, że najlepiej będzie nie przyznawać się do straty i nie zwracać uwagi na operację „Ryba”. Istniały uzasadnione obawy, że w razie odkrycia przez naród, iż całe bogactwo kraju zostało przewiezione do Ameryki Północnej, wybuchnie panika. Nie reagując na depeche rząd dyskretnie mówił, że nie były one niczym innym, jak fałszerstwem. Wzmocniło to wiarę brytyjskiego wywiadu w kod zawarty w szyfrowanych tekstach.

— Więc pana zdaniem Brytyjczycy nie dopuszczali myśli o rzeczywistym związku treści depeche z fortuną w złocie? — spytał Burns.

— Właśnie tak, sir.

— Niewiarygodne! — Jeśli tematem tego spotkania miały być złote sztaby, Burns chciał dowiedzieć się więcej. Nie było już mowy o udawaniu mądrzejszego.

— Kod zawarty w szyfrowanych tekstach. Użył pan tego wyrażenia również wcześniej — zauważył Burns. — Czy nie jest to masło maślane?

— Nie, sir. Szyfrowanie polega na zastosowaniu liter, liczb lub symboli w miejsce prawdziwych słów, zdań lub liter w wyrazie. Dlatego niewytrenowane oko widzi w zaszyfrowanej wiadomości po prostu pomieszanie z poplątaniem. Za pomocą Enigmy słowa i zdania przekształcono w kombinacje liczb, przy czym za każdym razem maszyna zmieniała znaczenie tych kombinacji. Achillesową piętą kodów jest nadmiar materiału porównawczego. Im częściej się danego kodu używa, tym łatwiej go złamać. To właśnie stanowiło trudność dla Brytyjczyków. Czekali na następne teksty, chcąc ustalić klucz i w ten sposób złamać kod zawarty w szyfrach. Tymczasem żadnego kodu nie było. Dostali z Enigmy wszystko jak na dłoni. W kodach wyrazy lub zdania zastępują inne wyrazy lub zdania. Na przykład kod dotyczący lądowania w Normandii nadano w dwu częściach. Pierwsza, „Przeciągły szloch jesiennych skrzypiec”, informowała podziemie, że inwazja się zbliża. Druga, „Rani moje serce nużącą monotonią”, wskazywała, że lądowanie się zaczęło. — Generał podniósł się z parapetu i przeciągnął, tłumiąc ziewnięcie.

Burns znowu sięgnął do marynarki po papierosy, poczęstował generała, a potem wziął sam.

— Proszę dalej — powiedział i chwytając spóźnioną myśl, zwrócił się do Kenta: — Możecie tu zrobić jakąś kawę? — Nie czekając na odpowiedź doktora, znowu skupił uwagę na generale. Kent posłusznie połączył się z kuchenną przybudówką.

— W każdym razie G2 przekazało depeche i ich analizę prosto do SHAEF, Naczelnego

Dowództwa Sojusznicznych Sił Ekspedycyjnych. Tam jakiś pułkownik uznał, że są wystarczająco ważne, żeby położyć je na biurko Bedell-Smitha.

— Na czyje biurko? — wtrącił Burns.

— Generała Watera Bedell-Smitha, szefa sztabu Eisenhowera. Zanim rozpoczęło się lądowanie w Normandii w czerwcu roku 1944, G2 ustaliło nazwiska pięciu niemieckich oficerów, zarówno z SS jak i Wehrmachtu, którzy mieli wcześniej bliskie kontakty z Bormanem, byli w Paryżu w dniu nadania depeesz i mieli dostęp do Enigmy. Było w tej grupie dwóch generałów. Intensywne dochodzenie dostarczyło informacji nie tylko o ich przeszłości i koneksjach, lecz także o ich wyjazdach z Paryża, co zresztą w tych okolicznościach sprawiło niezwykłą trudność. Od dnia, w którym dowiedzieliśmy się, kim są ci ludzie, mieliśmy ich, dzięki pomocy francuskiego ruchu oporu, pod całodobową obserwacją.

— Ile czasu upłynęło od przejścia depeesz przez Brytyjczyków do rozpoczęcia obserwacji?

— Mniej więcej siedem tygodni.

— Siedem tygodni? I nie przyszło nikomu do głowy, że bez względu na charakter, zadanie mogło być już wtedy wykonane?

— Owszem, sir, ale mieliśmy szczęście, co okazało się później.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Wszedł Filmore, pchając przed sobą wózek z kawą i wszystkimi niezbędnymi akcesoriami, a także półmisek wypełniony pączkami.

Generał wpełchnął ręce głębiej do kieszeni i ściągnął łopatki, wykonując jednocześnie obszerne krążenie głową. Długie, bezsenne godziny zaczynały robić swoje.

Filmore ustawił wózek i starannie poprawił lniane serwetki przy trzech filiżankach. Tymczasem palce generała wymacały w kieszeni małą saszetkę z filcu. Zapomniał, że ją z sobą wziął. Powoli odwrócił się do okna, wyciągnął saszetkę i po raz nie wiadomo który przyjrzał jej się badawczo przed wyjęciem zawartości, jednego jedyne go, bardzo dziwnego miedziaka. „Ciekawe, że po tych wszystkich latach samo dotykanie go wciąż mnie jeszcze niepokoi”, pomyślał.

Już dawno temu próbował wymazać z pamięci jego istnienie. Po wojnie wcisnął go do kąta razem z innymi pamiątkami. Kiedy jednak Kent zadzwonił i powiedział mu o Millerze, podszedł do pudełka po cygarach i wyciągnął monetę. Który z jego ludzi miał ją przy sobie w czasie misji? Który okazał się zdrajcą? Kiedy generał po raz pierwszy zobaczył miedziaka, uznał go za zwykły amulet, może rodzinny talizman. Tak brzmiały najprostsze wyjaśnienia, które przyjął, wkrótce po tym, jak Maria znalazła monetę i dała mu ją. Ale nawet wtedy przeczuwał coś więcej, ukryte znaczenie miedziaka, jego związek z misją i jaskiniami. Bo jeśli by tak nie było, to po co jeden z jego ludzi miałby brać go ze sobą.

Te myśli i wątpliwości gryzły go jeszcze zanim dowiedział się, że moneta posłużyła jako niezwykły znak identyfikacyjny zdrajcy. Teraz miał ją w palcach i znowu się jej przyglądał. Była w znakomitym stanie. Generał sądził, że nie znajdowała się w obiegu długo. Trzymając za brzeżek, badał ją po raz kolejny, jakby miał szansę dostrzec coś nowego, na co nie zwrócił

uwagi poprzednio. Strona frontowa, czyli awers, przedstawiała głowę konia nad herbem przypominającym pług. Pod czymś podłużnym, co chyba stanowiło łącznik, wybito datę 1786. Na górze ciągnął się łukiem napis Nova Caesarea. Zobaczywszy łacinę, zastanawiał się w swoim czasie również, czy jeden z jego ludzi nie zdobył tej monety we Włoszech. Niektórzy stacjonowali tam po latach w Afryce Północnej.

Już po wojnie poszedł kiedyś do biblioteki i w wielkiej księdze o starożytnych monetach znalazł rzymski pieniądz z podobną głową konia. Ale data nie pasowała. W 1786 roku po Cesarstwie Rzymskim dawno nie było śladu. Poza tym na rewersie monety umieszczono znane motto: *E Pluribus Unum*. Otaczało ono dominującą w kompozycji tarczę. Takie motto występowało na monetach Stanów Zjednoczonych, ale ten okaz wyraźnie pochodził skandina. Być może pierwotnie miał być medalem lub prywatną monetą okolicznościową.

W jaki sposób miedzianka stała się znakiem identyfikacyjnym zdrajcy? I w jaki sposób wiązała się z misją w Ardenach sprzed tylu lat, misją, którą generał tak bardzo starał się zapamiętać?

Nigdy nie wziął monety do wyceny. Nawet nie rozmawiał o niej z nikim. W pewnym okresie chciał ją zwyczajnie wyrzucić. A jednak zatrzymał. Stanowiła klucz do odpowiedzi na pytanie, kto zdradził. Być może klucz do jego własnej podświadomości, która wymazała z pamięci jakiś ślad. „Analizując to, Kent spędziłby pracowity dzień”, pomyślał. Filmore wycofał się nie mówiąc ani słowa, gdy trzech mężczyzn niezależnie od siebie ruszyli do wózka. Generał schował monetę z powrotem do szaszetki i wsadził do kieszeni.

Zaspokoiwszy pragnienie wrócili dokładnie do punktu, w którym znaleźli się wcześniej. Nikt nie poczęstował się pączkiem.

– W okresie obserwacji piątku niemieckich oficerów opuszczała Paryż na cztery lub więcej dni co najmniej dwukrotnie. Trzej, generał i dwóch pułkowników, wyjeżdżali po dwa razy, czwarty jeździł pomiędzy Paryżem i Berlinem w tę i z powrotem.

Sekretarz obrony wydał wargi i przez chwilę myślał.

– Tego oczywiście wyłączono, jako że jego częstotliwość podróży na linii Paryż-Berlin wykluczała wszelką potrzebę porozumiewania się za pomocą Enigmy.

– Oczywiście. Zresztą był to major, a sądzono raczej, że w sprawie ma udział oficer starszy stopniem.

– A piąty człowiek?

– To jednocześnie drugi generał. Wyjeżdżał tylko raz.

Sekretarz obrony uniósł brwi.

– Czy udało wam się kiedyś określić, gdzie którykolwiek z tych ludzi przebywał w dniach następujących bezpośrednio po dacie przejścia depesz?

– Nie, sir. W tym czasie nie obserwowano ich, a zbadanie tego byłoby niemożliwe bez wzbudzania podejrzeń. G2 uważało jednak, że jeden z nich zrobił szybki wypad do Rzymu i zamordował w Watykanie duchownego. Który z pięciu, to pozostaje tajemnicą.

Burns wstał, położył dłonie na biodrach i odciągnął ramiona do tyłu. W tej wyprężonej

postawie zaczął chodzić dookoła krzesła, potem opuścił ręce i zwrócił się do generała:

— Sprawdźmy, czy wszystko do tej pory rozumiem. W roku 1943 Brytyjczycy przejmują depeze szyfrowane na Enigmie, nadane z Paryża do Berlina i odwrotnie. Wątpią jednak w ich wiarygodność; stwierdzają istnienie struktury, dzięki której Martin Bormann wraz z paroma innymi łobuzami okradł nazistów z całkiem ładnej fortuny. Nasze G2 traktuje to dosłownie. Stwierdzamy, że do Bormanna z Paryża mogło depeszować pięciu niemieckich oficerów. Przypuszczam, że właśnie z powodu pięciu podejrzanych formuje się pięć grup specjalnych, a do jednej z nich należy Miller. Dobrze mówię?

— Bezbłędnie, panie sekretarzu.

— Grupy te wyruszają śladami pięciu oficerów, żeby zbadać ich ruchy, wykonane wkrótce po przejęciu przez Brytyjczyków depez.

— I tym razem słusznie, sir.

— Jedna z grup ma, przy odrobinie szczęścia, dobrać się do czegoś, co schowała ta banda. Pozostałe wyruszają na próżno. Grupa Millera dociera do Akwizgranu i angażuje duże siły niemieckie w krwawy konflikt. Miller, ciężko ranny, wraca z wojny do domu i dostaje skierowanie do szpitala, gdzie ma dożyć swoich dni. Dwa dni temu w szpitalu dzieje się coś strasznego i Miller, który jest tu pacjentem, zaczyna ponownie przeżywać wojenne doświadczenia. Czy nadal wszystko się zgadza, doktorze Kent?

— Tak, sir — Kenta prawie zatkało z wrażenia, że w końcu włączono go do rozmowy.

— Wiemy, że Akwizgran był jedną z najmocniej popieraną propozycją Niemców Zachodnich jako miejsce spotkania na szczycie. Nasz prezydent przekonał do tego Niemców Wschodnich — Burns przerwał. Ani Kent, ani generał nie odezwali się jednak, sądząc, iż jest to tylko krótka pauza w wywodzie, a nie wniosek. Po dłuższej chwili sekretarz obrony podszedł do wózka, nalał sobie jeszcze filiżankę kawy, tym razem wziął też pączka. — A więc, panowie, gdzie jest problem? Jak dotąd mamy zajmującą historię, ale o co w tym wszystkim chodzi? Co nagrało się na tych wielkich szpulach taśmy, które tutaj trzymacie, doktorze? — Zrobił ruch, jakby chciał podejść do aparatury w ścianie.

Odpowiedział jednak generał.

— Wieś Chapelleburg, sir, znajdowała się mniej niż trzydzieści kilometrów od Akwizgranu. W okolicy ciągnie się obszerna sieć jaskiń. Samą wieś zniszczono w czasie wojny i dziś praktycznie nie pozostały po niej żadne ślady.

— Podniósł się z parapetu i z rogu biurka doktora Kenta wziął numer „USA Today” z poprzedniego dnia. — Widział pan to? — odwrócił gazetę na trzecią stronę i podał Burnso-
wi, wskazując krótki artykuł:

CZY PREZYDENT ZWIEDZI JASKINIE W CZASIE NIEMIECKIEGO SZCZYTU?

„PREZYDENT WILLIAM CHANDLER I GŁOWY DWÓCH PAŃSTW NIEMIECKICH PRAWDOPODOBNIENIE BĘDĄ MIELI OKAZJĘ ZWIEDZENIA ZAPOMNIANYCH CYGAŃSKICH JASKIŃ NA OPUSZCZONYM TERENIE NIEGDYSIEJSZEJ WSI CHAPELLEBURG. DO WIZYTY DOJDZIE, JEŻELI POBLISKI

AKWIZGRAN ZOSTANIE WYBRANY NA SIEDZIBĘ LETNIEGO SZCZYTU. TRZEBA BĘDZIE JEDNAK ODNALEŹĆ ŚLADY WSI „ZAGINIONE” JASKINIE.

ZGODNIE Z OŚWIADCZENIEM OPUBLIKOWANYM DZISIAJ PRZEZ ZACHODNIONIEMIECKIE MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH, W KRĘGACH WŁADZ AKWIZGRANU ROŚNIE POPARCIE DLA PROJEKTU WYKORZYSTANIA TURYSTYCZNEGO POTENCJAŁU TYCH HISTORYCZNYCH JASKIŃ”.

Dalej w artykule stwierdzono, że została już złożona formalna propozycja podjęcia poszukiwań, zawierająca między innymi wnioski o fundusze na uzyskanie niezbędnych zezwoleń i skompletowanie wyposażenia. Grupa biznesmenów zadeklarowała już przystąpienie do poszukiwań niezwłocznie po otrzymaniu zgody.

„ZE SPORADYCZNYCH WZMIANEK W KSIĘGACH KOŚCIELNYCH I DZIĘKI LEGENDOM PRZEKAZYWANYM Z POKOLENIA NA POKOLENIE WIADOMO, ŻE JASKINIE ZNAJDUJĄ SIĘ GDZIEŚ NA TERENIE STARTEJ Z POWIERZCHNI ZIEMI WIOSKI CHAPELLEBURG. PROPOZYCJA ZORGANIZOWANIA SZCZYTU W AKWIZGRANIE ODNOWIŁA ZAINTERESOWANIE JASKINIAMI I WZBUDZIŁA CHĘĆ PONOWNEGO ICH ODKRYCIA.

W MIEJSCOWYCH PODANIACH UTRZYMUJE SIĘ, ŻE SĄ TO NAJOBSZERNIEJSZE JASKINIE W EUROPIE ZACHODNIEJ, A BYĆ MOŻE NAWET W ŚWIECIE. PRAWDOPODOBNIEMIE WIEŚNIACY UŻYWALI ICH W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ JAKO CHŁODNI, ORAZ SCHRONU PRZED BOMBARDOWANIAMI ALIANTÓW.

WIOSKĘ CHAPELLEBURG MIELI JAKOBY OD ŚREDNIOWIECZA ZAMIESZKIWAĆ CYGANIE. PODOBNIEMIE JAK W PRZYPADKU KILKU INNYCH DOSZCZĘTNIE ZNISZCZONYCH PODCZAS WOJNY, NIE MA ŻADNYCH INFORMACJI O LOSACH JEJ MIESZKAŃCÓW.

PRZECIWNICY PROJEKTU WSKAZUJĄ, ŻE NAWET JEŚLI UDA SIĘ ODNALEŹĆ MIEJSCE, W KTÓRYM ZNAJDOWAŁA SIĘ WIOSKA, NIE JEST TO RÓWNOZNACZNE Z ODNALEZIENIEM WEJŚCIA DO JASKIŃ, KTÓRE MOŻE BYĆ POŁOŻONE W DOWOLNYM MIEJSCU DWUDZIESTOKILOMETROWEGO PASMA GÓR. UWAŻAJĄ WIĘC, ŻE PIENIĄDZE WYŁOŻONE NA REALIZACJĘ TAKIEGO PROJEKTU MOŻNA Z WIĘKSZYM POŻYTKIEM WYDATKOWAĆ NA ZASPOKOJENIE WAŻNIEJSZYCH POTRZEB SPOŁECZNYCH”.

Burns skończył lekturę i zwrócił gazetę generałowi.

— I? — wygięte w łuk brwi zdawały się podawać w wątpliwość związek między artykułem i tym, co zostało dotychczas powiedziane.

— Panie sekretarzu — w głosie generała brzmiała natarczywość — nie można dopuścić do znalezienia jaskiń. Trzeba za wszelką cenę powstrzymać ludzi, którzy chcą prowadzić poszukiwania! — Podszedł do aparatury w ścianie i wskazał na zwoje taśmy. — Wioska nie została opuszczona, jej mieszkańcy nie zniknęli bez śladu. Zostali zabici, podobnie jak ludzie z grupy Millera i oddziały SS — urwał i doktor Kent zauważył, że oczy generała zrobiły się szkliste. Dalszy ciąg wypowiedział niemal szeptem: — Zabiła ich nieczysta siła, która jest tam teraz uwięziona.

Burns słuchał z szeroko rozwartymi oczami, nie dowierzając. Pomyślał, że generał postradał zmysły. Zanim jednak coś powiedział, ten odezwał się znowu.

— Tak mówią taśmy — uderzył płaską dłonią w aparaturę — Miller przypomniał sobie, co się stało w Chapelleburgu, co do szczegółu, i powtórzył, jakby działo się to znowu, teraz. I

zdarzy się to, jeśli nie powstrzymamy ludzi od wejścia do tych jaskiń.

Doktor Kent nerwowo wstał z krzesła i położył rękę na magnetofonie:

— Pewnie brzmi to dla pana jak chorobliwe rojenia. — Pokręcił głową. — Ja w to nie mogłem uwierzyć, na początku... ale sądząc po szczegółowości tego, co powiedział Miller i co wraz z generałem złożyliśmy do kupy, sprawa wygląda zbyt śmierdząco, żeby ją lekceważyć.

— Co dokładnie panowie wiedzą i jak pan się tu znalazł, generale? — sekretarz obrony stuszował z ostrożności wyraz niezadowolenia.

— Ja go tu wezwałem — odparł z własnej inicjatywy Kent. — Znamy się od paru lat. Musiałem sprawdzić od strony wojskowej kilka rzeczy, które powiedział Miller, jeśli miałem w ogóle uwierzyć w to, że opis odpowiada prawdzie.

— W jaki sposób sprawdził pan te fakty, generale? Powinno to przecież zająć więcej czasu, niż obaj mieliście do dyspozycji — zainteresował się Burns.

— Próbowałem wydobyć z Millera jakieś zeznania po misji w 1944 roku. To ja go na nią wysłałem.

— No dobrze, posłuchajmy — zarządził Burns. — Dawajcie resztę tej historii. — „Szczególnie detale dotyczące złota i skarbu”, pomyślał.

Przez kilka sekund w pokoju panowała cisza. W końcu generał obrócił się ruchem starego, zmęczonego człowieka i opieszale wcisnął klawisz magnetofonu. Widząc, jak szpule maszyny zaczynają się powoli obracać, generał miał ochotę krzyknąć: „Przecież zdarzyło się o wiele więcej, niż zapisano na tych taśmach!”

Nie zrobił tego, pograżył się we własnych myślach.

Rozdział 2

Granville, Francja, sierpień 1944

Starszy sierżant Daniel Miller skulił się i ściągnął pelerynę na szyi. Był lekko przeziębiony, a zawdzięczał to pożądanemu skądinąd ochłodzeniu, które nastąpiło wraz z deszczem po fali ciepła na początku tygodnia. Spojrzał w bok na kierowcę, który zdawał się nie zauważać ulewy. Miller przeklinał w myślach deszcz, błoto, a najbardziej odkrytego jeepa, trzęsącego się na śliskiej drodze. Jazdę uprzykrzał dodatkowo huk niekończącego się ciągu pojazdów wojskowych. W Anglii pogoda była kiepska, ale nie aż tak. Marzenia Millera o słonecznej Francji ulotniły się w czasie przeprawy przez kanał La Manche, jeszcze zanim godzinę temu dotarli do przygotowanego przez jednostki desantowe portu w Arromanche.

Jechali po wąskiej, dwupasmowej szosie. Kierowca skorzystał z okazji i wyprzedził kilka wolniejszych pojazdów, Miller zaś przyglądał się poboczu. Po całej dobie deszczu niegdyś schludny pas trawy zamienił się w coś, co przypominało rozjeżdżone okopy. Pojazdy wojskowe poruszały się w obie strony, równie często samą drogą, co jej skrajem.

Wzięli ostry zakręt i wjechali do wioski. Miller spojrzął przed siebie, ignorując dostаточно

wyglądające rzędy dziewiętnastowiecznych budynków z cegły i kamienia. W niecałą minutę później jeep znówu toczył się przez nie zamieszkałe obszary wiejskie.

— Chłopie — Miller powiedział to głośno, tak żeby mógł usłyszeć go młody szeregowiec prowadzący jeepa — czy jest na naszej Bożej ziemi jakiś sensowny powód, dla którego ten pojazd nie ma żadnej osłony?

— Tak, sir — wycedził kierowca, zaciągając wyraźnie, jak wszyscy południowcy. — W parku maszyn zamówili cały pieprzony transport rozkładanych dachów i bocznych osłon, ale nie dostali nawet połowy. — Miller lekko skrzył głowę. Po raz pierwszy od początku podróży przyjrzał się uważniej chłopakowi za kierownicą.

Żołnierz był wysoki, chudy, dokładnie ogolony. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Miller prześlizgnął się wzrokiem po jego butach. „Nowe, wydane już po lądowaniu”, pomyślał.

— Te, które doszły — ciągnął żołnierz — zostały założone na samochody Naczelnego Dowództwa. Oni mają pierwszeństwo we wszystkim. Myślę, że... — zawiesił głos, koncentrując się na czołgu, który nieoczekiwanie wyjechał na drogę zza kępy drzew. Miller z przerażeniem patrzył, jak jego wielkie cielsko ciężko toczy się w poprzek drogi zarzucając na boki.

— Jezu Chryste! — rzucił głośnym szeptem, bez respektu prosząc Boga o interwencję. Zamknął oczy, zaparł się nogami o deskę rozdzielczą, a obiema rękami chwycił od góry hełm. Czuł, jak jeep wpada w poślizg. Szeregowy próbował skontrolować kierownicą, jednocześnie wciskając i puszczając pedał hamulca, ale bez skutku. Jeep zaczął zsuwać się z drogi w kierunku potwora na gaśienicach.

W jakiś sposób czołg usunął się o centymetry przed jeepem. Zaciskając zęby, Miller czekał tymczasem na nieuniknione, jak sądził, zderzenie. Ale chwile trwające wieczność minęły. Poczul, że samochód skacze do przodu i dalej jedzie prosto. Z ociąganiem otworzył najpierw jedno oko, potem drugie. Doznał przypływu ulgi, rozlewającej się po całym ciele.

— Jak mówiłem, Naczelne Dowództwo kładzie łapę na wszystkim, począwszy od pasty do zębów a skończywszy na papierze toaletowym — ciągnął kierowca jakby nigdy nic. Miller, skręcony w półobrocie na siedzeniu, z oszołomieniem spostrzegł, że ruch nie został zatrzymany ani nawet zakłócony. Czołg znikł w lesie po drugiej stronie drogi. Sierżant znów spojrzął przed siebie i uchylił się raptownie, bo spod kół dwutonowej ciężarówki trysnęła brunatna fala, która rozbiła się o ich przednią szybę. Pomyślał, że rozmowa odwróci jego uwagę od jazdy.

— Głupio tak wysłać zaopatrzenie przez kanał po to tylko, żeby dojść do wniosku, że jest z powrotem potrzebne Naczelnemu Dowództwu w Anglii — zagaił.

— W Anglii? Nie, sir. Eisenhower prznosi się tutaj... właśnie dzisiaj. Do Granville. Niedaleko nas ciągnie cały tabor. Tutejszą kwaterę główną nazwał *Wybuch*. Numer z niego, nie? *Wybuch*.

Rozległ się dźwięk spowodowany niewątpliwie przebicciem opony. Jeep zachybotał się, szarpnął i przechylił. Kierowca prawie instynktownie skrzył z drogi na resztki zmoczonej

deszczem trawy, kilka metrów od przemieszczających się pojazdów.

Obaj mężczyźni wysiedli sprawdzić opony. Z lewej tylnej zostały jedynie strzępki gumy.

— Koła się tu nie da zmienić — głośno rozmyślał Miller. — W tym gównie podnośnik zapadnie się na kilometr.

— No cóż, sierżancie... — odparł niespiesznie kierowca, lustrując otoczenie i wskazując w końcu na dworek około stu metrów od nich. Pewnie będzie się pan tam mógł trochę wysuszyć... Albo pomoże mi pan zorganizować parę solidnych francuskich pniaków, żeby podnieść to świństwo. — Jego prostej logice towarzyszył szeroki, chłopięcy uśmiech.

Miller wpatrywał się w niego przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Obejrzał się jeszcze raz na drogę z kawalkadą pojazdów, potem przyjrzał się sobie. Z pewnym wysiłkiem podniósł nogę. Wyciągany z błota but głośno płasnął. Miller obrócił się ku dworkowi.

— Chodźcie, szeregowy, zorganizujemy trochę drewna. W jeepach, motocyklach z przyczepami, ciężarówkach i innych środkach transportu setki innych żołnierzy przeklinały błoto oraz deszcz i, podobnie jak Miller, znajdowały się w drodze na najściślej utajnione pozycje w Granville. Niektórzy dotarli do Francji właśnie tego dnia i nie powąchaliby jeszcze prochu, inni byli weteranami wielu krwawych potyczek. Wyłowiono ich z miejsc, gdzie służyli, i skierowano tutaj w przyspieszonym trybie; niektórzy przybyli nawet trzydzieści sześć godzin wcześniej. Każdy dysponował talentem lub specjalnością uznawaną za kluczową dla tej misji. Wszyscy mówili po niemiecku, w tym prawie dwie trzecie płynnie. Żaden nie znał powodu tak nagłego przeniesienia. A kiedy go już poznali, nie było dla nich odwrotu.

Kapral Charles Hauser był przed wojną ekspertem od budowy tuneli.

Sierżant Thomas Boyle oprowadzał turystów po jaskiniach Luray w Wirginii. O podziemnym świecie wiedział więcej niż większość geologów. Kapral Edward Gnatko należał do światowej klasy wspinaczy. Przeżył atak komandosów na klify Pointe du Hoc. Kapral Ben Sher zajmował się nauczaniem niemieckiego w jednej ze szkół wyższych Milwaukee. Mówił tym językiem lepiej niż sam Hitler. Był również najlepszym strzelcem z broni krótkiej, jakiego kiedykolwiek widzieli instruktorzy w Forcie Dix.

Znaleziono również innych wspinaczy, ekspertów od środków wybuchowych, konstruktorów tuneli, górników, geologów, inżynierów... Wszystkich łączyła fachowość, wyróżniająca ich spośród współtowarzyszy. Tego deszczowego sierpniowego dnia 1944 roku zebrali się w osiemnastowiecznym zamku we Francji.

W czasie gdy Miller z kierowcą szukali drewna pod podnośnik, inny jeep przejechał obok nich. Po niecałym kwadransie skrzył w lewo na rozwidleniu, szybko zostawiając za sobą dwa długie węże pojazdów.

— Co? — wzdrygnął się kapitan William Beck.

— Pytałem, jak się jechało, sir — powtórzył kierowca, łagodnie skręcając w brukowaną, zacienioną drzewami drogę. Wyrwał Becka z chwilowego pobytu w krainie marzeń.

— Dobrze... Całkiem dobrze. Ot, taki krótki skok nad kanałem. — Poprzedzał go długi i nudny lot z Waszyngtonu, ale rozkazy wyraźnie mówiły, że Beckowi nie wolno o tym wspominać.

Nagle z krzaków o kilka metrów przed nimi wyjechał jeep i zablokował im drogę. Zanim kierowca zdążył zatrzymać, wycelowano w nich z zamontowanego na tyle wozu karabinu maszynowego kaliber 50. Kontrola dokumentów. Beck odwrócił się, chcąc sprawdzić, jak daleko odjechali od głównej drogi, zanim ich przechwycono, i stwierdził, że jeep z zamontowanym z tyłu karabinem maszynowym kryje ich także od drugiej strony.

Wartownik o surowej twarzy podszedł i poprosił o dokumenty. Beck sięgnął po specjalne papiery, które zgodnie z rozkazem miał przedstawić. Zauważył jednocześnie, że ani żołnierz, który stoi przy samochodzie, ani drugi, obsługujący karabin maszynowy, nie mają żadnych znaków rozpoznawczych ani stopni wojskowych. „Najostrzejsze środki bezpieczeństwa, przejście ciasne jak dupa ostrygi”, pomyślał.

— Niech pan wysiądzie — zaproponował kierowca. — Mniej więcej tutaj mieliśmy dojechać. Resztę drogi odbędzie pan z tymi chłopcami. — Beck wyszedł z jeepa i wyciągnął z niego ekwipunek. Żołnierz, który zmaterializował się nie wiadomo skąd, szybko wziął go i złożył w jeepie stojącym przed nimi.

Wsiadając do samochodu, kapitan zauważył, że drugi pojazd, który blokował im przedtem odwrót, wycofał się w zarośla i znów był całkiem niewidoczny z drogi. Beck nie mógł się jednak pozbyć uczucia, że dookoła znajdowało się więcej jeepów niż dwa, które zobaczył.

W pół drogi do celu jazdę po krętym szlaku przerwała im jeszcze jedna kontrola dokumentów. Znowu jeepy wychynęły na drogę przed i za nimi. Kiedy ruszyli, Beck z ulgą stwierdził, że deszcz prawie przestał padać. W kilka minut później dotarł do pałacu.

Główny budynek znajdował się u szczytu półkolistego podjazdu, upiękzonego fontanną w kształcie statui z niskim murkiem dookoła. Był to potężny, trzypiętrowy dom. Pofalowany dach, kryty łupkiem, liczne kominy i przyczółki sprawiały wrażenie pewnego nadmiaru. Fasada i ściany boczne łączyły w sobie kamień i rozmieszczone z geometryczną dokładnością drewniane belki. Ozdobnie kute żelazne kraty chroniły wszystkie widoczne okna. Na pierwszy rzut oka wydawało się niedorzecznością, żeby tak obszerna budowla mogła być prywatną rezydencją. Kapitan ocenił, że są tam co najmniej dwadzieścia cztery pokoje. Pomylił się o osiem.

Wyszedłszy z jeepa i zabrawszy ekwipunek Beck zatrzymał się na moment. Po lewej stronie na tyłach pałacu zauważył powozownię z pokojami dla służby na górze. Nad przejściem między budynkami ciągnęła się siatka maskująca, najwyraźniej założona przez wojsko. Ponownie przenosząc uwagę na pałac, Beck zobaczył go teraz w innej perspektywie.

Był większy niż wydawał się z drogi. Po obu stronach masywnych, bogato rzeźbionych drzwi, otoczonych wspianiałym portykiem, siedziały jednakowe kamienne smoki. Do wejścia prowadziły cztery szerokie schody, które kapitan pokonał dwoma susami.

W tym samym czasie, gdy Beck wkraczał do pałacu, a Miller z kierowcą kończyli zmieniać

koło, trzej oficerowie przy długim stole znajdującym się na pierwszym piętrze powozowni przeglądali dane personalne Becka, Millera i czterdziestu ośmiu innych ludzi.

— Panowie, myślę, że nadszedł czas na połów. Mamy ludzi. Tym złotem kończymy dobór. Moim zdaniem jesteście gotowi. — Wyrazicielem tej opinii był dystyngowany, siwowłós oficer, który łatwo mógłby uchodzić za członka zarządu poważnej korporacji. Był nim zresztą w cywilu. Kongres, z rekomendacji prezydenta, mianował go na stopień pułkownika. Duża, haftowana naszywka Naczelnego Dowództwa na jego rękawie wskazywała, że znowu znalazł się w wąskim kręgu ludzi pociągających za nitki, podejmujących ważne decyzje. Pułkownik przesunął na środek stołu leżący przed nim stos papierów i rzucił przelotne spojrzenie na dwóch pozostałych oficerów.

— Masz rację, John. Spędziliśmy nad tymi aktami Bóg wie ile czasu. Osobiście jestem w pełni usatysfakcjonowany. Ta grupa jest równie dobra, jak pozostałe. Myślę i o jej członkach, i o całości. Świetni ludzie. Trzeba teraz przeprowadzić rozmowy indywidualne, żeby upewnić się, że G2 może być o nich spokojne — skomentował siedzący pośrodku z fajką w zębach oficer, łysiejący mężczyzna noszący jedynie insygnia wywiadu. Wprawdzie mundur nie zdradzał jego stopnia, ale zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, iż pomiędzy równymi jest pierwszym.

— Muszę się chyba zgodzić, choć prawdę mówiąc wolałbym, żebyśmy w swoim czasie mieli więcej do powiedzenia przy wstępnej selekcji. Mam wrażenie, że równowaga w tej grupie jest nieco zachwiana na korzyść podoficerów — stwierdził trzeci członek grupy dowodzącej, również pułkownik. Ze swymi trzydziestoma trzema latami Christopher Frank był w tym trio najmłodszy. Ale w wojskach powietrzno-desantowych oficerowie awansowali szybko, a szczególnie ci, którzy walczyli w Afryce Północnej i zostali ranni w dniu lądowania w Normandii. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wszyscy ci ludzie wyglądają na znakomitych. A jednak oddziały, które tutaj mamy, wybrano w Waszyngtonie. Kto wie, co tam prze-gapili.

Oficer wywiadu ospale przytaknął skinieniem głowy. Wstał z krzesła i zaczął się przechadzać z tyłu za obydwojma kolegami w głębokim zamyśleniu, jakby wyobrażał sobie długie szeregi doskonałych okazów mężczyzny w mundurach armii Stanów Zjednoczonych, samych supermanów... odrzuconych co do jednego przez oficera biurokrate.

Pułkownik z Naczelnego Dowództwa wyduł wargi, prawie protekcyjnie i uniósł ręce w błagalnym geście.

— Niestety, pierwszy wybór się liczy. Nie stać nas na poprawki. Pozwólmy tym chłopcom wrócić do domów w chwale. Dano nam najlepszych, jakich można znaleźć, i to musimy przyznać. — Stuknął grubym i krótkim palcem w dębowy blat stołu. — Na podstawie akt nie mamy przesłanek, aby kwestionować ludzi wybranych do czterech pozostałych misji... i do tej piątej również. Prześwietliliśmy ich dokładnie. Teraz przyszedł czas na spotkanie z nimi twarzą w twarz i rozpoczęcie ćwiczeń przygotowujących do misji.

Urwał i spojrzał na pozostałych mężczyzn. Nie mógł jednak wyczytać z ich twarzy, czy akceptują bez zastrzeżeń to, co powiedział.

— OK., niech będzie — zapalczywie rzucił Frank, odkładając na bok własne obiekcje. — Prawdę mówiąc, mniej było diabelnego zachodu i planowania przy lądowaniu w Normandii. — Instynktownie sięgnął prawą ręką do kieszeni na piersi po paczkę lucky strike'ów i natychmiast skurczył się z bólu. Powoli uniósł lewą rękę i niezgrabnie wyjął pudełko. Potrząsnął nim kilkakrotnie, w końcu udało mu się wyciągnąć papierosa zębami.

Oficer wywiadu przystanął w najdalszym kącie, tyłem do pozostałych. Powoli odwrócił się, biorąc prawą ręką fajkę. W jego skinieniu głową było więcej zdecydowania. Również on bez wątpienia się zgadzał.

Pułkownik z Naczelnego Dowództwa spojrział na zegarek.

— Zbliża się koniec pracowitego dnia, panowie. Wszyscy powinni już tu być.

Oficer wywiadu wyjął fajkę z ust i podszedł do stołu. Wytrząsnął popiół do popielniczki

— No to naprzód. Zaczynamy jutro rano, dokładnie o dziewiątej. Zgodna?

Obaj mężczyźni jednocześnie przytaknęli.

Rozdział 3

Deszcz nie padał już mniej więcej od trzech godzin. Miller obudził się tuż przed świtem, akurat w chwili, gdy ostatnie krople uderzały w dachówki pałacu. Jeszcze jako dziecko, kiedy zwinięty w kłębek sypiał pod zbyt wielką koldrą domowej roboty na rodzinnej farmie w Iowa, miał wewnętrzny zegar, który niezawodnie wykrywał zmiany dźwięków w otoczeniu i natychmiast wrywał go ze snu.

Przydawało mu się to, kiedy musiał rano wstawać na apel. Ale w tym towarzystwie chodziło o co innego. Nadal był w wojsku, co do tego nie miał żadnych wątpiwości, ale nie stosowano tu zwykłych zasad. Mimo to wziął prysznic, ogolił się, zjadł lekkie śniadanie i siedział teraz na szerokim parapecie w wykuszu pałacowej biblioteki, sącząc drugą filizankę kawy i rozkoszując się łagodnym powiewem wiatru.

Biblioteka, podobnie jak pozostałe pomieszczenia, była przesadnie wielka. Kopulaste sklepienie na wysokości ponad pięciu metrów, otoczone rzeźbionymi w drewnie panneau, przypominało Millerowi kościół, który zwiedzał będąc w Anglii.

Tylna ściana, podobnie jak i jedna z bocznych, była do samej góry zabudowana całkowicie zapchanymi półkami, większą część dwóch pozostałych dwóch ścian zajmowały natomiast duże okna. Masywny kryształowy żyrandol zwiisał dokładnie nad środkiem wzorzystego orientalnego dywanu. Trzy skórzane krzesła, sądząc po wyglądzie bardzo wygodne, przeniesiono na przód pomieszczenia, za metalowe biurko rządowej proveniencji. Wyraźne wgłębienia w dywanie informowały, że resztę mebli usunięto, żeby zrobić miejsce dla starannie ustawionych rzędów składanych metalowych krzeseł, które zajmowały teraz większą część podłogi.

Do pomieszczenia zaczęli napływać także inni żołnierze. Z podsłuchanych rozmów Miller zorientował się, że późne rozpoczęcie zyskało sobie uznanie większości. Opierając się o framugę i machając nogami, zaczął sobie przypominać wydarzenia poprzedniego dnia.

Kiedy przyjechał, flegmatyczny oficer wywiadu o błyszczącej twarzy z bardzo poważną miną zaprosił go do małego pokoju na parterze. Miller odniósł wrażenie, że mężczyzna ma około trzydziestu pięciu lat. Po sprawdzeniu dokumentów sierżant udał się na najwyższe piętro do jednego ze świeżo podzielonych pokoi. Otrzymał tam kwatery wspólnie z trzema innymi żołnierzami.

Powiedziano mu, że do wieczora ma się zjawić pięćdziesięciu ludzi. Żaden z nich nie miał prawa opuścić terenu pałacu bez względu na okoliczności. Oficer zaproponował Millerowi, by zaraz po złożeniu ekwipunku szedł do kuchni na gorący posiłek.

Potem wydarzyła się seria rzeczy zupełnie zaskakujących. Po pierwsze, nie było zbiórek na apel. Wszystkim obecnym w pałacu polecono stawić się w mundurach w bibliotece na dole, dokładnie o ósmej czterdzieści pięć! Ósma czterdzieści pięć? Sierżant pomyślał, że armia zrobiła się nieobliczalna. Po drugie, wszyscy mieli postępować tak, jak w warunkach bojowych. Wśród mieszkańców pałacu zawieszono wszelkie zasady regulaminów odnoszące się do stopni wojskowych. W końcu, od godziny dziewiętej językiem wszystkich informacji, rozkazów i przypadkowych rozmów stawał się niemiecki! Zabroniono rozmów po angielsku w budynku, a także podczas ćwiczeń, które miały nastąpić.

Warunki bojowe? Miller zauważył tylko jednego oficera z dystynkcjami, kapitana. Czy i on był jednym z przyjezdnych? A co z ćwiczeniami? Sierżant miał wiele pytań dotyczących pałacu, późnego wstawania, mówienia po niemiecku i samej misji, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie nic niemówiące spojrzenie. Teraz myśląc o tym wszystkim, pokręcił głową.

Kapitan William Beck stanął w drzwiach i spojrzał na równo ustawione rzędy składanych krzeseł w bibliotece. Wybrał miejsce blisko okna. Było duszno, toteż ta część pomieszczenia szybko się zapełniała. Miller zwrócił uwagę, że kiedy Beck szedł przez bibliotekę, niektórzy z zebranych usztyniali się na widok jego kapitańskich pagonów, nie wiedząc, czy nie powinni wstać. Kilku spojrzało, jak zachowują się podoficerowie. Ci całkowicie Becka zignorowali.

Ani wartownicy z posterunków na drodze dojazdowej, ani oficer wywiadu, z którym wszyscy spotkali się poprzedniego dnia, nie mieli żadnych oznaczeń stopnia. Od przyjazdu zebrani nie widzieli nikogo rozpoznawalnego jako oficera poza Beckiem. Ten jednak w oczywisty sposób również orientował się bardzo mgliście, co się właściwie dzieje w pałacu. Zaraz po Becku przybyła duża grupa i skierowała się ku pozostałym krzesłom koło okien. Po wejściu ostatniego żołnierza zjawił się łysiejący oficer wywiadu, wyszedł przez podwójne drzwi ogrodowe i zamknął je za sobą. Znalazł się w ten sposób na zewnątrz.

Beck usiadł koło Millera, który opuścił tymczasem grzędę przy oknie, przenosząc się na krzesło. Zauważywszy u niego filiżankę, kapitan pożałował, że i on nie przyniósł sobie kawy.

Spojrzał w stronę drzwi i w myślach odtworzył drogę do kuchni. Widząc jednak, że prawie wszystkie siedzenia są już zajęte, zrezygnował z tego pomysłu. Miller pochylił się ku niemu, jakby czytał w myślach.

— Ma pan jeszcze prawie pięć minut, kapitanie. Mnóstwo czasu. Zajmę panu miejsce.

Beck odwrócił się do Millera z przyjaznym uśmiechem.

— Nie, dziękuję. Przeżyję. — Dostrzegł na parapecie papierosy. Zauważył również, że niektórzy ludzie w bibliotece pałacu. — Ale wezmę jednego skręta, bo moje wczoraj zamokły — skłamał.

Miller bez wahania ściągnął paczkę z parapetu i poczęstował go. Jednocześnie podał Beckowi poczerńiałą w czasie wojny zapalniczkę.

Coś podobało się Beckowi w pewnym sobie zachowaniu Millera. Poprzedniego wieczoru kapitan przyglądał się niektórym podoficerom, siedzącym w sali bilardowej i jadalni. Miller poruszał się szybko, bez wysiłku, nie wykonując zbędnych gestów. Beck uznał, że jego wygląd budzi zaufanie. „Dobrze by było mieć takiego człowieka obok siebie w czasie walki”, pomyślał. Stwierdził, iż jest jedynym oficerem w pałacu. Jeśli miał dowodzić tymi ludźmi, to był najwyższy czas, żeby się do nich zacząć przyzwyczajać.

Dokładnie o godzinie dziewiątej podwójne drzwi otworzyły się z rozmachem. Niewidoczna postać podała komendę „Achtung!”. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Wszedł pułkownik Frank. Zbliżył się do metalowego biurka z krzesłami i stanął za nim.

— Spocznij... Siadać, można palić. — Zwracał się do nich po niemiecku. Zebrani zajęli miejsca, pułkownik wyjął tymczasem z teczki gruby skoroszyt, położył go przed sobą i usiadł. Wszystkie oczy skupiły się na nim. Atmosfera oczekiwania osiągnęła taką gęstość, że można ją było kroić nożem. Frank obszedł biurko dookoła i stanawszy w rozkroku przed nim, splótł ręce na plecach.

— Celem tego dramatycznego wejścia było sprawdzenie, jak wykonujecie rozkazy. Sądzę, iż wszyscy w pałacu słyszeli, że działamy w warunkach bojowych? — Kilka głów skinęło potakująco. — Wobec tego dlaczego, do diabła, wszyscy wstali na komendę „Bacność”? — Rozejrzał się po pomieszczeniu. Wiele twarzy zaczerwieniło się.

— W porządku — ciągnął łagodniej. — Nie było aż tak źle. Przynajmniej wiemy, że jesteście okay z niemieckim. — Wrócił za biurko i przez chwilę kartkował papiery.

— Nazywam się Christopher Frank. Jestem pułkownikiem 82 Armii Powietrzno-Desantowej Stanów Zjednoczonych. A wasza grupa składa się wyłącznie z ochotników. Czy ktoś chce się wycofać? — Przesunął wzrokiem po pomieszczeniu i skinął głową ku mężczyźnie z tyłu. Wielu siedzących przed nim odwróciło głowy. — Przedstawcie się, żołnierzu, zanim zaczniecie mówić.

— Kapral Charles Hauser, sir. Nie byliśmy...

— Po niemiecku, Hauser!

Hauser wzdrygnął się, zaskoczony krzykiem, ale natychmiast przeszedł na niemiecki.

— Przepraszam. Nie poinformowano mnie, czego dotyczy misja i ...
— Nikogo z was nie poinformowano. Przykro mi, ale tak musi być.
— Zgoda, ale czy to nie dziwne, żeby pytać o ochotników nie mówiąc, do czego są potrzebni?

— Być może, takie są jednak reguły. Albo decydujecie się w ciemno, albo zmieniamy wam przydział na miłe i bezpieczne miejsce, gdzie spędzicie czas do zakończenia misji. — Frank strzelał wzrokiem po pomieszczeniu, sprawdzając, czy są jeszcze pytania.

Beck podniósł rękę i odezwał się natychmiast, gdy Frank na niego spojrział.

— Co dokładnie ma pan na myśli, pułkowniku, mówiąc „miłe i bezpieczne miejsce”?
— Dobrze pytanie, kapitanie — Frank przerwał na chwilę, usta wykrzywiły mu się w lekkim uśmiechu. — Pana dystynkcje trochę rzucają się w oczy. Proponuję je zdjąć.

Krótką falą śmiechu przetoczyła się przez bibliotekę. Napięcie zostało rozładowane. Frank wyszedł zza biurka i stanął obok żołnierza trzymającego paczkę papierosów. Sierżant Thomas Boyle natychmiast wysunął jednego częstując go.

Frank wziął i odpalił papierosa od Boyle'a. Zaciągnął się lekko i oparłszy się o front biurka, mówił dalej.

— Słuchajcie, chłopcy. Nie ja wymyśliłem te reguły. Moim zdaniem jednak wiecie już i tak za dużo: zostaliście zebrani na ściśle strzeżonym terenie jako wykonawcy tajnej misji, miejsce roi się od wart wystawionych przez wywiad, nikt nie może się tu dostać ani stąd wyjść bez odpowiednich papierów, wszyscy mówicie po niemiecku. — Frank podniósł się z krawędzi biurka i zbliżył do jednego z okien. Miał rozkaz ujawniać tylko absolutnie niezbędne informacje i dlatego powstrzymał się od powiedzenia im, że są jedną z pięciu grup o różnych celach, zgromadzonych na tym terenie. — Nawet jeśli tylko tyle informacji trafi w niepowołane ręce, to wszyscy miłośnicy Niemców we Francji będą próbowali dojść, co się tu dzieje. A nie trzeba Maty Hari, żeby zrozumieć, iż planujemy akcję na tyłach wroga, może się myłę? — Pytanie było retoryczne. Frank znów rozejrzał się po pomieszczeniu. — Czy ktoś ma kłopoty ze zrozumieniem mojego niemieckiego? — Wszystkie głowy wykonały przeczący gest. „Dobrze”, pomyślał.

— Teraz odpowiedź na pytanie kapitana. Jeśli ktoś chce się wycofać, właśnie jest czas, żeby to powiedzieć. Kto rezygnuje, zostanie w trybie natychmiastowym przeniesiony z tego teatru działań wojennych, najlepiej w rejon Pacyfiku. Prawdopodobnie spędzi resztę wojny wyłączony z działań. Nie chodzi o ukaranie, po prostu chcemy zagwarantować bezpieczeństwo misji. Taki ktoś będzie miał spokój z Niemcami, Japończykami i jakimikolwiek cywilami. To najlepsza oferta, jaką dysponujemy — urwał i wrócił do biurka, dając im chwilę na przemyślenie. Minęło nie więcej niż pół minuty, gdy odezwał się ponownie.

— Wszyscy zostają?... Świetnie. Po przejrzaniu waszych dokumentów nie przewidywałem żadnej rezygnacji. Teraz pomówimy o czymś poważniejszym. Większość z was urodziła się w Stanach Zjednoczonych i pochodzi z mieszanych amerykańsko-niemieckich małżeństw.

Nieliczni urodzili się w Niemczech.

Kilku mężczyzn poruszyło się na siedzeniach i rozejrzało wokół. — Ważne jest, że znacie język. Może się to okazać decydujące dla powodzenia misji, ale nie tylko dla tej przyczyny jesteście tu właśnie wy. Jeśli nie mieliście wczoraj i dziś rano dość czasu, żeby poznać się wzajemnie, to i tak wkrótce zorientujecie się, że poza znajomością niemieckiego każdy z was dysponuje jeszcze co najmniej jedną szczególną umiejętnością. W przypadku części z was chodzi o specjalność wyniesioną z życia w cywilu, inni stali się ekspertami w pewnych dziedzinach już podczas służby. Niektórzy być może traktują te swoje zdolności jako zupełnie naturalne i zdziwią się, dowiadując, że właśnie to jest potrzebne. Waszyngton dokładnie przekopał informacje o waszym życiu w cywilu i w służbie, ale nie zamierzam się teraz na ten temat rozwodzić. Za chwilę wejdą tu jeszcze dwaj oficerowie — ciągnął Frank, wskazując krzesła obok własnego. — Podzielimy was na trzy grupy i przeprowadzimy z wszystkimi rozmowy indywidualne w ustronnych miejscach, tu i w powozowni. Cała ta procedura wynika częściowo z wymagań wywiadu. Szczerze mówiąc, chcemy się zorientować, czy ktoś nie przeoczył u siebie przyzwyczajenia, fobii albo czegośkolwiek innego, co mogłoby osłabić grupę jako całość. Czy są pytania? Nie było.

— Wygląda na to, że jesteście gotowi i możemy zaczynać. — Jakby na hasło drzwi otworzyły się i weszli pułkownik z Naczelnego Dowództwa oraz oficer wywiadu palący fajkę.

Kilku ludzi próbowało stanąć na baczność. Frank usadził ich krótkim gestem. Wlepił wzrok w Boyle'a, wybranego jako przykład.

— Będziecie musieli szybko pozbyć się tego przyzwyczajenia, żołnierzu.

Dwaj przybysze usiedli blisko ściany na wygodnych krzesłach za biurkiem. Nie przedstawili się, czas na to miał przyjść później. Frank nawet się nie odwrócił, żeby skwitować ich wejście. Spuścił wzrok i na chwilę pogрузił się w myślach. Zasada absolutnej konieczności miała rządzić od tej chwili wszystkim, co mówi ktokolwiek z ich trójki. Uniósł głowę i zlustrował pomieszczenie, starając się po drodze nawiązać kontakt wzrokowy ze wszystkimi obecnymi. Zastanawiał się, ilu z nich przeżyje. Na moment owładnęły nim wątpliwości co do etycznej strony wysyłania ludzi za linię wroga w celu odzyskania złota, które nawet nie należy do Stanów Zjednoczonych. Przecież wojna zbliża się do końca. Frank był jednak oficerem i otrzymał rozkazy. Zakończył przegląd pomieszczenia, wyprostował się i zwrócił się do zebranych.

— A teraz o samej misji.

* * *

W dwa dni później, w pobliżu odległego o kilkaset kilometrów od Granville Chapelle-burga, sturmbannfuhrer SS, Konrad Pelch, przeżywał ciężkie chwile.

Najpierw ordynans obudził go, informując, że na dolnym poziomie w jaskiniach znaleziono ukrywających się trzech Cyganów. Potem tuż przy wejściu zepsuła się ciężarówka. Trzeba było przerwać wszystko do czasu, aż zostanie naprawiona albo usunięta z drogi.

Na dodatek przez cały poranek alianci wykazywali dużą aktywność w powietrzu i raz po raz samoloty wywiadowcze nadlatywały zdecydowanie zbyt blisko, żeby można było nie narzekać na samopoczucie.

A teraz jeszcze zjawił się oberstgruppenfuehrer. Niezapowiedziana wizyta generała była ostatnią rzeczą potrzebną Pelchowi.

Po zgromadzeniu ludzi uznanych za komplet mieszkańców Chapelleburga i doraźnej egzekucji, Pelch założył stanowisko dowodzenia w najobszerniejszym budynku we wsi. Surowe wyposażenie domu znacznie jednak odbiegało od wyobrażeń sturmbannfuehrera o cywilizacji. W tej chwili we wnętrzu znajdowały się najlepsze sprzęty i przedmioty, jakie udało się znaleźć w okolicznych chatach.

Solidny budynek z pruskiego muru bardzo przypominał pozostałe domy we wsi, był jednak większy. Pelch zajął najobszerniejszą sypialnię i kazał zainstalować prywatny ustęp. Próby stworzenia sobie lepszych warunków życia kończyły się jednak niepowodzeniem. Dom wciąż robił ciemne i przygnębiające wrażenie. Pokój na parterze służył teraz jako biuro. Metalowe kartoteki, dwa biurka, system łączności i inne elementy wyposażenia zupełnie nie przystawały do pary obskurnie spłowiałych, wypchanych słomą foteli i niskiego stołu z desek.

* * *

— Ile czasu zajmie wam zrobienie porządku z tą ciężarówką?

— Zaraz powinno być zrobione, panie generale — odparł Pelch z nadzieją. — Myślę, że jeszcze około kwadransa. Potem możemy wejść do jaskiń.

Generał spojrzął na zegarek.

— A ile czasu minie od tego momentu do chwili, gdy będę mógł zobaczyć nowe miejsce, które proponujecie?

Pelch odpowiedział bez wahania.

— Główna komnata w jaskiniach znajduje się tuż przy wejściu...

— Wiem, sam ją wybrałem! — w głosie generała zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie.

— Kiedy zaczęliśmy tutaj wszystko gromadzić, musieliśmy poszerzyć ją dostatecznie, by mogły się zmieścić pojazdy. Wewnątrz można jechać przez całą drogę do obecnego miejsca składowania. Zajmuje to sześć, może osiem minut, przy czym jedzie się wolno. Ale przeprowadzka wyłącznie na pojazdach nie będzie możliwa. Dalej jest za wąsko, nawet człowiek ma tu i ówdzie kłopoty z przecisnięciem się. To może być niebezpieczne.

— W jaki sposób niebezpieczne? Chcę zapytać, czy można zlecieć w szczelinę lub coś w tym rodzaju? — warknął generał.

— Raczej nie. Inżynierowie wykonali swoją pracę bardzo fachowo. Ale oczywiście trzeba zachować ostrożność.

— A jak daleko jest stamtąd do nowego miejsca?

— No cóż, zainstalowaliśmy kilka transporterów, więc będzie można skarb przewozić. Jeżeli pan generał akceptuje...

— Do diabła, Pelch, ile czasu potrzeba?

— Pieszko około piętnastu minut. Na początkowym odcinku droga jest bardzo stroma i wąska. Właśnie tam transportery przydadzą się najbardziej. Przy rozwidleniu, z którego prowadzą także korytarze do innych komnat, szlak się poszerza. Przy mojej asyście pan generał nie będzie miał kłopotów, ale ktoś nieorientowany łatwo może tam zabłądzić.

Generał w zamyśleniu potarł brodę.

— Pojazd się nie zmieści... i jest dostatecznie wąsko, żeby zniechęcić ciekawskich natrętów. — Z zaskoczeniem poczuł pod palcami małą kępkę zarostu, którą ominął podczas porannego golenia. — Musimy tak zrobić, żeby zniechęcało jeszcze bardziej, prawda Pelch? Kiedy skarb zostanie przeniesiony, należy rozpocząć prace nad maskowaniem komnaty. Chcę, żeby była niewidoczna. Zróbcie sztuczne ściany lub coś podobnego. Zgromadźcie też odpowiednie uzbrojenie, na wypadek gdybyście mieli kiedyś bronić tego miejsca przed intruzami i zostali zmuszeni do wycofania się daleko w głąb. Potem macie doprowadzić drogę na zewnątrz do stanu możliwie zbliżonego do natury, a wylot trwale zasłonić. — Zamyślił się na chwilę, jakby sprawdzał już gotowe plany. — Za zawalonym wylotem wejście ma być maksymalnie wąskie, dokładnie dopasowane do wielkości człowieka. Oczywiście zlikwidujecie wszelkie ślady, wskazujące na to, że kiedykolwiek były w jaskiniach pojazdy. Te środki ostrożności zabezpieczą jaskinie przed wykryciem. Gdyby jednak mimo wszystko zostały odnalezione, to musimy mieć pewność, że do środka nie dostanie się żaden pojazd.

Urwał i pozwolił, by po jego kanciastej twarzy prześlizgnął się uśmiech:

— A zwięźenie stromej drogi, o której mówiliście, i zamaskowanie składu stanowią po prostu dodatkowe zabezpieczenia. — Przygotowania zadowolili oberstgruppenfuhrer w zupełności.

— Jeśli pan pozwoli, generale, te środki ostrożności są chyba posunięte o wiele dalej niż pierwotnie...

— Bo i wydarzenia posunęły się o wiele dalej niż pierwotnie oczekiwaliśmy!

— Tak, panie generale?

Generał wbił wzrok w Pelcha i trwał tak przez kilka długich sekund. W końcu złagodził spojrzenie i wyjaśnił przyczyny dodatkowych zabezpieczeń.

— Nie ma powodu, żeby wdawać się w szczegóły. Z pewnością nie musicie wiedzieć, w jaki sposób się dowiedziałem, ale mimo to wam powiem. Mamy ludzi w Granville, dokładnie tam, gdzie znajduje się Naczelne Dowództwo wojsk Eisenhowera. Z jednym z nich nawiązał kontakt agent Abwehry w armii amerykańskiej.

— To fantastyczne, panie generale! Czyżbyśmy mieli tak wysoko ulokowanych agentów?

— Nie tak wysoko. W szpiegowskiej gwarze takiego człowieka nazywa się kretem. Mieszkał przez pewien czas w Stanach Zjednoczonych i ma obywatelstwo. Ponieważ mówi płynnie po niemiecku, został wybrany, proszę sobie wyobrazić, że całkiem przypadkiem, do grupy specjalnej, która ma przeniknąć przez nasze linie i szukać właśnie tego skarbu, którego pilnujecie tutaj w jaskiniach.

Pelch nie ukrywał zdziwienia.

— Ależ panie generale, skąd oni mieliby wiedzieć o jego istnieniu? Skąd wiedzieliby, że jest tutaj?

— Tego, że jest tutaj, nie wiedzą. Najwyraźniej wyznaczyli sobie jako cel pięć regionów, w które mają zamiar przeniknąć. Akwizgran — Chappelleburg stanowi jeden z nich, a naszymu przyjacielowi z Abwehry trafiła się właśnie ta grupa.

— Pan generał mówi, że został wybrany przypadkiem. To niewiarygodne.

— Możliwe, ale nie takie znowu nieoczekiwane. Bywało, że płynna znajomość niemieckiego otwierała przed naszymi ludźmi jakieś drzwi, zanim się jeszcze o tym dowiedziałem.

— Jak skontaktował się z informatorem w Granville?

— Takie szczegóły nie mają znaczenia. Nie pytałem o to. Agent z Granville jest bez wątpienia bardzo pracowity, ma fotograficzną pamięć i szerokie kontakty. Kurier, którym się posłużył, już wcześniej składał mi meldunki, i tym razem też po prostu starannie wypełnił swój obowiązek, dostarczając rutynowy raport. Upewniłem się, że nigdzie dalej meldunek nie poszedł.

— Dlaczego, panie generale? Przecież z pewnością powinniśmy podjąć wszelkie możliwe kroki w celu zapobieżenia...

— Zapobieżenia czemu? Odkryciu jaskiń przez Amerykanów? Czy załatwieniu nas przez zdrajców z Wehrmachtu, którzy chcieliby użyć skarbu do kupienia sobie wolności w Szwajcarii? Zapomnieliście, ilu z nich było zamieszanych w zamach na fuehrera? — przerwał na chwilę. — Nie, Pelch. To jest operacja SS. Pan i pańscy ludzie będziecie własnymi siłami chronić skarb tu, na miejscu. Nie ma czasu, żeby go znowu prznosić. Kiedy będzie już bezpieczny na niższych poziomach, a wejście zostanie zabarykadowane, wtedy podzielicie wasze oddziały. Część zostanie tutaj, a część przechwyci Amerykanów, zanim tu dotrą.

— A jeżeli alianci przejdą do zdecydowanego ataku, to w jaki sposób rozpoznamy właściwą jednostkę?

Generał wyjął z kieszeni złożony kawałek papieru. Był to starannie wykonany rysunek.

— Pomniejszyłem o parę sztuk pewną dość ciekawą kolekcję monet, skonfiskowaną w Paryżu. Mają mi tu zresztą przysłać resztę. Tego cienkiego miedziaka — wskazał na kartkę — nie mogłem znaleźć w żadnym z lepszych katalogów. Bez wątpienia należy do okazów małej wartości. Kurier doręczył go agentowi Abwehry w armii amerykańskiej wraz z instrukcjami, by robił wszystko, co niezbędne, do powstrzymania misji. Gdyby mu się nie udało, posłuży się monetą jako identyfikatorem, aby ostrzec was, że Amerykanie się zbliżają.

— W jaki sposób? Czy zjawi się tu osobiście?

— Dobry Boże, Pelch, skąd mam wiedzieć? Cieszcie się, że możecie zostać ostrzeżeni, w razie gdyby misja zaszła aż tak daleko.

Generał z powrotem usiadł i nie powiedział już nic. Rozmowa o „Amerykaninie” była wyraźnie zakończona.

Pelch nalał sobie filiżankę kawy zbożowej, upewniwszy się przedtem, że generał z widocznym niesmakiem robi przeczący gest.

— Widzicie, majorze, fuehrer przywiązywał dużą wagę do prawdziwej kawy, przysyłał jej w podarunku wraz z kartami świątecznymi na Boże Narodzenie, ale w zeszłym roku

przesyłek nie było. — Generał, źle znoszący gorąco mimo zdjętego munduru, otarł skroń rękawem koszuli i refleksyjnie skłonił głowę. — Ostatnio nie dzieje się dobrze — ciągnął. — Od czasu lądowania w Normandii alianci zrobili poważne postępy. Rzym padł dzień wcześniej i dla Włoch prawdopodobnie nie ma ratunku. Wiadomości z Rosji też są złe. Wygląda na to, że wydostaliśmy was stamtąd w odpowiedniej chwili — urwał i rzucił krótkie spojrzenie na Pelcha, chcąc się upewnić, że dobrze trafił. — A potem ten spiszek przeciwko Hitlerowi...

— Ale fuehrer ma się z dnia na dzień lepiej, czyż nie? — wtrącił Pelch lekko wystrasżonym tonem.

— Owszem... coraz lepiej, będzie żył. Ale po co? Mówi się, że niektórzy w jego otoczeniu chcą wystąpić do aliantów o zawarcie pokoju, a nawet już nawiązują kontakty przez Szwajcarię. Jak szczury, opuszczają tonący okręt — uciał i wyprostował się. — Ale okręt nie tonie i my go nie opuścimy. W żadnym wypadku nie SS! — W jego głosie odezwała się dzikość granicząca z szaleństwem. — Będziemy spadkobiercami Tysiącletniej Rzeszy. Zmiażdżymy ich wszystkich! — ślina wezbrała mu w kącikach ust. Generał poderwał się z krzesła i szybkimi krokami zaczął przechadzać się przed stołem. Pelch spoglądał na niego z nabożną czcią.

— Zdepczemy ich jak robactwo, wszystkich niegodnych, wszystkich podludzi. My, rasa panów — spojrzal na Pelcha, który entuzjastycznie przytaknął — żyjemy, by rządzić. Nasze germańskie dziedzictwo weźmie górę. Jesteśmy przyczyną, nakazem, formą życia, której oczekiwano przez stulecia. Bogowie wybrali nas na łono, z którego zrodzi się nowy, czysty rodzaj ludzki. Czas, który ja, wy, my wszyscy spędzamy siejąc, jest chwilą w porównaniu z pracą pozostającą dla przyszłych pokoleń. Będzie na nich ciężki obowiązek pieczy nad tym, by nigdy nie zawrócono z drogi, na którą wstąpiliśmy.

Ciągnął tak przez kilka minut. Pelch chłonał każde słowo niczym uczeń, z wiarą i niechęcią do kwestionowania czegokolwiek, słuchający opowieści kolegi o pierwszych doświadczeniach seksualnych. Wszystko, co mówił generał, było dla Pelcha święte.

Nagle generał przerwał i znów zbliżył się do krzesła. Opadł na nie, jakby uszło z niego powietrze. Powoli przetarł zamknięte oczy. Ciało rozluźniło się całkowicie, generał sprawiał wrażenie wyczerpanego.

Przez większą część tyrady Pelch siedział nieruchomo. Teraz bez pośpiechu, spokojnym ruchem odstawił filiżankę na stół i podniósł się z krzesła. Mierzonymi, celebrowanymi krokami odszedł od miejsca, w którym siedzieli, i wysunął się przez frontowe drzwi na zewnątrz. Słońce zbliżało się do zenitu, toteż bez spoglądania na zegarek sturmbannfuehrer uznał, że jest około dziesiątej.

W oddali widział ludzi pracujących przy wejściu do jaskiń. Wyglądało na to, że ciężarówkę wciągnięto już do połowy.

Obawy związane z wizytą generała okazały się bezpodstawne. Zawsze tak było. A jednak, znajdując się koło niego, Pelch nie mógł pozbyć się drżenia. Miał to od samego początku, jeszcze jako rekrut dziesięć lat wcześniej. Generał był wtedy hauptsturmfuehrerem, kapitanem.

Nikt jednak, nawet Himmler ani Heydrich, nie był w stanie bardziej poruszyć Pelcha, odebrać mu więcej pewności siebie niż właśnie ten człowiek. Dlatego generał przyciągał go. Przez lata, ich kariery spłotyły się kilkakrotnie. Pelch wiedział, że awanse zawdzięcza w dużym stopniu oberstgruppenfuehrerowi. Był zresztą dobrym oficerem i miał tego świadomość. Wszystkie rozkazy wypełniał bez zastrzeżeń i z wielką obowiązkowością.

W Rosji einstatsgruppen pod jego dowództwem wslawiły się skrupulatnością i bezwzględnością. Ich zadanie polegało na postępowaniu tuż za zdobywanymi terenami oddziałami Wehrmachtu i likwidowaniu Żydów oraz komunistów w kolejnych wsiach i miasteczkach. Wypełniając rozkazy, Pelch zrobił jeden krok dalej i objął nimi wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie przepuścił nikomu, kto znalazł się na jego drodze.

A potem to. Odwołano go ze wschodniego frontu i dano przydział specjalny, niepodobny do żadnego innego. Obowiązkiem Pelcha stało się strzeżenie prawdziwej fortuny, która miała zapewnić kontynuację Rzeszy i jej celów, bez względu na rozwój wypadków w tej wojnie. Generał osobiście polecił go Martinowi Bormannowi, który ze swojej strony zwrócił na to uwagę fuehrera. Pelch rzeczywiście czuł więc lęk przed generałem. Prawdopodobnie był to jedyny człowiek, którego sturmbannfuehrer się obawiał, jedyny człowiek, który w jego odczuciu mógł się wykazać większą bezwzględnością niż on sam. Po zamachu na Heydricha w Czechosłowacji wielu członków SS oczekiwało, że generał zostanie zastępcą Himmlera. Zamiast tego skierowano go jednak do Paryża. Być może Himmler za bardzo się go bał.

— Wygląda tak, jakby zaraz mieli ciężarówkę wyciągnąć. Chodźmy, majorze, i spójrzmy na te głębiej położone komnaty, które chcecie wykorzystać. — Pelch z zadziwieniem zobaczył, że generał stoi obok niego. Wcale nie słyszał, jak podchodzi.

— Oczywiście, panie generale. Natychmiast. — Pelch wykonał półobrót i dał znak kierowcy generała, który zaparkował horscha pod drzewem, w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Kierowca zapalił silnik i powoli ruszył, pokonując wystające z ziemi korzenie drzew, a potem skręcił na błotnistą drogę przez wieś. Tymczasem Pelch dostrzegł człowieka biegnącego w ich stronę od jaskiń.

Obaj oficerowie zajęli już miejsca na tylnym siedzeniu, kiedy dopadł ich żołnierz.

— Proszę wybaczyć, panie generale — powiedział z trudem, salutując starszemu stopniem. Potem, zwracając się do Pelcha, przerwał, żeby złapać oddech. W chwilę później z ustami wykrzywionymi strachem wyrzucił z siebie:

— Panie majorze, jeden z ludzi w jaskiniach został zamordowany!

Rozdział 4

Pelch wy dostał się z samochodu, zanim jeszcze horsch z piskiem opon zatrzymał się w chmurze pyłu o kilka metrów od wylotu jaskiń. Nie czekając na generała, przepchnął się przez tłumek zgromadzony przy wejściu i podążył do głównej komnaty. Generał postępował kilka kroków za nim.

— Co się stało? Kogo zamordowano? Gdzie jest ciało? — wystrzelił serię pytań do pierwszej grupy żołnierzy spotkanej wewnątrz.

— Jeszcze na dole, panie majorze. Ciało znalazł untersturmfuehrer Kleist. To Rau... Ma rozszarpane gardło i klatkę piersiową. Kleist z kilkoma ludźmi wciąż jest tam, niżej.

Nerwowej odpowiedzi udzielił szeregowiec o nazwisku Sobel, który służył z Pelchem w Rosji. Ten człowiek niełatwo ulega emocjom. Pelch przywołał w myśli obraz Raua, nowego żołnierza, który przyszedł do jednostki już po rozpoczęciu przenoszenia skarbu do jaskiń.

Pelch stanął twarzą w twarz z Soblem.

— Gdzie dokładnie jest porucznik Kleist i jego ludzie?

— W okolicach nowego miejsca, bardzo głęboko. Szukają... mordercy — ostatnie słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

Większość żołnierzy zgromadzonych przedtem przed wylotem jaskiń otaczała teraz Pelcha.

— Wszyscy uzbrojeni za mną — zakomenderował Pelch i ruszył w kierunku głębszej części jaskiń. Grupa rozpadła się na dwa tuziny żołnierzy. Zaledwie trzech musieli wybiec z powrotem po broń.

Idąc szybkim krokiem, Pelch odwrócił się i pokazał Soblowi, żeby do niego dołączył.

— Powiedzcie mi, jak to się wszystko stało. Czy byliście z Kleistem? — Prowadził ludzi w głąb głównej komnaty, ku wejściom do kilku korytarzy.

— Nie, panie majorze. Rozdzieliliśmy się po usłyszeniu... dźwięków na dole. Na tamtą głębokość poszło tylko sześciu ludzi.

— Jakiego rodzaju dźwięki usłyszeliście?

— Ruch, przesuwanie, coś... chciałem powiedzieć, że *ktoś* tam był. My wszyscy trzymaliśmy się razem.

Pelch poczuł lęk pęczniący w gardle. Od kiedy tu przyjechali, część ludzi miała złe przeczucia w związku z jaskiniami. Niektórzy nazywali je przeklętym miejscem. „Cholerne przesady”, pomyślał.

— Mówcie dalej. Co się stało potem?

— Kleist badał sklepienie, żeby zdecydować, czy wytrzyma blok transportera. Było spokojnie. Reszta stała po prostu dookoła, czekając na rozkazy. Dźwięki rozległy się jakieś pięćdziesiąt metrów stamtąd, po lewej stronie i niżej. Nie było tam na pewno żadnego z naszych ludzi — zawahał się przez chwilę — ale po znalezieniu trójki Cyganów tego rana...

— To się przecież zdarzyło o wiele bliżej powierzchni, prawda? — spytał Pelch.

Szli przez obszerne, płaskie dno głównej komnaty i głosowi towarzyszyło echo.

— Tak, panie majorze, o wiele bliżej. Znaleźliśmy ich ze dwa razy bliżej wylotu.

Pelch przeklinał w myślach, że nie kazał dokładniej przesłuchać tej trójki przed egzekucją.

— Majorze — przerwał mu generał. Pelch stanął. Nie zauważył, że oberstgruppenfuehrer wciąż jest razem z nimi. — Mówiliście, że ci Cyganie, to była kobieta z dwojgiem dzieci. Rozumiem, że przed egzekucją szczegółowo ich przesłuchano?

— Oczywiście, panie generale. Poddano ich drobiazgowemu badaniu. Nie widzę, jak mogliby zataić obecność innych Cyganów w jaskiniach. Osiągnęliśmy co do tego całkowitą pewność.

— Nie wątpię, że tak właśnie było. W każdym razie...

— W każdym razie, panie generale, ktokolwiek to był, musiał się tam znaleźć bez wiedzy innych. Jaskinie są pełne przejść i korytarzy. Dopóki nie wyczerpią się woda i żywność, można tu pozostawać niezauważonym. To jedyne możliwe wyjaśnienie.

— Co oznacza, że wasze bezpieczeństwo może być zagrożone w znacznie większym stopniu, niż uważacie. Niewykluczone, że w niższych partiach ukrywają się jeszcze inni ludzie, prawda? — Była to bardziej refleksja niż krytyka.

— Niewykluczone, ale dość niewiarygodne. Jestem pewien, że trójka, którą znaleźliśmy rano, stanowiła izolowany przypadek. Raua zabił prawdopodobnie samotnik, który dostał się tu na własną rękę. — Pelcha ogarnął niepokój o dalszą drogę. — Czy można zasugerować, żeby pan generał pozostał tutaj albo nawet na zewnątrz? Nie powinniśmy ryzykować bez potrzeby.

Generał zastanowił się przez kilka sekund. Odpowiedział, wyciągając jednocześnie pistolet maszynowy.

— Nie. Nie mam czasu do stracenia. Wieczorem wracam do Paryża — skłamał. — Przed wyjazdem chcę zobaczyć nowe miejsce. Idziemy, mamy przecież broń — ruszył z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Pelch wahał się tylko chwilę, potem obrócił się i poszedł dalej.

Generał pomyślał, że droga w dół rzeczywiście jest trudna, zgodnie z opisem Pelcha. Bez prowizorycznego oświetlenia i założonego olinowania idącym groziłoby poważne niebezpieczeństwo. Lamy umieszczono mniej więcej co siedem metrów. Każda miała niezależny obwód, aby podczas marszu można było wyłączać oświetlenie na już pokonanym odcinku i włączyć na następnym.

Wkrótce generał stwierdził, że opuszczają się w dół po niemal pionowej ścianie. Miał wrażenie, jakby schodzili do wielkiego kanionu. Panujący tu niezmiennie chłód przynosił ulgę po wilgotnym gorącu na powierzchni. Niekiedy droga rozszerzała się lub skręcała do komnat i całkiem okazałych rozmiarów. W takich miejscach odchodziły korytarze i drogi do innych części jaskiń. Po pewnym czasie wciąż opadający szlak zrobił się o wiele szerszy. Generał był zaskoczony wielkością jaskiń. Podczas pierwszej wizyty dowiedział się, że są obszerne, bardzo obszerne, ale nawet nie podejrzewał takich rozmiarów, jakie rysowały się przed nim teraz. Pomyślał, że można byłoby tu schować dywizję.

Weszli do komnaty i Pelch zatrzymał grupę podniesieniem ręki. Starannie ustawił kompas i przyjrzał się najbliższej ścianie. Oświetlił ją pochodnią, szukając znaków, które jego

ludzie zostawili wcześniej.

— Jesteśmy teraz ponad kilometr pod powierzchnią, panie generale, w pół drogi do miejsca — w jego głosie pobrzmiwało zadowolenie.

Nagle z korytarza po prawej stronie dobiegł ich rytmiczny, przeciągły dźwięk. Początkowo był stłumiony, ale sekunda po sekundzie stawał się coraz głośniejszy.

Pelch obrócił się i stanął twarzą do swoich ludzi. Szybkimi ruchami ręki kazał im rozproszyć się i zająć pozycje do obrony, potem zgasił latarkę. Wraz z generałem znajdowali się na najbardziej wysuniętym stanowisku, musieli więc jako pierwsi wejść w kontakt z nieprzyjacielem, kimkolwiek był.

Dźwięk przesunął się bliżej. Rozlegał się teraz tuż obok. Zaraz ich obejmie, zaraz zobaczą. Kropelki potu wystąpiły Pelchowi na skroń, a palce, mocno obejmujące lugera, zrobiły się lepkie. Próbował uzmysłowić sobie, co przypomina mu ten rytmiczny, przeciągły odgłos. Kojarzył mu się z zapamiętanym z dzieciństwa wielkim człowiekiem, który ciągnął za sobą chromą nogę.

Myśli generała zaczęła opanowywać koszmarna wizja. Powrócił do niego obraz porannego spotkania w Rzymie ponad rok temu i księdza opowiadającego historię o Cyganach i nieczystej sile, powstającej z głębin w tych właśnie jaskiniach. Poczul dreszcz na plecach, uda i przedramiona pokryła mu gęsia skórka. Na próżno próbował się otrząsnąć. Takie opowieści służą do straszenia dzieci. Odczucie jednak pozostało.

Teraz dźwięk rozlegał się tuż przy wylocie korytarza. Jeszcze krok, może dwa i staną twarzą w twarz z nim, kimkolwiek jest.

* * *

Miller wyciągnął ręce na kierownicy jeepa i patrzył, jak dakota leniwie przechyla się w szerokim skręcie przed podejściem do lądowania na trawiastym pasie o kilka kilometrów od pałacu.

Słońce było prawie w zenicie. Jaskrawe promienie na wskroś wysuszyły trawę, zmierzwioną i miękką jeszcze dzień wcześniej.

— Ostrożny skurczybyk. Nie sądzi pan, kapitanie?

— Typowy pilot wojskowy. Lubi startować, nienawidzi lądować — odparł Beck z tylnego siedzenia.

Obaj obrócili się, słysząc nadjeżdżający pojazd. Dodge sedan z wojskowymi oznaczeniami parkował właśnie równo z nimi na przedpolu hangaru.

— To pułkownik Frank — stwierdził Miller. — Czas na mnie, wracam. — Zsunął dłonie z kierownicy i sięgnął do zapłonu.

Ustalono wcześniej, że jeśli okaże się to konieczne, Beck będzie oczekiwał brytyjskiego oficera na lotnisku, powita go i zawiezie jeepem do pałacu. Frank miał dołączyć, gdyby akurat bał w stanie. W takim przypadku Beck i nowo przybyły mieli wrócić samochodem Franka.

Samolot C-47 opadał szybko na trawę, która przed wojną była miejscem niezliczonych meczów piłki nożnej. Tymczasem Beck wyśliznął się z jeepa i doszedł do tylnych drzwiczek

zatrzymującego się sedana. Silnik Millera zapalił w tej samej chwili, gdy samolot dotknął ziemi, potem wzniósł się na moment i w końcu zetknął się z trawą na dobre. Miller ostro skrzył kierownicę i kiedy Frank wysiadł z samochodu, był już w drodze.

— Miło pana widzieć, pułkowniku. Nie jestem najlepszy jako jednoosobowy komitet powitalny — pozdrowił go Beck z uśmiechem.

— Nie ma problemu. Zamierzałem tu przyjechać, tylko nie wiedziałem, czy zdążę.

Obrócili się, żeby spojrzeć na dakotę, która zwołniła jakieś dwieście metrów od nich i zaczęła zakręcać.

— Do wozu — rozkazał Frank. — Zamiast czekać, zabierzemy go stamtąd. — Kiedy Beck znalazł się w samochodzie, Frank klepnął kierowcę po ramieniu i jednym słowem zakomenderował: — Naprzód!

Beck przesunął się na filcowym siedzeniu, chcąc przyjąć wygodniejszą pozycję, a sedan skoczył do przodu z raptownym przyspieszeniem.

— Kto prowadzi? Barney Oldfield?

— Prawie. Jeden z naszych specjalistów, sierżant Michael Shindler. Przed wojną miał niezłe wyniki jako kierowca wyścigowy.

Beck rzucił spojrzenie na profil mężczyzny i natychmiast go rozpoznał.

— Zajmie mi jeszcze trochę czasu, zanim nauczę się łączyć twarze z nazwiskami — usprawiedliwił się.

— Przyjdzie czas i na to.

„Taki szalenciec jako kierowca pasuje do Franka”, pomyślał Beck. Wszystko, czego dowiedział się dotychczas, wskazywało, że pułkownik uwielbia niebezpieczeństwa. Beck był szczęśliwy, że Frank nie weźmie udziału w misji. Konieczność obcowania z nim podczas ćwiczeń specjalnych całkowicie kapitanowi wystarczyła.

Decyzja o podjechaniu pod samolot bez czekania na kołowanie okazała się zbieżna z intencjami pilota. Ten równał już maszynę do startu, kiedy drzwiczki w kadłubie otworzyły się i porucznik marynarki Preston A.G. Smythe zeskoczył na ziemię. W ślad za nim niewidoczne ręce bezceremonialnie wyrzuciły na trawę worek z rzeczami. Shindler zatrzymał samochód wystarczająco daleko od samolotu, by uniknąć powietrznego wiru. Beck z Frankiem wysiedli i kapitan ze zdziwieniem zobaczył, że ich gość nosi mundur Marynarki Królewskiej.

Smythe pomachał ręką, podniósł worek i sprintem zbliżył się do nich. Na lotnisko podjechały dwa inne sedany. Dowiozły kilku oficerów, którzy błyskawicznie weszli na pokład samolotu

— Halo, nazywam się Preston Smythe. — Powitanie zabrzmiało, jakby spotkali się na przyjęciu i zupełnie nie interesowało ich, co się dzieje na świecie.

— Pan jest pułkownikiem Frankiem, jak sądzę — ciągnął Smythe, domyśliwszy się z insygniów. Przy okazji stwierdził, że mundur Becka jest pozbawiony jakichkolwiek oznaczeń.

— Witamy we Francji. To jest kapitan William Beck. — Ryk dakoty, która właśnie ruszyła, uniemożliwił dalszą rozmowę. Frank ułokował Smythe'a z tyłu, a Becka na przednim siedzeniu koło kierowcy. Ruszając, Shindler gwałtownie dodał gazu i wykonał efektowny

poślizg na trawie. Beck jęknął.

— Jedziemy — zawołał Smythe z niemal dziecięcą radością.

Frank uśmiechnął się. Może nie będzie aż tak źle, jak przewidywał.

— Nie miałem czasu poinformować kapitana Becka o przyczynie pańskiego pobytu tutaj ani o określonych zainteresowaniach waszego rządu. Może zechciałby pan krótko go wprowadzić. O pańskiej roli w tej misji pomówimy oczywiście po przyjeździe do pałacu.

Beck nieco odchylił się do tyłu. Próbował ukryć zaskoczenie słowami Franka, z których wynikało, że do uczestnictwa w misji będzie dopuszczony oficer brytyjski.

— Czy mogę mówić swobodnie, oczywiście nie o szczegółach? — zapytał Smythe ze wzrokiem utkwionym w tył głowy Shindlera.

— Sierżant Shindler bierze udział w misji. Wraz z pozostałymi uczestnikami został poinformowany o jej celu, ale nie o miejscu i dacie rozpoczęcia.

— W porządku. — Smythe wygrzebał z kieszeni spodni bardzo pogniecioną paczkę papierosów i, nagle zaniepokojony, spytał: — Czy mogę zapalić?

— Niech pan pali — odparł Frank.

— Może i dla was po dymku? — Frank i Beck odrzucili ofertę. Wywołało to szeroki uśmiech Shindlera.

Smythe pochylił się, chcąc zapalić papierosa. Osłonił dłońmi zapalną przed podmuchem spadającym przez otwarte okna samochodu i potarł ją o draszkę. Zaczął mówić.

— Tak naprawdę, to jestem z bankowości. A właściwie powinienem powiedzieć, że byłem z bankowości, bo tymczasowo oddałem się bez zastrzeżeń do dyspozycji Marynarki Królewskiej. — Potarł drugą zapalną. — Zajmuję jednak stanowisko w administracji, nie ma w tym nic z chwały, którą zdobywają ci wspaniali chłopcy pływający po otwartych morzach. Wasi ludzie z wywiadu upierają się, że Niemcy przechwycili część naszego złota. Stanowczo się z tym nie zgadzamy. Sprawdziłem w archiwum wszystkie rozliczenia i mogę stwierdzić, że nie brakuje ani uncji. Byłem obecny przy odprawie większości wysłanych transporterów przed otrzymaniem informacji, która zaalarmowała waszych ludzi. Wszystkie transporty dotarły do Ameryki Północnej zgodnie z planem. Przysłano mnie tu, żebym przekonał was o tym i zniechęcił. Nie ma nic do odzyskania, a jeśli już, to na pewno nie brytyjskie złoto. — Wymiętoszony papieros Smythe'a wreszcie się zapalił. Porucznik szybko się wyprostował i zwrócił do Franka: — Ale z drugiej strony chodzi prawdopodobnie o dobra zrabowane w okupowanych krajach. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że są wśród nich papiery wartościowe lub przedmioty stanowiące własność obywateli brytyjskich. Mamy kłopoty ze śledzeniem rozgałęzionych inwestycji za granicą, przecież wiecie. A ponieważ to my przejęliśmy informację i przekazaliśmy ją wam w dobrej wierze, nasz rząd sądzi, że byłoby wskazane, gdybyście informowali nas na bieżąco. Chyba mam rację?

Ani Frank, ani Beck nie czuli się w obowiązku odpowiadać. Smythe mówił dalej.

— Jeśli wasza ocena rozmiarów skarbu jest właściwa, to gra idzie o nadzwyczajną stawkę. Nasz rząd uważa za rozsądne rozważyć taką możliwość... choć rozumie to w zupełnie inny sposób niż wy.

Beck spojrział na Franka, potem zwrócił się do Smythe'a:

— Założmy, że widzicie powody, dla których warto popierać naszą misję. Jaką wtedy rolę ma pan w niej odegrać?

— Oczywiście jechać razem z wami. Udokumentować ewentualne znaleziska. Osobiście podejrzewam jednak, że przygotujemy się do tego w odpowiednim czasie, a potem będę miał trochę wakacji, zanim wasi spece z wywiadu stwierdzą, że organizują misję bez sensu.

— Z sensem czy bez sensu — wtrącił Frank — do misji się jednak przygotowujemy i mam wszelkie podstawy, by sądzić, że odniesiemy sukces.

Prawdę mówiąc, chociaż takie przygotowania, jak sprawdzanie akt potencjalnych uczestników, trwały od kilku miesięcy, to decyzja o urzeczywistnieniu wszystkich pięciu misji dostała zielone światło dopiero po inwazji w Normandii, niecałe dwa miesiące temu.

Użycie przez Smythe'a liczby pojedynczej słowa „misja” potwierdziła wcześniejszą opinię Naczelnego Dowództwa: Brytyjczycy wiedzieli o jednym celu. Ale cel przedstawiał dużą wartość. Mało było argumentów, którymi Brytyjczycy czy ktokolwiek inny mogliby powstrzymać misję. Zainteresowanie w ostatniej chwili, a może ingerencja z innego powodu, zdaniem Franka stanowiły jedynie zawadę. Niemniej jednak tę zawadę zesłało na nich Naczelne Dowództwo, dlatego należało ją odpowiednio traktować. Później, kiedy będą sami, przekaże Beckowi kilka sugestii, jak sobie radzić z panem Dziwackim.

— Nie sądzi pan?

— Słucham?

— Powiedziałem, że przed Bożym Narodzeniem. Wy, Jankesi, powinniście być przed świętami w drodze do domu. Coś pana zastanowiło? — zainteresował się Smythe.

— Szczerze powiedziawszy, tak. Myślałem właśnie, że powinniśmy pana rozebrać z tego munduru. Za bardzo się pan rzuca w oczy — skłamał Frank.

— Fantastyczny pomysł, ale to już załatwione — odparł Smythe z wyraźną satysfakcją.

— Ostatecznie wszystko ma być po cichutku.

Franka uraził protekcyjny ton w głosie Smythe'a.

— Na tę właśnie okazję mam w zapasie cywilne ubranie. Uważałem jednak za właściwe zjawić się tu na tyle regulaminowo, na ile tylko pozwalają warunki. W hotelu mogę się przebrać. Oczywiście po spotkaniu z waszymi przełożonymi i przedyskutowaniu sytuacji.

Frank odwrócił się powoli i spojrział prosto na niego. Filuterny uśmiech wcisnął się pomiędzy zmęczone rysy jego kwadratowej twarzy. Francuskie krajobrazy przelatowały jeden po drugim w oknie samochodu. Shindler skwapliwie wykorzystywał wszystkie okazje do wyprzedzania innych pojazdów, nie zwracając uwagi na podskoki trzech pasażerów w czasie tych wyczynów.

— Preston, mam dla pana dwie informacje. Po pierwsze Beck dowodzi samą misją, a ja jestem odpowiedzialny za przygotowania i ćwiczenia. Jestem również jedynym oficerem utrzymującym łączność z Naczelnym Dowództwem i pozostałymi komórkami mającymi związek z misją. Zgodnie z moimi rozkazami, poruczniku, wszelkie dyskusje, które zamierza pan prowadzić, odbywają się na naszym poziomie. Koniec, kropka. Po drugie, nie ma żadnego hotelu. Przygotowaliśmy dla pana zakwaterowanie w powozowni obok pałacu. Tam

właśnie mieszkam ja, a kapitan Beck przeprowadzi się w to miejsce dziś wieczorem.

Frankowi zdawało się, że widzi, jak zadęcie Smythe'a znika w oczach, a z jego oficerskiego ego szybko uchodzi powietrze.

Uśmiechając się słabo, Smythe odwrócił się do okna i wlepił wzrok w przelatujące pejzaże. Wszystko było nie tak, jak oczekiwał. Beck przesłał Frankowi znaczące, aprobujące mruknięcie, chociaż pomyślał, że uwagi pułkownika były odrobinę za ostre.

— Bankowość, poruczniku? — przełamał lody Beck. — Więc ta wojna jest jak giełda. Ale co zrobić z zagrożeniem bombardowaniami i z niebezpieczeństwem inwazji, które przeżyliście w Anglii parę lat temu? A teraz mamy nowe, odwetowe rakiety Hitlera.

— Nie prowadziłem życia inwalidy, kapitanie — zachnął się Smythe. — Jestem entuzjastą sportów motorowych. Zanim doszło do działań wojennych i racjonowania benzyny, poznano mnie trochę na europejskich torach. Jeździłem w klasie B. Staralem się o awans do formuły jeden, kiedy się to wszystko zaczęło.

— Niesamowite, poruczniku! Ja też się ścigam — przerwał Shindler.

I widząc w lusterku surowe spojrzenie Franka dodał: — Przepraszam.

Trzej oficerowie rozmawiali o wszystkim i niczym aż do chwili, gdy Frank rozkazał Shindlerowi zatrzymać samochód przed mijanym właśnie dowództwem pułku. Znajdowało się ono w pewnym oddaleniu od pałacu. Brytyjski oficer, eskortowany przez Shindlera, wszedł do środka, żeby się przebrać. Frank wykorzystał tę okazję na rozmowę z Beckiem.

— Nie chcę, żeby ten facet włożył nam na głowę, Bill. Nie mamy czasu na karmienie go cyckiem. Znajdź dla niego zajęcie, daj mu do roboty cokolwiek, żeby wypełnić mu czas. Załatw listę wszystkich możliwych dzieł sztuki i skarbów, które zdaniem aliantów wpadły w ręce niemieckie. Ty zajmij się swoimi sprawami. Przydziel mu kogoś, żeby go uziemił.

— To nie takie proste, pułkowniku. Wszyscy są w zasadzie na ćwiczeniach, pracują do siódmych potów. Nie planujemy przecież wycieczki na piknik.

— Cholera, nie myślałem o dawaniu mu kogoś na stałe. Ślubu z nim brać nie musi. Wystarczy, żeby był ktoś, kto wkroczy, jeśli facet zacznie się za bardzo rozglądać. Ten ktoś musi być tak świetny w swoim fachu, żeby mógł mieć nieco mniej treningu niż pozostali. Na przykład któryś ze snajperów. W razie konieczności jesteśmy w stanie jednego wygospodarować.

— Ale kto, do diabła, wytrzyma tego nadętego skurwysyna dłużej niż przez kilka minut? — spytał Beck.

Obaj oficerowie spędzili następne kilka minut na milczących rozmyślaniach, przebiegając listę uczestników. Z budynku wyszli Shindler i Smythe.

Wyciągnięte ręce Smythe'a gestykułowały we wszystkich możliwych kierunkach. Shindler zdawał się chciwie połykać każde słowo. Kiedy obaj podeszli bliżej, Frank i Beck stwierdzili, że rozmowa dotyczy samochodów wyścigowych.

— Myślę, że znaleźliśmy naszego człowieka, Bill. Ale być może straciłem przez to najlepszego kierowcę, jakiego kiedykolwiek miałem — Frank nie mógł ukryć melancholii przebijającej z jego głosu.

Serce generała wciąż biło mocno, kiedy Pelch przyklęknął na jedno kolano, dokonując oględzin okaleczonego ciała Raua. Zaczął wypytywać ludzi, ciągnących zwłoki na powierzchnię.

Dźwięk wydawał się teraz oczywisty i generał uznał za niemal śmieszne, że ktokolwiek z nich mógł myśleć o czym innym. Był zły na siebie z powodu figla, którego spletała mu jego własna wyobraźnia, przypominając opowieść księdza o Cygance i sile nieczystej.

Po drobiazgowym zbadaniu okropnych ran, Pelch wstał. Wysłał swoich ludzi przodem, dołączając do nich dwóch, którzy ciągnęli ciało. Rozkazał im rozproszyć się i dokładnie szukać we wszystkich komnatach i korytarzach.

— Sugeruję, żeby wrócił pan teraz na powierzchnię, generale. Przyślę kogoś po pana, kiedy złapiemy mordercę. Jest po prostu zbyt duże ryzyko, i to nie tylko z powodu zabójcy, lecz również ludzi Kleista. Któryś może otworzyć do nas ogień. Działają na dole w rozproszeniu, a wnioskuję, że są rozstrojeni nerwowo.

Generał oczekiwał tej sugestii, chociaż nie chciał jej usłyszeć. Wiedział jednak, że Pelch ma rację. Zupełnie nietypowo, jego odpowiedź stanowiła prawie prośbę.

— Naprawdę powinienem iść dalej. Przyjechałem na inspekcję nowego miejsca. Czas jest przeciwko nam. Muszę wkrótce wracać, jeszcze przed wieczorem. Muszę! — głos mu się załamał. Zaczął głośno myśleć: — Nie ma czasu na to, żebym wrócił, a potem zszedł jeszcze raz. Może powinienem poczekać tutaj.

— Panie generale, usilnie proszę, żeby pan nie szedł teraz dalej. Proszę mi wierzyć, że nie warto ryzykować. Kleist rozkazał wszystkim wycofać się z jaskiń i nie wie, że ruszyliśmy w jego stronę. Czekanie tutaj wcale nie jest bezpieczniejsze. — Pelch przerwał na chwilę. — Gdyby trzeba było wycofać się wcześniej, to musi pan polegać na mojej ocenie wybranego miejsca. Doszedł pan aż tutaj. Już i tak zobaczył pan, że kryjówka jest nie do znalezienia dla kogokolwiek.

Co do tego generał nie miał wątpliwości. Był przekonany, że sam nie potrafiłby znaleźć drogi na zewnątrz, i to nawet z głównej komnaty, z której ciągnęły się dziesiątki najrozmaitszych przejść. A z każdego korytarza były setki skrętów prowadzących na fałszywe szlaki. Skoro tylko skarb znajdzie się w nowym miejscu i Pelch usunie tymczasowe oświetlenie, wszystko stanie się zagadką.

— Po skończeniu, osobiście wykonacie dokładny szkic drogi. Tylko w jednym egzemplarzu. — Z kieszeni na piersi wyjął karteczkę. — Prześlecie ją do tego banku w Szwajcarii. SS ma tam konto na numer, do którego dostęp ma tylko dwóch ludzi: ja i sam Bormann. Waszą przesyłkę bez otwierania złożą w depozycie.

Urwał i wbił zimne spojrzenie w Pelcha. Osiągnął niemal hipnotyczny efekt. Właśnie coś takiego było mu potrzebne do powiedzenia tego, co miał powiedzieć.

— Pamiętajcie: żadnych śladów, żadnych ścieżek, ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Zatarasujcie wylot jaskiń, potem przywróćcie terenowi całkowicie naturalny wygląd. Po tym

wszystkim musicie upewnić się, że Amerykanie, którzy mogą być już w drodze tutaj, zostali wyeliminowani, a ich misja zatrzymana. Wtedy, i tylko wtedy, opuścicie to miejsce i ruszycie na Front Wschodni. Angażujcie Rosjan i walczcie do ostatniego żołnierza. Do najostatniejszego.

Urwał, wpatrując się w twarz Pelcha, żeby przekonać się, czy znajdzie choćby cień wahania. Nie znalazł.

— Zrozumieliście?

Pelch rozumiał doskonale.

— Nikt nie wróci, generale. Ma pan na to moje słowo honoru. — Pelch wiedział, że włącza w to również siebie.

Generał wyprężył się i obciągnął bluzę. Wyciągnął rękę do człowieka, któremu zawierzył fortunę, mającą zapewnić Rzeszy podstawy bytu na tysiąc lat, bez względu na wynik wojny.

Spojrzał głęboko w oczy Pelcha. Pelch chyba wie, że żaden z nich nie zobaczy tej przyszłości, ale ich dzisiejsze poświęcenia dadzą środki następnym pokoleniom jeszcze nienarodzonych nazistów.

Z przykładowym trzaśnięciem obcasami, które rozniosło się ostrym dźwiękiem po obszernej komnacie w prehistorycznych jaskiniach, generał wystrzelił rękę ku niebu i uhonorował Pelcha pożegnalnym pozdrowieniem:

— Heil Hitler!

Wykrzyknięte w fanatycznej aprobacie słowa zamarły, echo przeniosło je szybko do sąsiednich komnat.

Prawie oczarowani świadectwem głosów układających się w chóralną fugę, obaj mężczyźni pozostali obojętni na zdławiony, odrażający krzyk desperacji dobiegający z pewnej odległości. Przez stulecia na próżno zmagał się, chcąc wydostać się z głębin na powierzchnię. Teraz czuł, że jego chwila nadchodzi.

Generał i Rzesza trwali jeszcze, zamknięci w ekstatycznym obrazie, póki brzmiało pozdrowienie, odbijające się o skały dookoła. Oczy generała zaszyły łzami, Pelchowi zaczęła drzeć broda.

Żaden z nich nie zauważył, że grunt pod ich stopami również drży.

Rozdział 5

— Spocznij. Można palić.

Personel Korpusu Inżynieryjnego wykonywał właśnie ostatnie fragmenty rozległej ramowej konstrukcji z drewna, kiedy stojący za nią Beck zwrócił się do grupki mężczyzn, którym na czas misji miano powierzyć funkcje kierowców. Znajdowali się na terenie pałacu, ale dosyć daleko od samego budynku. Również Smythe przyszedł popatrzeć na prowadzone przez Becka ćwiczenia.

— Sześciu z was zostanie wyznaczonych na kierowców. Ponieważ w misji wezmą udział cztery pojazdy, możecie wymieniać się między sobą, a dwóch specjalistów zawsze tworzy rodzaj zaplecza, z którego korzystamy w razie potrzeby.

Z bliska konstrukcja sprawiała wrażenie niskiej kolejki górskiej w lunaparku. Na czymś, co wyglądało jak kratownica ze szczeდეł, opierała się trasa pełna spadzistych wzgórków, łagodnych wspinaczek i pochyłych zakrętów. Nierówną, wyboistą powierzchnię osiągnięto układając belki na drodze podobnej do toru bobslejowego. Większość pomostów osiągała wysokość nieprzekraczającą półtora metra. W najwyższym punkcie jednak przewyższenie dochodziło do pięciu metrów. Dodatkowe podparcie konstrukcji stanowiły pięćdziesięciogalonowe beczki po nafcie wypełnione cementem, rozmieszczone na całej trasie w miejscach, gdzie siła nacisku powinna być największa. Osobie patrzącej z dalszej odległości musiało wydawać się nieprawdopodobne, żeby ktokolwiek mógł, manewrując pojazdem, pokonać więcej niż kilka metrów tego wąskiego toru z desek.

— Kto będzie prowadził, a kto pozostanie w rezerwie, będzie zależało wyłącznie od tego, jak wam pójdą ćwiczenia. Wiecie już, że naszym celem jest jaskinia. Przypuszczamy, że duża, wystarczająco duża, żeby można było wjechać do środka. Przez kilka najbliższych dni i nocy każdy z was nauczy się panować nad dwuipółtonową ciężarówką z równą łatwością, jak nad jeepem. Po przejechaniu przez każdego z was toru indywidualnie, zaczniemy budować konwój, najpierw tworząc tandemy, a potem dochodząc do tego, że będziecie po tymjechać w szóstkę, jeden za drugim — wskazał na rozpięte za nim rusztowanie. — Zaczynamy za chwilę. Przerwiemy w południe na lunch, kiedy każdy z was zaliczy już przynajmniej jedną rundę. Potem wracamy do pracy i jeździmy do późnej nocy. Ten sam schemat powtarzamy jutro, a także pojutrze, jeśli zajdzie potrzeba.

— Hej, kapitanie — włączył się Hauser. — To wszystko wygląda dość panikarsko. Nie sądzi pan, że przydałoby się nam trochę czasu na poznanie terenu, żeby podejść do zadania z głową?

— Przykro mi, ale nie mamy czasu, żeby zaczynać wolniej, bardziej realistycznymi krokami — odparł Beck. — Ale, jak może niektórzy z was słyszeli... mamy wojnę. Poza tym tor jest urozmaicony topograficznie. Nie wiadomo, na jaki rodzaj terenu traficie w jaskini. A tam nie będziecie mieli okazji trenować. Od razu robicie skok na głęboką wodę.

Wykonał półobrót i wskazał na chwiejnie wyglądające rusztowanie.

— To zostało zaprojektowane jako symulacja takiego typu nierówności, jakich możecie ewentualnie oczekiwać w jaskini.

W grupie rozległo się kilka pomruków.

— A kiedy poczujecie się na torze lepiej i będzie się wam wydawało, że go opanowaliście, inżynierowie zmienią ukształtowanie na ostatnią jazdę... w nocy.

— Pan chyba żartuje, kapitanie — przerwał Charlie Hauser.

— Zapewniam was, że nie.

— To coś wygląda jak kolejka górska w wesołym miasteczku, do którego chodziłem jako dziecko. Ta konstrukcja mogłaby utrzymać jeepa... ale dwie i pół tony? Nie ma mowy — rzucił kapral Werner Shoen.

— Shoen, przecież zarabialiście na życie, jeżdżąc taksówką po Nowym Jorku. Nie mówcie mi, że ten mały tor przeszkód napędza wam stracha.

Reszta roześmiała się lekko.

— Bo jeśli tak, to mogę od razu zanotować, że jeździecie tylko po drogach i stanowicie rezerwę... — Beck wyjął z kieszeni ołówek i podniósł do góry mapnik, stwarzając wrażenie, że zamierza spełnić groźbę.

— Chwileczkę, kapitanie. Nie jestem gorszy od reszty chłopaków — Shoen przestąpił z nogi na nogę i podciągnął spodnie. Nieco obrażonym tonem ciągnął: — Po prostu myślę, że pierwszy, który spróbuje wjechać tam ciężarówką, wyląduje w kupie połamanego drewna.

Beck zauważył, że jeszcze przynajmniej dwóch zdawało się podzielać odczucia Shoena. Wszystko szło niezupelnie tak, jak oczekiwał. Zwrócił się do Smythe'a.

— Co pan o tym sądzi, poruczniku!

Prestona zaskoczyło, że Beck pyta go o zdanie, ale natychmiast zapanował nad sytuacją i odpowiedział:

— Hm, z pewnością wygląda to na małe wyzwanie. Z jeepami nie widzę problemu... ciężarówki bez niczego pewnie...

— Będą załadowane do pełna, a nie bez niczego — przerwał mu Beck.

— Może pan spróbuje, kapitanie — podsunął Hauser.

Zanim Beck zdążył odpowiedzieć, Smythe podjął wątek.

— Mój ojciec mawiał, że wszystko okaże się w praniu. Nie ma sensu dyskutować, bo i nad czym? Czemu po prostu nie spróbować?

Z grupki posypały się komentarze.

— Jasne, tylko kto ma ochotę skrócić kark?

— Przy takim upadku nie zabijesz się. Po prostu będziesz miał nagły przystanek.

— Tu się nie leci daleko. Na tej stercie patyków ciężarówka pociągnie nie więcej niż kilka metrów.

— Mam nadzieję, że armia ma ciężarówki w zapasie. Zdaje się, że będziemy ich potrzebować.

— W porządku, wystarczy — Beck włączył się, by znów przejąć kontrolę nad rozmową.

— Nie będzie ciężarówek, dopóki każdy nie zrobi przejazdu jeepem.

Spojrzał na Shindlera, jedyne go który przez cały czas zachowywał spokój.

— Pojedzie pan jako pierwszy, sierżancie?

Shindler odwrócił się i przez dłuższą chwilę badawczo przyglądał się konstrukcji, potem stanął twarzą do Becka z przewrotnym uśmiechem.

— Bułka z masłem. — Sięgnął Hauserowi do kieszeni na piersi i wyciągnął papierosy.

Wśród docinków i okrzyków zachęty ruszył w stronę jeepów, którymi przyjechali.

— Dziesięć za pięć, że wyleci z trasy przed wierchołkiem — zaproponował w przestrzeń Shoen, wskazując na najwyższy odcinek.

— Trzymam zakład — z entuzjazmem podjął Smythe i truchtem pogonił za Schindlerem.

— Dokąd idziesz?

— Przydam się do towarzystwa. Mam interes w tej jeździe.

Przez chwilę Beck zastanawiał się, czy go nie zatrzymać, ale zawahał się, niepokoiło go,

że ćwiczenia z pojazdami spalą na panewce, a jeśli Anglik nie boi się przejechać, może udzieli się to innym. W tej chwili Smythe okazywał się użyteczny. Beck modlił się w duchu, żeby im się udało.

Kapitan i reszta żołnierzy patrzyli, jak Shindler i Smythe powoli objeżdżają konstrukcję i zatrzymują jeepa przy podjeździe startowym, niedaleko od widzów.

Przez parę chwil Smythe i Shindler wiedli ożywioną konwersację, potem jeep ruszył do góry. Pozostali cofnęli się i powchodzili na maski samochodów, żeby lepiej widzieć. Beck przyłączył się do nich.

Zaczynając ostrożnie i powoli, Shindler stopniowo przeprowadził jeepa przez falistą serpentynę. W trzy minuty później znalazł się u podnóża stromizny, która prowadziła do najwyższego i najniebezpieczniejszego miejsca toru.

Patrząc z dołu, Beck pomyślał, że Shindler sprawia wrażenie osoby jadącej prawie bez wysiłku.

- Myślę, że przegrałeś do komandora dychę — dogadał Hauser Shoenowi.
- O.K., może początek jest łatwiejszy niż wygląda. Ale wysypie się tam, popatrz.
- Chcesz się założyć jeszcze raz o to miejsce? — zaproponował któryś.
- Spokój, chłopcy — wtrącił się Beck. — Mamy sobie pomagać. To nie jest gra. Na każdego przyjdzie kolej i będzie mógł sprawdzić, co potrafi. Nie życzę sobie więcej zakładów na temat wyniku. Zrozumiano?

Jedyną odpowiedzią były pomruki i skinienia głową. Uwaga grupy koncentrowała się na Shindlerze, który był teraz w połowie stromizny.

Dźwięk ciężko pracującego silnika przesywał powietrze. Pulsujący warkot działał na patrzących z dołu niemal hipnotycznie. Samochód przesuwiał się o centymetry. Beck zastanawiał się, co czuje kierowca jadący z takim obciążeniem.

- Ten skurczybyk ma zamiar przejechać! — powiedział ktoś głosem zbliżonym do szeptu. Rzuciwszy spojrzenie w prawo, Beck zorientował się, że to Shoen.

Jeep piął się po chwiejnym podjeździe, przenosząc dźwięk silnika na okoliczne drzewa. Sekundy ciągnęły się jak minuty, samochód pełznał, pokonując kolejne centymetry, coraz to wolniej. Rozmowy o niczym ucichły, ale niektórzy podświadomie szeptali zaklęcia przenoszące Shindlera i Smythe'a przez przeszkody, mimo iż słowa otuchy nie mogły dotrzeć na górę.

- Uda się, wolniej... wolniej...
- Dobrze... bardziej w prawo...
- Dawaj, Shin, dawaj!

Wszyscy, nie wyłączając Becka, z zapartym tchem patrzyli na pochyłość pod szczytem. Shindler wyęczał wszystkie siły, próbując skorygować położenie prawego przedniego koła, które zaczęło ześlizgiwać się.

- Jak zleca, to będą wozić świętego Piotra.
- Zamknij się, pierdolony pajacu... O, przepraszam, kapitanie. — Uwaga była skierowana do Hausera.

Beck zignorował tę wymianę zdań. Oczami i myślą był wyżej, w miejscu, od którego dzieliło go jakieś dziesięć metrów.

Prawe przednie koło jeepa zjechało z deski i częściowo wysunęło się poza tor! Shindler wciąż parł do przodu. Widać było, że nie może wyrównać, ze względu na boczny spadek. Musiał więc jechać w ten sposób, zanim znajdzie się z powrotem na prostej drodze.

Smythe zwiślał, wychylony do połowy za burtę jeepa. Beck widział, że opisuje Shinowi drogę, centymetr po centymetrze. Huk mierzającego się jeepa zagłuszał wszelkie ludzkie dźwięki. Nagle Smythe rzutem wyprostował się na siedzeniu, a Shindler dodał gazu.

Jeep przeturlał się przez grzbiet i zdawało się, że skacze na płaski, poziomy szczyt. Hamowanie zakołysało wozem. Shindler złapał się za głowę w geście zwycięstwa.

Z dołu doleciał do nich ryk entuzjazmu. Shindler i Smythe zakręcili na półmetku i spojrzeli w dół. Obaj mieli przyklejone do twarzy szerokie uśmiechy.

Resztę toru Shindler pokonał bez trudności w niecałe dwie minuty. Kiedy cali i zdrowi znaleźli się na dole, Beck i żołnierze zgromadzili się wokół nich. Uściskom dłoni nie było końca.

— Jak myślisz, Shin, czy ćwiczenia na tym są niebezpieczne?

— Do diabła, kapitanie, nie! Gdyby tor był łatwiejszy, tylko tracilibyśmy czas. W kilku miejscach są dreszczyki, szczególnie na tym stromym podejździe na szczyt, z bocznym przechylem. Ale kto nie potrafi tego przejechać, nie ma czego szukać za kółkiem w czasie naszej misji.

W grupie zapadła cisza. Większość była pewna, że Shindler zasugeruje przynajmniej usunięcie stromizny z pochylni. Skoro jednak przejechał, to muszą i oni.

Dźwięk zbliżającej się dwuipółtonowej ciężarówki rozerwał ciszę. Za kierownicą siedział Boyle.

— Cholera jasna, kapitanie, nie damy się... — Shoenowi nie udało się dokończyć zdania.

— Shin, czy można przejechać przez to ciężarówką? — spytał Beck.

Shindler wbił wzrok w kapitana, potem skierował go na ciężarówkę. Po kilku długich sekundach dał odpowiedź, o której wiedział, że Beck jej oczekuje.

— Nie widzę przeszkód, kapitanie. Jest chyba dostatecznie szeroko, prawda poruczniku?

— Niewątpliwie, przestrzeń bezkresna jak świat! — zachwycony tym sportem Smythe tryskał humorem. — Dodatkowe obciążenie ciężarówki prawdopodobnie zapobiegnie ześlizgiwaniu się, z którym mieliśmy do czynienia w jeepie. Popróbujemy? — Smythe entuzjastycznie klepnął Shindlera po plecach.

— Chwileczkę, chwileczkę. Wy dwaj zrobiliście pierwsze okążenie. Postępujmy zgodnie z kolejnością i dajmy szansę komu innemu. Wierzcie mi, że jeszcze i wy będziecie mieli sposobność. — Beck rozejrzał się po reszcie. — Są ochotnicy?

Kiedy Boyle zatrzymał ciężarówkę niedaleko podjazdu startowego, wyskoczył z niej Frank i dołączył do Becka oraz reszty żołnierzy.

— Jak poszło?

— Tak samo jak wczoraj. Stromizna sprawia największy kłopot.

— Wczoraj? — wtrącił zaskoczony Shindler.
Wczoraj, sierżancie. Inżynier, który tor projektował zrobił inauguracyjny przejazd.
— Więc o co dzisiaj był ten wielki hałas? — zapytał Hauser.
— Nie było wielkiego hałasu, tylko ćwiczenia — odparł Beck. — Nie dopuścilibyśmy, żeby którykolwiek z was ryzykował skręcenie karku, gdyby twórca toru go nie przejechał. Nawiasem mówiąc, jego jeep był na wszelki wypadek podwieszony na żurawiu, którego używano w czasie budowy.

Część spojrzała na żuraw, nadal stojący w pobliżu.

— Coś jak zabezpieczenie dla cyrkowców trenujących ćwiczenia na trapezie? — wtrącił Smythe.

— Dokładnie tak. Wciągnęliśmy tam również trzy ciężarówki. Bez kierowcy, po prostu podnieśliśmy je, załadowaliśmy do pełna i postawiliśmy w kilku miejscach, żeby się przekonać, czy konstrukcja wytrzyma ciężar. I wytrzymała. — Beck potoczył wzrokiem po zebranych.

— Ta ciężarówka jest załadowana do wagi, którą będzie miała podczas misji. Wzięliśmy najcięższą — powiedział, wskazując na pojazd, podczas gdy Boyle zbliżał się, żeby dołączyć do grupy. — Są na niej skrzynie rozmiarami i wagą równe tym, w których będą materiały wybuchowe.

— Włożyliśmy też metalowy balast w przybliżeniu równoważący ciężar reszty ekwipunku — dodał Frank.

— No to zobaczymy teraz, czy są ochotnicy do ciężarówki, czy mam znowu zatrudnić faceta od inżynierów — powiedział Beck.

— Spróbuję, kapitanie — odpowiedział Shoen.

Beck poczuł ulgę. To był najtrudniejszy moment. — Potrzebuję jeszcze jednego człowieka do kabiny. Kto się zdecyduje, ten robi następną rundę.

— Mogę jechać na drugiego — stwierdził Hauser.

— Kapitanie, zaliczyłem jeepa, czy nie powinienem zaczynać także ciężarówką?

— Nie, Shin. Chcę, żebyś obsługiwał żuraw. Jeśli koło zsunie się poza tor, ulokujesz je z powrotem tam, gdzie powinno być. Reszta grupy ma tymczasem wolne. Zaczynamy.

Hauser i Shoen skierowali się do ciężarówki, a Shindler poszedł w stronę żurawia. Pozostali wspięli się na jeepy. Frank, Beck i Smythe przyłączyli się do nich.

— Shindler to specjalny przypadek. Może prowadzić wszystko, co tylko jeździ — powiedział Frank w zamyśleniu. Shoen tymczasem ruszył na tor. Shindler manewrował żurawiem, zbliżając się do rusztowań, a jednocześnie próbując różnych położeń ramienia.

— Jasny gwint, Chris! — odparł Beck. — Nawet nie pomyślałem, żeby go spytać, czy kiedykolwiek siedział w kabinie czegoś takiego.

— Prawdopodobnie nie... Ale ja siedziałem — rzucił Smythe, odłączając się od grupy. — Lepiej pójde do niego, udzielić mu moralnego wsparcia.

Przed wjazdem na tor Shoen sprawdził kilka razy gaz na luzie, potem wrzucił bieg i wystartował. Ale zaledwie opuścił podjazd, stanął.

Wbrew temu, co mu mówiono, Shoen nie mógł pozbyć się uczucia, że rozstaw kół jest większy niż szerokość toru.

— Chryste, to jest jazda na ślepo! — zareagował Hauser.

— Wystaw głowę przez okienko i mów mi dokąd jedziemy, dobra?

— To czyste szaleństwo. Nie widzę nic z wyjątkiem pustej przestrzeni: ani kół, ani drogi, ani żadnej innej cholерnej rzeczy. Tylko przestrzeń — odparł Hauser.

— Wystaw na zewnątrz swój pieprzony łeb!

— Sam wystaw swój pieprzony łeb! Jak się ruszę, to się zesram w gacie — Hausera ogarnął strach.

— To nie jest kurewska przejażdżka dla przyjemności, Hauser! Jeśli wsiadłeś do kabiny jako pomocnik, to bądź pomocnikiem i rób coś pożytecznego. Nie jesteśmy jeszcze nawet metr nad ziemią. Co widzisz po twojej stronie?

— Anioły z harfami — Hauser opornie i powoli zbliżył twarz do szyby. Była zasunięta. Sięgnął do korbki i zaczął kręcić, delikatnie, jakby miał pod ręką dynamit.

— Byle dzisiaj, do cholery! Wszyscy na nas patrzą, a my nie ujechaliśmy jeszcze metra po tej zasranej drodze.

— Co tam się może dziać na górze, Bill? — spytał Frank. — Ci chłopcy prawie się nie przesunęli.

— Nie mam pojęcia. Chciałem powiedzieć, że utknęli... ale słyszę pracujący silnik.

W kabinie żurawia Shindler i Smythe słyszeli burzliwą rozmowę, jaką Shoen prowadził z Hauserem.

— Myślę, że chłopcy potrzebują paru słów zachęty, poruczniku. Jak przystawić do nich to maleństwo?

— Może lepiej ja poprowadzę, Shin. Ty się zajmij dodawaniem otuchy.

Smythe wślizgnął się za kierownicę, a Shindler wyszedł z kabiny na stopień.

Dwoma szybkimi ruchami Smythe wycofał żuraw znad rusztowania i skierował ku ciężarówce. W chwilę później stał już równoległe do niej.

Shindler pokazał, że wdrapie się na metalową podporę. Preston odczekał, aż sierżant dojdzie do ładu z linami oraz osprzętem i dobrze się usadowi, po czym, manewrując, podsunął Shindlera na pół metra do opuszczonej szyby w ciężarówce.

— Dzień dobry, pierdziele. Macie kłopoty ze zwieraczami?

— Z czym? — Hauser miał szkliste oczy i był błądy jak upiór.

— Z kiszka srającą, głupi sukinsynu!

— To nie ja prowadzę, tylko on — odparł Hauser ze słabym uśmiechem.

Obrona była zasadna.

Shindler z niesmakiem przesunął spojrzenie po Hauserze i zawołał do Shoena:

— Hej, taksjarsz, gdzie zostawiłeś jaja? W Nowym Jorku? Masz zamiar tu siedzieć, póki się Niemcy nie poddadzą?

— Odchrzań się, Shindler. To nie taka zabawka, jak jeep, którym jechałeś. Ten skurwiel jest szeroki. Nie widać ani kół, ani drogi. Ruszę w dół z dupą do góry i przygniecie mnie ten cały szmelc, który Frank napakował z tyłu.

— Przekręć lusterko w dół.
— Wtedy będę widział, którędy jechałem, ty głupi osłe! A ja chcę wiedzieć, co jest przede mną, i to zanim tam dojadę.

Shoen chyba miał rację.

— Stójcie tam. Idę do was.

— Nie planujemy ruszania się dokądkolwiek — rzucił Hauser.

Beck zamierzał właśnie podejść, żeby dowiedzieć się, na czym polega kłopot, kiedy usłyszał wciskany gaz. W ułamek sekundy potem samochód zaczął wycofywać się na podjazd startowy, wkrótce zaś powrócił na stały grunt.

Scena, która nastąpiła później, miała trzech bohaterów. Smythe wracał żurawiem na pozycję przy stromiźnie, Shoen zawrócił i postawił ciężarówkę blisko podjazdu, a Shindler podbiegł do miejsca, w którym czekali Frank, Beck i inni, żeby powiedzieć im, o co chodzi.

— Panie pułkowniku, panie kapitanie, bez dodanych lusterek, przyczepionych pod odpowiednim kątem, nie będzie widać z kabiny ani kół, ani drogi.

— Proszę jaśniej — rozkazał Beck.

— Dobrze, panie kapitanie. Jedzie się na ślepo. Wszedłem do nich zobaczyć, dlaczego Shoen nie rusza, i muszę się z nim zgodzić. Tego nie można zrobić, nie widząc położenia kół. Bez dodatkowych lusterek, które obejmą koła i niewidoczne miejsca, nikt nie przejedzie tej konstrukcji ciężarówką.

— Ile czasu zajmie dorabianie lusterek? — spytał Frank.

— Od chwili, gdy dostaniemy lusterka, parę godzin. Trzeba ustalić dla nich właściwą pozycję i przyspawać je na tej ciężarówce i trzech pozostałych. Nie potrzeba nic szczególnego. Lusterka można wziąć z innych samochodów. Cały dowcip polega na tym, żeby je dobrze ustawić.

— No cóż, zanim się to zrobi, wszyscy po kolei mogą przejechać tor jeepem — zasugerował Beck.

— Proszę wybaczyć, sir. Ale sądzę, że możemy jednak pojeździć tą ciężarówką w czasie przygotowań reszty.

— Przecież przed chwilą powiedzieliście...

— Wiem. Dopóki nie ma lusterek, nie można jechać do przodu. Ale można tak poskręcać te lusterka, które już są, żeby jechać tyłem.

— To najbardziej szalony pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem — warknął Frank.

— No cóż, panie pułkowniku. Jeśli wraz z panem kapitanem możecie zagwarantować, że nie będziemy musieli jechać tyłem, kiedy już dostaniemy się do jaskini...

— On ma rację, Chris — przerwał Beck. — Skąd mamy wiedzieć, czy tam jest wystarczająco dużo miejsca, żeby zawrócić. Być może będziemy wyjeżdżać tyłem. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Takiej ewentualności bez wątplenia nie przewidywaliśmy.

— I co, warto spróbować, panie kapitanie?

Beck spoglądał przez chwilę na Franka, ale zanim otrzymał zgodę, udzielił jej sam. Ostatecznie w polu on był dowódcą misji.

— OK, Shin. Powiedz mu, żeby się starał, jak tylko umie. Kiedy skończy Hauser, pójdziesz zając się przygotowaniem innych ciężarówek. Chcę, żeby były gotowe przed końcem

dzisiejszego dnia. Jeśli trzeba, żuraw może obsługiwać Smythe.

— Tak jest, sir — Smythe odwrócił się i dał do ciężarówki znak uniesionym w górę kciukiem.

Tym razem Shoen jednym szybkim zrywem zostawił za sobą i podjazd, i miejsce, w którym przedtem stanął. Pokonując drogę tyłem, z wykorzystaniem bocznych lusterek, osiągnął widoczność, której nie miał wcześniej. Niektóre fragmenty toru ciężarówka przejeżdżała rzeczywiście pewniej niż jeep.

Kiedy zbliżyli się do stromizny, drzwiczki po stronie pasażera otworzyły się. Widać było, jak Hauser wychyla się i pilotuje Shoena. Smythe słusznie przypuszczał, że na odcinkach z bocznym przechyłem ciężarówka dzięki swej wadze będzie się ześlizgiwać mniej niż jeep. Kiedy wjechali na pochyły fragment stromizny, Hauser, jadący po wyższej stronie, mógł stanąć prawie prosto.

Nagle ciężarówka szarpnęła. Przez ułamek sekundy wydawało się, że oba koła położone wyżej oderwały się od podłoża.

— Ładunek! — ktoś krzyknął. W tej samej chwili cała grupa biegiem ruszyła w stronę przechylającego się samochodu. Widzieli, jak Hauser gramoli się z kabiny na zewnątrz i usiłuje zrównoważyć przechył wagą ciała. Smythe już manewrował w pobliżu wysięgnikiem żurawia. Rozhuśtany hak o mało nie trafił Hausera, przelatując tuż obok. Shoen próbował zrobić kołami lekki skręt ku niższej krawędzi, chcąc powstrzymać przechył, ale osiągnął wręcz przeciwny skutek.

— Jasny gwint, mamy kłopoty. Zostań tam, Charlie — krzyknął Shoen do Hausera. — Jeśli wejdiesz do środka, to przeważysz i cały ten syf się sturla.

— Hej, Werner, zdaje się, że znowu widzę anioły — tę próbkę humoru wywołało absolutne przerażenie Hausera, który wciąż balansował na zewnątrz, a jednocześnie starał się uniknąć uderzenia powracającym jak wahadło hakiem.

Smythe włączył podnoszenie. Gwałtowny wzlot haka do góry uspokoił huśtanie. Porucznik opuścił linę z powrotem, tym razem precyzyjnie lokując hak w zasięgu Hausera. Kiedy hak został umocowany, Smythe cofnął żuraw. Zadziałała siła, która pozwoliła doprowadzić ciężarówkę do równowagi. Z pomocą Hausera, pośredniczącego między Smythem na żurawiu i Shoemem w kabinie samochodu, udało się wjechać ciężarówką na szczyt. Gdy tylko Shoen i Hauser znaleźli tam bezpieczeństwo, Beck kazał im wysiąść i zejść na dół, do czasu, gdy ładunek z tyłu wozu zostanie skutecznie unieruchomiony.

Obaj pobieżnie obejrzelili ładunek, po czym rozpoczęli wędrówkę na ziemię. Patrząc jak schodzą, Shindler dostrzegł sygnał od Smythe'a, który wszedł na tył ciężarówki. Porucznik chciał go przywołać bez zwracania niczyjej uwagi.

Sierżant poczekał, aż Beck, Frank i inni otoczyli Shoena i Hausera, dyskutując nad napotkanym problemem, odłączył się po cichu i wspinał na szczyt konstrukcji.

— Co się stało, poruczniku? — zapytał Shindler, znalazłszy się na kryte płótnem skrzyni.

— Spójrz na to. Czy widziałeś kiedyś taką niekompetencję? — Smythe wskazywał na pasy, mające zabezpieczać ładunek, te same pasy, na które będą zdani podczas misji.

— Jakiś idiota nie wpadł na pomysł, żeby użyć wzmocnionych klamer. To są zaciski do lżejszych ładunków, dlatego trzasnęły. Te pasy z trudem utrzymałyby dziecko na wysokim krześle, a co dopiero mówić o takim obciążeniu.

— Nie rozumiem, poruczniku. Moim zdaniem wyglądają całkiem normalnie.

— Właśnie o to chodzi. Wyglądają normalnie i są normalne. Aluminiowe. Takich klamer używa się do zwykłych ładunków z lekkich materiałów, ale nie do wielkich ciężarówek. Do waszych celów potrzebujecie klamer wzmocnionych. Są podobne w kształcie, tyle że zrobione ze stali. Ktoś to po prostu olał. Pogadam o tym z Beckiem, tylko nie przy Franku.

Shindler zamyślił się na chwilę.

— Poruczniku, czy to są klamry HL-4s?

— Mój Boże, człowieku, nie. Przecież o tym mówię. Klamry HL-4s... — Smythe urwał i obaj zmierzyli się wzrokiem.

— Poruczniku, jestem pewien, że zapotrzebowanie opiewało na HL-4s do wszystkich ciężarówek. Pamiętam, że widziałem to w papierach, które dał mi kapitan Beck. I pamiętam też, że widziałem te stalowe klamry na wszystkich założonych pasach.

— Jeśli były stalowe, to znaczy że wzmocnione. A skoro tak, to skąd się wzięły zaciski z aluminium? Ktoś musiał cię wprowadzić w błąd.

— Nie, sir. Nie sądzę. — Shindler pochylił się, podniósł jedną z aluminiowych klamer i podrzucił na dłoni.

— Na pasach były inne. Jestem tego pewien. Trochę rezerwowych pasów leży w garażu z zapasami. Możemy sprawdzić.

— Jeśli masz rację, to znaczy, że jakiś głupek zastąpił stalowe tymi. Prawdopodobnie myślał, że stalowe się nie nadają. Kto był odpowiedzialny za dogładanie zapasów?

— Za całość? Miller. Ale wszystko, co się łączy z pojazdami, był uprzejmy zostawić mnie. Jestem całkowicie pewien, że nie zmieniał klamer, a wiem też, że nie zmieniłem ich ja.

* * *

Przed zmrokiem umocowano lusterka na wszystkich ciężarówkach. Smythe i Shindler nie musieli sprawdzać rezerwowych pasów w garażu. Na trzech pozostałych ciężarówkach były HL-4s, stalowe klamry poczwórnie wzmocnione, do ciężkich ładunków.

Shindler podszedł do Millera i, nie wdając się w szczegóły, ostrożnie spytał, czy ten nie zmieniał pasów. Miller odpowiedział przecząco. Po dalszej dyskusji Smythe i Shindler doszli do wniosku, że najwyraźniej jedna ciężarówka została wyposażona w niewłaściwy zestaw pasów, mający aluminiowe klamry, a przy odbiorze samochodów tego nie zauważono.

Coś jednak nadal niepokoiło Shindlera. Był przecież po kilka razy na każdym samochodzie. Nie mógł uwierzyć, że nie zauważył różnicy w wadze klamer. Ale jedyne możliwe wytłumaczenie było śmieszne: ktoś zmienił pasy w wybranej ciężarówce później. Na takie rozwiązanie Shindler po prostu nie mógł się zgodzić. Nigdy już nie wracał ze Smythem do tego tematu.

Smythe, sądząc, że wzmianka o przeoczonych klamrach z aluminium mogłaby przynieść ujmę Shindlerowi, który przecież był odpowiedzialny za wszystkie pojazdy, postanowił nie chodzić z tym do Becka. O incydencie szybko zapomniano, a Shindler i Smythe wpadli we wściekły wir ćwiczeń.

Jeździli po torze przez pełne trzy dni i trzy noce, zanim Beck z zadowoleniem uznał, że cała szóstka kierowców jest przygotowana jak należy do nieznanego terenu w jaskini.

Rozdział 6

— Gdyby któryś żółtodziób nie wiedział, to przed nami jest Point du Hoc — Frank stał niedaleko krawędzi prawie pionowego, blisko trzydziestometrowego klifu, który mniej niż trzy miesiące temu, w dniu lądowania, kosztował komandosów 135 ofiar z 225 ludzi.

Słońce powoli przesuwano się nad horyzontem. Miał to być długi dzień. Od godziny dziewiętej tydzień wcześniej, kiedy wszyscy spotkali się w pałacowej bibliotece, informacje przekazywano wyłącznie po niemiecku i w tym języku prowadzono rozmowy. Ale drugiego dnia doszło jeszcze coś nowego: niemieckie ubiory i uzbrojenie. Frank, w amerykańskim mundurze, jawnie się wyróżniał.

— Musicie poznać to miejsce naprawdę dobrze. A będzie to kaszka manna w porównaniu z ćwiczeniami dla komandosów, które nadzoruję osobiście.

Przez szeregi zgromadzonych ludzi przebiegł cichy pomruk. Frank odwrócił się do Becka i z diabelskim mrugnięciem zarządził:

— Niech pan prowadzi dalej, kapitanie.

Potem odszedł sprężystym krokiem.

Większość treningu w pierwszym tygodniu zajęły forsowne ćwiczenia fizyczne oraz zapoznanie ludzi z niemiecką bronią i wyposażeniem. Teraz byli gotowi do treningu w warunkach mających symulować rozmaite elementy misji.

Beck był w swoim żywiole. Jedyłą rzeczą, którą uwielbiał bardziej niż ostre, wyczerpujące ćwiczenia, było współzawodnictwo z własnymi żołnierzami podczas tychże ćwiczeń. Zwykle wszystkich przewyższał. W Millerze znalazł jednak godnego partnera, dotrzymującego mu pola, a niekiedy nawet odnoszącego zwycięstwo. Mimo lekkiej zazdrości, Becka zachwycało, że Miller będzie jego zastępcą.

— W porządku, mamy rozkaz na dzisiaj. Nieparzyści zostają ze mną, parzyści odchodzą na bok z sierżantem Millerem. — Przed wyruszeniem z pałacu Beck i Miller podzielnili wszystkich na dwie grupy o jednakowej sile i możliwościach.

— Słuchaj, Bill — Smythe stał koło Becka, spoglądając niczym druhna, która zgubiła wianek — nie mam numeru. Do której grupy powinienem dołączyć? — Ponieważ nie zamierzano dopuścić porucznika do udziału w samej misji, był on jedynym, który nie posługiwał się językiem niemieckim.

— Do żadnej — Beck nadal patrzył prosto przed siebie. — Będziesz oficjalnym sędzią mierzącym czas — odwróciwszy się do Smythe'a, Beck wyjął z kieszeni stoper i podał go

oficerowi Marynarki Królewskiej. — Czas jest bardzo ważny, Preston. Dlatego zależy nam na dokładnym pomiarze. Będziesz mógł potrenować, ale w tej chwili potrzebuję kogoś, kto precyzyjnie posłuży się stoperem. Zgoda?

— Świetnie. Wiesz przecież, że w tym jestem dobry. — Zamyślił się na chwilę i zapytał: — A właściwie co mam mierzyć?

Beck z trudem zachował powagę.

— Słuchaj uważnie, to się dowiesz — poradził.

— Uwaga — zaczął kapitan stentorowym głosem. — Parzyści schodzą po klifie na dół, bez użycia haków. Nieparzyści spuszcza wam na linach wszystkie skrzynie i cały sprzęt z ciężarówek. W skrzyniach jest po trzydzieści kilo żelastwa. Każdy z was ma nieść jedną skrzynię plus wyposażenie. Potem nieparzyści zostają na dole i zamieniacie się rolami. Po zakończonej rundce macie trochę odpoczynku i zaczynamy dalej. Porucznik Smythe mierzy obu grupom czasu. Dla szybszych przewidziano beczkę piwa.

Radosny okrzyk wzbili się w chłodne poranne powietrze.

— Celem tego ćwiczenia jest nauczenie was skutecznego przenoszenia ciężkich ładunków i wyposażenia po stromych ścianach. Do tego samego możecie być zmuszeni w jaskini. Fachowcy od wspinaczki, górnictwa i jaskiń pomogą reszcie. Nie cieszcie się, że macie łatwe zadanie, bo będziecie robić to również w nocy. — Wahał się, czy powiedzieć im, że spotka ich to już wkrótce, ale zanim jeszcze spróbują sił na klifie, czeka ich przejazd „lunaparku”.

— Sierżancie Boyle, proszę wziąć dziesięciu nieparzystych i rozładować ciężarówkę, w tym czasie sierżant Miller i jego ludzie zejść na dół.

— Co z materiałami wybuchowymi, panie kapitanie?

— W czasie misji będziemy je mieć przy sobie. Nie będzie czasu na takie przenoszenie, jak teraz i na dodatkowe ostrożności. Później saperzy potrenują trochę na dole, wysadzając głązy.

Beck niechętnie odrzucił pomysł wspinania się na klify bez haków, ale po kilku nieudanych próbach okazało się, że żaden człowiek nie jest w stanie pokonać ze skrzyniami więcej niż jedną trzecią wysokości. Zgodnie z oczekiwaniami Becka, najlepszy wynik osiągnął Miller, ale nawet on uznał to za niemożliwe.

Wspinając się razem ze swoją grupą, Beck musiał użyć całej swojej siły. Ledwie udało mu się dorównać Millerowi. Nie chcąc ryzykować poważnych obrażeń wśród żołnierzy, wydał rozkaz użycia haków.

Teraz nieparzyści po raz ostatni wspinali się na ścianę. Długość dnia przekroczyła nawet oczekiwania Becka. Było już bardzo późne popołudnie. Niektórzy ludzie ucierpieli i mieli drobne kontuzje po upadkach, ale najbardziej doskwierało grupie zwykle wyczerpanie.

— Dlaczego, do diabła, z takim uporem domagał się wspinania bez haków? — spytał Hauser Millera. Wraz z kilkoma innymi parzystymi odpoczywali pod wielką skałą w leju po bombie, na górze.

— Kto to wie? Może tam, gdzie się wybieramy, nie da się wbić haka? Tylu mamy grotolazów w grupie, niewykлучzone, że czeka nas opuszczanie się do jaskini.

- Gadali, że będziemy atakować bunkier Hitlera w Berlinie — stwierdził Charney.
- Gówno prawda. Tam nie ma skarbu. Ani takich wysokich skał — wtrącił Geiger, saper.
- Naprawdę, przyjemniaczku? Ale gdzie, do diabła, mamy iść? — warknął Hauser.
- Słyszałem, jak Frank mówił któregoś dnia dzemojadowi, że naziści ukryli cholerny skarb w Norymberdze. Ładowali tam wszystko od wybuchu wojny. Austriackie klejnoty koronne, dzieła sztuki, greckie złoto i takie różne rzeczy. Ale mówił mu też, że nam jest do Norymbergi nie po drodze, i pytał dzemojada, czy nie warto sprawdzić tej informacji.
- Zawracanie głowy. Po prostu robią Smythe'a w konia. Powiedz mu wszystko, co kupi — dorzucił Charney.
- Norymberga? Skąd, do diabła, Frank to wie?
- Myślę, że od wywiadu.

Potężna eksplozja wstrząsnęła kraterem. W chwilę później siedzących tam ludzi zalał deszcz pyłu i odłamków skał.

Geiger i Miller dobiegli do krawędzi klifu jako pierwsi. Natychmiast dołączyła do nich reszta parzystych i ci spośród nieparzystych, którzy już dotarli na górę. Nad najbardziej wysuniętą częścią półwyspu unosiły się chmury pyłu i czarnego dymu. Z nieba wciąż spadały kawałki gruzu. Większość trafiała do morza.

— Mój Boże — to było wszystko, co Beck mógł z siebie wydobyć, gapiąc się na puste miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej dwóch saperów z grupy nieparzystych zakładało ładunek ćwiczebny.

- Ktoś oberwał? — spytał Miller.
- Lundemann i Gregg — odpowiedział czyjś głos.
- Nikt więcej? — padło następne pytanie.
- Zostali jako dwaj ostatni na dole — stwierdził Beck. — Reszta była na górze.
- Jak się to, do diabła, mogło zdarzyć? — zastanawiał się Geiger, nie kierując pytania do żadnej konkretnej osoby. — Oni byli dobrzy. Naprawdę dobrzy.

W dwie doby później Beck postanowił nie zastępować dwóch ludzi, którzy zginęli. Miał jeszcze z pół tuzina ekspertów od materiałów wybuchowych, spełniających wymagania wszelkich norm, chociaż Lundemann i Gregg byli, poza Geigerem, najlepsi.

W poszukiwaniu przyczyn wypadku Geiger i jeszcze jeden saper sprawdzili na rozkaz kapitana wszystkie prawdopodobne scenariusze wydarzeń. Bez względu na to, co zrobili, Geiger uparcie odrzucił możliwość popełnienia błędu przez człowieka i wciąż wracał do tej samej konkluzji: niemieckie materiały wybuchowe miały albo wadę, albo wmontowaną pułapkę.

Starannie sprawdzono pozostałe materiały wybuchowe. Stwierdzono, że nie będą sprawiać kłopotów. W końcu saperzy uznali, że Gregg i Lundemann popełnili omyłkę z wyczerpania. Jeden Geiger się z tym nie zgadzał. Z braku namacalnych dowodów Frank i Beck przyjęli pogląd większości.

Rytm ćwiczeń stawał się coraz szybszy. W pewien miły, chłodny jesienny wieczór Frank zaprosił Becka do swojego pokoju i wystąpił z zaskakującą propozycją.

— Bill, co sądzisz o małym rekonesansie? Chciałbym, żebyś spotkał się z kobietą. — Frank wziął sobie prawie pełną szklaneczkę whisky. Nalewając drugą, uszanował życzenie kapitana, który przyłożył dwa palce do dna.

— Kobieta... A o co chodzi?

— Nie zagrzewaj się bardzo... Ona jest zakonnica.

Beck opadł na tapicerowane krzesło, które Frank przyniósł z pałacu do swojej kwatery w powozowni. Pułkownik starał się, żeby pokój był wygodny i przytulny. Potrząsnął szklaneczką, jakby mieszał płyn wokół nieistniejących kostek lodu.

— Daj spokój, Chris. Co ma wspólnego zakonnica z naszą misją? — Beck pochylił się, odstawił drinka, wyciągnął papierosa z paczki leżącej na biurku Franka i zaczął go zapalać.

— Od kilku tygodni mamy człowieka w Akwizgranie. Pracował już, zanim zgromadziliśmy tutaj twoich ludzi. Jego zadanie polegało na zlokalizowaniu kogokolwiek, kto mógłby coś wiedzieć o jaskiniach w Chapelleburgu. W zeszłym tygodniu wysłał do Londynu informację, że powinniśmy sprawdzić kobietę, zakonnice, którą wraz z jej bratem wychowywał w Akwizgranie wuj, proboszcz. Ten ksiądz latami odwiedzał Chapelleburg i zajmował się tamtejszymi wieśniakami. Nasz człowiek dowiedział się z wiarygodnych źródeł, że brat dziewczyny często jeździł do Chapelleburga razem z wujem. Sądzi, że również dziewczyna mogła im towarzyszyć.

— I to właśnie ją mamy sprawdzić? Dlaczego, do diabła, on sam tego nie zrobił?

— Bo jej nie ma w Akwizgranie. Jest we Francji, w zakonie.

— Co może nam powiedzieć?

— Albo nic, albo coś o jaskiniach, jeśli kiedykolwiek była w środku. Nie znamy żadnej innej drogi do kogoś, kto mógłby mieć ewentualnie przydatną wiedzę. — Frank uniósł szklaneczkę i dwoma łykami opróżnił ją do połowy.

— Może mieć... ewentualnie przydatną... Dużo tu przypuszczeń, Chris. A co z waszym człowiekiem? Czy był w Chapelleburgu? — Beck powoli wysączył łyk, delektując się uczuciem mrowienia pozostającym na podniebieniu.

— Miał rozkaz trzymać się z dala od wsi, po prostu powęszyć trochę po Akwizgranie. Jeśli skarb rzeczywiście jest w Chapelleburgu, nie chcemy, żeby agent wszystko zepsuł, a sam dał się złapać. Niemcy dowiedzieliby się wtedy, że interesują nas jaskinie. — Frank pociągnął ostatni łyk, opróżniając szklaneczkę.

— Co z proboszczem i z bratem tej dziewczyny? Czy są w okolicy Akwizgranu? Nie mógł ich znaleźć?

— Nierealne. Proboszcz umarł około piętnastu lat temu. Brat dziewczyny też został księdzem. Skierowano go do Rzymu. — Frank nie musiał mówić więcej. Po prostu się uśmiechnął.

Lamigłówka była ułożona. Beck czytał w jego myślach.

— Ten właśnie ksiądz został zamordowany w Watykanie.

— Zgadza się. Przez kumpla Bormanna, który wymieniał depesze z Berlinem, będąc

w Paryżu. Myślę, Bill, że w tej grze Chappelleburg może stanowić bingo. Niewykluczone, że schowali to właśnie tam. Nalał sobie następną szklaneczkę, również prawie do pełna.

— Czy ten agent nie mógłby trochę powęszyć, oczywiście z zachowaniem wszelkiej ostrożności? Nie sądzę, żeby musiał dostawać się do Chappelleburga, ale warto byłoby się dowiedzieć, czy Niemcy nie zaostrzyli środków bezpieczeństwa dookoła.

— Myśleliśmy o tym i zdecydowaliśmy, że powinien raczej się rozejrzeć po Akwizgranie, niż ryzykować wizytę. Następnego wieczora po otrzymaniu informacji wysłaliśmy mu szyfrowaną wiadomość na ten temat.

Frank wyraźnie obniżył głos. Słowa następowały teraz powoli. Postawiwszy szklaneczkę na stole, pułkownik stanął z założonymi rękami.

— Nie potwierdził odbioru naszego sygnału i nie odezwał się zgodnie z harmonogramem w poniedziałek. Ma już trzy dni spóźnienia.

— Cholera — Beck wstał i podszedł do okna. Dostrzegł ślad światła w niedostatecznie zaciemnionym oknie na najwyższym piętrze. Zanotował w myślach, który to pokój.

— Kiedy mam jechać? Gdzie mogę znaleźć tę zakonnice?

— Nazywa się Maria Koenig. W klasztorze przyjęła imię Maria-Konrad. — Frank odchylił się na krześle i wyjął z kieszeni bluzy starannie złożoną kartkę. — Proszę — powiedział, wręczając ją Beckowi. — Myślę, że powinieneś wyjechać jutro rano. To bezpieczny teren, daleko za naszymi liniami, ale na wszelki wypadek weź ze sobą dwóch ludzi.

— Ale jutro są skoki. Nie przeszedłem ćwiczeń dla komandosów.

— Nie przejmuj się. Możecie dołączyć, kiedy wróciacie. Na klifach z saperami byłeś dobry. Skok ma jedynie przyzwyczaić do wrażenia długotrwałego opadania po ciemku. Dam ci prywatne lekcje. Kogo zabierzesz z sobą?

Beck przejrzał instrukcję i bez wahania odparł:

— Shindlera jako kierowcę i Millera do towarzystwa.

Następnego ranka, wkrótce po wschodzie słońca, Millera i Shindlera otaksowało niejedno pytające spojrzenie, kiedy w regulaminowych mundurach armii Stanów Zjednoczonych, z naszywkami Naczelnego Dowództwa i dystynkcjami, weszli do namiotu służącego za stolówkę. Zasada absolutnej konieczności powstrzymała nawet najbardziej zaciekawionych przed zadawaniem pytań. Dla wszystkich było jednak jasne, że tych dwóch skakać razem z nim nie będzie.

Spóźnieni na śniadanie przybyli do namiotu razem i usiedli oddzielnie. Miller odesłał skinieniem głowy kolejno Hausera, Boyle'a i Geigera, którzy chcieli się do nich przysiąść.

Wszedł Beck. On też był w pełnym umundurowaniu. Zamiast podejść, jak zwykle, do stolika dzielonego z Frankiem i Smythem, pomachał oficerom i usiadł z Millerem i Schindlerem.

— Co się stało w palec, Shin? — spytał, widząc za szeroki bandaż na wskazującym palcu prawej ręki kierowcy.

— Cholerna igła, sir. Ukląłem się tym maleństwem chyba z pięćdziesiąt razy — odparł. I, wskazując na krzywo przymocowaną naszywkę Naczelnego Dowództwa, dodał: — Ale

przyczepilem na prawej, tak jak pan mówił. Nie jestem za dobry w szyciu, szczególnie w środku nocy.

Beck rzucił spojrzenie na Millera, który patrząc na przekrzywioną naszywkę o mało nie udławił się kawą.

— Ta rana nie przeszkodzi ci chyba w prowadzeniu samochodu. Mam rację, Shin? — podpuszczał Beck, ale ofiara nie zwróciła na to uwagi.

— Nie, sir. Mogę nas wieźć w tę i z powrotem, nieważne dokąd. Jeśli będzie trzeba, to i jedną ręką. Pan kapitan przecież wie.

— Mam nadzieję, że tak jest, bo zamierzamy wrócić przed końcem wojny.

Odszedłszy od stolika, czekając w kolejce na swój codzienny kubek czarnej kawy, Beck słyszał gdaczący śmiech Millera. Kiedy wrócił, rozłożył na stoliku kartkę z instrukcjami od Franka.

— Co o tym myślisz? — spytał Shindlera.

— Nigdy tam nie byłem, sir. Ale mogę znaleźć to miejsce, jeśli papier jest w porządku.

— Ile jazdy mamy przed sobą, panie kapitanie? — spytał Miller.

— Pułkownik Frank liczy, że możemy wrócić jutro, jeśli tylko uda się szybko znaleźć klasztor i załatwić sprawę w godzinę lub dwie.

Miller wstał.

— Spróbuję poprosić kucharza, żeby dał nam trochę prowiantu. Nie jest powiedziane, że będziemy mijać czterogwiazdkową restaurację.

— Świetny pomysł — zgodził się Beck. Sierżant ruszył w stronę kolejki, pogadać z dyżurnym stołówki.

Wkrótce potem, kiedy reszta żołnierzy ładowała się na ciężarówkę mające ich zabrać na pas startowy samolotu DC-3, Smythe podbiegł do limuzyny, w której siedzieli Beck i Shindler. Frank stał przy wejściu do namiotu z szerokim uśmiechem na twarzy. Beck odniósł wrażenie, że ktoś go wprowadził w dobry nastrój.

— Słuchaj, Bill, Chris powiedział, że nie będziesz dzisiaj skakał z chłopakami.

— To raczej oczywiste.

— Rzeczywiście... Tak sobie myślałem. Chris powiedział, że znakomicie mi poszło z jazdą i ze wspinaczką, i z tymi wszystkimi rzeczami, i mógłbym skoczyć, tak jak wszyscy. Ale wczoraj okazało się, że dostarczono dokładnie jeden spadochron na głowę. Wiem, że pewnie nie pojedę na samą misję, ale pomyślałem...

— Chcesz jeden z naszych spadochronów?

— Właśnie! — Smythe kipiał entuzjazmem.

Beck spojrzał ukradkiem na Franka. Smythe okazał się pomocny przy żurawiu i pojazdach podczas ćwiczeń w „lunaparku”. Poza tym Beck czuł się głupio, że kazał mu mierzyć czas w Point du Hoc.

— Dobrze, Preston. Jeśli chcesz skrócić kark, to nie w mojej mocy leży powstrzymanie cie.

Smythe zignorował uwagę. Prawdę mówiąc, nie usłyszał nic prócz dwóch początkowych słów. Ścisnął dłoń Becka i zaczął nią z impetem potrząsać.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. — Ruszył z powrotem, po chwili odwrócił się i zawołał:

— Nie myślałem, że się zgodzisz! A tak przy okazji, gdzie one są? Na ciężarówce?

— Owszem. Sprawdź przywieszki z nazwiskami.

— Panie kapitanie, czy on mówi poważnie? Pewnie nie pojedzie na samą misję. Jak pan sądzi, czyżby jeszcze nie wpadł na to, że robimy go w balona?

— Nie wygląda na to. Wyżywa się w mierzeniu czasu ćwiczeń, liczeniu maszynek do obierania ziemniaków i dziesiątkach innych czynności, którymi go zajmujemy, żeby nie narobił nam kłopotów. Jeszcze raz dziękuję za czas, który mu poświęcasz.

— Nie ma za co, panie kapitanie. W gruncie rzeczy to nie jest zły facet. Po prostu samochodziarz z fantastycznymi ciągotami. Tyle, że czasami trochę drobiazgowy. — Shindler dostrzegł Millera, wychodzącego z namiotu z pełnym plecakiem prowiantu i zapuścił motor.

— A jeszcze coś powiem. Prowadzić umie bez wątpienia. Nigdy nie widziałem kogoś, kto tak dobrze jak on panowałby nad kierownicą. Nie chciałbym się z nim regularnie ścigać. Za kółkiem całkiem się odmienia.

Wszyscy wiedzieli, że Shindler i Smythe wyznaczyli na brzegu tor, gdzie ścigali się godzinami na pojazdach, załatwianych przez Hausera w pobliskim parku maszynowym Naczelnego Dowództwa. Becka zaskoczyła jednak wyraźna pochwała, i to ze strony Shindlera, który miał za sobą duże sukcesy na torach wyścigowych.

— Trzeba skończyć z tymi rajdami, Shin. Nie chcę, żebyś w dniu naszego wejścia do akcji leżał w szpitalu albo co gorsza na cmentarzu. Daj już z tym spokój. Pułkownik Frank i ja wymyśliliśmy inny sposób. Zrozumiano?

— Tak jest, sir — Shindler ugryzł się w język, zanim wymsknęło mu się coś lekceważącego. Kiedy Miller wszedł do samochodu, dodał żartem: — No cóż, panie kapitanie. Gdyby mnie tu nie było, Smythe zastąpiłby mnie znakomicie.

„Ten skurczybyk jest niepoprawny”, pomyślał Beck, gdy ruszyli.

* * *

Frank stał na środku pokładu dakoty, która kładąc się na skrzydło, z wysiłkiem wchodziła w łagodny zakręt. Zranioną prawą rękę pułkownik wsadził do kieszeni, drugą trzymał się uchwytu nad głową.

— Dzisiejsze ćwiczenia niczym nie różnią się od treningu z pojazdami i wspinaczki, poza tym, że nie musicie zabierać na dół skrzyń z żelastwem. Napracowaliście się przy tym ucziwie. Teraz dostajecie więc nagrodę za doskonałą robotę. Jestem dumny z was wszystkich. Żeby potwierdzić, że na to zasługujecie, założcie znowu przepaski na oczy. — Skinął na Smythe'a, który zaczął rozdawać cienkie, ciemne pasy gazy.

— Panie pułkowniku, czy możemy zmienić nagrodę i wylądować w Anglii? Znam tam jedną dziewczynę, której jestem winien romantyczny obiad. — Śmiech i dowcipy wypełniły kadłub.

— Mówił pan, że nie będziemy skakać do celu. Po co więc ćwiczymy skoki?

Tę rozumną, choć nieproszoną uwagę zrobił kapral nazwiskiem Haulter. siedzący w drugim końcu samolotu, niedaleko drzwiczek. W tej grupie, co Frank od razu dostrzegł,

był najlepszym strzelcem. Z pięćdziesięciu metrów trafiał bez pudła we wszystkie czarne koniczynki szóstki trefl.

— Dobrze, dobrze. Spocznij. — Frank spoważniał. Musiał odpowiedzieć na pytanie. — Skaczymy nie dla zabawy. To jest po prostu ważne. Kto wie, jaki upadek może wam się zdarzyć w jaskini? Ćwiczenie ma na celu wyostrenie zmysłów i przygotowanie do gwałtownego zetknięcia z ziemią. Pamiętajcie, żeby przetoczyć się w momencie uderzenia.

Kiedy Smythe doszedł do ostatnich ludzi, siedzących przy drzewkach, zobaczył, że jeden z nich męczy się z pasami spadochronu.

— Coś poważnego?

— Tak, sir. Jakies luzy po jednej stronie.

— Dlaczego nie powiedzieliście na ziemi? — Rozdał pozostałe przepaski.

— Wtedy nie miałem kłopotów.

— Nie przejmuj się. Weź mój. — Smythe zręcznie pozbył się swoich pasów i wręczył żołnierzowi spadochron. — Jestem ostatni w kolejce. Wezmę jeden z pozostałych.

Zrobiwszy dobry uczynek, Smythe powoli wrócił na miejsce. Czuł ekscytację. Stał się naprawdę częścią wojny. Ćwiczenia z tymi Jankesami były najciekawszą rzeczą, jaka spotkała go od czasu podjęcia służby.

Oczywiście miał pewne zadania administracyjne, których wykonywanie zależało od niego, i zastanawiał się, jak sobie radzą bez jego pomocy. Ale tutaj... Pomyślał, że czasami znajdują mu zajęcia niemal na siłę, żeby nie czuł się pozostawiony sam sobie. Cholernie fajnie mu się udało z tymi Jankesami. A teraz miał wykonać prawdziwy skok ze spadochronem! Zastanawiał się, jak wielu poruczników z Marynarki Królewskiej będzie miało po wojnie okazję opowiadać, że robiło coś takiego.

* * *

Przejazd przez Francję sprawiał im dużą przyjemność. Beck, Miller i Shindler podróżowali zatopieni we własnych myślach. Tylko kiedy limuzyna wtaczała się do zbombardowanych miasteczek i wsi, wojenne zniszczenia rzucały się w oczy i przywracały ich do rzeczywistości. Późnym popołudniem Shindler skręcił przez kamienną bramę na żwirową drogę i minął wytartą przez wiatry i deszcze tabliczkę: *Convent de Angelis*.

Dojechali. Poza upragnioną przez wszystkich przerwę, mniej więcej w pół trasy, na rozprostowanie kości i oddanie moczu, i trzema przystankami w ciągu ostatniej godziny, podczas kontroli dokumentów na posterunkach, po drodze nie zdarzyło się nic godnego uwagi.

Gęstość wart sprawiła, że Beck zaczął się zastanawiać, jak blisko mogą się znajdować niemieckie linie. Zapytał o to na ostatnim posterunku.

— Właściwie wszędzie dookoła, sir. W zasadzie nie dalej niż półtora kilometra stąd. O niecałą godzinę drogi są już Niemcy — powiedział porucznik z błyszczącymi oczami.

— Powiedziano mi, że klasztor znajduje się daleko za naszymi liniami— podzielił się

wątpliwością Beck, machając papierem od Franka przed oczami wartownika.

— To zależy od tego, kiedy tak powiedziano, sir. W zeszłym tygodniu uważano tę pozycję za dość głębokie tyły. Potem niedaleko stąd doszło do paru potyczek z niemieckimi patrolami i sztab musiał przerysować mapę.

Blisko głównego budynku, płaskiej, jednopiętrowej konstrukcji z kamienia, pozbawionej okien na parterze, Shindler zakręcił i ustawił samochód maską do bramy. Cała trójka, uzbrojona w pistolety maszynowe Thompsona, wysiadła i rozejrzawszy się dookoła podszła do dwuskrzydłowej drewnianej furty.

Beck chwycił za jedną ze zmatowiałych mosiężnych kołatek i dwukrotnie zastukał.

Prawie natychmiast zakonnica w starszym wieku uchyliła połowę wrót. Spojrzała na trzech mężczyzn, ale na widok ich mundurów nie objawiła ani zachwyty, ani niechęci.

— Czy mogę wejść, siostrze? — Beck nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobi, jeśli zakonnica mu odmówi.

Zezwoliła bez słowa, szerokim gestem. Ponieważ Beck nie wydał innego rozkazu, jego podwładni zostali na zewnątrz. Miller zajął się badaniem podwórza, Shindler odchylił maskę samochodu i zaczął pod nią majstrować.

Beck zdjął hełm i idąc drogą od furty znalazł się w ogrodzie botanicznym. Bogactwo kolorów i schludność dobrze utrzymanego terenu stanowiły jaskrawy kontrast z niemal jałowymi, burymi połaciami żwiru i gruzu, ciągnącymi się od głównej drogi do samego budynku.

Zamknąwszy za sobą wrota, zakonnica odwróciła się i splotła ręce pod obszernym, długim do kostek czarnym habitem. Na jej wargach zamajaczył protekcyjny uśmiech.

— W czym możemy być pomocne? — zapytała z emfazą po angielsku.

— Chciałbym rozmawiać z siostrą Marią-Konrad — odparł, zastanawiając się jednocześnie, jak zakonnica wytrzyma sztywną, wykrochmaloną stójkę, ciasno opinającą szyję.

— Nie ma u nas nikogo o takim imieniu — odparła bez chwili wahania.

Rozdział 7

Beck nie był przygotowany na taką ewentualność.

— Czy siostra jest pewna? Przyjechałem z daleka... Powiedziano mi, że znajdę ją w tym zakonie — przez jego głos przebiegał zawód.

— Z kim mówię i właściwie dlaczego pan jej szuka? — spytała podejrzliwie zakonnica.

— Proszę wybaczyć. Nazywam się William Beck i jestem kapitanem armii Stanów Zjednoczonych. Zapewniam, że chodzi o sprawę wagi rządowej — podkreślił. — Nie mam pozwolenia na dyskutowanie jej tutaj. Po prostu potrzebujemy informacji, które może mieć siostra Maria-Konrad. Czy ona tu przebywała? I czy siostra wie, gdzie ją można znaleźć?

— Pan chyba szuka Marii Koenig? — podsunęła zakonnica z odrobiną sarkazmu.
— Tak! Właśnie jej.
— Maria przebywa z nami znowu... ale nie jest siostrą w naszym zakonie. Musi jeszcze złożyć ostateczne śluby. Nie jest przyjęte odwiedzanie...

— Gdybym mógł z nią chwilę porozmawiać, siostró, to niewykluczone, że dzięki jej informacjom uda się wcześniej zakończyć wojnę — wpadł jej w słowo zręcznym kłamstwem.

Wtręt wywarł zamierzony skutek. Ślad szansy na skrócenie potwornej wojny zadziałał jak katalizator. Rozmówczyni Becka odwróciła się i głośno klasnęła w dłonie. Zza jednej z otaczających dziedziniec kolumn podtrzymujących taras ukazała się inna zakonnica.

— Idź po Marię — poleciła po francusku i, odwracając się z powrotem do Becka, dodała: — Czy pan mówi po francusku? Maria nie zna angielskiego.

— Bardzo słabo, siostró. Ale zdaje się, że Maria jest Niemką. Po niemiecku mówię płynnie.

Na jej twarzy pojawił się zdecydowany wyraz niesmaku.

— Jak pan sobie życzy. — Zamilkła, ignorując obecność kapitana.

Beck czuł się dość niezręcznie z thompsonem w pełnym łagodności otoczeniu. Przeszując z nogi na nogę, rzucił: „Ładne miejsce”, i natychmiast stwierdził, że nie należało tego mówić. Zakonnica rzuciła mu krótkie spojrzanie z ukosa, ale nie odpowiedziała.

Po krótkiej chwili młoda kobieta w nieco zmodyfikowanym habicie pojawiła się w głębi dziedzińca, szybko idąc ku nim. Kiedy się zbliżyła, Beck zauważył, że jest całkiem ładna.

— Może pan tu usiąść i porozmawiać z Marią — zaproponowała starsza zakonnica, zaprowadziwszy go do kamiennej ławki pod wielkim drzewem figowym.

Maria doszła do nich, pospiesznie przyklęknęła, pocałowała pierścień zakonnicy i wstała. Utkwiła wzrok w Becku, ale szybko odwróciła go ku starszej siostrze i zapytała ją o coś po francusku. Z ich rozmowy, a także na podstawie własnej obserwacji sprzed chwili, Beck wywnioskował, że otworzyła mu matka przełożona. Pochwycił zwrot „współpraca z alian-tami”.

Krótką wymiana zdań uzmysłowiła Beckowi bez wątpienia, że Marii nie ucieszył jego widok. Przyglądał jej się, gdy mówiła. Miała aksamitne włosy o kasztanowym odcieniu, długie do ramion i mocno pofalowane, które na pewno rozsypałyby się niesfornie, gdyby nie ścisnęła ich opaską. Jej wygląd mógłby zdradzać kobietę, która żyje w ciągłym ruchu, przebywa dużo na świeżym powietrzu i jeździ konno po polach zarośniętych wysoką kukurydzą albo poświęca się innym zajęciom wymagającym równie wiele energii. Na przekór temu była drobnej budowy, przywodzącej na myśl słabość, co do której Beck nie miał jednak pewności. Gładkość i różowość cery akcentowały wyraźnie zarysowane kości policzkowe, urocze dołki w policzkach i charakterystyczne wgłębienie w brodzie. Szeroko rozstawione zielone oczy, sypiące iskrami, harmonizowały z orlim, choć leciutko zadartym nosem. Maria była bezwzględnie ładna.

Kiedy przełożona odeszła, dziewczyna usiadła na ławce z pochyloną głową i rękami założonymi pod luźnym fartuchem habitu.

Beck domyślał się, że ma około dwudziestu pięciu lat. „Jak na kogoś, kto przebywa w zakonie od kilku lat i jeszcze nie złożył ostatecznych ślubów, jest stara”, pomyślał. Ale wtedy przypomniał sobie, co powiedziała przełożona: „Maria przebywa z nami znowu”. Usiadł na ławce obok niej.

— Powiedziano mi, że jest pani tu znowu. Czy to znaczy, że była pani wcześniej i opuściła to miejsce? — Beck pytał delikatnie, nie chciał, żeby jego głos zabrzmiał wrogo.

— Przyjechałam do sióstr, kiedy miałam czternaście lat, na naukę. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, wybrałam świat zewnątrz. To był błąd. Wróciłam niecały rok temu. — Odpowiedź była pewna i wyczerpująca. Cokolwiek Maria czuła, starała się zastosować do poleceń przełożonej. Ani na chwilę nie podniosła głowy.

Osoba, od której agent uzyskał informacje, najwyraźniej nie wiedziała, że Maria kiedykolwiek opuszczała klasztor. Beck chciał wyjaśnić jeszcze kilka drobnych szczegółów.

— Powiedziano mi, że przyjęła pani imię Maria-Konrad... Sądziłem, że już pani złożyła śluby. W każdym razie tak pytałem o panią, kiedy spotkałem matkę przełożoną.

— Takie imię wybrałam sobie na początku, a teraz je przyjmę. — Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. — Jak pan mnie znalazł? Czego pan chce?

— Ludzie w Akwizgranie pamiętali, że wuj wychowywał panią i brata. Mówili też, że być może odwiedziła pani wraz z wujem Chappelleburg.

— To działo się wiele lat temu. Kto pamiętałby małą dziewczynkę?

— Ktoś jednak pamiętał. Pamiętał także, że wstąpiła pani do zakonu. — Zastanawiał się, czy wspominać jej brata. — I że pani brat wyjechał do Rzymu, żeby zostać księdzem.

Wzmianka o bracie, niczym czar, zdawała się przełamywać bariery. Uśmiechnęła się ciepło.

— Brat został *monsignore* w Watykanie. Przyniósł honor naszej rodzinie i naszemu miasteczku. — Uśmiech trwał na policzkach przez kilka chwil.

Beck wykorzystał okazję.

— Czy będąc z nim w Chappelleburgu zwiedzała pani kiedyś jaskinie?

— Jaskinie? — wyraz zdziwienia wystąpił jej na twarzy. — Już o nich zapomniałam, to się działo tak dawno temu. Tak, były tam jaskinie, olbrzymie jaskinie.

Po wielkich oczach, które zrobiła, poznał, że je pamięta.

— Więc była pani w środku?

— Tak. Dwa razy... nie, chyba trzy.

Zachichotała. Beck pomyślał, że teraz wygląda jeszcze ładniej. Zmusił się do przeniesienia uwagi z powrotem na jaskinie.

— Czy może mi pani o nich opowiedzieć? Wszystko, co pani pamięta. Jak duże są jaskinie?

Na jej twarzy znów pojawiło się zdziwienie.

— Kapitanie Berk...

— Beck, proszę pani, William Beck.
— Kapitanie Beck, matka przełożona powiedziała, że potrzebuje pan informacji, które pomogą w zakończeniu wojny. Co ma do tego moje dzieciństwo w Akwizgranie?

Pomyślał, że musi być z tym ostrożny i powinien sfabrykować jakieś wiarygodne kłamstwo.

Właśnie wtedy z dziedzińca wszedł Shindler.

— Kapitanie, musi pan to zobaczyć. Za domem Miller rąbie drewno na opał, a trzy zakonnice pękają ze śmiechu dookoła.

Takiej przerwy Beck potrzebował na wymyślenie historyjki.

— Zobaczymy? — zapytał i instynktownie wziął ją za łokieć, chcąc pomóc we wstaniu. Poczł, jak całe ciało Marii tężeje, a dziewczyna cofa ramię.

W milczeniu wyszli przez furtkę, po czym okrążyli budynek.

Doszedłszy na miejsce, Beck zrozumiał, co tak rozbawiło Shindlera, a także trzy zakonnice. Miller dzierżył olbrzymi topór, stojąc przed potężnym pniakiem, na którym leżał stos cieniutkich gałązek. Kiedy topór opadał, drewno leciało na wszystkie strony.

— Co się dzieje, Miller?

Miller przyłożył palce do hełmu. Pot ściekał mu po policzkach.

— Diabelska sprawka, sir. Te zakonnice są chyba niemowami.

Maria uśmiechnęła się szeroko.

— Dwie z nich machały tym toporem, a trzecia przytrzymywała pień. Wydawało mi się to trochę niebezpieczne, więc zaoferowałem pomoc. — Przetarł dłonią czoło, strząsając pot. — I żadna z nich nie umie mówić. Rozumie pan coś z tego?

— One złożyły ślub milczenia, panie Miller. Tylko matce przełożonej wolno mówić. — Maria poczuła, że konieczne jest dodatkowe wyjaśnienie. — I mnie też. Ja jeszcze nie złożyłam ślubów.

— No cóż — Miller głęboko wciągnął powietrze. — To mi się podoba. Znam paru chłopców w naszej grupie, którzy powinni taki ślub złożyć — mrugnął do Becka.

W tej samej chwili rozległo się mocne, głębokie bicie dzwonu. Trzy zakonnice natychmiast skierowały się do klasztoru. Maria spojrzała na Becka.

— Wieczorne nieszpory, muszę iść. Przykro mi, jeśli niewiele pomogłam. — Odwróciła się i rozpoczęła pospieszny odwrót.

— Proszę zaczekać — zawołał na nią Beck. — Proszę wyjść jeszcze, kiedy nieszpory się skończą.

Zatrzymała się i zwróciła do kapitana;

— To niemożliwe. Zaraz potem będę przygotowywać obiad.

Odwróciła się jeszcze raz i poszła dalej ku otwartej tylnej furcie.

— Mimo to będziemy czekać — krzyknął. — Przed wyjazdem muszę z panią jeszcze raz porozmawiać.

Mniej więcej w dwie godziny później Beck wyszedł z klasztoru. Miller i Shindler od razu wiedzieli, że spotkanie z matką przełożoną nie wypadło dobrze.

— Nic z tego, kapitanie?

— Nic, Shin. Matka przełożona ma tu więcej do powiedzenia niż ja i Maria się stamtąd nie ruszy. Poszła spać razem z innymi. Wróćmy kawałek, znajdziemy dowództwo tego wojska od sprawdzania papierów. Z nią mogę pogadać dopiero jutro rano. — Beck wcisnął ręce głębiej do kieszeni i przez chwilę krążył w zamyśleniu.

Cholera, następnego dnia szlag trafił. — Kopnął spory kamień, który uniósł się wysoko w powietrze i elegancko wirując uderzył w drzewo. Zanim opadł na ziemię, Beck warknął do swoich ludzi:

— Idziemy!

* * *

Z okna kwatery na pierwszym piętrze powozowni Frank spoglądał na kolejny wachlarz kamieni, pojawiających się wysoko na niebie i szybko spadających. Patrzył bezmyślnie, jak żołnierz rozładowuje frustrację, raz po raz wysadzając skały za stawem, na tyłach pałacu. Frustrację związaną z misją, a spowodowaną tragiczną śmiercią Haultera tego popołudnia.

— Proszę wejść — odpowiedział na ostre pukanie do drzwi, odwracając się od okna. Ukazał się sierżant Thomas Boyle, jedyny członek grupy mający doświadczenia spadochroniarza.

— Panie pułkowniku, był czysty jak łąka. Nic nie wskazuje na uszkodzenie.

Frank przyglądał mu się przez dłuższy czas, potem powoli usiadł za biurkiem. Odpiął guzik przy kołnierzyku, rozsiadł się wygodnie na krześle i poluzował krawat.

— Spocznij. Siadajcie, sierżancie.

Boyle podszedł do tego samego krzesła, które poprzedniego wieczoru służyło Beckowi. Frank wraz z Boylem nadzorowali i sprawdzali składanie oraz załadunek wszystkich spadochronów w wieczór poprzedzający lot.

— Jesteście absolutnie pewni? zapytał.

— Tak, sir, ale pan pułkownik może sprawdzić oso...

— Już to zrobiłem. Przed wami. Musiałem się upewnić, że nic nie przeoczyłem.

— Nie, sir. Ten spadochron był całkiem czysty. Mógłbym go wziąć dla siebie.

Frank sięgnął po butelkę szkockiej, schowaną w dolnej szufladzie, ale się rozmyślił.

— Powiedźcie, Boyle, czy myślicie że Haulter zasłabł? A może wpadł w panikę i zgłupiał? Jak sądzicie? — Frank przesunął po stole paczkę papierosów.

— Dziękuję, sir. — Potrząsnął paczką i wyjął jednego. — To mnie przerasta. Musiał... zgłupieć albo stracić przytomność. Spadochron jest bez zarzutu. — Rozejrzał się po blacie, wziął zapałki i zajął się papierosem. — Albo...

Niewypowiedziany wniosek przyciągnął całą uwagę Franka. Bacznie spojrzął na sierżanta.

— Albo co, na miłość boską?

— Albo... ktoś go zabił. — Boyle opróżnił płuca, wypuszczając kłęb szaroniebieskiego dymu, i spojrział prosto w oczy Franka.

— Mówcie dalej. Wszystkie, co myślicie.

— Dobrze, sir. Sprawdzaliśmy razem wszystkie spadochrony, kiedy przyszły z osiemdziesiątego drugiego. Potem nadzorowaliśmy ludzi, którzy je przepakowywali, i przyczepiliśmy do nich kartki, tak że każdy dostał składany przez siebie spadochron. Wszystkie były pierwsza klasa, bez zarzutu. Potem leżały przez noc w ciężarówce. Ktoś mógł zejść na dół i spreparować dowolną liczbę. Wie pan równie dobrze jak ja, że jeśli ktoś naprawdę chce coś zmajstrować przy spadochronie, może to zrobić w sposób, który nie zostanie wykryty.

— Tego nie kupuję. Nie otworzył się wyłącznie spadochron Haultera.

— Więc może ktoś przygotowywał go dla Haultera. Widziałem coś takiego... kiedy uczyłem się skakać. Ktoś czuje, że nie lubi jednego faceta i trzask! Facet ma wypadek, łamie nogę albo dwie.

Frank przesunął dłonią po cieniu, który położył mu się na brodzie. Wiedział, że Boyle mówi o całkiem możliwej sytuacji. Pułkownik nigdy nie widział czegoś takiego, ale słyszał różne opowiadania. Nie chciał jednak uwierzyć, że zdarzyło się to właśnie tutaj.

— Dziękuję, sierżancie. To wszystko na dzisiaj. — Podniósł się z krzesła, obszedł biurko i wyciągnął rękę. Boyle wstał i uściśnął ją.

— Zachowajcie, proszę, tę rozmowę dla siebie — rozkaz zabrzmiał jak delikatna sugestia. — I nie byłbym taki twardy co do znakomitego stanu spadochronu. Gdyby ktoś pytał, mówcie po prostu, że musiał być uszkodzony. Nie ma potrzeby podsuwać ludziom myśli, że Haulter wpadł w panikę.

— Zrozumiałem, sir. — Boyle elegancko zasalutował i opuścił pokój.

Frank wrócił do biurka i wyjął na dobranoc butelkę szkockiej. Kiedy usiadł, przebiegając w myślach wydarzenia dnia, zadzwonił telefon.

Rozmowę z Beckiem łączyło jakieś dowództwo pułku. Kapitan i jego ludzie mieli tam jeszcze zostać i wrócić pod koniec następnego dnia.

Kiedy Beck zapytał, jak poszły skoki, Frank był bliski powiedzenia mu o Haulterze. Zmienił jednak zdanie.

Nie należy roztrząsać tego przez telefon. Poza tym jest zmęczony, sprawa może poczekać.

* * *

Porucznik z dziecięcą twarzą, dowodzący pododdziałem przydzielonym do posterunku najbliższej klasztoru, przeproszał Becka za brak miejsca w małym budynku.

— Wystawiamy warty na drodze przez całą dobę, więc tutaj mamy tylko miejsce do spania na zmianę. Obie sypialnie są maleńkie. Ludzie zajmują także trzeci pokój. Przykro mi, że nie mamy niczego lepszego, sir.

— Zapomnijcie o tym, poruczniku. I tak jest tu lepiej niż na dworze — powiedział Beck, myśląc, że tylko nieznacznie lepiej.

— Tak jest, sir. Znosi się na deszcz, więc będziecie mieli schronienie.

— Zasalutował i zostawił ich samych.

W malutkim budynku naprawdę nie było dla nich miejsca. Dwunastu żołnierzy strzegących posterunku na zmiany zajęło wszystkie miejsca na podłodze. Wolny pozostawał jedynie ciasny stryszek pod spiczastym dachem.

Miller stanął pośrodku. W przestrzeni zajmowanej przez stryszek z trudem można byłoby się nawet czołgać. Sierżant podniósł ręce tuż nad głową i płasko położył dłonie na suficie.

Shindler z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Kto tu, do cholery, mieszkał? Karzelki? Nigdy w życiu nie widziałem takich małych pokoi ani tak niskiego sufitu. — Doszedł do drzwiczek w podłodze i wciągnął drabinkę sznurową, po czym cicho zamknął kłapę, uważając by nie zbudzić ludzi w sypialni dokładnie pod nimi.

— Ten kurz jest niezdrowy dla płuc — zauważył Miller.

Beck zignorował narzekania i znalazł sobie wygodne miejsce, na którym mógł się wyciągnąć.

— Powinniście się trochę zdrzemnąć, chłopcy.

Shindler szybko wybrał sobie kąć przy kominie. Miller kręcił się przez kilka minut, unosząc okienka w obu końcach stryszku i zbierając gruz z otworów wentylacyjnych. Skrzypienie podłogi podkreślało każdy jego krok.

W końcu i on ułożył się do spania, wybierając miejsce przy frontowej ścianie. W niecałe trzy minuty wszyscy smacznie zasnęli.

Z klasztoru odjechali kilka minut po szóstej. Po dotarciu na posterunek, Beck dowiedział się, że najbliższy telefon, z którego może połączyć się bezpośrednio z Frankiem, znajduje się mniej więcej o godzinę drogi, w dowództwie pułku. Stamtąd rozmowę łączono z Naczelnym Dowództwem, które ze swojej strony łączyło z pałacem.

Prościej byłoby przesłać wiadomość za pomocą połączeń dostępnych na posterunku. Ale ani Beck, ani Frank nie należeli do oficerów, którzy przedkładali prostotę sposobu nad regulaminowość. Zanim wrócili do wartowników na szosie i osiągnęli malutki budynek, była już prawie dziesiąta.

Miller zbudził się pierwszy. Nie usłyszał nic szczególnego, po prostu ogarnęło go przecucie. Był pewien, że ktoś zbliża się do budynku od tyłu. Nie miał pojęcia, która jest godzina, ale na stryszku panowała nieprzenikniona ciemność. Siąpiąca mżawka odebrała nocy światło księżycy. Sierżant z trudnością rozpoznał zarys okienka w przeciwnym ścianie.

Powoli, miękkim ruchem wielkiego dzikiego kota, próbował do niego podejść. Od okienka dzielił go jednak cały stryszek. W absolutnej ciszy trzeszczenie podłogi brzmiało wyjątkowo głośno. Miller pochylił się w prawo i z syknięciem „pst” delikatnie pociągnął Becka za nogę.

— Co się stało? — rozległ się szept w odpowiedzi.

— Nie jestem pewien, ale chyba ktoś łazi na zewnątrz.

Beck zastanowił się przez chwilę.

— Może któryś z chłopaków poszedł się odlać?

— Nie, sir. Myślę, że to niemiecki patrol.

— Kim ty, do diabła jesteś? Jasnowiedzem? Mamy środek nocy — Beck nie krył rozdrażnienia. Głos zabrzmiał teraz znacznie głośniej od szeptu.

— Pst — zmitygował go Miller.

— Hej, co jest grane? — wysyczał rozbudzony Shindler.
— Wyrzuj przez okienko i sprawdź, czy coś widzisz... i rób to bardzo cicho — nakazał Miller. Upłynęło kilka sekund.
— Nic nie widzę. Zupełny spokój.
Miller naprężył się i obrócił ku okienku za nim.
— Teraz słyszałem — Beck całkiem już się rozbudził i wyostrzył czujność.
— Czego wy tak, do cholery, nasłuchujecie? — zainteresował się Shindler.
Łupnęły otworzone szarpnięciem drzwi na dole i rozległy się ostre trzaski broni maszynowej. Dołączyło do nich kilka wybuchów, powstał jeden wielki hałas. Na dole odbywała się regularna rzeź.

Miller chwycił thompsona i skoczył do frontowego okienka. Wystawił broń na zewnątrz i przeciągnął kilkoma krótkimi seriami po daszku nad małym gankiem. Ktoś odpowiedział ogniem, po czym krzyknął. Miller trafił. Przestał strzelać i czekał.

Dudniące dźwięki ludzi uciekających z pokoju pod nimi na schody zostały przerwane strzałami. Rozległ się charakterystyczny odgłos padających ciał. Kilkanaście pocisków ze świstem przebiło klapę w podłodze, tracąc prędkość uderzyło od spodu w dach i z grzechotem rozsypało się po podłodze.

Shindler strzelał na ślepo przez okienko z tyłu. Krótkimi seriami pokrywał spory obszar. Kiedy stwierdził, że nikt nie odpowiada, przestał. Tymczasem Beck odwalił klapę w podłodze i, zanim otworzył ogień, starał się rozróżnić postaci na dole.

Strzelanina ustała równie nagle, jak wybuchła. Trzej mężczyźni na stryszku usłyszeli schodzenie po schodach. Miller i Shindler dołączyli do Becka, patrzącego przez klapę w podłodze.

Nagle ktoś na dole potarł zapalką o draskę. W chwilę później przestrzeń rozjaśniło światło lampy naftowej. Beck cofnął się i tak szybko, jak tylko mógł, cicho zamknął drzwiczki. Dobięła ich rozmowa po niemiecku:

- To chyba wszystko tutaj. Ktoś trafiony?
- Willy dostał na ganku.
- Karl, Heinrich, weźcie drugą lampę i sprawdźcie górę.

Minęło kilka sekund. Zahurgotały ciała, usuwane z drewnianych schodów. Potem rozległy się powolne, metodyczne odgłosy kroków przenoszących się ku górze. Trwało to prawie wieczność, w końcu kroki zaszurały dokładnie pod klapą na stryszek. Znowu nastąpiła długa przerwa. Kroki rozległy się ponownie w czasie inspekcji drugiej sypialni na pięterku.

- Nikogo tu nie ma. Dostaliśmy wszystkich na schodach.
- Willy nie zabił się sam — odparł głos z dołu.
- Dwóch strzelało ze schodów — wyjaśnił jeden z mężczyzn stojących pod stryszkiem.

Wyraźnie zadowolony, dowódca postanowił zakończyć sprawę.

— Idziemy. Karl bierze Willego. Jeżeli Franz i Dieter mieli kłopoty z wartą na drodze, możemy tu mieć w każdej chwili nieproszonych gości.

Dopiero gdy zamarły ostatnie dźwięki u podnóża schodów, Beck znowu otworzył klapę w podłodze.

- Ilu naliczyłeś? — spytał Millera.

- Co najmniej czterech. Dwóch weszło na górę, dwa głosy słyszałem z dołu.
- Tak samo jak ja — powiedział Beck.

Po niedługim czasie cała trójka zanurzyła się w ciemności, po omacku polując na myśliwych. Beck zastanawiał się, czy nie skierować się ku drodze do odległego o czterysta, pięćset metrów posterunku, żeby skorzystać z pomocy wartowników będących na służbie. Pomyślał jednak, że jeśli nie dali znaku życia i nie wrócili do budynku, to najprawdopodobniej również zostali zabici. Wyglądało to na zsynchronizowany atak. Weszli do rzadkiego lasu za budynkiem i ruszyli w kierunku, z którego Miller po raz pierwszy usłyszał dźwięki.

Przestawało mżyć, ale nocne powietrze wypełniła ciężka, gęsta mgła. Widoczność zmieniła się od niemal zera do całkiem sporych odległości w chwilach gdy księżyc wychodził nagle zza chmur. Nigdzie nie było śladu niemieckiego patrolu.

Po jakichś dwudziestu minutach odezwał się Miller.

— Idziemy drogą donikąd, kapitanie. Możemy być już nawet za niemieckimi liniami. Nie sądzi pan, że powinniśmy się zwinąć?

Beck pomyślał chwilę. Przyszedł mu do głowy pomysł.

— Jeden z nich powiedział, że Franz i Dieter zdejmują wartowników na drodze. Musiały więc być dwa patrole.

— I? — zapytał Shindler. Odpowiedź padła głośno i wyraźnie.

— Karl, Heinrich czy ktokolwiek. Pomocy! — krzyknął Beck.

— Franz? Klaus? — odpowiedź przyszła sprzed nich, z lewej strony.

— Tak, dostaliśmy — włączył się Miller.

Cała trójka szybko podeszła w stronę patrolu i rozsypała się, kryjąc za drzewami. Deszcz akurat znowu zanikał, a księżyc zerkał spomiędzy chmur.

— Franz? Hasło! — krzyknął ktoś głośno.

Słowa dobiegły z dużo mniejszej odległości niż poprzednio. Beck i Miller rozpoznali głos, który poprzednio wydawał rozkazy z dołu. Shindler spojrzał na Becka z niedowierzaniem. Miller, stojący na lewo od niego, odrzucił głowę do tyłu i wydobył z siebie gardłowy dźwięk.

— Są tutaj! Tędy — wykrzyknął inny głos.

Miller pierwszy zobaczył cztery sylwetki biegnących ludzi. Kierowali się prosto na niego, ale nie widzieli go. Czekał. Również Beck i Shindler mieli ich teraz w polu widzenia.

Wszyscy trzej rozpoczęli ogień w jednej chwili, jakby mieli to dokładnie wyćwiczone. Thompsony zionęły, posyłając serie ku zbliżającym się Niemcom. Wszyscy czterej naraz polecili do tyłu, okręcając się wokół własnej osi z rozrzuconymi ramionami, po czym padli na ziemię. W odpowiedzi nie odezwał się ani jeden strzał. Starcie trwało sekundy.

Na posterunku przy drodze leżały ciała czterech wartowników, pełniących tam służbę, i jednego z niemieckich napastników. Poszukiwania pozostałych zakończyły się niepowodzeniem.

W drodze powrotnej do budynku Beck zauważył, że na wschodzie niebo nad horyzontem różowieje.

Za niecałą godzinę miał nadejść świt.

Rozdział 8

Po połączeniu się z dowództwem pułku za pomocą polowego telefonu w kuchni, Beck i jego dwaj towarzysze zabezpieczali posterunek do czasu, aż zostali zluzowani. Wrócili do klasztoru na krótko przed siódmą.

Tym razem Beck nie niepokoił nikogo kołatką, tylko od razu spróbował pociągnąć za rączkę. Furta otworzyła się. Wpadli na teren i zajęli obronne pozycje na dziedzińcu.

— Siostro! — zawołał Beck.

Matka przełożona ukazała się niemal natychmiast. Na jej twarzy było widać wyraźne rozdrażnienie. Beck odezwał się pierwszy.

— Czy wszystko jest tutaj w porządku?

— Niewątpliwie. Co ma oznaczać to najście?

Kapitan wyprostował się. W ślad za nim wstali równocześnie Miller i Shindler.

— Ubezpieczajcie front i tyły - rozkazał Beck.

Miller i Shindler odbiegli. Kapitan odwrócił się do zakonnicy. Jej zaciśnięte wargi zbiegły.

— Niemcy prowadzą działania na tym terenie. W nocy patrol zaatakował amerykański posterunek na południe stąd. Lepiej byłoby, gdyby siostra wraz z resztą mieszkanki klasztoru przeniosła się tymczasowo w bezpieczniejszy rejon.

— Co za nonsens! Żołnierze przechodzą tędy bez przerwy, w tę i z powrotem. Najpierw byli Niemcy, teraz Amerykanie. Nikt nas nie niepokoi. Dziękujemy za pana troskliwość, ale sądzę, że powinien pan opuścić klasztor.

— Opuścić? Muszę dokończyć rozmowę z Marią. Nie pamięta siostra?

— Teraz jest to zupełnie niemożliwe, odmawiamy nieszpory, potem Maria ma poranne zajęcia. Może po południu...

— Mogę poczekać do końca niesporów, ale to wszystko. Proszę dać jej zajęcia komu innemu. Czas jest luksusem, na który mnie nie stać.

Stara zakonnica zmarszczyła brwi i utkwiała spojrzenie czarnych jak węgiel oczu w Becku.

— Młody człowieku, to jest klasztor. My mamy reguły.

— Powiem siostrze coś o regułach — Beck czuł wzbierającą wściekłość, zaczęły mu pulsować żyły na szyi. — Właśnie załadowaliśmy na ciężarówkę, jadącą na cmentarz, ciała dwunastu amerykańskich chłopców. Do nich reguły raczej już się nie stosują. Dookoła toczy się wojna światowa. Wasi germańscy sąsiedzi nie przejmują się żadnymi regułami gry. Muszę skończyć rozmowę z Marią, i to teraz, żeby wrócić do poważnych zajęć i pomóc w zakończeniu tej wojny. - Złapał oddech. Ciągnął nieco ciszej, ale nadal bardzo stanowczo — Albo pójdzie siostra po Marię natychmiast, albo wejdę tam bez żadnego zezwolenia i sam ją znajdę. Proszę zapomnieć o mojej propozycji, że zaczekamy do końca niesporów. Za wszelką cenę muszę z nią porozmawiać. Czekam!

Przełożona wiedziała, że Beck nie żartuje. Nie pamiętała, kiedy ostatnio potraktowano ją równie grubiańsko. Skoro ten Amerykanin był na tyle nieobliczalny, żeby wtargnąć do

klasztoru, to z pewnością był także gotów spełnić groźbę. Skonsternowana szybko się odwróciła i poszła pa Marię.

Kiedy dziewczyna przyszła do Becka na dziedziniec, kapitan z zadowoleniem spostrzegł, że się uśmiecha i jest w zdecydowanie dobrym nastroju.

— Co pan powiedział matce przełożonej? Nigdy nie widziałam jej tak wyprowadzonej z równowagi. Przekręca słowa i zaciska dłońie!

— Chciała, żebym zaczekał do popołudnia na dalszy ciąg naszej rozmowy. Powiedziałem jej, zupełnie bezceremonialnie, że to niemożliwe.

— Musiał pan powiedzieć coś więcej. Wstrząsnął pan jej spokojem. Żadna z nas nie widziała jej w takim stanie. To wspaniałe. Ona jest człowiekiem! — Maria uśmiechnęła się szeroko.

Przenieśli się na kamienną ławkę, na której siedzieli poprzedniego dnia. Kiedy usiedli, odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w twarz. Zachowywała się zupełnie inaczej niż dołą wcześniej, kiedy pochylała głowę. Beck zaczął.

— Mario, naprawdę muszę wiedzieć wszystko, co potrafisz sobie przypomnieć na temat jaskiń, absolutnie wszystko. Czy podłoże jest równe? Czy może tam wjechać ciężarówka? Na ile są wysokie i jak daleko można nimi iść. Czy wejście jest dobrze widoczne od zewnątrz? Takie rzeczy.

Wydęła wargi i zamyśliła się. Minęło parę chwil, nim odpowiedziała.

— To było naprawdę dawno...

— Rozumiem, ale proszę, spróbuj.

— Pamiętam, że budziły we mnie lęk i były ogromne. Ale dziecku wszystko wydaje się ogromne. Były też bardzo głębokie, brat mówił, że ciągną się i ciągną. Nie wchodziłam tak daleko, tylko do pierwszej komnaty, która ma wielkość piłkarskiego boiska.

— Jak szerokie jest wejście? Czy widać je od zewnątrz albo z głównej drogi w miasteczku?

— Nie. Dookoła są góry. Wieś leży daleko od czegoś, co można nazwać szosą. Jest ukryta między wzgórzami. Jeśli nie zna pan jej położenia, trudno do niej trafić.

— A wejście?

— Zdaje mi się, że z jednego miejsca we wsi można je zobaczyć. Widać zresztą tylko, gdzie się znajduje, a nie sam wylot. Przez wylot może się przedostać jeden człowiek. Dalej jaskinia bardzo się rozszerza. Zmieściłaby się tam i mogła jeździć ciężarówka, ale jak przedostałaby się do środka?

— Powiedziałas, że byłaś w jaskini dwa czy trzy razy...

— Przypomniałam sobie ostatniej nocy. Na pewno trzy razy — przerwała mu.

— Ile miałaś wtedy lat?

— Osiem, a za trzecim razem dziewięć. To było w weekend i miałam urodziny. Cyganka dała mi wtedy bukiet kwiatów. Kiedy wuj dowiedział się, że byliśmy w jaskiniach, sprzą Klaus, a mnie powiedział, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek zbliżymy się do jaskiń, to już nigdy nie zabierze nas do Chapelleburga. Zresztą mnie nigdy więcej ze sobą nie wziął, ale Klaus tak. Brat był ministrantem.

Beck usłyszał w jej głosie ślad smutku.

- Czy potem brat jeszcze bywał w jaskiniach? Czy opowiadał ci o tym?
- Nie sędzę, żeby bywał. Jestem pewna, że powiedziałby coś na ten temat. Skoro jednak wuj zabronił tam chodzić, to na pewno Klaus tego nie robił.
- Czy Klaus kiedyś mówił, jak jaskinie wyglądają głębiej?
- Tylko że strach tam chodzić i łatwo się zgubić. Powiedział, że zszedł na samo dno, ale sędzę, że zmyślał.
- Pamiętasz coś jeszcze?
- Zastanawiała się głęboko przez kilka sekund, potem potrząsnęła głową.
- Nie. Powiedziałam wszystko, co sobie mogę przypomnieć. Czy to w czymś pomoże? Uśmiechnęła się.
- Nie jestem pewien. Wolałbym, żebyś była tam mając dziewiętnaście lat, a nie dzie-
sięć.
- Dziewiętnaście? — spojrzała z zainteresowaniem. — W tym wieku nie zajmowały
mnie stare jaskinie. Wydawało mi się wtedy, że Kocham życie.
- Czy wtedy właśnie opuściłaś klasztor?
- Tak. Mieszkałam przez trzy lata w Berlinie i Paryżu. Byłam tancerką. — Pochyliła się
ku niemu i konspiracyjnym szeptem dodała: — W kabaretach! — Zachichotała.
- Myślałam, że masz za bardzo uduchowiony wygląd na taki tryb życia.
- To było dawno — odparła bardzo poważnie. — Popeliłam błąd. Moje miejsce jest
tutaj, w służbie Bogu.

Wracał jej szampański humor.

- Ale niech pan powie coś o sobie, żebym mogła powtórzyć siostrom. Wasza trójka
wygląda dość tajemniczo.
- Tajemniczo? Matka przełożona mówiła, że żołnierze przechodzą tędy często.
- Przechodzą, czasami wkraczają na nasz teren, ale nigdy do klasztoru. A matka prze-
łożona powiedziała, że chce się pan wdrzeć i szukać mnie we wszystkich celach. — Robiła
wrażenie, jakby skierowana na nią uwaga sprawiała jej przyjemność.
- Zaczęły bić dzwony. Maria wstała i spojrzała na Becka.
- Naprawdę muszę iść. Skończyły się poranne nieszpory, mam dużo roboty w kuchni.
- Kapitan pomyślał, że czuje, jak część jej osoby opiera się odejściu. Szeroko otworzyła
oczy, migotały w nich diabelskie ogniki.
- Jeśli wdrze się pan jeszcze raz po południu, może mi pan opowiedzieć o sobie... i o
tym, który rąbał drewno... O Millerze?
- Tak. Nazywa się Miller. Ale niestety nie będzie to możliwe. Musimy wracać do na-
szego oddziału. Mamy daleką drogę przed sobą, parę godzin.
- Więc nie wróci pan nigdy. Ani pan, ani reszta? — W pytaniu brzmiał leciutki zawód.
- Nigdy to bardzo długo, Mario. Może kiedy wojna się skończy, pojawię się w tej oko-
licy. — Urwał. Co on wyrabia? W tym czasie dziewczyna będzie już zakonnica. „Nie fantazjuj
jak uczeń”, strofował się.

A jednak chciał wiedzieć:

- Ucieszyłabyś się, gdybym wrócił?

Zaczęła się rumienić. Pochyliła głowę, natychmiast zerwała się i uciekła. Zanim dotarła do skraju dziedzińca, Beck usłyszał słaby okrzyk:

— Nie.

Nie uwierzył jej.

* * *

Ćwiczenia i przygotowania do pięciu oddzielnych misji przewidywano na sześć tygodni. Grupy miały wyruszać co dwa dni, począwszy od 24 września. Ale w czasie wojny zadania, które wczoraj były kapitalnej ważności, mogą okazać się całkiem podrzędne dziś, nie mówiąc już o jutrze. Często zdarzają się więc nieuniknione i nieprzewidziane opóźnienia.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu ostrych ćwiczeń przez Becka i jego ludzi, alianci oswobodzili Paryż. Czołgi 2 Dywizji Pancерnej wtoczyły się do miasta z południowego zachodu, 25 sierpnia o siódmej rano. Amerykańskie oddziały z południa weszły wkrótce potem. Około południa cała dwudziestka mostów łączących oba brzegi Sekwany była zapchana armiami wyzwolicieli.

Generał Dietrich von Choltitz, komendant Twierdzy Paryż, złamał rozkaz Hitlera dotyczący zniszczenia miasta. Miał później powiedzieć tym, którzy wzięli go do niewoli, że nie mógłby żyć z myślą, iż wszedł do historii jako człowiek dokonujący zniszczenia najpiękniejszego miasta na świecie. Piętnaście po trzeciej poddał się formalnie francuskiemu generałowi brygady Jacquesowi Philippowi Leclercowi.

Minęły jeszcze dwa dni i Naczelne Dowództwo przyznało, że sojusznicze siły na kontynencie są dotknięte bardzo ostrymi brakami w zaopatrzeniu. Dla ludzi z pałacu w Granville niedobory miały trwać dłużej niż dla większości.

Do Belgii pierwsze oddziały amerykańskie wkroczyły 1 września i Eisenhower rozkazał zatrzymać działania 1 Armii oraz 3 Armii dowodzonej przez generała Pattona, z powodu braku paliwa. Obie armie potrzebowały w przybliżeniu po czterysta tysięcy galonów dziennie. Niemcy wykorzystali chwilową ciszę na przegrupowanie.

W dniu 16 września Adolf Hitler zarysował przed swoimi generałami plan zmasowanej kontrofensywy w Lesie Ardeńskim. W owym czasie Niemcy dysponowali na Froncie Zachodnim pięćdziesięcioma pięcioma dywizjami przeciwko dziewięćdziesięciu sześciu dywizjom sojuszniczym wspomaganym przez tuzin rezerwowych, stacjonujących w Wielkiej Brytanii. Ofensywa pod kryptonimem „Spojrzenie na Ren” była jednak kilkakrotnie odraczana, zanim ją urzeczywistniono. Następnego dnia sojusznicze oddziały komandosów w sile ponad dwudziestu tysięcy ludzi wylądowały na tyłach niemieckich linii w Holandii, rozpoczynając operację „Market Garden”. Po tygodniu brak paliwa znowu zatrzymał postępy generała Pattona.

W dalszym ciągu wydarzeń, 13 października Amerykanie zajęli Akwizgran, leżący niewiele kilometrów od celu Becka, czyli jaskiń w Chapelleburgu. Chociaż ta maleńka wieś nie znalazła się na drodze zdobywających teren oddziałów amerykańskich, ale wiele przygotowań

do działań na tyłach wroga i tak poszło na marne. Niemieckie mundury, broń i wyposażenie, których wykorzystanie planowali ludzie Becka, musiały zostać zastąpione przez sprzęt amerykański. Nieprzydatne okazały się zdobyczne pojazdy. Trzeba było czekać na wymianę ciężarówek.

Na Pacyfiku generał Douglas Mac Arthur powrócił na Filipiny po czterogodzinnej walce przy lądowaniu, do którego doszło 20 października. Największa potyczka w historii wojen na morzu, bitwa w zatoce Leyte, zaczęła się w trzy dni później. Japończycy stracili trzydzieści cztery okręty, w tym trzy pancerniki. Zarówno na Pacyfiku, jak w Europie koniec wojny wydawał się odległy na wyciągnięcie ręki.

Tak rozwijały się wypadki. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że grupa Becka już, już dostanie rozkaz i wyruszy, na przeszkodzie stawały kłopoty z zaopatrzeniem i wyposażeniem. Gdy w końcu wszystko zaczęło być dostępne, konieczne zapasy nadano w niewłaściwą stronę, a zamiast oczekiwanego wyposażenia i pojazdów, które okazały się potrzebne gdzie indziej, przysłano bezużyteczny sprzęt zastępczy.

W początkach grudnia ciągle jeszcze czekała na wymarsz pierwsza grupa. Opóźnienie misji w stosunku do harmonogramu osiągnęło kilka miesięcy. Miller i niektórzy z ludzi zastanawiali się, czy wyruszą przed kapitulacją Niemiec. Robiono na ten temat zakłady.

W końcu wszystko znalazło się na swoim miejscu i 4 grudnia pierwsza grupa wystartowała. Ludzie Becka, ostatni w kolejności, mieli wyruszyć dopiero 13 grudnia, chociaż ich cel, jako jedyny z pięciu, znajdował się w rękach aliantów, a właściwie prawie w rękach aliantów.

* * *

— Kapitanie, Shindler miał wypadek. Jest ciężko ranny, podejrzewają, że się z tego nie wyliże. — Miller wkroczył bez pukania do kwatery Becka w po wozowni.

Beck spojrzął znad dokumentów, które przeglądał na małym biurku.

— W wieczór przed rozpoczęciem misji... — powiedział, bardziej do siebie niż do Millera. — Co się stało?

— Rąbnął czołem wozu w stojącą kolumnę pojazdów, których kierowcy urządzili sobie popijawę pod tym cholernym wzgórzem za wsią. Zabrali go do dywizyjnego szpitala polowego.

— Jechał sam?

— Tak, sir. Świadkowie mówią, że ani trochę nie zwolnił, po prostu leciał na łeb na szyję z góry i łubudu! Twierdzili, że miał czas na hamowanie. Wracalem akurat do pałacu i byłem tam zaraz po wypadku. Z wozu zostały drzazgi.

— Czy ktoś z tej kolumny odniósł rany?

— Nie, sir. Kierowcy spierali się o coś koło samochodów, więc zdążyli uskoczyć... — Miller urwał, po czym dodał: — Musiał mieć coś z hamulcami. Na pewno trzasnęły. Chryste, kiedy ta zła passa się skończy? Pokręcił głową, jakby przekonywał samego siebie.

Ale przecież nie ma w tym żadnego sensu. Shin sprawdzał pojazdy dziesiątki razy, zawsze przechwalał się przed Smythem, że są w lepszym stanie niż limuzyny Rolls Royce'a.

Beck siedział nieruchomo przez kilka chwil, potem spytał:

— Co Shindler prowadził?

— Ciężarówkę z naszego wyposażenia... dwuipółtonową, tę, którą zwykle wozimy ludzi. Dzisiaj wieczorem też mieliśmy ją jechać, do Point Du Hoc na nocną wspinaczkę... — powiedział, ścisząc głos.

— Gdybyśmy pojechali, w ciężarówce byłoby pełno ludzi — dokończył Beck cichym, monotonnym głosem. — A jutro rano, o piątej, startujemy.

Rozległo się pukanie. Smythe wszedł, nie czekając na odpowiedź.

— Preston, mam do ciebie kilka pytań na temat przewodu hamulcowego.

Oficer marynarki spoglądał na Becka i Millera, wykonując scenkę mimiczną, mającą oddać rozmowę: „Hallo, Preston, to ładnie, że wpadłeś. Czy skończyłeś już raport? Tak, a czemu pan pyta, kapitanie?...”

— Preston, nie chcę być niegrzeczny, ale to pilne. Shindler rozbił jedną z ciężarówek. Jest w bardzo ciężkim stanie. Chcę, żebyś powiedział, czy było coś nie tak z hamulcami.

— O Boże, wyjdzie z tego?

— Skąd mam wiedzieć? Właśnie usłyszałem to od Millera. Potrafisz stwierdzić, czy ktoś majstrował przy przewodzie hamulcowym?

— Oczywiście. To jest podstawa.

— Dobrze, więc chodźmy. — Beck wstał i obszedł biurko. — Miller, rzucimy okiem na tę ciężarówkę. Dokąd ją zabrali?

— Jeszcze donikąd. Zepchnęli na bok drogi. Taki jeden z parku maszynowego powiedział, że zanim się zabiorą do jej ściągnięcia, minie z tydzień.

— Bierz jeepa albo limuzynę i jakieś narzędzia do wymontowania przewodu hamulcowego — polecił Millerowi i spojrzał na Smythe'a. — Wiesz co będzie potrzebne?

— Porządne nożyce wystarczą.

— Załatw nożyce lub coś w tym rodzaju. Będziemy czekać za dwie minuty przed powoznią. I zachowaj wiadomość o wypadku Shindlera dla siebie.

Miller wypadł na zewnątrz, głośno trzaskając. Smythe doszedł do drzwi i otworzył je przed Beckiem.

— Skąd to zainteresowanie hamulcami?

— Możliwe, że ktoś próbował go zabić.

— Nie mówisz tego poważnie?

— Jak najpoważniej. Najpierw Lundemann i Gregg wylecieli w powietrze.

— Pech, który jednak w tej robocie się zdarza.

— Potem spadochron Haultera się nie otworzył...

— Twoi ludzie go sprawdzili. Uznali, że doszło do smutnego, ale ucziwego wypadku.

— Tylko czy naprawdę. Może przyglądali się nie dość dokładnie?

— Bill, myślę, że szukasz dziury w całym. Shindler miał po prostu paskudny wypadek w wieczór poprzedzający rozpoczęcie misji. Haulter zginął w tragicznym wypadku i tamci dwaj też. — Powiedziawszy to, Smythe przyznał w duchu, że jak na tak małą grupę w tak krótkim czasie był to zbieg wyjątkowo nieszczęśliwych okoliczności.

Stali przed powozownią. Miller podjeżdżał do nich po trawniku.

— OK., Preston, skoncentrujmy się na Shindlerze. Znasz jego umiejętności kierowcy i skłonność do sprawdzania pojazdów, które miał pod opieką. — Ruszyli w stronę zbliżającej się limuzyny.

— O rany, pewnie że tak. Fachowiec pierwsza klasa... Nigdy nie widziałem kogoś tak dbającego o sprzęt. A także równie dobrego mechanika.

— Więc wyjaśnij, jak mógł stracić panowanie nad hamulcami. — Było to życzenie, nie pytanie. Miller zahamował i oficerowie wsiedli.

— Ale, żeby ktoś próbował go zabić? Nie sądzisz, Bill, że to nieco melodramatyczne? Nikt spoza naszej grupy nie ma tu dostępu.

— Właśnie — odparł Beck, a tymczasem Miller minął pałac i rozpoczął długą jazdę przez posterunki, do głównej drogi. — Myślę, że pomiędzy uczestników misji przeniknął szpieg. Jeden z ludzi, których widzujemy na co dzień, jest Judaszem.

— Daj spokój, Bill. Z pewnością nikt nie próbował zabić Haultera. Wielkie nieba, mogę tego dowieść. Przecież on skakał z twoim spadochronem!

— Co? — Beck nie wierzył własnym uszom.

— Z twoim spadochronem. Dałem mu go w samolocie, bo miał kłopoty ze swoim. Sam wzięłem spadochron Millera. No widzisz? Gdyby ktoś chciał go zabić, powinien uszkodzić jego spadochron, nie twój.

— Chyba że chcieli zabić dowódcę misji — dodał Beck beznamyślnie.

W samochodzie zapadło milczenie, wszyscy zatonęli we własnych myślach. Kiedy stanęli na miejscu wypadku, Smythe odezwał się do Millera:

— Sierżancie, macie nożyce?

— Nie, sir. Może być klucz francuski albo łom. Jeśli trzeba coś więcej, pójdę do parku maszynowego. Jest niedaleko stąd.

— Niech będzie klucz. Nawet lepiej. Wyciągniemy cały przewód.

Beck zaczął chodzić w kółko, a Miller odpoczywał, oparty o przedni błotnik. Zdawało się, że upływa wieczność. W końcu Smythe wysunął się spod ciężarówki, ciągnąc za sobą przewód. Miller podszedł do bagażnika i otworzył go. Smythe wrzucił do środka przewód i wyjął z tylnej kieszeni latarkę.

— Kończą się baterie. Proponuję wymienić, kiedy tylko wrócimy ze szpitala. Na razie chcę sprawdzić, co z Schindlerem.

— Widziałeś cokolwiek, czy potrzebujesz więcej światła? — spytał Beck.

Smythe zatrasnął bagażnik i spojrzał mu w oczy.

— Gdybyśmy kierowali sprawę do sądu, byłby oczywiście potrzebny test chemiczny, ale jestem pewien, że ktoś wprowadził kwas do przewodu, na odcinku między podwoziem i pedałem hamulca.

Kiedy dotarli do szpitala polowego, Shindler już nie żył. Zmarł nie odzyskawszy przytomności. Beck i Smythe wrócili do powozowni i czekali tam na Franka, który większość dnia spędził w Naczelnym Dowództwie. Dowiedziawszy się o podejrzaniach, natychmiast odwołał nocne ćwiczenia.

Cała trójka spotkała się u pułkownika.

— Jesteście absolutnie pewni? — spytał Frank.

— Nie można bardziej. Znam się trochę na chemikaliach. Bez wątplenia posłużono się kwasem, żeby osłabić docisk.

— Ale zanim Shindler dotarł na wzgórze, musiał parę razy hamować. Choćby przy posterunkach na drodze dojazdowej.

— To prawda, ale jeśli ten ktoś zna się na robocie, to mógł wprowadzić tyle kwasu, żeby hamulce puszczały stopniowo. W ten sposób przy normalnym zatrzymaniu hamulce działają, przynajmniej przez pewien czas. Za to próba użycia ich przy dużej prędkości albo przy zjeździe ze wzgórza sprawia, że przestają trzymać w okamgnieniu.

— Ile godzin minęło od wprowadzenia kwasu? — spytał Beck.

— Trudno określić dokładnie. Sądzę, że zrobiono to rano. Osiem, może dziesięć godzin temu, ale na pewno nie więcej.

— Shindler był przez cały dzień zajęty dodatkowym jeepem. Ktokolwiek go załatwił, najprawdopodobniej wiedział, że ma za dużo pracy, żeby coś robić z ciężarówką. Przed waszym ostatnim wyjazdem do Point du Hoc miał mnie jeszcze zawieźć na lotnisko. A dla wszystkich pasażerów ciężarówki to mógł być rzeczywiście ostatni wyjazd. Zwykle wozimy w niej materiały wybuchowe — dodał Beck.

— No cóż, przynajmniej wiecie, że ktoś tu gra podwójną rolę. Teraz trzeba go dostać, zanim on dostanie was — stwierdził Smythe.

— Dostaniemy go — obiecał Beck.

— Gdybym posłuchał Boyle'a... — Frank wyglądał przez okno w ciemność.

Beck i Smythe wymienili szybkie spojrzenia. Frank odwrócił się i ciągnął:

— Boyle przypuszczał, że ktoś mógł zrobić brzydki kawał ze spadochronem Haultera. Gdybym wiedział wtedy, że to twój spadochron, może złożyłbym fakty do kupy.

— Było, minęło. Gdybanie nic nie zmieni. Mamy rozkaz wyruszyć o piątej i wyruszymy. — Beck przerwał i dodał: — Czułbym się o niebo lepiej, gdyby Shindler siedział za kółkiem pierwszego wozu, kiedy będziemy wjeżdżać do jaskiń.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Przypomniał sobie, jak wysoko Shindler oceniał Smythe'a.

— Preston, nie chciałbyś pojechać z nami na tę misję?

Całkowicie zaskoczył Anglika.

— Mój Boże, porzuciłem myśl o tym przed miesiącami. Prawdę mówiąc, znakomicie bawiłem się z wami na ćwiczeniach. A meldunki naszego wywiadu oczywiście potwierdzają to, o czym kiedyś mówił mi pułkownik Frank: naziści zachomikowali zrabowane skarby w Norymberdze. Wyraźnie dałem do zrozumienia moim przełożonym, że nie oczekuję przydziału w to miejsce, skoro Niemcy się poddają.

— Ale czy pojechałbyś?

— Hm, nie wiem. Gdyby to było konieczne...

— To jest konieczne. W czasie selekcji personelu na tę misję do najtrudniejszych zadań należało znalezienie świetnych kierowców ze stalowymi nerwami. Ludzi z szóstym zmysłem do prowadzenia samochodu. Nie wiemy, jak głęboko trzeba i można będzie dostać się wozem w jaskiniach, ale przygotowujemy się na najgorsze. Czeka nas trudna jazda, prawdopodobnie pod ostrzałem, w każdym razie jeśli uda nam się znaleźć skarb i jeśli on jest strzeżony.

Do takiej roboty nie nadaje się pierwszy lepszy facet, który siądzie za kółkiem.

— Mógłbym zaryzykować, pomyślę nad tym — Smythe zapalał się do pomysłu. — A pojadę pierwszym wozem?

— Tego bądź pewien.

Spojrzał na Franka:

— Pułkowniku, czy mógłby mi pan załatwić o tej porze połączenie z Londynem. Właśnie zmieniłem plany.

Mając świadomość, że Smythe i Miller wiedzą o incydencie z przewodem paliwowym, a także opierając się na tym, co Frank mówił o śmierci Haultera, Beck postanowił wtajemniczyć także Boyle'a.

Miał teraz dodatkowe trzy pary oczu i uszu, żeby wyłowić tego skurwiela.

Rozdział 9

O świcie 13 grudnia pogoda i wojenne nowiny były sprzyjające. Mały konwój samochodowy, dowodzony przez Becka, przygotował się do opuszczenia miejscowości Granville na półwyspie Cotentin.

Ustał zimny front, który w poprzedzającym tygodniu sprawił, że temperatura utrzymywała się dobrze poniżej zera, a na jego miejsce przysłała niemal wiosenna pogoda. Termometr wskazywał 10°C. Z meteorologicznego punktu widzenia pozostawało jeszcze osiem dni do szóstej wojennej zimy. Ale ci, którzy ją przeszli, mieli potem pamiętać najostrejsze mrozy w całym ćwierćwieczu.

Względny brak aktywności ze strony Niemców na Froncie Zachodnim napawał optymizmem. Wprawdzie trzy dni wcześniej podjęto wściekły kontratak skierowany przeciwko 3 Armii generała Pattona w rejonie Saarlautern, ale w większości pozostałych miejsc Niemcy byli w odwrocie, wycofywali się.

Na przeszkodzie 7 Armii Amerykańskiej, dążącej do przejścia rzeki Rur, stanęły umocnienia Linii Maginota. Zarówno szeregowi, jak generałowie czuli jednak, że Wehrmacht jest w rozsypce. Dwaj wysokiej rangi dowódcy aliantów założyli się nawet o datę zakończenia działań wojennych. Bernard Law Montgomery postawił przeciwko swemu przełożonemu, Dwightowi D. Eisenhowerowi, że przed Bożym Narodzeniem będzie po wszystkim. W takie pogłoski wierzone powszechnie, bez względu na stopień wojskowy.

W następstwie tego najdalej posunięta ostrożność, którą przedtem zachowywano wobec misji, znacznie zelżała. Mówiono nawet o wyjściu na noc do miasta, kiedy konwój dotrze do Paryża.

Smythe zapalił miękkim ruchem silnik ciężarówki. Wyglądał na niespokojnego. Tymczasem Frank wyjął mapę i rozłożył ją na masce wozu, przy kabinie kierowcy. Beck, Miller i Boyle przyglądali się, stojąc obok, Smythe patrzył i słuchał przez okienko.

Rozkaz Naczelnego Dowództwa z godziny jedenastej zalecał Frankowi wybór dwóch z grupy i natychmiastowe promowanie ich na stopień podporucznika. Po porozumieniu z

Beckiem pułkownik zdecydował się na Millera i Boyle'a. Obaj chcieli odmówić, ale po przy-
nagleniach Becka przyjęli awans. Frank powiódł palcem wskazującym po mapie.

— Możecie oczekiwać niesprzyjającej pogody po drodze. Zapomnijcie o Niemcach, zda-
je się, że waszym najgorszym wrogiem będzie mróz. Stąd do Paryża jedzie się zwykle cał-
kiem miło i łatwo; dokładnie na wschód, trzeba tylko uważać na znaki. Potem macie dwie
możliwości. Pierwsza, z Paryża na północ do Brukseli, potem na wschód. Trasa biegnie w
większości przez Belgię. A kiedy już przekroczycie niemiecką granicę, do Akwizgranu będzie
bardzo blisko. Druga droga, to po dotarciu do Paryża skręć na północny-wschód do Reims,
potem na ukos przez Francję i Luksemburg do Liège w Belgii, a stamtąd do Akwizgranu
oraz Chapelleburga. Najświeższe meldunki mówią, że cały teren Belgii, Luksemburga i
północnych Niemiec jest pokryty warstwą śniegu do kolan. Wkrótce mają spaść następne
porcje tego białego słoństwa.

— Którą drogą będzie szybciej? — spytał Smythe.

— W normalnych warunkach drugą, i mimo wszystko pojechałbym tamtędy. Należy się
jednak spodziewać, że transporty wojskowe, oczywiście nasze, korkują drogi, blokując
wszelkie możliwości przejazdu. Poza tym napotkacie częste i skrupulatne posterunki w
rejonie kwater Naczelnego Dowództwa w Wersalu. Zabezpieczyli się tam o wiele lepiej, niż
przedtem, kiedy byli tu naszymi sąsiadami.

Frank wyjął paczkę papierosów i puścił ją obiegami. Poczęstowali się tylko Smythe i
Miller.

— Skąd tam tyle pojazdów? — chciał wiedzieć Smythe.

— Od pewnego czasu wszędzie jest duży ruch na zachód. Właściwie w każdym miejscu
należy się liczyć z opóźnieniem. Stąd i duży kłopot. Podróż, która powinna zająć dziesięć
godzin, może trwać nawet trzy dni. Na domiar złego 106 Dywizja, w pełnej sile 16 tysięcy
ludzi, idzie na „front duchów”, gdzie zastąpi 2 Dywizję, przenoszącą się z kolei na służbę w
Liège. Obie możecie spotkać i na głównej drodze, i na bocznych.

„Front duchów” był powszechnie używaną nazwą terenu, na który wysyłano nowo
uformowane jednostki. Przygotowywały się tam one do walki przez bezpośredni kontakt z
wrogiem, nie przejawiając jednak aktywności. „Front duchów” powstał we wrzeźniu i sta-
nowił najdalej wysuniętą pozycję aliantów w Niemczech. W tej chwili na Froncie Zachod-
nim nie było prawdopodobnie spokojniejszego odcinka.

— Co to ma być, do diabła, 106 Dywizja? Nigdy o takiej nie słyszałem — zainteresował
się Beck.

— Nowi. Jest to dosłownie najświeższa dywizja na którymkolwiek z alianckich fron-
tów... zielona jak liście na drzewie.

— Ciekaw jestem, jakie mają znaki — włączył się Miller.

— Złote lwy na ramieniu. Macie szansę spotkać ich kolumny w Belgii — Frank stuknął
kilką razy palcem w mapę. — Uważajcie, żeby się na nich nie włądować, bo inaczej będziecie
szukać Akwizgranu jeszcze na Wielkanoc.

— Myślę, że uda nam się objechać te kolumny, panie pułkowniku — Smythe zrobił minę,

przewracając oczami jak Eddie Cantor, co rozbawiło resztę.

— Mam nadzieję.

— Którędy jedzie ta dywizja, panie pułkowniku? — spytał Miller.

— Należy sądzić, że jest to tajemnica wojskowa. Jednakże są tylko dwie drogi, które mogą wytrzymać ciężkie pojazdy. Obie przecinają waszą trasę jak strzelił. Ptaszki powiedziały mi jednak, że jeżeli się sprężycie jadąc drugą drogą, to macie spore szanse na uniknięcie ich głównych sił. — Mrugnął i mówił dalej. — Dywizja zatrzymuje się w rejonie górskiej wioski Shoenberg, w Belgii. Potem ma około dwóch mil marszu na pozycję w Niemczech, naprzeciwko Linii Zygryda.

Beck dokładnie przyjrzał się mapie.

— Shoenberg leży mniej więcej w pół drogi między Liège i Bastogne.

— Nie przejmujcie się za bardzo sto szóstą, będziecie mieli mnóstwo innego towarzysztwa zawadzającego na drodze. — Frank złożył mapę i wręczył ją Beckowi.

— Kapitanie, tracicie cenne światło dnia. Proszę dać komendę do odjazdu!

Pułkownik klepnął Becka po ramieniu i obdarzył wszystkich szerokim uśmiechem.

Miller i Boyle zasalutowali, Frank odwzajemnił honory, potem uściśnął dłoń Becka i sięgnął do szoferki, żeby zrobić to samo ze Smithem. Beck obszedł maskę i wsiał na miejsce obok kierowcy, Miller i Boyle szybko oddalili się do swoich pojazdów.

Frank wręczył Smythe'owi dużą kopertę, utrzymaną wcześniej pod pachą.

— Byłbym zapomniał. Proszę to dać Beckowi. — Cofnął się tak, żeby widzieć obu mężczyzn w kabinie, i zawołał: — Macie mały prezent od przyjaciół z wywiadu, ostatnie obserwacje ruchu wojsk niemieckich w rejonie, do którego się kierujecie. Przeczytajcie to przed dojazdem do Paryża, potem zniszczcie. Nie chcę, żeby wróciło i mnie straszycie. — Skinął Beckowi, który odpowiedział w ten sam sposób. Smythe wrzucił bieg, ale Frank miał jeszcze dla niego kilka słów na pożegnanie.

— Jesteś gościem pierwsza klasa, Preston. Cieszę się, że jedziesz na misję. Podziękowania dla ochotnika.

— Dziękuję, Chris. Miło słyszeć od ciebie coś takiego — Smythe uśmiechnął się do niego od ucha do ucha. — Szczególnie po tej przeklętej szopce, którą razem z Beckiem urządziliście z okazji mojego przylotu.

Franka zamurowało.

— Co masz na myśli... Nie rozumiem...

— Dobra, dobra, Chris. A ta cała bezużyteczna pańszczyzna? Czasochłonne grzebanie w papierach i wydumane polecenia! Wiesz przecież, że nie urodziłem się wczoraj. Ratowało mnie tylko, że jako niańkę przydzieliliście mi tego biedaka Shindlera. Fajnie się dogadywaliśmy...

— Ale skoro wiedziałeś, że organizujemy ci zajęcia na okrągło, to dlaczego nie zaprotestowałeś ani nie porozmawiałeś z nami? — włączył się Beck.

— William, drogi przyjacielu, są pewne rzeczy, które gentleman robi, a są rzeczy, których nie robi. Postanowiłem przyjmować cierpienie w milczeniu... Zadawali je wszak

oficerowie armii oberwańców z kolonii! Armii, która wyczarowuje poruczników za skinieniem różdżki. Cyk i już! U nas przynajmniej wysyła się chłopaków na jakie takie szkolenie.

Tym razem górą był Smythe, i wyraźnie sprawiało mu to przyjemność.

— Rób taki teatr na drodze! — warknęła Frank i klepnęła drzwiczki ciężarówki. Odszedł, kręcąc głową. Cieszyło go wysokie morale grupy. Był to dobry znak na początek misji. Przypomnił sobie słowa Napoleona: „W czasie wojny morale jest trzy razy ważniejsze od siły fizycznej”. Pomyślał jeszcze, że przygotowania fizycznego też nikomu nie brakuje.

Miller wsiał jako drugi do szoferki w swojej ciężarówce i zwrócił się do Hausera:

— Charlie, nie myśl sobie, że cię lekceważę, ale powinienem się chyba trochę przespać. Obudź mnie, jak będzie widać Paryż.

— No, no, no, już się zaczyna. Ledwo dostał oficerskie szlify i już wykorzystuje uprzywilejowaną pozycję. Bardziej mi się podobało, kiedy byłeś durnym sierżantem.

I Miller, i Boyle oczekiwali porcji docinków od kolegów, zresztą nie omylili się.

— Pocałuj mnie w oficerską dupę — Miller rozłożył się na siedzeniu i zamknął oczy.

Boyle wślizgnął się na swoje miejsce w ostatniej ciężarówce, prowadzonej przez kaprała Wernera Shoena, poprzednio nowojorskiego taksówkarza.

— Do Paryża, Janie, a nie żałuj koni!

— To ci oficerski humor! Posłuchajcie sierżancie, chciałem powiedzieć, poruczniku. Skoro już nam przyszło jechać razem, to moglibyście okazać litość dla nas, zwykłego mięsa armatniego, i nie srać wyżej dupy.

Boyle obrócił się ku niemu i zaczął z pretensjonalną manierą:

— Czy wiecie, do kogo mówicie, mój dobry człowieku? Pułkownik Frank jednym kawałkiem papieru zrobił ze mnie oficera i gentlemana. — Urwał, a potem dodał normalnie: — W każdym razie do końca misji.

— Sądysz, że to nie na stałe?

— Nie, kolego. Nie mam najmniejszego zamiaru być oficerem w tym pospolitym ruszeniu. Miller też nie. To może interesować facetów marzących o karierze w armii. Ja jestem tu przelotem, podobnie Miller. Daliśmy się w to zrobić, ale tylko jako p.o, poruczników, i tylko dlatego, żeby Beck się od nas odpieprzył.

— Więc po cholere! ta cała pompa z waszą promocją?

— Jakiemuś pułkownikowi z Naczelnego Dowództwa musiała odbić szajba, że coś nie gra. Obejrzał listę i stwierdził, że poza Beckiem nie ma w tym interesie oficerów.

— Beck świetnie się nadaje na oficera. Frank też... Do diabła, bądź co bądź jest pełnym pułkownikiem.

— Co do Becka zgoda. Franka nie mierzyłbym tą samą miarą. Jako komandos awansował na skróty. Tam się w młodym wieku wysoko dochodzi. Popatrz na Gavina: ledwie po trzydziestce, a już generał.

— Nie da się ukryć, że podoficerowie stanowią w naszej grupie zdecydowaną większość. W dowództwie mogli pomyśleć, że paru oficerów się przyda.

— Nie próbuj dociekać, o co chodzi pułkownikom i generałom, zwłaszcza z Naczelnego Dowództwa. Jeden Wszechmogący wie, dlaczego robią właśnie to, nie co innego. A powiedź ci, dlaczego mamy taką kupę podoficerów?

— Zdradź ten sekret.

— Bo to jest misja specjalna, matole. Nie pamiętasz, co Frank mówił pierwszego dnia? Wszystkich, z tobą włącznie, starannie wyselekcjonowano. Facetom, którzy się tym zajmowali, wyraźnie było wszystko jedno, ilu ludzi z jakim stopniem będzie w grupie. Miałaś specjalność potrzebną do misji i bingo! Zostawałaś „ochotnikiem”. Teraz zaczęli się nagle czepiać drobiazgów i chcą dorobić trochę oficerów, żeby Beck nie czuł się samotny.

— Wszystko rozumiem. Wyjaśniłeś mi. Bez wątpienia właśnie twoje lotne myślenie zwróciło uwagę Franka. Cholera, jeden z największych umysłów zachodniego świata siedzi tutaj, ze mną, w tej starej ciężarówce. Uwaga, bo ryzygnę.

— Słyszałaś kiedyś o sądach wojennych, Shoen?

Miller nie mógł zasnąć. Kilka razy zapadał w mroczne otępienie, ale zawsze wyrzywał go z tego stanu gwałtowne szarpnięcia.

— Nie śpisz? — spytał Hauser.

W odpowiedzi Miller wydał niezrozumiałą pomruk. Jego myśli kłębiły się wokół misji, która stała się rzeczywistością. W najśmielszych marzeniach nie przewidywał, że kiedyś weźmie udział w czymś takim. Wprawdzie jego rozkaz przeniesienia miał oznaczenie „ściśle tajne”, ale podobnie było z drugim przydziałem w Afryce Północnej, który okazał się stratą czasu. Tym razem sprawa wyglądała inaczej od samego początku.

— Kiedy wjedziemy na szosę do Paryża?

— Według znaku zaraz ma być skręt. Jeszcze trzysta metrów, może mniej.

Po raz pierwszy Miller przyjrzał się otaczającej go panoramie. Zobaczył, pocztówkę z francuskiej wsi. Nie potrafił sobie wyobrazić zakłócenia tej pastoralnej kompozycji przez wojnę. A jednak. Ale nawet kiedy latem wojna spadła na tę okolicę niczym ulewa, nadal rzucały się w oczy piękno i elegancja. Teraz wielkie stożki śniegu kryły wszystko, co nie zostało, lub nie mogło zostać zabrane. Zupełnie inne wrażenie niż na północnoafrykańskiej pustyni z jej dymiącymi od gorąca miasteczkami i osadami.

Miller siedział w Afryce Północnej od czasu inwazji, tak zwanej operacji „Pochodnia”, w listopadzie 1942 roku. Choć był żołnierzem jednostki liniowej, a nie wywiadu, jego nieskazitelny, idiomatyczny niemiecki bardzo się przydawał. Gdziekolwiek brano do niewoli niemieckich oficerów, gdziekolwiek nawiązywano kontakty najwyższej wagi, do których potrzebny był fachowy tłumacz, tam właśnie Miller lub ktoś z garstki ludzi o podobnej umiejętności, dostawał czasowe przeniesienie, przemierzając teatr działań wojennych we wszystkie strony. Przeniesienia zdarzały się niemal co miesiąc. Nie chodziło w nich bynajmniej o przyjacielskie pogawędki z wrogiem i wielokrotnie Miller trafiał w czas i miejsce, które płały mu brzydkiego figła.

W grudniu 1942 roku sierżant wpadł po uszy w wir walk w Tunezji. Najpierw był w El Guessie, gdzie krwawa bitwa o mało nie doprowadziła do przełamania amerykańskich

pozycji, a w niecały tydzień później stanął naprzeciw czołgów Rommla pod Medjez el Bab. Potem doszły inne potyczki. Za udział w pierwszej akcji dostał brązową gwiazdę, po drugiej przedstawiono go do srebrnej.

Kampania w Afryce Północnej skończyła się 12 maja 1943 r. Generał Jurgen von Arnim poddał znajdujące się tam oddziały państw Osi, w liczbie 238 243 żołnierzy. Arnim był od 9 marca następcą mistrza walki na pustyni, Erwina Rommla. Ten zaś, jak mówiono, ulubiony generał Hitlera został przez fuehrera odwołany, by okazał magiczną moc przeciwstawiając się oczekiwanej inwazji aliantów na *Festung Europe*.

Miller był jednym z tłumaczy, którzy spędzili miesiące na przesłuchaniach von Arnima i jego sztabu. Potem ponownie otrzymał przydział do 3 Armii Pattona. Dołączył do niej 16 sierpnia 1943 roku, na dzień przed triumfalnym wkroczeniem amerykańskich oddziałów do Messyny, które kończyło trzydziestodwudniową kampanię sycylijską. I znowu zajęciem Millera stało się uczestnictwo w przesłuchaniach jeńców wojennych. Kiedy sytuacja na Sycylii zaczęła się uspokajać, Miller w całkiem naturalny sposób oczekiwał przeniesienia do przewidywanej inwazji Włoch. Przyszedł jednak rozkaz kierujący go z powrotem do Afryki Północnej. W całkowicie bezpieczne miejsce. Sierżant stacjonował tam do czasu, gdy znalazł się w Granville.

Również Hauser rozmyślał o minionych kolejach losu, które doprowadziły go na miejsce zajmowane w tej chwili. Był pierwszą osobą, która w wieczór przyjazdu do pałacu zauważyła Millera. Sierżant zdjął właśnie hełm i strząsał resztki wody z peleryny w foyer. Hauser odczekał, aż Miller zrzuci z siebie strój przeciwdeszczowy, potem szeroko otworzył drzwi do biblioteki i przedstawił się.

— Witam, sierżancie. Kapral Charles Hauser. Charlie wystarczy. Jak rozumiem, będzie pan współmieszkańcem tego zamku Drakuli — rumiana twarz Hausera rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Kapral wyciągnął dłoń na powitanie. Obaj szybko zmierzyli się wzrokiem. Mieli po metr osiemdziesiąt i nie różnili się wzrostem, ale Miller był drobniej zbudowany i przy osiemdziesięciu pięciu kilogramach wydawał się znacznie chudszy niż ważący o pięć kilo więcej Hauser, sprawiający wrażenie krępego.

Dzięki równo przyciętym, gęstym włosom, wijącym się jak u chłopca, Miller nie wyglądał na swoje dwadzieścia sześć lat. Głęboko osadzone oczy o barwie ciemnego piwa, akcentowały długi, prosty nos. Rzucały się też w oczy wystające kości policzkowe i głęboka dziura w brodzie. Wszystko to, dodane do czerstwego, przystojnego wyglądu, przywodziło na myśl modela z Madison Avenue, pozującego do afisza werbunkowego. Hauser pomyślał jednak, że gość, który przed nim stoi, raczej nie należy do miękki.

Hauser zaczął przedwcześnie łysieć w wieku dwudziestu trzech lat i Miller dał mu w myślach przynajmniej o cztery lata więcej. Kapral prezentował się jako człowiek w pełni sił fizycznych, umięjący utrzymać samodyscyplinę. Mimo że miał nadwagę, opięta bluza nie zdradzała ani śladu tłuszczu. Z taką powierzchownością mógłby być tęgim zabijaką, znanym z niejednej bójki ulicznej. Wrażenie to pogłębiały spłaszczony nos i ruchliwe, szarzielone oczy. Luz i pewność siebie Hausera nasunęły Millerowi przypuszczenie, że ma do czynienia z zawodowym żołnierzem. Zdziwił się, widząc tylko dwa paski, i uznał, że jeśli Hauser rzeczywiście jest zawodowcem, to z pewnością musiał zostać zdegradowany.

— Chodźmy, sierżancie, wprowadzę pana. Oczywiście to nic formalnego, po prostu żeby chłopcy wiedzieli, jak się pan nazywa. I tak będzie pan musiał na własną rękę szybko wszystkich poznać. — Uprzejmy Hauser potężnie klepnął Millera po plecach i wpuścił przed sobą do biblioteki.

— Słuchajcie, ludzie. To jest Dan Miller. Jeśli sądzić po tym, co ma na ramieniu, jest w tej chwili najstarszym stopniem podoficerem w tej dziurze. — Hauser przerwał na chwilę i zwrócił się do Millera: — Nie miałyby pan jednego papierosa za dużo? Moje leżały na parapiecie i zamokły. Jakiś kretyn zostawił otwarte okno.

* * *

Po przejechaniu przez posterunki na terenie pałacu Beck otworzył kopertę, którą dał mu Frank. Smythe radośnie pomrukiwał pod nosem, komponując potpourri popularnych melodii.

Frank nazwał zawartość koperty małym prezentem od przyjaciół z wywiadu. Beck przekonał się, że ma przed sobą prawie kompletne i aktualne informacje, jakimi dysponowali alianci na temat aktywności Niemców na całym froncie w Ardenach, a szczególnie w rejonie, do którego zmierzał.

Najpierw przeczytał optymistyczny meldunek generała majora Kennetha W.D. Stronga, oficera wywiadu w Naczelnym Dowództwie, dostarczającego informację bezpośrednio Eisenhowerowi. Brytyjczyk pisał go jeszcze w sierpniu:

„Dwuipółmiesięczne zażarte walki zakończyły się krwawą łaźnią, której rozmiary wydają się wystarczające nawet jak na gust nieznających umiaru Niemców. Dzięki temu koniec wojny stał się widoczny, jest prawie w zasięgu ręki”.

Beck pomyślał, że to bardzo podnoszący na duchu początek.

Pułkownik Benjamin A. (Monk) Dickson, zaopatrujący w informacje generała Cortneya Hodgesa z 1 Armii amerykańskiej, przewidywał nawet, jak do tego może dojść. Uważał, że w najbliższych tygodniach prawdopodobny jest przewrót wojskowy lub zamieszki wśród ludności cywilnej, w wyniku czego Hitler zostanie pozbawiony władzy. 1 Armia zajmowała pozycje wokół Akwizgranu.

Generał brygady Edwin L. Sibert, będący oficerem wywiadu generała Omara N. Bradleya z 12 Zgrupowania Armii, zanotował:

„Jest rzeczą pewną, że wyczerpanie stopniowo osłabia siłę jednostek niemieckich na Froncie Zachodnim, a ich pancerny obronny stał się cieńszy, bardziej kruchy i łatwiejszy do rozbicia, niż wynikałoby to z map posiadanych przez G2, a także z wrażeń żołnierzy oddziałów liniowych”.

Równie bezpośredni był brygadier E.T Williams, człowiek w służbie wywiadowczej brytyjskiego marszałka Bernarda Lawa Montgomery'ego: *„Nieprzyjaciół znajduje się w złym stanie... w jego sytuacji przetrwanie zdecydowanej operacji o charakterze ofensywnym nie będzie możliwe”.*

Osobno spięto plik raportów z przesłuchań jeńców pochodzących z tak zwanych

batalionów żołądkowych. Na marginesie pierwszego ktoś dopisał uwagę: „*Czy tą parodią oddziałów Hitler chce zastąpić swoich nadludzi, którzy padli na froncie?*”

Bataliony żołądkowe składały się z ludzi z chorym przewodem pokarmowym i podobnymi dolegliwościami, dla których trzeba było przygotowywać specjalne posiłki. Tradycyjne racje żywnościowe wyłączyły ich z akcji, zanim jeszcze mieli szansę okazać jakąkolwiek przydatność dla Rzeszy. Z niemal wszystkich materiałów, czytanych przez Becka, wyłaniał się obraz pokonanego nieprzyjaciela. Z niemal wszystkich. Jeden głos wyraźnie odróżniał się od reszty. Oficer wywiadu 3 Armii, pułkownik Oscar W. Koch, widział sytuację Niemców w innym świetle:

„*Odwrót nieprzyjaciela, chociaż stały, nie jest jednak bezładny. Nie dochodzi do masowych przypadków załamania*”. Zdaniem Kocha, otrzymywane przez niego informacje wyraźnie wskazywały, że Niemcy będą „*za wszelką cenę prowadzić walkę w polu, aż do utraty ostatniego okopu*”.

W kopercie znajdowała się również informacja o aktualnym rozmieszczeniu wszystkich amerykańskich dywizji w Ardenach.

— Ciekawa lektura? — zapytał Smythe.

— Owszem, Frank znalazł się z tymi papierami. Powinniśmy być w dobrym nastroju.

— Jak możesz czytać w czasie jazdy? Gdybym ja tego próbował, dostałbym solidnego bólu głowy.

— Gdybyś ty próbował, mielibyśmy wypadek. Przecież prowadzisz. Chcesz, żebym trochę usiadł za kółkiem zanim dojedziemy do Paryża?

— Nie, dziękuję, Bill... Biorę udział w tej wyprawie jako kierowca, więc będę kierowcą.

— Jak sobie życzysz — wycofał się Beck.

— Wiesz, czym jestem zachwycony? — spytał Smythe i ciągnął, nie czekając na odpowiedź: — Tym, że nie musimy nosić tych niemieckich mundurów. Bardzo mnie niepokoiły. Gdyby Niemcy złapali kogoś z naszych ludzi, rozstrzelaliby go jako szpiega.

— Ciebie nie rozstrzelaliby... bo w takiej sytuacji nie pojechałbyś z nami. Po pierwsze twój niemiecki brzmi potwornie. Po drugie, nie przeszedłeś ćwiczeń do misji.

— Ale teraz jestem tutaj, misja się nie zmieniła.

— Tyle że mamy dużą różnicę: nie będziemy działać na tyłach wroga. Na całym terenie wokół Akwizgranu roi się od ludzi z 1 Armii Hodge'a, niech Bóg błogosławi ich piechociarskie dusze.

— No cóż, mimo wszystko te mundury mnie niepokoiły.

— Ja też nie czułem się w przebraniu dobrze, z tego samego powodu.

* * *

Także inny oficer, który miał dowodzić specjalną misją swoich ludzi w Ardenach, czuł się zaniepokojony perspektywą noszenia mundurów nieprzyjaciela.

W chwili, gdy konwój Becka zbliżał się do Paryża, pułkownik Otto Skorzeny, którego

kommando uwolniło włoskiego dyktatora, Benito Mussoliniego, zastanawiał się nad konsekwencjami złapania któregoś z jego ludzi w amerykańskim mundurze. Nie miał wątpliwości, że taki człowiek zostałby potraktowany jako szpieg i stracony.

Hitler osobiście polecił Skorzenemu zwerbować brygadę, złożoną z ludzi płynnie mówiących amerykańskim wariantem angielskiego, i przeniknięcie przez linie wroga w początkowej fazie ataku. Zadanie polegało na dezorganizowaniu łączności, rozpuszczaniu pogłosek i sianiu ogólnego zamętu. Dodatkowo ludzie Skorzenego mieli opanować i utrzymać trzy mosty na Mozie, żeby zapobiec wysadzeniu ich przez wycofujące się siły amerykańskie. Miało to zasadnicze znaczenie, tylko wtedy bowiem można było liczyć na osiągnięcie ostatecznego celu, jaki stanowiło dotarcie do Antwerpii w ciągu tygodnia. Zgodnie z harmonogramem, czołówka sił niemieckich powinna znaleźć się nad Mozą za dwa dni. Ludzie Skorzenego musieli tam być jednak o wiele wcześniej.

Oficer, znany brytyjskim radiosłuchaczom jako ten człowiek w Europie, którego należało się najbardziej obawiać, miał poważne zastrzeżenia. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego plan Hitlera mógł narazić jego osobiście oraz jego ludzi na poważne ryzyko.

Skorzenny miał wystarczająco dużo problemów z naborem Niemców mówiących autentycznym amerykańskim wariantem angielskiego. Spośród mniej więcej trzystu pięćdziesięciu ludzi, którzy się zgłosili, mniej niż tuzin mógł naprawdę sprostać wymaganiom. Około dwustu mówiło wystarczająco płynnie, żeby uchodzić za turystów, ale nie za ludzi urodzonych i wychowanych w Stanach Zjednoczonych. Znajomość amerykańskiego dialektu oferowana przez pozostałych polegała na pewnym zasobie wyrażen ze slangu i przekleństw. Uczucie niepokoju w związku z amerykańskimi mundurami dręczyło Skorzenego tak mocno, że problem przedstawiono nazistowskiemu prawnikowi. Skorzenny powtórzył swoje obawy, że jeśli którykolwiek z ludzi zostanie złapany, to rozstrzelają go jako szpiega. Prawnik wyjaśnił, że rzecz przedstawia się nieco inaczej. Żołnierzom nie wolno jedynie podejmować działań ofensywnych po cywilnemu, i w takiej sytuacji mogą być rozstrzelani jako szpieg. Mistrz dzielenia włosa na czworo tłumaczył dalej, że można zastosować proste rozwiązanie: brygada powinna nosić amerykańskie mundury na wierzchu, a niemieckie pod spodem. Kiedy zakończy się część misji polegająca na przeniknięciu przez linie wroga i spowodowaniu rozprzężenia, brygada powinna zdjąć wierzchnie mundury, jeszcze przed oddaniem pierwszego ofensywnego strzału.

Skorzenego to nie przekonało. Uznał interpretację prawnika za gówną wartą. W głębi ducha zastanawiał się, czy ten człowiek naprawdę sam wierzy w to kręactwo. Był jednak lojalnym oficerem. Hitler wiedział, że może na nim polegać. W niecałe trzy dni Skorzenny musiał wypełnić rozkaz fuhrera.

Rozdział 10

Przepowiednie Franka na temat ruchu na drogach sprawdziły się. Po całym dniu jazdy konwój Becka dotarł zaledwie na przedpola Paryża. Godzinę wcześniej kapitan zarządził

postój przy dowództwie dywizji pancernej i przeprowadził telefoniczną rozmowę z Frankiem. Ponieważ ich postępy były słabe, Frank zaproponował, by zatrzymali się na nocleg w pobliżu Paryża albo w samym mieście, i ofiarował się, że załatwi tę zmianę. Miał odwołać ich przyjazd we wcześniej przewidywanym miejscu, przy dowództwie innej dywizji, stacjonującej jeszcze dość daleko przed nimi.

Beck czekał przy telefonie przez kilka minut, w końcu Frank wrócił z dobrą wiadomością:

— Załatwiłem dla ciebie i twojego towarzystwa maszerujących nieudaczników rezerwację w budynku prefektury policji, w sercu Paryża.

— W budynku czego?

— Dowództwa policji, w podziemiu. Na pewno traficie tam bez kłopotów, bo wystarczy przejść przez ulicę od katedry Notre Dame.

— Czemu, do diabła, w dowództwie policji, a nie w hotelu? W Paryżu jest pełno dużych hoteli.

— Chyba marzysz. Miejsce w prefekturze jest bezpłatne, nasi francuscy sprzymierzeńcy robią nam uprzejmość, bo powiedziałem im, że ty i twoi ludzie podlegacie Naczelnemu Dowództwu. Hotele kosztują.

— Rzeczywiście podlegamy Naczelnemu Dowództwu — Beck nieświadomie dotknął naszywki z mieszkami i tarczą, znajdującej się na jego rękawie.

— Słuchaj, chłopie, bierz albo nie, twoja sprawa. Żeby tylko jutro od świtu twoi ludzie znaleźli się z powrotem na drodze.

— Według mapy jesteśmy gdzieś między Wersalem i Paryżem — głowa Becka oscyływała między rozłożoną na kolanach kapitana mapą i przesuwanymi się na zewnątrz obrazami. Beck na próżno rozglądał się za jakimiś rozpoznawczymi znakami w terenie albo na drodze.

— Całkiem słusznie, chłopie. Byłeś już kiedyś w Paryżu?

— Ja? Do diabła, nie, jestem tylko przeciętnym Amerykaninem, wyhodowanym w domu, a nie globtroterem. Ale myślę, że to najpiękniejsze miasto na świecie — urwał. — Z tego co widziałem i czytałem w książkach — dodał. — Po raz pierwszy wyjechałem ze starej, pocziwej Ameryki dopiero po wstąpieniu do armii — zamyślił się na kilka sekund. — Urodziłem się i wychowywałem na farmie w New Jersey. Co roku jeździliśmy w lecie na tydzień nad morze i to było wielkie wydarzenie.

— Ech, Bill, zupełnie jakbyś mówił o Kansas albo o dzikim zachodzie. A przecież tylko rzeka dzieli New Jersey od Nowego Jorku, nie mam racji?

— To zależy, w którym miejscu mieszkasz. My mieliśmy do Nowego Jorku dobrą gozdzinę drogi. Zanim zostałem żołnierzem, nigdy tam nie byłem.

— Chyba żartujesz!

— Słowo daję. Kilka razy pojechaliśmy do Filadelfii, która leżała bliżej, bo o niecałą gozdzinę drogi. Nowy Jork był dla mnie zawsze całkiem innym światem.

— No cóż, wobec tego poczytuję sobie za osobisty obowiązek pokazać ci widoki Paryża,

aczkolwiek będziemy tam w nocy — Smythe pochylił się nad kierownicą i omiół wzrokiem horyzont w poszukiwaniu zachodzącego słońca. W końcu zorientował się, że jest dokładnie za nim. — Zaraz powinniśmy wjechać do miasta. Została nam jeszcze z godzina dziennego światła. Wystarczy na dostanie się do prefektury.

— Wiesz, gdzie jesteśmy w tej chwili?

— Całkiem nieźle. Gdyby nie było tak pochmurno, zobaczyłbyś wieżę Eiffla, prawie dokładnie na wschód stąd.

Beck zerknął w stronę wskazaną przez Smythe'a, ale nic nie zobaczył.

— Domyślam się, Preston, że byłeś parę razy w Paryżu. Czy naprawdę wszystko jest tam takie, jak w pełnych zachwyty opowieściach?

— To prawda, często tu bywałem. Jako lekkomyślny młodzieniec przez dwa lata mieszkalem na Montmartre, próbując odnaleźć własne ja i czekając, żeby ktoś odkrył moje przerażające bohemy.

— Ty malujesz? Jesteś artystą?

— Nie, i na tym polegał kłopot. W Paryżu spotyka się mnóstwo ludzi, którzy myślą, że umieją malować. Wiarygodny krytyk powiedział mi, że moje obrazy zaliczają się do kiepskich — Smythe roześmiał się serdecznie ze swoich pogrzebanych marzeń.

— Opowiedz mi o Paryżu, o Luwrze, Notre Dame, Polach Elizejskich, kamienicach i mostach...

— Chwileczkę, chłopie. Nie jestem przewodnikiem turystycznym. A ty sprawiasz wrażenie, jakbyś dokładnie przeczytał, co powinieneś zobaczyć. Dzięki Bogu, Niemcy nie rozwalili całego miasta. W każdym razie kiedy tam mieszkalem, większość czasu spędzałem zajmując się malowaniem i kobietami wątpliwej reputacji. Poświęcałem się też konsumpcji okazałych ilości calvadosu. O, to jest trunk, którego smak powinieneś poznać.

Obaj milczeli przez kilka chwil. Smythe wyczarował przed sobą wizje hałaśliwych spotkań towarzyskich i różnych młodych kobiet, które go niegdyś olśniewały. Dwóm z nich po dłuższej znajomości nawet się oświadczył.

Beck odnalazł oczami wyobraźni blichtrawate, teatralne obrazy paryskich pomników i innych atrakcji turystycznych, które pamiętał z magazynów i rzadkich wypraw do biblioteki publicznej w hrabstwie.

— Przed wojną znałem lokal, gdzie można było przez cały wieczór jeść i pić bez złamanego franka, a potem zostać uprowadzonym na całonocną przygodę sercową przez jedną ze starszawych pań, które były tam w dowolnej liczbie. — Na wspomnienie niejednego wieczora spędzonego w ten sposób Smythe uśmiechnął się szeroko. Światowy Anglik skupił na sobie całą uwagę Becka, który chciwie wsłuchiwał się w każde słowo.

— Oczywiście, trzeba było grać rolę urodzonego artysty, będącego przejściowo w kłopotach, prawdziwego geniusza w przeddzień odkrycia, i tak dalej na tę nutę. Bracie, ależ te panie lubiły intelektualne rozmowy! Oczywiście karmiliśmy je tym w potężnych dawkach.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Czyżbyś mówił o panienkach na telefon?

— Na Boga, nie. Tam przychodziły zamożne kobiety, powiedziałbym nawet, bardzo

zamożne. Takie, które odwiedzały kilka wybranych lokali, ulubionych przez cyganerię. Spotykało się tam dużo Amerykanek. Ich mężowie zrobili pewnie fortunę podczas prohibicji, dostarczając na masową skalę alkohol, to był ten typ. Wyglądało zresztą, jakby ci faceci pozostali przysłowiową solą ziemi. W wielu przypadkach żony szukały odświeżającego towarzystwa wykształconych, młodszych mężczyzn. Inne chciały prawdopodobnie przeżyć dreszczyk emocji, poszaleć trochę za plecami mężusia... A mężus tymczasem dalej robił fortunę, Bóg wie, na czym tym razem — Smythe przerwał i spojrzał spod oka na Becka. — Dość tego. Podejrzewam, że robię zamach na twoją chrześcijańską moralność. Kiedy wjedziemy do Paryża, zaproponuję ze dwa miejsca, gdzie ludzie będą sobie mogli iść i popić w czasie, gdy zabiorę cię na zwiedzanie. Szkoda, że będziemy tam tylko przez jedną noc.

— Zgoda. Muszę zaprotestować jedynie przeciwko pomysłowi z popijawą. Ludzie muszą jasno myśleć, kiedy jutro rano będziemy wyruszać.

— Jasno myśleć? Po co? Jeżeli jutro nic się nie zmieni, to spędzą dzień siedząc na zadkach, telepiąc się bez końca od jednego korka do drugiego.

Beck nie odpowiedział. Pomyślał, że Smythe ma chyba rację. A jeśli tak, to postanowił palnąć ludziom kazanie, a potem puścić ich na parę godzin do miasta. Przypuszczał, że zanim się rozłożą, będzie wpół do dziesiątej. Wszyscy muszą wrócić i być w łóżkach przed północą.

— Preston, jak sądzisz, czy paryskiej policji będzie przeszkadzało, jeśli zrobimy sobie w podziemiu śniadanie na kuchni polowej?

— Przeszkadzało? Dlaczego miałyby przeszkadzać? Ale jeżeli dobrze pamiętam, to budynek prefektury ma fantastyczne podwórze. Gdyby nie ta zima, to wygodniej byłoby rozłożyć się właśnie tam — Smythe zamyślił się na chwilę i dodał: — Oczywiście, gdybyśmy mieli czas rano, byłoby o wiele zdrowiej skoczyć do Maurice'a, który jest niedaleko, a może nawet do jakiejś małej kafejki na prawdziwe francuskie śniadanie. Jeśli w podziemiu nie ma odpowiedniej wentylacji... no cóż, nadymimy i narobimy zapachów, wiesz, jak to jest — urwał, czekając, by kusząca sugestia zagnieździła się w umyśle Becka. — Przecież nie można mówić, że naprawdę było się w Paryżu, nie zjadłszy tam śniadania, nie mam racji, chłopie?

Beck spojrzał na Smythe'a i uśmiechnął się.

— Masz rację, Preston. Nie pomyślałem o tym — Cokolwiek by mówić, kapitan nie był entuzjastą posiłków przygotowywanych na kuchni polowej.

Tuż po dziesiątej zatrzymał ich przy bramie prefektury policji pojedynczy, uzbrojony wartownik, który najwyraźniej uważał się za strażnika całego mienia komunalnego w mieście. Po angielsku mówił doskonale, ale bez wątplenia nie został poinformowany o ich przyjeździe. W tej sytuacji nie zamierzał wpuścić czterech amerykańskich ciężarówek ani nawet piechurów, na teren stanowiący własność policji. Okazał się głuchy na wezwania Becka, który chciał wejść do środka i porozmawiać z jego przełożonymi. Dopiero Smythe odciągnął żołnierza na bok i załatwił im wejście.

Podziemie było obszerne, ale ciemne i podzielone na ciasne pomieszczenia. Okazało się, że ostatni raz sprzątano tam chyba przed wojną. Ale ludzie Becka nawet nie potrzebowali rozkazów. Natychmiast zajęli miejsca do spania, po czym złożyli ekwipunek. Beck ogłosił,

że o północy zostanie przeprowadzona kontrola, czy wszyscy leżą na swoich pryczach, i starając się zachować surowość, przestrzegł przed nadużywaniem alkoholu. Powiedziawszy to, dał ludziom wolne i szybko usunął się z drogi, chcąc uniknąć stratowania.

Kapitan podszedł do Smythe'a, stojącego z boku przy schodach.

— Ciekaw jestem, Preston, jak przekonałeś tego zasranego waźniaka, żeby zmienił zdanie.

Smythe spojrzął na Becka i zachowując kamienną twarz, powtórzył:

— Słuchajcie, ci ludzie zostali wybrani przez prezydenta Roosevelta do ochrony generała de Gaulle'a podczas jego pobytu w Londynie. Przyjechałem tu razem z nimi na specjalne polecenie premiera, który powierzył mi reprezentowanie rządu Jego Królewskiej Mości w czasie dekoracji tych ludzi medalami przez generała de Gaulle'a, który zjawi się bez zapowiedzi jutro rano w katedrze Notre Dame — Beck nie krył zdziwienia. Zatkąło go całkowicie. Smythe ciągnął: — Powiedziałem mu również, że wkrótce po dekoracji wyruszenie na straceńczę misję do Berlina, której celem ma być pochwylenie samego Hitlera, wobec czego musicie znajdować się w pełnej gotowości w prefekturze, czekając na przyjazd de Gaulle'a.

— I dał sobie wcisnąć taki kit? — spytał zupełnie osłupiały kapitan. — Boże wszechmogący! Przecież zapomniałeś tylko o papieżu Piusie XII. Jak mogłeś sfabrykować tak fatalne kłamstwo? Nawet idiota powinien się zorientować, że to bzdura.

— Kapitanie Beck, ten idiota akurat się nie zorientował. Poza tym jest wojna, a od wojny nie ma nic fatalniejszego — odparł Smythe, wciąż z kamienną twarzą. — Czy tego chcemy, czy nie, bierzemy w niej udział.

Beck próbował znaleźć racjonalną replikę, Smythe tymczasem mrugnął i pokazał zęby w uśmiechu:

— A w ogóle, jeśli już fantazjować, to nie zaszkodzi przyprawienie historyjki kilkoma nazwiskami. Przepraszam, przyjacielu, o papieżu rzeczywiście zapomniałem.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po dwa schody do góry. Kiedy osiągnął szczyt, przystanął i zwrócił się do Becka:

— Idziesz w końcu? Jak mogę ci pokazać zakazane oblicza Paryża, jeżeli zostajesz tutaj?

* * *

Ile razy untersturmfuehrer Josef Kleist schodził korytarzami na tę głębokość, tyle razy przypominał mu się niepokohamowany strach w oczach Cyganki, jej przerażona paplanina o bezbożnej legendzie i złotym krucyfiksie, na który natknęła się w jaskiniach. Kleist próbował się otrząsnąć z tego uczucia, ale im głębiej schodził, tym silniejsze było wyobrażenie rysów kobiety w popłochu.

Zdarzyło się to jeszcze w sierpniu, ponad cztery miesiące temu. Znaleźli wtedy kobietę z dwójkiem dzieci, ukrywającą się w jaskiniach. W tamtej chwili jednak żadne z trojga nie próbowało się chować. Biegli, gnani paniką, w kierunku powierzchni. Kleist sądził wówczas, że kobieta załamała się pod wpływem odosobnienia. Musiała ukrywać się w jaskiniach, od

kiedy Niemcy otoczyli i zajęli wieś. Gdyby nie ten obłądny pęd na zewnątrz, być może nie złapano by jej wcale.

Pelch i Kleist przesłuchiwali ją na zmianę. Rau zajmował się perswazją. Tylko oni trzej słyszeli opowiadanie Cyganki, ale Pelch uznał je za chorobliwe brednie, Kleist uważał zaś, że powstało raczej jako wynik religijnego fanatyzmu, choć również nie znalazł w nim sensu. Za to Rau, co Kleist dobrze pamiętał, przeżył fascynację złotym krucyfiksem, uwierzył w jego istnienie. Gdy tylko Pelch poczuł się usatysfakcjonowany zeznaniami, w czasie których Cyganie twierdzili, że nie wiedzą o nikim innym ukrywającym się w jaskiniach, kazał całą trójkę rozstrzelać.

Kleist przypomniał sobie, że nawet tuż przed śmiercią kobieta zdawała się mniej przejmować wiszącym nad nią fatum niż tym, co znalazła w czeluściach jaskiń. Była święcie przekonana, że krucyfiks jest tam naprawdę, a jego poruszenie oznaczałoby otwarcie piekielnych bram. Co za nonsens. Pelch uznał, że po długotrwałym przebywaniu w mroku jaskiń kobieta niewątpliwie dostała halucynacji i pomieszania zmysłów, a Kleist się z nim zgodził.

Z najgłębszego punktu jaskiń, do jakiego w ogóle dotarli, Kleist poprowadził małą grupę ku poprzednio niezbadanym obszarom. Mieli sprawdzić, które jeszcze komnaty nadawały się na magazyn mieszczący przenoszony skarb. Rau ich osłaniał. Zastosowali tę ostrożność na wypadek, gdyby na tym samym poziomie chował się jeszcze ktoś inny. Odszedł jednak w stronę, z której biegła kobieta. I tam właśnie zabił go Cygan. Później, tego samego dnia, Cygana znaleźli. Steiner zabił go, nim zdążyli stwierdzić, czy ukrywał się razem z kobietą i dziećmi, czy też niezależnie od nich. Problem okazał się akademicki. Od tej pory nie doszło do żadnych incydentów.

Mimo to, kiedy Kleist schodził tak nisko, jak dziś ze Steinerem, wszystko ożywało na nowo. Wprawdzie walczył z tym, jak tylko mógł, próbował się skoncentrować na czymś innym, ale jego myśli powracały w to samo miejsce, znów przesłuchiwał Cyganke i miał w uszach jej słowa.

Na górze Kleist, podobnie jak Pelch i Steiner, szydził z zabobonnych ludzi. Tu, na dole, ogarniał go jednak lęk prawie nie do opanowania. Musiał przekonać się raz na zawsze, czy na dnie którejś z komnat nie ma złotego krucyfiks. Ale przede wszystkim musiał przezwyciężyć narastający strach.

Być może winna była wojna. Być może po pięciu długich latach walki przyszło załamanie. Nie. Kleist wiedział, że chodzi o coś więcej. To coś wiązało się ze złymi przeczuciami, które w jego ludziach budziły jaskinie. Początkowo wspominali o nich tylko niektórzy, teraz mieli je wszyscy.

Wszyscy z wyjątkiem Pelcha i Steinera.

— Zróbmy chwilę postój — powiedział Kleist głosem bliskim szeptu.

— Ależ, dopiero minęliśmy miejsce, w którym znaleźliśmy Raua. Uszliśmy zaledwie kawalek.

— Nie podważajcie moich rozkazów! Robimy tu postój! — odpowiedź stanowiła kontrast, została prawie wykrzyczana.

W pewnym sensie Steiner miał rację, powinni iść naprzód. Kleist chciał to mieć szybko za sobą. Czuł gęsią skórę na plecach i ramionach.

— Tak jest — Steiner zgrzytnął zębami. Stali na poziomie nowych komnat, tyle że nieco oddaleni w bok. Przestały już do nich dochodzić odgłosy pracy

Kleist wyjął paczkę papierosów, zaproponował Steinerowi i sam wziął jednego. Steiner podziękował skinieniem, po czym wyjął z kieszeni mapę.

— Wcześniej nie badaliśmy jedynie terenów po prawej stronie — zerknął w tym kierunku, ale szybko skoncentrował się z powrotem na mapie.

Kleist oparł się o ścianę i próbował odprężyć, ale przeszkadzała mu w tym podświadomość.

Steiner dowiedział się od Kleista o opowieści Cyganki i od tej pory męczyła go obsesja znalezienia krucyfiks. Zareagował tam samo, jak Rau. Kleist wyjawiał mu bardzo niewiele, tyle tylko że krucyfiks może być gdzieś tu, na dole. Dopuszczał Steinera do sekretu z mieszanymi uczuciami.

Steiner był autentycznym ateistą. Nie wierzył w nic, ani w Boga, ani w diabła. Po prostu nie mógł zrozumieć, dlaczego inteligentny człowiek miałby się egzaltować wymyśloną niebiańską radością albo bać się czegoś równie irracjonalnego jak piekło.

Oficjalnie żaden z członków SS nie był wierzący, ale Kleist sądził, że w chwili śmierci większość ludzi, z ateistami włącznie, starała się zabezpieczyć także z drugiej strony, wznosząc jakieś westchnienie do Boga, z prośbą o przebaczenie. Porucznik wiedział, że gdy przyjdzie jego czas, zrobi najpewniej to samo.

Inaczej Steiner. Ten zupełnie nie odczuwał lęku przed nieznanym i porucznik pomyślał, że słusznie dobrał go do towarzystwa. Drugim powodem, dla którego znakomicie nadawał się on do poszukiwań, była jego chciwość. Jeśli krucyfiks istnieje, to Steiner go znajdzie.

— Poruczniku, może pomogłoby nam trochę w poszukiwaniach, gdyby powtórzył mi pan coś więcej ze słów kobiety.

— Po co? Co jeszcze chcecie wiedzieć? Powiedziała, że krąży legenda o krucyfiksie na dnie jednej z komnat i że go widziała.

— Chodzi o dokładne słowa, panie poruczniku. Może się czegoś w nich dopatrzyć: jakiegoś znaku orientacyjnego, informacji o komnacie, którą legenda...

— Nie mówiła nic o legendzie! — Kleist poczuł, że traci panowanie nad sobą. Urwał. Po chwili postanowił podzielić się ze Steinerem przynajmniej opowieścią kobiety o tym, jak wpadła na krucyfiks.

— Dobrze. Powiem wam, ale ostrzegam: ani słowa innym. Te informacje pochodzą z przesłuchania. W żadnym wypadku nie mogą stać się tematem żołnierskich pogawędek. Tylko major Pelch, ja i Rau byliśmy obecni przy tych zeznaniach. Pelch w nie nie wierzy, a Rau nie żyje — urwał znowu.

Steiner oparł się o ścianę i pozwolił sobie na opadnięcie po niej do pozycji siedzącej. Kleist stał nadal.

— Tak jak podejrzewaliśmy, kobieta z dziećmi umknęła i ukryła się w jaskiniach, kiedy otoczyliśmy wieś. Była na dole od samego początku.

— Czyli wszyscy troje tkwili tam przez kilka tygodni. W jaki sposób przeżyli?

— Część jaskiń w pobliżu wejścia była używana jako wędzarnia i magazyn żywności. Wynieśli stamtąd tyle, ile tylko mogli. Kiedy na poważnie zajęliśmy się badaniem jaskiń,

zaczęli schodzić coraz głębiej. Mężczyzna robił bez wątpienia to samo. Nie wydaje nam się, żeby kobieta z dziećmi o nim wiedziała. Czy zaś on wiedział o nich, pozostanie na zawsze tajemnicą, i to dzięki wam z ostatniego zdania przebijał sarkazm, ale Steiner go zlekceważył.

— W każdym razie dzieci wypuszczały się niekiedy na wędrowki i myszkowały po jaśkiniach. W dniu, gdy znaleźliśmy całą trójkę, młodsza dziewczynka nie wracała dłużej niż zwykle. Kobieta wzięła drugie dziecko i poszła szukać córki. Twierdziła, iż zastała dziewczynkę na próbach wyciągnięcia z ziemi złotego krucyfiks i przeraziła się, że jeżeli jej się to uda, spełni się stara legenda o złych duchach.

— To śmieszne!

— Chcecie, żebym mówił dalej, czy nie?

— Przepraszam.

— Zdaniem kobiety, dziecko oblużowało krucyfiks, poruszając nim w tę i z powrotem. Wyglądało na to, że krzyż się zaraz przewróci. Przerażona, chwyciła dziecko i zaczęła stamtąd uciekać.

— A co z legendą? — spytał Steiner.

Kleist przygryzł dolną wargę.

— Nic o niej nie wspominała.

— Ale pan jeszcze coś wie. Tak pan mówił.

— Tylko tyle, co major.

— Major Pelch?

— Tak.

— A co on może wiedzieć o miejscowej cygańskiej legendzie?

— Tego nie wiem. Myślę, że coś mu powiedział standartenfuehrer Hesler, kiedy był tu ostatnio.

- Pułkownik? Ten gryzipiórek z Paryża. On się nadaje tylko na lokaja dla generała, a w tej chwili obaj już pewnie siedzą w amerykańskim obozie.

— Nie trzeczcie tak językiem, Steiner, bo go straciecie. Szczególnie jeżeli generał lub pułkownik tu się pokażą. Mogą to zrobić lada dzień.

— Wierzy pan w to tak samo, jak Pelch. Kiedy padł Paryż, na pewno zabrali ich i uwięzili, inaczej mielibyśmy od nich do tej pory wiadomości. Minęły prawie cztery miesiące. Amerykanie zajęli Akwizgran. Wojna dla Niemiec się kończy. Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, jesteśmy zdani na siebie, a to wszystko jest nasze i...

— To wszystko? Jeśli macie na myśli złoto, skarby, to wiedzcie, że w całości należą do Trzeciej Rzeszy. Wojna się nie skończyła, jeszcze do tego daleko. Nic się nie zmieniło. Mamy rozkaz zabezpieczyć skarb i pilnować go. — Po raz pierwszy Kleist dostrzegł, jak bardzo niebezpieczna może być chciwość Steinera.

— Herr Leutnant, uchyla się pan od prawdy. Po pierwsze, nie zostaliśmy wybrani do zadania specjalnego zwykłymi kanałami SS. Ktoś zorganizował tę jednostkę i nie chciał, żeby jej istnienie się wydało. Po drugie, zmieniono nam dane personalne, zgodnie z nimi wszyscy jesteśmy jeńcami w Rosji albo zostaliśmy zabić. Mamy unikać kontaktów nie tylko z Amerykanami, lecz także z oddziałami niemieckimi. Po trzecie, działamy na rozkazy dostarczane osobiście przez pułkownika stacjonującego w Paryżu, a nie w Berlinie.

— Którego przełożeni są w Berlinie! — przerwał mu Kleist.
— Czy ma pan pewność? A jeśli jego przełożonym jest tylko ktoś w Berlinie? Albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś w Paryżu. Na przykład tajemniczy generał, który sprawił, że pilnujemy fortuny stanowiącej, być może, własność prywatną...

— Dość! — Kleist skoczył do Steinera. Postawił go, chwytając za bluzę, i zaczął gwałtownie potrząsać. — Powiniennem was rozstrzelać.

— Co to?

Dźwięk był wystarczająco głośny, żeby ich ostudzić. Kleist i Steiner stanęli nieruchomo, jak sparaliżowani. Zmroziło im krew w żyłach. Obaj wyteżyli słuch, usiłując rozpoznać przemieszane odgłosy. Nogi lekko im drżały, drżało również podłoże.

Po kilku sekundach dźwięki i wibracje ustąpiły. Kleist puścił Steinera i poczuł nagle kropelki zimnego potu na skroni. Wbił wzrok w mroczny korytarz przed nimi.

— Co to za diabelstwo?

— Wyglądało na łagodne trzęsienie ziemi — odparł Kleist wymijająco.

— Owszem, to wiem. Ale chodzi mi o dźwięki. Miałem wrażenie, że słyszę krzyk człowieka duszonego poduszką. Były też brzęki, jakby puszek tłukły się jedna o drugą, a ktoś rozbijał butelki.

Umysł Kleista pracował na najwyższych obrotach, ale porucznik nie odpowiedział. Steiner podniósł broń i zaczął zapuszczać się w korytarz.

— Czekajcie, musimy wracać. Prawdopodobnie jesteśmy już w tej części, gdzie tak długo ukrywała się kobieta z dziećmi. Trzęsienie ziemi rozrzuciło ich zapasy żywności, stąd brzęk puszek i butelek. To proste.

Steiner obrócił się i spojrzał na Kleista z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Zapasy żywności? To nie wyjaśnia krzyku.

Kleist zlekceważył uwagę i wyciągnął z bluzy specjalny pisak.

— Zaznaczmy tę ścianę, żebyśmy mogli ją znaleźć kiedy indziej, na przykład jutro. Teraz wracamy — namazał symbol na ścianie i pospiesznie przystąpił do wycofywania się. — Chodźcie, Steiner! — zawołał za siebie, nie odchylając głowy.

Steiner zwalczył chęć zgłoszenia natychmiastowego protestu. Pomyślał, że Kleist wystraszył się durnej legendy. Spięcie między nimi tuż przed usłyszeniem dźwięków przekonało Steinera, że ani on, ani ktokolwiek z ludzi nie ma właściwie szans, by zdobyć choć część skarbu. Ruszając w ślad za porucznikiem, Steiner obmyślał już plany powrotu w to miejsce. W pojedynkę. Może uda mu się potem wyjść na zewnątrz, niosąc co najmniej złoty krucyfik.

Rozdział 11

Francuz był pewien, że zamarza. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przenikało go tak dotkliwie zimno. Spoglądając na wejście do budynku prefektury po przeciwnej stronie ulicy, przestępował z nogi na nogę i od czasu do czasu przytupywał. Wnęka przy

drzwiach, w której stała, dawała bardzo marne schronienie przed gradem, zacinającym niemal od chwili, gdy Amerykanie weszli do budynku. Wyciągnął przed siebie rękę. Odczytując na zegarku godzinę, przy mdłym świetle latarni ulicznej, poczuł chłód dłoni. Gradowe kulki kłuły niczym igły. Było dwadzieścia pięć po dziesiątej. Siedzieli w środku już około kwadransa.

Mimo późnej godziny ruch pieszych i pojazdów był duży. „Głupi paryżanie i głupi Amerykanie. Łażą, zamiast schować się do ciepłego łóżka”, pomyślał.

Z Amerykaninem miał się skontaktować parę miesięcy wcześniej, jeszcze zanim Paryż wpadł w ręce aliantów. Próbował kilkakrotnie, ale okazja się nie nadarzyła. Teraz musiał okłamać żonę, napełnić bak ciężarówki resztką cennej benzyny, którą jeszcze mieli, i nagle wyjechać w ślad za konwojem ruszającym z Granville.

Paryż! Co za ironia losu. Stąd przecież pochodziły jego rozkazy, kiedy miasto znajdowało się jeszcze pod niemiecką okupacją. Teraz pełno w nim było alianckich żołnierzy. Kto pomyślałby, że konwój będzie tędy przejeżdżał, a nawet się zatrzyma. Denerwował się. Gdyby komuś przyszło do głowy sprawdzić dla formalności jego dokumenty, to miałby kłopoty z wytłumaczeniem, co tutaj robi. W Granville go znano i od kiedy Eisenhower zlikwidował kwatery Naczelnego Dowództwa, mógł się tam stosunkowo łatwo kręcić, a nawet rozmawiać z amerykańskimi żołnierzami. Rejon znowu stał się prowincjonalny. Ta grupa działała jednak nadal z zachowaniem najostrzejszych środków ostrożności, co uniemożliwiała utrzymanie kontaktu. W Paryżu sytuacja wyglądała inaczej. Wiedział, że musi nawiązać kontakt właśnie tego wieczoru, jeśli chce żeby w ogóle do niego doszło. Mimo tych obaw koncentrował się przede wszystkim na zimnie. Czuł, jak zamarza. Zastanawiał się, czy pozna Amerykanina z tej odległości. Wcześniej spotkał go tylko raz, w Granville, kiedy Amerykanin podszedł do niego, żeby przekazać szyfrowaną wiadomość do Berlina. Włączenie spotkania w normalny rozkład dnia wymagało od tamtego sporo wysiłku.

Francuz nigdy przedtem nie pełnił funkcji prawdziwego łącznika i dlatego nerwy go trochę zawodziły. Dotąd jego zadanie polegało po prostu na obserwacji ruchów wojsk alianckich i donoszeniu o nich, właściwie tak, jak mu było wygodnie. Miał przygotowywać meldunki, pisane specjalnym uproszczonym kodem, który sprawiał wrażenie korespondencji między dwoma handlowcami, wyceniającymi naprawę i zakup używanego sprzętu rolniczego. Zostawiał je do trzech razy w tygodniu. Musiał jednak codziennie sprawdzać skrzynkę, na wypadek gdyby Abwehra potrzebowała jakiejś informacji natychmiast. Było to zdecydowanie mniej niebezpieczne od jego obecnej roboty. Nie ruszał się dalej niż kilkanaście kilometrów od domu. Nie miał pojęcia, kto podejmuje jego meldunki i zostawia te, które znajduje on. Przekonał się jednak, że informacje od niego czytuje ktoś z najwyższego dowództwa w Berlinie. W rzeczywistości Francuz stanowił tylko mały trybik w niemieckiej maszynie wywiadowczej. Sieć, która przekazywała jego meldunki wraz z tuzinami innych, rzadko dostarczała Abwehrze nieznane tam jeszcze informacje. Wszystkie meldunki z terenu powinny być przechodzić przez ekspozyturę Abwehry w Paryżu. Po odpowiedniej dekretacji trafiały niekiedy na biurka w tamtejszym kontrwywiadzie Wehrmachtu lub SS. Do Abwehry

w Berlinie docierały tylko nieliczne. Agent, który sprawdzał skrzynkę Francuza, należał jednak do ludzi wysoko ocenianych przez przełożonych z paryskiego SS. Miał naturalną zdolność do przenikania istoty materiałów i wyboru niektórych, kluczowych informacji. Te właśnie dostarczał do SS przed wysłaniem ich do Abwehry.

Teraz Francuz szczękał zębami. Zastanawiał się, czy wytrzyma do chwili, kiedy się coś zdarzy, kiedy Amerykanie wyjdą. Bo przecież bez wątplenia mają zamiar stamtąd wyjść. Są w Paryżu. Muszą poznać tutejsze lokale i burdele.

Amerykanie wysypali się przed prefekturę niczym uczniowie żegnający szkołę przed letnimi wakacjami. Zimno wydawało się nie robić na nich wrażenia. Podzielili się na małe grupki, podskakując i krzycząc. Francuz gorączkowo szukał człowieka, z którym miał nawiązać kontakt. Do diabła! Tytu ich jest. Przez chwilę zastanawiał się, czy właśnie ten jeden znajduje się wśród nich, czy też jeszcze w środku. Może w ogóle nie zamierza wyjść. Nonsens. Wyjdą wszyscy.

Grupki, prawie bez wyjątku, szły pieszo w stronę mostu Notre Dame i lewego brzegu Sekwany. Francuz stwierdził, że nie ma innej możliwości zlokalizowania człowieka, któremu ma przekazać paczuszkę, teraz już o wiele miesięcy spóźnioną, jak ruszyć za żołnierzami. Odetchnął głęboko i wyslizgnął się z niszy, mieszając się z ruchem pieszych.

Za mostem światła neonów jak latarnie morskie wskazywały bistra i lokale. Z każdej strony zapraszało po kilka. Grupki zaczęły się dzielić. Część skierowała się w prawo wzdłuż Quai St. Michel, inne skrzyły w lewo, chcąc spróbować szczęścia na Quai Montebello. Większość wybrała drogę na wprost, ku Rue Saint Jacques.

Francuz osiągnął lewy brzeg i czekał, przyglądając się, jak znikają za pierwszymi drzwiami, które można otworzyć. Pomyślał, że zimno i grad mają przynajmniej jedną dobrą stronę. Żołnierze nie są w nastroju do łażenia po Paryżu. Każdy lokal im odpowiada.

W pierwszym barze, który sprawdził, jego człowieka nie było. Teraz powoli przeciskał się przez tłok w drugim z tych, do których wchodziłi Amerykanie. Hałaśliwe, zadymione miejsce służyło kiedyś jako butik. Niemal w jeden dzień przekształcono je w obskurny bar obliczony na falę alianckich oddziałów, która spłynęła na Paryż. Podobnie jak pierwszy lokal, także ten wypełniali do granic możliwości najnowsi oswoobodziciele miasta światła, w angielskich i amerykańskich mundurach.

— Hej, Małe Cycki, ten zasrany calvados smakuje jak ciepłe niemowlęce szczyny. Masz przyzwoite amerykańskie piwo?

Barmanki to nie rozbawiło.

— A wy wiecie, Jankesi, jak smakują ciepłe niemowlęce szczyny? — w zasięgu jej głosu rozległ się ryk aprobaty.

Francuz był niemal pewien, że poszukiwany przez niego amerykański żołnierz siedzi na kanciastym stolku przy barze, nieco w głębi. Nie odrywał od niego wzroku, chcąc się upewnić.

— Przepraszam.

— Zechciej zabrać stąd dupę, chłoptasiu. Ja tu byłem pierwszy.

Francuz kilka razy próbował zwrócić na siebie uwagę jednej z trzech zagonionych barmanek, żeby zamówić drinka. Przez cały czas dyskretnie przyglądał się Amerykaninowi.

— Uwaga, syneczku.

— Hej, Duże Cycki, co to za knajpa? Człowiek nie może się napić.

— Ustąp synu.

— A niby komu?

— Nie widzisz trzech belek, świński ryju?

— Przepraszam, sierżancie.

Francuz wślizgnął się między dwóch żołnierzy i dostał swojego drinka. Zaczął wycofywać się przez tłok.

Blżej drzwi trzech wcześniejszych gości zaintonowało fałszywym chórem pieśń o Teksasie, powitaną tu i ówdzie wyciem sprzeciwu, syknięciami i niepochlebnyymi uwagami o tym stanie.

Zaczęła się przepychanka, rozdzielono parę szturchnięć. Śpiew zamilkł.

Amerykanin pochłaniał właśnie jednym łykiem drinka, kiedy jego wzrok padł na niedużą postać Francuza, stojącego może o trzy metry od niego. Natychmiast go rozpoznał. Na ułamek sekundy skrzyżowali spojrzenia. Francuz powoli odstawił do połowy opróżnioną szklankę na kontuar i skierował się do wyjścia.

— Hej, Bez Cycków, wiesz, co sierżant myśli? Nawet wam, żabojadom, nie może smakować taka ohydna gorzałka.

— Nic dziwnego, że szkopy stąd spieprzyły. Przecież to się pije jak płyn z chłodnicy. Dawaj piwo — przyłączył się inny niezadowolony.

Amerykanin wyszedł z baru w niecałą minutę po Francuzie. Ulice, tłoczne od pieszych i pojazdów jeszcze prawie godzinę temu, zrobiły się prawie wymarłe. Amerykanin rozejrzał się dookoła i dostrzegł niedużego człowieka, chodzącego w tę i z powrotem w ciemnej zadanej wnęce przy drzwiach. Zaczął się ku niemu zbliżać.

Podszedłszy zrozumiał, że mężczyzna wcale nie daje sygnału. Po prostu jest mu zimno. Francuz odezwał się pierwszy, po niemiecku:

— Jechałem za wami przez całą drogę z Granville. Mam coś dla pana. Nie mogłem przekazać wcześniej.

— Wiem... ostre środki bezpieczeństwa. Co pan ma? — Ciąg dalszy go zaskoczył.

— To — Francuz wyjął owiniętą w papier paczuszkę. Trzęsło nim.

Amerykanin obdarzył paczuszkę przelotnym spojrzeniem i wcisnął ją do kieszeni płaszcza.

— Czy pan wie, co jest w środku?

— Nie. Przyszła w dwa dni po przekazaniu panu ostatniej wiadomości...

— Ostatniej wiadomości? Chryste, przecież od tego czasu minęły miesiące!

— Wiem, próbowałem...

— Ładne mi próby!

Amerykanin był zły. Miał ochotę dać człowieczkowi w twarz. Przypadkiem, dzięki zrządzeniu losu, został wybrany na uczestnika ściśle tajnej misji amerykańskiej, mającej

dotrzeć za niemieckie linie, żeby zdobyć fortunę w złocie i skarby, które, jak rozumiał, mogły finansowo wspomóc Rzeszę. Porządnie nadstawił karku, nawiązując pilny kontakt z Londynem i pytając o nazwisko miejscowego łącznika. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Zwykle wolał pracować sam. Włączanie innych zwiększało ryzyko. Pracując samopas, uniknął jak dotąd wpadki. Dowodził tego wybór na uczestnika misji.

Informacja, którą dysponował, nie mogła jednak dotrzeć do Berlina via Londyn. Musiała zostać przekazana z ręki do ręki, przez łączników, a nie drogą radiową, należało bowiem zaalarmować Abwehre bez narażania się na ściągnięcie na siebie uwagi. W jego przekonaniu Amerykanie, a być może także Brytyjczycy, znali niemieckie kody. Z jeszcze większym wysiłkiem łączyło się zlokalizowanie łącznika w Granville. Co gorsza, przyszła odpowiedź z Berlina. Cholera, dlaczego nie mogli zwyczajnie przyjąć jego meldunku do wiadomości i podjąć działania z zewnątrz?

Nie, jakiś mędrkowaty generał, ni mniej ni więcej tylko z Paryża, wydaje bezpośredni rozkaz sabotowania misji od wewnątrz! Zabić tyle kluczowych postaci, żeby misję zawieszono. Generał, tymczasem, przygotowuje dla nich przyjęcie w Chapelleburgu, w razie gdyby się nie powiodło.

„W razie gdyby mnie się nie powiodło? Jak dotąd udawało mi się. Przeszedłem wojnę bez najmniejszego draśnięcia. Ale umiem czytać między wierszami. Ty prostacki skurwielu! W razie gdyby się nie powiodło, oznacza, że zostałem zabity. I to z jakiego powodu? Tylko dlatego, że zrobiono poważny błąd, posługując się tym żabojadem łącznikiem”.

— W dwa dni po przekazaniu ostatniej wiadomości. Było to stwierdzenie. Amerykanin głośno myślał. Potem zwrócił się do Francuza: —To znaczy, że pan dostał przesyłkę przed upadkiem Paryża.

— Tak, właśnie tak.

— Czy później dostawał pan jeszcze wiadomości?

— Tylko trzy. Dotyczyły rzeczy, o których meldowałem wcześniej. Dla pana nie było nic. Sądzę, że siatkę zdjęto. Od miesięcy nic się nie dzieje, chociaż ciągle jeszcze regularnie sprawdzam skrzynkę.

Czuł poważne niezadowolenie, ale chęć uderzenia człowieczka minęła. Wojna przybierała zły obrót dla Niemców. Już nawet Akwizgran, a pewnie i Chapelleburg, przeszedł w ręce Amerykanów. Zawartość paczuski tak czy owak zdezaktualizowała się i miała teraz znikomą wartość. Ten generalski ważniak prawdopodobnie siedzi w jednym z alianckich obozów i czeka na koniec wojny.

W tym momencie przyszło mu do głowy, że powinien zadbać przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Takie przeczucie naszło go po raz pierwszy, ale przecież losy już były przesądzone. Do diabła z misją. Wojna się kończy, Niemcy są prawie pokonane. Postawił na zły numer, ale jeszcze nie przegrał. Może znowu zostać amerykańskim chłopcem z krwi i kości, jak przedtem. Tyle że teraz ma okazję lepiej żyć. Będzie weteranem.

— Zrobił pan wielką przysługę Rzeszy, nawet jeśli przesyłka dotarła do mnie tak późno — uśmiechnął się do Francuza, z nosa kapnęła mu kropla, w którą zamienił się płatek śniegu.

— Dziękuję. Staralem się jak mogłem. Urodziłem się we Francji, ale moja rodzina pochodzi z Niemiec — głowa Francuza wykonała szybki, potakujący ruch, ale Amerykanin nie umiałby powiedzieć, czy gest wyrażał entuzjazm i dumę z wypełnionego zadania, czy po prostu wywołał go dreszcz.

— Zimno panu?

— Przemarzłem, jak nigdy — szcząkał zębami jeszcze głośniejsze niż przedtem.

— Wróćmy razem do prefektury. Mam butelkę szkockiej, to pana rozgrzeje na drogę.

— Bardzo dziękuję. Nawet calvados mi nie pomógł. Whisky będzie dobra, bardzo dobra — przerwał na chwilę i dodał: — Gdyby pan mógł... Wiem, że nie powinienem prosić, ale może udałoby się załatwić trochę benzyny do ciężarówki? Chyba nie starczy mi na powrót.

— Proszę się nie przejmować. Zajmę się pana kłopotami z paliwem. Chodźmy.

Amerykanin energicznie otoczył ciężką ręką ramiona Francuza. Ruszyli żwawym krokiem w stronę mostu Notre Dame.

Dokładnie w połowie historycznego mostu, w połowie odpowiedzi na grzecznościowe pytanie o rodzinę, Francuz poczuł, że grunt usuwa mu się spod stóp. Przez moment ogarnęło go wrażenie spadania, potem zimna, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Woda w Sekwanie miała dwa stopnie powyżej zera. Szok zabiłby go i tak bardzo szybko, zanim zdołałby krzyknąć. Ale nagle uderzenie o powierzchnię wody pozbawiło go przytomności. Nie tonął nawet minuty.

* * *

Następnego ranka, po zaimprovizowanym połowym śniadaniu, na które ludzie bardzo się krzywili, tuż przed ósmą mały konwój Becka opuścił dziedziniec prefektury. Skręcił w lewo i skierował się ku nabrzeżu po prawej stronie Sekwany. Kilka metrów za bramą minął tęgawą matrone z dwojgiem dzieci. Cała trójka była ubrana w najlepsze niedzielne stroje. W pobliżu przechadzał się wyraźnie niespokojny mąż kobiety: policjant, którego Smythe nabrał poprzedniego wieczoru, załatwiając wjazd do prefektury. I on założył najelegantsze ubranie, w którym bez wstydu można zasiąść w pierwszym rzędzie podczas tajnej ceremonii w katedrze Notre Dame.

Kiedy konwój z rykiem silników przejechał, policjant zrozumiał, że nie odbędzie się ani dekoracja medalami, ani prywatne spotkanie i wymiana uścisków dłoni z generałem de Gaulle'em nie dojdzie do historycznego wydarzenia, o którym jego dzieci mogłyby opowiadać swoim dzieciom. Potrząsnął wyciągniętą pięścią, coś wykrzyczał, ale ciężarówki całkowicie zagłuszyły słowa. Smythe pokazał mu zęby w uśmiechu i przyjaźnie skinął dłonią. Zawiedziony policjant zbiegł na jezdnię i bez powodzenia usiłował dopaść ostatniego wozu, wrzeszcząc i wymachując ramionami. Żona i dzieci spoglądały na niego z dużym zdziwieniem.

Dwaj ludzie Becka siedzący przy kłapie na ostatniej ciężarówce, bardziej pogrążeni we śnie niż przytomni, poznali go. Odwzajemnili zapamiętałe popisy policjanta ulubionym

pozdrowieniem amerykańskich żołnierzy: gestem zaciśniętej dłoni ze środkowym palcem wyciągniętym ku niebu.

Gdyby konwój skręcił nie w lewo, lecz w prawo, Amerykanie zauważyliby może niezwykle poruszenie na brzegu, niedaleko mostu. Mimo porannego przymrozku zebrał się tam tłumek. Otoczył on policjantów rozmawiających z właścicielem łodzi. Dwaj inni funkcjonariusze klęczeli i badali ciało, które człowiek ten wyłowił z bliskiej zamarznięcia rzeki kilkadziesiąt minut wcześniej. Policjant na służbie skończył rozmowę z właścicielem i sumiennie zanotował datę. Był czternasty dzień grudnia.

Smythe podśpiewywał i korzystał z okazji, jako że o tej porze ruch był jeszcze bardzo niski. Minął Hotel De Ville, a następnie skręcił w prawo, w Rue de Rivoli. Beck spoglądał na znaki drogowe, po czym natychmiast wracał do studiowania mapy.

— Jeżeli papier nie kłamie, to powinniśmy zaraz wjechać na Plac Bastylli. Stamtąd otwiera się kilka możliwości, ale najprostsza droga wiedzie na północny zachód — Beck odłożył mapę na kolano i wyjął papierosa.

— Nie przejmuj się. Najszybszy wyjazd z miasta znam całkiem nieźle — pewnie odparł Smythe. - Zobaczmy, czy będzie duży tłok, bo może się okazać, że lepiej najpierw jechać na północ, a dopiero potem, za miastem, skręcić na zachód.

— Wybieraj, jesteś szefem od drogi — Beck poczęstował Smythe'a, ten odmówił, potrząsając głową. Kapitan odłożył paczkę na deskę rozdzielczą, osłonił ręką zapalniczkę i przytknął ogień do papierosa. Zaciągnął się powoli i głęboko, prostując się wydmuchnął kłęb niebieskawego dymu, po czym rozsiadł się w swobodnej pozie.

— William, chłopie, jeśli musisz zniszczyć sobie płuca tym potwornym dymem, to proszę, przynajmniej uchyl okienko.

Beck, zaskoczony, spojrział na niego z ukosa.

— Przecież ty palisz. Pamiętam, że proponowałeś mi dymka w dzień twojego przylotu, jeszcze w sierpniu.

— Palę wyłącznie, kiedy jestem zdenerwowany.

— A co cię wtedy tak zdenerwowało? — Beck opuścił szybkę na tyle, żeby dym mógł się wydostawać na zewnątrz.

— Spotkanie z wami. Byliście przecież całkiem obcy, i wszyscy ze Stanów. Nowy przydział też się przeżywa. Chce się przecież dobrze wypaść, no i w ogóle. Jestem raczej nieśmiałym człowiekiem.

— Akurat.

— Myśl, co chcesz. W każdym razie od psich dni w sierpniu przeszliśmy długą drogę.

Beck zamilkł, a Smythe, wróciwszy do poprzedniej melodii, kluczył po ulicach i alejach. Kapitan usadowił się wygodniej i zamknął oczy. W okamgnieniu zapadł w drzemkę. Im bardziej oddalali się od śródmieścia, tym ruch był większy. Niekiedy wpadali w korek i zaczęli poruszać się falami. W końcu Smythe skręcił na drogę, która zdawała się stosunkowo mało zapchana. Wreszcie mógł skończyć z żółwym tempem. Zauważył, że nagle przyspieszenie zbudziło Becka.

— Boże, mam wrażenie, że czeka nas znacznie dłuższa jazda, niż przewidywałem. Powinienem być już o wiele dalej.

Beck wyprostował się i potoczył wzrokiem dookoła. Znajdowali się na przedmieściach. Budynki wyglądały inaczej niż w samym Paryżu, ale jeszcze nie tak, jak na wsi.

— Może powinienem znowu wyjąć mapę?

— Nie trzeba. Jedziemy dobrze. A wolno, bo większa część armii amerykańskiej robi dokładnie to samo, co my. Na dodatek są jeszcze Francuzi, których interesuje ruch w poprzek naszej drogi.

Jechali już prawie trzy godziny. W tym czasie ruch się znacznie nasilił. Przez następne dwie godziny pokonali odległość, która normalnie zajęłaby może trzydzieści minut. Smythe wykorzystał pierwszą nadarżającą się okazję, żeby znowu skrócić.

— Hej — Beck, przyglądał się krajobrazowi, kręcąc głową. — Znam tę drogę. Tędy jechaliśmy z Millerem i Shindlerem do klasztoru.

— Naprawdę? Jeśli zostaniemy na niej jeszcze parę godzin, trafimy prosto do Niemiec.

— Słusznie. Klasztor jest tuż przy granicy.

Jazgot klaksonów z tyłu oznaczał, że co najmniej jedna ciężarówka chce przystanąć. Smythe zjechał na miękkie pobocze. Reszta powtórzyła jego manewr. Kiedy porucznik wraz z kapitanem wysiedli z kabiny, żeby rozprostować kości, podeszli do nich Boyle i Miller.

— Kapitanie, potrzebny mały przystanek. Chłopcy z tyłu wołają, że chcą spuścić wodę szczupakom.

— Bez wątpienia wypłynie z nich ten sikacz, którego tyle wlałi w siebie wieczorem — Beck starał się zachować stanowczy ton głosu.

— To prawda, sir. Ale czy nie sądzi pan, że zbliża się czas lunchu?

Beck namyślał się przez chwilę.

— Co do lunchu, nie zgadzam się. Powiedźcie ludziom, żeby wzięli się za suchy prowiant. Zjemy gorący posiłek wieczorem, kiedy zatrzymamy się na noc, jeszcze nie wiadomo gdzie. Musimy odrobić dużo czasu.

Miller pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ale trzeba pozwolić ludziom się odpryskać.

— Dajcie im trzy minuty na odwodnienie organizmów i wyprostowanie nóg, a potem niech wracają do wozów.

Miller i Boyle oddalili się truchtem. Po chwili ciężarówki opróżniły się. Tabun mężczyzn pognał przez lekko ośnieżony grunt do kępy drzew.

— Kiedy już skończą, to nic tam nie wyrosnie przez następne kilka lat — rzucił Smythe. Beck uśmiechnął się i z kpiącą miną przytaknął skinieniem głowy:

— Idę się nad tym zastanowić. Ja też czuję potrzebę naturalną.

Smythe spojrzał, jak kapitan przyjmuje kurs na drzewa.

— Chyba pójdę z tobą — powiedział.

Kiedy wszystkim ulżyło, wrócili do samochodów. Mieli jechać dalej, ale trąbienie z tyłu zasygnalizowało nowy kłopot. Ostatnia z ciężarówek nie była w stanie wyjechać na drogę. Buksując kołami, zapadała się coraz głębiej w miękkie pobocze. Na domiar złego, żaden z

pojazdów nie miał pod kołami wystarczająco twardego podłoża, żeby móc ją ruszyć.

Próbowali kilka razy ciągnąć, próbowali pchać, ale bez powodzenia. Beck kazał rozładować samochód. Podczepili linę do pierwszej ciężarówki, potem do dwóch w tandemie, potem do dwóch obok siebie. Narąbali drewna, które podłożyli pod tylne koła. Nic nie skutkowało. W końcu, po paru godzinach, na drodze pojawiła się kolumna pancerna.

Po krótkiej rozmowie Becka z młodym porucznikiem, na którym naszywki i papiery Naczelnego Dowództwa zrobiły silne wrażenie, do ciężarówki podjechał od tyłu czołg i wywinął ją z powrotem na drogę praktycznie w ciągu kilku minut. Ładunek wrócił na samochód i znowu rozpoczęła się podróż. Teraz ich prędkość ograniczała ledwo pełną z przodu pancerną kolumną.

— Wiesz, że już prawie czas na obiad? — spytał Smythe.

— Chryste, Preston, nie zaczynaj i ty!

— Żartuję, chłopie. Sądzę, że ludzie muszą się zadowolić czekaniem, aż ogłosimy postój na noc.

— Owszem. Mamy tak cholerne opóźnienie w stosunku do harmonogramu, że to aż zabawne. Powinniśmy już od dawna być w Niemczech, w Akwizgranie. Ale syf! Pieprzony bałagan. Dlaczego nie możemy załatwić tego wszystkiego przy ładnej, cieplej pogodzie? — pytanie Becka było retoryczne.

— Gdybyśmy jechali w sierpniu, to na pewno nie mielibyśmy tego zawracania głowy ze śniegiem, ale za to byłby potworny upał, a ruch na drodze wyglądałby tak samo.

Beck czuł wyraźny niesmak i postanowił zmienić temat.

— Słuchaj, Preston. Mówiłeś coś o psich dniach w sierpniu. Co to właściwie znaczy?

— To całkiem proste — odparł Anglik. Wyraźnie sprawiło mu przyjemność, że będzie mógł wyjaśnić. — W starożytności astronomowie stwierdzili, że najjaśniejszą gwiazdą zarówno na dziennym, jak i nocnym niebie jest Syriusz, zwany Psią Gwiazdą. W sierpniu Syriusz znajduje się w jednej linii ze Słońcem. Uznali, że to energia tych dwóch ciał niebieskich powoduje sierpniowe upały. Stąd mówi się o „psich dniach” w sierpniu. Rozumiesz?

— Jasne — Beck skinął głową. Przerwał na chwilę. — Słuchaj, ponieważ znasz teren, to może masz jakieś sugestie, gdzie moglibyśmy przenocować. Przy tej drodze nie pamiętam żadnych przyzwoitych zabudowań, aż do klasztoru, do którego przy takim tłoku będzie nam trudno dojechać.

— Niestety, tu już nie jestem u siebie. Paryż to co innego. Ale może zabierzmy się z tymi czołgistami i rozłóżmy przy nich. Albo może na posterunku przy drodze? Tam, gdzie natknęliście się na Niemców.

— Niemożliwe. Porucznik powiedział, że niedługo skręcają na wschód. A posterunek jest o wiele za mały, zupełnie nie dla nas. — Beck pomyślał chwilę: — Wygląda na to, że spędzimy noc z miłymi siostrami. Jeśli tylko uda nam się przebić przez korki. — I dodał żartobliwie: — No i jeśli ich „dowódca” w ogóle nas wpuści.

Rozdział 12

Od mniej więcej pół godziny padał gęsty śnieg. Walił na i tak śliską nawierzchnię, zamieniając ją niemal w lodowisko. Ta pogoda i ciemność, która zapadła, sprawiły, że Beck o mało nie przegapił wjazdu do klasztoru:

— To tutaj! Skręć w prawo przez bramę. Cholera, w zimie wszystko wygląda zupełnie inaczej — Beck odetchnął z ulgą. Przez ostatnie kilometry dręczył go lęk, że przejechali obok.

Smythe ostrożnie wtoczył wielką ciężarówkę przez kamienną bramę z napisem *Convent de Angelis* na górze.

— Matka Natura ma sposoby, żeby pokazać rodzajowi ludzkiemu jego właściwe miejsce, kiedy robi się zbyt dufany — rzucił swobodnie.

— Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że nie będzie posterunków przy drodze. Liczyłem, że odegrają rolę punktów orientacyjnych i pomogą nam upewnić się, że dobrze jedziemy.

— Od kiedy byliście tu w lecie, front niewątpliwie przesunął się o parę kilometrów. Ale nie ma powodu do zmartwień. Znajdziemy się za to w zdrowym i bezpiecznym miejscu. Bądź dobrym kumplem i spróbuj załatwić nocleg w lepszych warunkach niż mieliśmy w prefekturze.

— Nie łudź się. Mówiłem ci, że matka przełożona jest ostrą babą. Będę musiał nazmyślać niestworzonych rzeczy, żeby w ogóle przejść przez furkę. Ona reprezentuje moim zdaniem damski wariant gestapo.

— Powiedz jej, że mamy tajne spotkanie z de Gaulle'em... Nie, przecież de Gaulle chodził wczoraj — Smythe przerwał. Mimo wielu godzin spędzonych za kierownicą był w znakomitym nastroju. — Zrób z niego papieża. To jest to. Papież, specjalna audyencja w drodze do Berlina, całkowicie poufna, i takie rzeczy.

Beck uśmiechnął się szeroko, ale nie odpowiedział. Paplaniny Smythe'a słuchał tylko jednym uchem. Zastanawiał się, czy podczas tego krótkiego postoju uda mu się zobaczyć Marię.

Ciężarówka powoli wtaczała się na lekką pochyłość. Smythe chciał podjechać możliwie najbliżej wejścia do surowego, jednopiętrowego budynku głównego. Równocześnie na górze zaczęły zapalać się światła.

— Oho, komitet powitalny został zaalarmowany — Smythe usztywnił się za kierownicą. — Przygotuj się, Williamie. Bądź stanowczy. Jeżeli wszystkie miejsca są zajęte, żądaj rozmowy z menedżerem. Powiedz mu, że rezerwacje mamy w porządku. Powiedz mu...

— Skąd, do diabła, bierzesz tyle energii? — włączył się Beck. — Dupa mnie boli, dzień był długi, a ty ciągle tryskasz humorem — pokręcił głową w zdziwieniu i wyskoczył z wozu dokładnie w chwili, gdy Smythe przystanął.

— Po prostu staram się podtrzymywać morale oficera dowodzącego misją! — Smythe pochwyił spojrzenie Becka, który się odwrócił i obdarzył go sławnym już, szerokim uśmiechem eksponującym uzębienie. Pozostali kierowcy ustawili samochody jeden za drugim i, za przykładem Smythe'a, czekali, nie wyłączając silników. Ludzie natychmiast wylegli na zewnątrz, żeby trochę rozprostować kości.

Beck miał już unieść mosiężną kołatkę i zastukać do furty, kiedy jeszcze raz odwrócił się ku samochodom. Zdążył akurat zobaczyć sporą grupę ludzi, biegnących w stronę pobliskiej kępy drzew. Natychmiast wyobraził sobie wielki obłok parującej uryny wznoszący się na wprost rozświetlonych okien.

— Nie! Nie tutaj! — wrzasnął. — Wracać do wozów! — Hałas silników i padający śnieg zagłuszyły jego dzikie wołania, ludzie go nie usłyszeli.

— Wszyscy wracać!

— Czy to pan, kapitanie Berk? — przebiło się przez huk motorów prawie wykrzywane pytanie.

Okręcił się i stanął twarzą w twarz z matką przełożoną, która otworzyła furkę. Uśmiechnął się do niej słabo i zrobił wielkie oczy, rzucając spojrzenie za siebie. Smythe biegł w stronę drzew, za nim podążał Boyle. Beck miał nadzieję, że zatrzymają resztę, nie zaś przyłączą się do niej, i gorąco błagał o to w myślach. Wróciwszy do poprzedniej pozycji, szybko wyrzucił z siebie:

— Tak, madame, to ja. Ale nazywam się Beck, a nie Berk. — Jeszcze raz rzucił spojrzenie ku drzewom i z ulgą stwierdził, że Smythe i Boyle pędzą grupę do bramy.

Ogarnął go nowy lęk. Bo gdyby przestało padać? Wtedy jutro rano pod murem będzie wielka połać żółtego śniegu.

— Kapitan Beck? Proszę bardzo do środka. Czy zjawia się pan w związku z tymi najściami? Rozmawiał pan z siostrą Elżbietą?

Spojrzał jej w oczy i szybko skorzystał z sugestii.

— Ktoś was nachodzi? — spytał.

— Tak, niemieckie patrole. Zrobiły się bardzo zuchwałe. Czy to nie z tego powodu pan się tu zjawia? — zaczęła mu się badawczo przyglądać.

— Tak, naturalnie, w pewnym sensie — skłamał. — Przejeżdżaliśmy tędy i usłyszeliśmy przypadkiem, że...

— Dzięki Bogu, że przeszła! Stara zakonnica przeżegnała się i położyła dłoń na ramieniu kapitana. — Sytuacja stała się absurdalna. Musiałśmy wysłać siostrę Elżbietę do Amerykanów po pomoc.

Beck szybko zorientował się, że wraz ze swoimi ludźmi będzie mile widziany. Niewykluczone, że nawet więcej: może być potrzebny.

— Czy siostra jest z wami?

— Co?

— Czy nie wróciła razem z wami?

— Nie, madame... Prawdę mówiąc, nie widziałem... nie widzieliśmy jej... — Beck przeżywał ciężkie chwile. Przede wszystkim nie lubił kłamać, ale okłamywanie zakonnicy psuło mu samopoczucie wyjątkowo.

— Co pan mówi? — zakonnica była zmieszana. Beck przygryzł wargę i wydusił z siebie:

— Jesteśmy tu po drodze w zupełnie inne miejsce. Jedna z naszych ciężarówek utknęła w śniegu — zaczęło mu iść gładziej. — Porucznik, który przejeżdżał z kolumną pancerną pomógł nam ją wyciągnąć... wypchnęli ją czołgiem... w każdym razie ten porucznik wspominał o aktywności Niemców w okolicy i prosił, żebyśmy się rozejrzeli. — Phi! Beck powiedział sobie w duchu, że posłużył się jedynie kłamstwem.

— Może siostra Elżbieta rozmawiała z tym porucznikiem — podsunęła zakonnica.
— No cóż... Tego nie wiem, madame.
— Musiała rozmawiać. Skąd wiedzieliby o najściach? I skąd porucznik wiedziałby, że trzeba skierować was tutaj?

Beck zignorował pytania. Skorzystał z okazji do zmiany tematu.

— Mam w tych ciężarówkach dwie kompanie ludzi zmarzniętych prawie na śmierć. Czy można byłoby wpuścić ich do środka, zanim madame opowie mi o najściach?

— Ależ tak, oczywiście. Proszę ich wprowadzić. Bardzo chętnie zobaczymy was w środku. Powiem siostrze, żeby przygotowały gorącej herbaty. — I przed odejściem naprawdę się do niego uśmiechnęła.

Przyjęto ich całkiem odmiennie niż za pierwszym razem. Beck podszedł do furty, dając znak Smythe'owi, Boyle'owi i Millerowi, żeby dołączyli. Kiedy tylko wszyscy znaleźli się na osłoniętym dziedzińcu, kapitan przekazał im informacje zdobyte od zakonnicy.

— Nie wiem, co to ma znaczyć, ale według mojej mapy jesteśmy daleko za linią frontu. Przypuszczam, że nasze własne posterunki zostały przesunięte do przodu. Kiedy jechaliśmy z Millerem w lecie, na tym odcinku drogi były trzy.

Miller potwierdził skinieniem.

— Czy te zakonnice nie mają po prostu pietra, panie kapitanie? — spytał Boyle.

— Nie sądzę. Przy pierwszym spotkaniu matka przełożona wyglądała na niewzruszalną. Teraz wydaje się prawdziwie przestraszona. Jeśli mówi, że przechodzą tędy niemieckie patrole, to ja jej wierzę.

— Ale przecież wtedy też mówiły nam, że widują Niemców, pamięta pan, kapitanie? I wcale się ich nie bały — wtrącił Miller.

— Słuchajcie, powiedziałem wam, co usłyszałem od matki przełożonej i jakie wrażenie odniosłem. Zabezpieczmy pojazdy, zabierzmy wszystkich do środka i wtedy matka przełożona dokładnie nam opowie, co się dzieje.

Zwrócił się do Millera:

— Dan, wystaw cztery posterunki na rogach tego terenu i dwa przy ciężarówkach. Co pięć minut wartownicy przechodzą między posterunkami.

Zmiana warty co pół godziny. Kiedy dowiemy się trochę więcej o tych najściach, zdecydujemy, czy wysłać w nocy patrole. Tymczasem wystaw posterunki.

Bez większej dyskusji grupa się rozeszła. Po niecałych dziesięciu minutach ludzie, z wyjątkiem sześciu wartowników, byli w środku. Beck wszedł jako ostatni.

Rozmiary refektarza znacznie przerosły jego oczekiwania. Sądząc po liczbie zakonnicy, które widzieli z Millerem i Shindlerem w lecie, przypuszczał, że mieszka ich tu najwyżej dwadzieścia. W tej sali zmieściłoby się co najmniej dwa razy tyle, okazała się ona nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty budynku. Na drugim końcu pomieszczenia, w obszernym kominku, który łatwo schowałby człowieka, strzelał świeżo rozpalony ogień. Z sufitu zwisały się dwa ciężkie świeczniki zrobione z kół od wozu.

Dwa długie dębowe stoły, na stałe przymocowane do posadzki, były otoczone niskimi ławami bez oparcí. Beck i jego ludzie szybko je zapełnili.

Wysoko nad ziemią, na obu dłuższych ścianach, znajdowało się w równych odstępach po sześć okienek wentylacyjnych. Wystrój sali był spartański. „Zupełnie jak w klasztorze”, pomyślał Beck.

Przy stole, który okazał się łatwą do złożenia prowizorką, pracowały trzy zakonnice. Ściągały z kuchni gorące kotły i nalewały herbatę dla żołnierzy. Beck z zachwytem stwierdził, że jego ludzie pamiętali o dobrych manierach i ustawili się w zaskakująco porządku kolejce.

— Kapitanie Beck, czy wszystko w porządku? — Siostra przełożona cicho stanęła tuż za nim. Była o wiele spokojniejsza niż przedtem.

— O, tak, madame — uśmiechnął się i lekko skinął głową. Przyszło mu jeszcze coś na myśl. — A tak przy okazji... Czy powinienem zwracać się do siostry „madame”, czy jakoś inaczej?

Lekki, niemal protekcyjny uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

— Jestem siostra Agnieszka. Może mnie pan tak nazywać.

Podszedł do nich Miller i w milczeniu wręczył Beckowi kubek herbaty.

— A to jest sierżant Miller, prawda? Ten, który lubi rąbać drewno.

— Siostra ma bardzo dobrą pamięć — nie widział powodu, żeby zwracać jej uwagę, że tymczasem Miller został porucznikiem.

— A gdzie jest ten trzeci? Ten, który myśli, że skoro zakonnice się nie odzywają, to są nieme.

Beck poczuł się dość niezręcznie. Przystąpił z nogi na nogę i ukradkiem spojrzął na Millera, który wbił wzrok w ziemię.

— On... Jego już z nami nie ma.

— Aha — odpowiedziała ze zrozumieniem. — Będziemy się modlić za jego duszę.

— Czy tu jest jakieś miejsce, w które moglibyśmy pójść, żeby siostra opowiedziała nam o niemieckich patrolach? — spytał Beck.

— A w refektarzu nie można? O, tam jest miejsce — wskazała przestrzeń w połowie jednego ze stołów. Beck życzył sobie jednak trochę więcej dyskrecji i poprosił Millera, żeby przesadził ludzi z kąta za nimi po lewej tam, gdzie pokazała siostra Agnieszka lub gdziekolwiek indziej. Kiedy spoczęli koło zakonnicy, przy stole, Beck pochwycił spojrzenie Smythe'a. Gestem dał mu do zrozumienia, żeby przysiedli się, wraz z Boylem.

Wszyscy zajęli miejsca i Beck zwrócił się do zakonnicy:

— Proszę nam teraz opowiedzieć o tych najściach, siostro.

Siostra Agnieszka szybko potoczyła wzrokiem po ich grupce i pochyliła się nad stołem, opierając ciężar ciała na łokciach.

— Niemcy wrócili! — powiedziała prawie scenicznym, choć konspiracyjnym szeptem. Przerwała i znów spojrziała na każdego z osobna.

— Prosimy dalej — przynaglił kapitan.

— Wrócili, Są tak, jak poprzednio, zanim pojawili się Amerykanie. Co noc przychodzą i co noc znikają w zaroślach między drzewami, za drogą. Wskazała ten sam kierunek, co Beck, kiedy stojąc na głównej drodze wyciągał rękę ku frontowi klasztoru.

- I co tam robią? Czy siostra się domyśla?
- Nie, kapitanie. Próbujemy się izolować od świata zewnętrznego. Dociekanie tego nie należy do nas. Przychodzą tu w swoich sprawach, a nasze sprawy to Boże dzieło.
- Ale jednak trzeba było wysłać siostrę, żeby powiedziała coś Amerykanom. Dlaczego?
- Bo teraz Niemcy przychodzą tutaj, do klasztoru, i grożą nam. Często żądają jedzenia. Musimy dla nich gotować. Czasami zatrzymują się tu na kilka godzin przed powrotem w las, z którego przyszli. Powiedzieli mi, że zrobią z siostrami straszne rzeczy, jeżeli powiemy o nich Amerykanom — ściszyła głos i dodała: — Naprawdę boję się... o bezpieczeństwo młodych siostr.
- Jestem trochę, zdezorientowany, siostró — przerwał jej Beck. — Kiedy byliśmy tu w lecie, słyszałem, że niemieckie patrole widujecie często, ale nigdy was nie niepokoją. Teraz siostra mówi, że wróciły i was nachodzą.
- Właśnie tak. Ci Niemcy są inni. Noszą inne mundury i oznaczenia. Tamci zachowywali się z szacunkiem. Ale ci... niektórzy z nich patrzą na młode zakonnice w taki sposób... to są brutalni żołnierze, z trupimi główkami. Jak wy ich nazywacie... SS?
- Przy stole zapadła kompletna cisza. Komuś obserwującemu z daleka czterech żołnierzy i zakonnice mogłoby się wydawać, że widzi żywy obraz, zastygłe postaci. Dopiero po kilku sekundach znaczenie słów siostry Agnieszki zaczęło docierać do mężczyzn. Pierwszy odezwał się Smythe:
- Krwawy SS? Ho, ho, ambitne wojsko. Jesteśmy chyba dobre trzy godziny jazdy od niemieckich linii. Jeśli są pieszo, to muszą maszerować całą noc albo i dłużej. Jaki cel mogłaby mieć penetracja tego terenu?
- Spójrzmy na mapy — podsunął Beck. Wyjął mapę dróg prowadzących do Akwizgranu, którą wręczył mu pułkownik Frank przy wyjeździe z Granville, dobrał z pakietu także mapy tych terenów. Rozłożył je na stole i wstał, żeby móc się nad nimi pochylić.
- Zgodnie z mapą drogową, Preston, jesteś bliski celu — stukaniem palca wskazującego mniej więcej zlokalizował klasztor na granicy francusko-belgijskiej, potem przesunął się na północny wschód i zatrzymał nad rzeką Roer, tuż za Akwizgranem.
- Stąd są trzy godziny jazdy do... tego miejsca — chociaż celem misji był Chappelleburg, kapitan wahał się, czy wypowiedzieć w obecności zakonnicy nazwę pobliskiego dużego miasta. Poprowadził palec wzdłuż Roer na południe aż do progów na rzece.
- Tu są jeszcze Niemcy — stwierdził, akcentując położenie progów.
- Nasze linie — znowu przeniósł palec na południe, potem lekko na zachód, tak że znalazł się na wysokości ich obecnej pozycji, ale znacznie bardziej na wschód — są na tym brzegu rzeki Our, oddzielającej od Niemiec małej Luksemburg.
- Odległość wydaje mi się mniej więcej taka sama: i stąd, i stamtąd ponad trzydzieści kilometrów — zauważył Boyle.
- To dosyć dziwne — dodał Miller. — Niemcy musieliby oszaleć, żeby wysłać patrole

na taką głębokość. Co innego w lecie, kiedy ich linie były bliżej, ale teraz to jest szaleństwo.

— Chyba że jakąś jednostkę odcięto i pozostawiono samej sobie — poddał myśl Beck. Miller przytaknął.

— Wątpię, to niepodobne do SS. Przebiliby się do swoich — uznał Boyle.

— I dlaczego pętają się po tym lesie? — spytał Smythe. — Ja również nie sądzę, żeby wchodziła w grę odcięta jednostka. Gdyby tak było, to albo przycupnęłaby w ukryciu, albo, co bardziej prawdopodobne, na łeb na szyję chlupnęłaby do Roer, żeby dotrzeć do bezpiecznego miejsca w Niemczech. Miała przecież dość czasu na wycofanie się. Nie. Jeżeli rzeczywiście zjawiają się tu oddziały SS, to mają ściśle określony cel.

— Jeśli się pan nie myli, poruczniku, to mamy cholernie dziurawe linie — Boyle przypomniał sobie o zakonnicach. — Przepraszam, siostrzo.

Beck przesunął na środek stołu inną mapę i zaczął ją pilnie studiować. Przedstawiała w dużej skali okoliczny rejon.

— Siostrzo Agnieszko — przebiegł palcem wzdłuż Mozy i zatrzymał go na domniemanym położeniu klasztoru — proszę mi pomóc w lokalizacji. W Sedanie przejechaliśmy przez Mozę, potem poruszaliśmy się na północny zachód, mniej więcej dotąd. Od przejazdu przez rzekę nie spotkaliśmy jej ani razu, a według mapy powinniśmy. Jak daleko jest stąd nad Mozę?

— Nad rzekę? Trzeba przejść przez drogę i dalej lasem, jakieś dwa kilometry.

— Jak często Niemcy mijają klasztor, idąc przez drogę do lasu?

— W zeszłym tygodniu chodzili prawie co noc. W tamtą stronę nieśli na plecach duże paczki, ale wracając już ich nie mają.

— Siostrzyczki zajmują się własnymi sprawami — szepnęła Miller do Boyle'a.

— Ilu ludzi? — ciągnął Beck.

— Tyłu, ilu ma pan, może trochę mniej.

Boyle pozwolił sobie na ciche gwizdnięcie.

— Wygląda na to, że natknęliśmy się na tajną niemiecką operację — oświadczył Smythe. — Najwyraźniej składają zapasy nad rzeką albo gdzieś w pobliżu. Prawdopodobnie planują przeprawę na drugi brzeg albo coś w tym rodzaju.

— Śmieszne — wtrącił Beck. — Nie ma w tym ani trochę logiki.

— Chyba że robią to zarówno wzdłuż tej rzeki, jak i pozostałych — powiedział Boyle.

— Czyżby sugerował ofensywę. Tom? Wszystkie meldunki naszego wywiadu mówią, że Niemcy się cofają albo próbują utrzymać pozycje. Nie ma nic o przygotowaniach do ataku. A gdyby nawet, to tutaj jest bardzo niedogodne miejsce.

Smythe klepnął mapę i wyciągniętymi palcami zakreślił szeroki okrąg wokół terenów na północ i zachód od klasztoru.

— To jest Ardeński Las. Niemcy odnosili tam sukcesy w dwóch wojnach. Gdybym był kapralem Hitlerem, to jeszcze raz postawiłbym na to miejsce. Pamiętajcie, że nasi chłopcy nazywają je Frontem Duchów.

— Tak — rzucił Miller — ale dlatego, że tam jest wyjątkowo spokojnie. Muszę się zgodzić z kapitanem. Niezależnie od tego, co robili Niemcy widziani przez siostry, chodzi o niedobitki, odcięty oddział, który nie może się wycofać. Nawet jeśli jest to SS.

— A co, twoim zdaniem, noszą nad rzekę? Gumowe kaczuszki do zabawy? — ostro skomentował Smythe.

— Okay, okay, dajcie spokój — Beck podniósł ręce, chcąc skończyć dyskusję, zanim wybuchnie kłótnia.

— Siostro, o której godzinie zwykle tędy przechodzą? — spytał.

— Po zapadnięciu zmroku.

— Zmrok już zapadł.

— Później, może o północy. Nigdy nie patrzyłam na zegarek. Czasami nawet nie wiem, kiedy się pojawiają. Widzę tylko ich powrót.

— Ale powiedziała siostra, że wchodzili do klasztoru i ich karmiliście. Na pewno za-
uważyliście, o której się to zdarzało.

— Przychodzą wracając. To mogę powiedzieć. Niekiedy kończymy sprzątanie o trzeciej nad ranem.

— Czy może siostra w przybliżeniu ocenić, ile czasu mija od przejścia w tamtą stronę do powrotu? — spytał Smythe. — To bardzo ważne.

Zastanawiała się przez kilka chwil, w końcu zrezygnowana potrząsnęła głową.

— Może godzinę, może półtorej. Naprawdę nie wiem.

— Nie mniej? — ciągnął porucznik.

— Nie sądzę.

Smythe strzelił dłonią o udo.

— To brzmi tak, jakby Niemcy nosili coś nad rzekę. Mogę się założyć, Williamie. Cholerne Szwaby mają jakieś plany.

Miller uniósł się, chcąc podjąć spór, ale Beck usadził go skinieniem.

— Dobrze, dobrze, przestańcie. Taką gadaniną przy stole do niczego nie dojdziemy. Jeżeli zamierzamy odkryć, w co tu się Niemcy bawią, to musimy załatwić im dziś w nocy mały komitet powitalny nad rzeką — spojrzał na zegarek i zwrócił się najpierw do Millera, a potem do Boyle'a:

— Dan, przygotuj ludzi do wymarszu i otoczenia rejonu od południa. Masz na to kwadrans. Tom, ty zajdziesz ich od północy. Zabezpiecz pojazdy. Zostaw je bliżej drogi, tak żeby znajdowały się wyraźnie poza rejonem.

Teraz zwrócił się do zakonnicy.

— Trzeba usunąć nasze ślady.

— Siostry to robią, mamy dobre miotły — odparła z dumą.

— Nie lubię psuć innym zabawy, kapitanie — wtrącił się Miller. — Ale czy nie sądzi pan, że podejmujemy spore ryzyko? Odkładamy w ten sposób nasze zadanie. Będziemy mieć duże trudności z wytłumaczeniem się w razie jakichkolwiek strat.

Beck spojrzał prosto na Millera, chcąc wyczytać z oczu, o co właściwie mu chodzi. Nie znalazł żadnej wskazówki.

— Mów dalej, Dan. Co proponujesz?
— Cóż, sir, mnie się wydaje, że zadanie polega na oczyszczeniu terenu. Naprawdę uważam, że są na nim niemieckie niedobitki, może i z SS, wszystko jedno. Powinniśmy zabrać się stąd i za pomocą naszej radiostacji nawiązać kontakt z dowództwem rejonu albo spontanej dywizji pancerniej. Niech oni sprawdzą.

— Co za gówniany pomysł, Dan — Boyle całkowicie przestał uświadamiać sobie obecność zakonnicy. — Nie mamy pojęcia, jak daleko jest dowództwo, a ci pancerni chłopcy mogą być już kilkadziesiąt kilometrów stąd. Po co odmrażać sobie dupę, śpiąc na ciężarówce, jeżeli możemy walnąć się tutaj.

— Ugryź się w język, Tom — skarcił go Beck.

Na krótko zapadła cisza.

— Co więcej — dodał Smythe — jest wysoce nieprawdopodobne, że uda nam się kogośkolwiek postawić w stan gotowości, zanim Niemcy złożą nam wizytę. Zdaje się, że albo weźmiemy się za nich my, albo nikt.

Cała grupa zamilkła na kilka chwil. Każdy z osobna rozważał różne możliwości.

— Dan, mnie się to też nie podoba — łagodnie powiedział Beck. — Zgadza się, że prawdopodobnie będziemy oczyszczali teren. Ale musimy grać tak, jak rozdano karty — Beck wstał, reszta za nim. Miller upierał się jednak nadal.

— Kapitanie, niech pan sobie wyobrazi, że obaj się mylimy, przez co angażujemy się w poważną potyczkę. Wszyscy uczestnicy tej misji są specjalistami. Czy możemy sobie pozwolić na straty, jeśli napotkamy SS, a nie ofermowate odpadki, jakimi Hitler się tutaj posługuje? Albo założmy, że mamy rację i są to rzeczywiście maruderzy, których zmusimy do podania się bez wielkiej walki. Co wtedy zrobimy z jeńcami?

Beck czuł krew napływającą mu do głowy. Przez całe ćwiczenia Millerowi nie zdarzyło się kwestionować jego rozkazów ani kompetencji w dowodzeniu. Teraz był bliski odmowy wykonania rozkazu.

Właśnie wtedy otworzyły się podwójne drzwi za nimi i Beck niespodziewanie zobaczył wchodzącą Marię. Miała czerwone policzki, wyglądała jakby nie mogła złapać tchu. Ich spojrzenia spotkały się tylko przelotnie, Maria skierowała się ku siostrze Agnieszce.

— Macie rozkazy. Wykonać — Beck był rozdrażniony znacznie bardziej niż należałoby wnioskować po tonie głosu. Miller i Boyle bez słowa odłączyli się od grupki. Smythe pokazał kapitanowi zaciśniętą pięść z kciukiem do góry i poszedł po ostatni kubek herbaty.

Beck patrzył, jak Maria prześlizguje się przez salę i podchodzi do matki przełożonej. Miała znacznie więcej wdzięku niż jej obraz w pamięci kapitana. Wykrzywił usta w niezgrabnym uśmiechu, ale Maria tego nie widziała. Zaaferowana, pochyliła się nad siostrą Agnieszką i osłaniając usta dłonią, szepnęła jej coś na ucho. Robiło to wrażenie czegoś bardzo ważnego.

W tym samym czasie Boyle i Miller przekazywali podkomendnym, że muszą natychmiast wyjść na mróz. Odezwały się słabe protesty, ludzie wstali od stołów i opuścili refektarz.

W kilka sekund później siostra Agnieszka skinęła głową, Maria skłoniła się i ruszyła z

powrotem do drzwi, przez które weszła. Beck chciał do niej zawołać. Już przy drzwiach odwróciła się i przez dłuższą chwilę spoglądała prosto na niego. Potem znikła.

— Pańscy ludzie muszą stąd szybko odejść, kapitanie — siostra Agnieszka przywróciła go na łono rzeczywistości. — Maria właśnie wróciła z lasu. Idzie dużo Niemców.

— Co? Maria widziała Niemców? Gdzie ona była? Proszę zawołać ją z powrotem — chciał skoczyć do drzwi za Marią.

— Proszę poczekać! Po zapadnięciu zmroku wysłałam ją w kierunku, z którego zwykle przychodzą. Mówi, że jest o wiele więcej żołnierzy niż normalnie i nie niosą nic z wyjątkiem broni. Musicie się pospieszyć, żeby zdążyć nad rzekę.

Jeszcze zanim skończyła mówić, odeszła i głośno klasnęła w dłonie. Zakonnice, które przygotowywały posiłek, natychmiast zwróciły na nią uwagę. Szybko wydała im polecenia po francusku. Zaczęły zbierać kubki i nadawać pomieszczeniu normalny wygląd.

Beck nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Szybko doszedł do zakonnicy i chwycił ją mocno za ramię, niemal obracając dookoła osi.

— Dlaczego Maria tak siostrze szeptala? Czemu robić z tego sekret? Co jej zdaniem tutaj robimy? Proszę ją zawołać z powrotem, muszę z nią porozmawiać. Ilu ludzi widziała? Skąd się zbliżają?

Matka przełożona jakby nie słyszała tych pytań.

— Kapitanie, jeśli zależy panu na bezpieczeństwie Marii i reszty, to natychmiast pan odejdzie. Musimy zamknąć młode zakonnice w piwnicy. Ja i starsze siostry zamieciemy wasze ślady. Niemcy nie mogą się dowiedzieć, że tu byliście. Spieszcie się!

Na zewnątrz ludzie Becka szybko ładowali ekwipunek i wskakiwali do pojazdów. Boyle podszedł do Millera, zajętego wyciąganiem ciepłych rękawic.

— Do diabła, po co było to wszystko, Dan? Trochę przesadziłeś z naciskaniem Becka, nie sądzisz?

Miller odwrócił się do niego. Oczy mu błyszczały. Boyle natychmiast pożałował wywlekania tego tematu.

— Posłuchaj, chłopie, ja już przeżyłem piekło w czasie tej wojny — był bliski krzyku. — To już prawie koniec. Niemcy rozbite, dostają w dupę na wszystkich frontach. Nie interesuje mnie wyciągnięcie kopyt w roli bohatera tylko dlatego, że Beckowi zachciało się być dobroczyńcą bandy zakonnice.

— Chwileczkę, Dan, chwileczkę — Boyle nigdy nie widział Millera w takim wzburzeniu. Próbował go uspokoić. — Nikomu z nas się to nie podoba. Ale dostaliśmy takie karty i musimy...

— Gówno prawda! Trafiło nam się całkiem przyjemne zadanie. Polujemy na nazistowskie złoto... To jest nasza robota... a nie mieszanie się w prywatne wojenki. Nasz cel stanowi niemiecka wieś, położona w bezpiecznym miejscu na naszych tyłach. I tym się powinniśmy zajmować.

Boyle łagodnie poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Odpręż się, Dan, wyjdziemy z tego, okay. Założę się, że po naszych pierwszych strzałach ci Niemcy będą zwiewać jak zające tam, skąd przyszli.

Miller rzucił krótkie spojrzenie na Boyle'a. Miał się odezwać, obrócił się jednak raptownie i zajął rękawicami. Boyle'a także kusilo, żeby jeszcze coś powiedzieć, lecz i on się zawałał. Zrobił powolny zwrot i odszedł.

Pomyślał, że Miller pewnie ma rację. Wojna miała się wkrótce skończyć. Trzeba byłoby naprawdę gównianego szczęścia, żeby oberwać właśnie teraz. Kiedy Boyle wsiadał na miejsce przy kierowcy, spojrzął na zegarek. Był 16 grudnia, siedemnaście minut po północy. Może przed Bożym Narodzeniem będzie po wszystkim?

* * *

„Może przed Bożym Narodzeniem będzie po wszystkim...” W tysiąc sto piątym dniu po niespodziewanym ataku na Pearl Harbour to odczucie, czy też życzenie, szeroko podzielali amerykańscy żołnierze nie tylko na Froncie Duchów, lecz w całej Europie. Dlaczego właściwie miałoby być inaczej? Niemcy byli w odwrocie. Dzięki wydarzeniom, które nastąpiły po lądowaniu aliantów w Normandii w dniu 6 czerwca, nie tylko wdarto się do hitlerowskiej Twierdzy Europa, lecz również metodycznie ją kruszono. Rommel miał rację: aliantów należało zatrzymać na brzegu, odrzucić z powrotem do morza. Zgodnie z jego przepowiednią, pierwszy dzień inwazji był decydujący.

— Wiercie mi, Lang — powiedział do swojego adiutanta w dniu 22 kwietnia — pierwsze dwadzieścia cztery godziny inwazji zadecydują... Los Niemiec zależy od ich wyniku. Dla aliantów, tak samo jak dla Niemiec, będzie to najdłuższy dzień.

Nim nadszedł wrzesień, generałowie powiadomili Hitlera, że oddziały niemieckie wycofują się z południowej Francji, w odwrocie do Niemiec znajdują się siły z Belgii, a wkrótce przyjdzie prawdopodobnie kolej na północną Francję. Wojskowi humoryści i uczeni w piśmie rozpowiadali, że niemieckie najwyższe dowództwo doświadczy niedługo w całej rozciągłości koszmaru, który straszyl Bismarcka: wojny na dwóch frontach. Czeką ich obrona przed aliantami, postępującymi z Zachodu, i oddziałami radzieckimi ze Wschodu.

Jednakże ani strategom aliantów, ani zwykłym żołnierzom nie udało się dostrzec, że w grudniu 1944 r., mimo poważnych strat, Niemcy wciąż mieli pod bronią blisko dziesięć milionów ludzi. Większość, bo siedem i pół miliona żołnierzy, stanowiły wojska lądowe, w tym parę dywizji Waffen-SS.

Wywiad aliantów wołał podkreślać, że Niemcy powołują do służby wojskowej ludzi w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, a większość jeńców, którzy dostali się do niewoli na Froncie Duchów, pochodzi z batalionów żołądkowych. Ale w czasie spotkania z generałami w dniu 16 grudnia szaleniec, który spowodował wybuch najbardziej niszczącej wojny w dziejach ludzkości, podsumował ponure prognozy zdumiewającą odpowiedzią:

— Podjąłem brzemienną w skutki decyzję. Przechodzę do ofensywy... z Ardenów. Cel stanowi Antwerpia. — Zamysł był prosty. Osiągnąć ważny port nad Atlantykiem, dzieląc jednocześnie siły aliantów na dwie części. Hitler wierzył, że może w ten sposób odwrócić tok wojny i dać Niemcom szansę na opracowanie nowych tajnych broni.

Za panowania Juliusza Cezara Ardeński Las był niewątpliwie najokazalszą naturalną redutą w Galii. Prawic w połowie leżał na wzniesieniu sięgającym powyżej pięciuset metrów i obejmował tereny, które miały stać się Belgią i Wielkim Księstwem Luksemburga. Ich najwyższą częścią jest wydłużony grzbiet Hautes Fagnes, który ciągnie się mniej więcej osiemset metrów nad poziomem morza.

Ardeny przypominają trójkąt równoramienny, którego mniej więcej stu-
trzydziestokilometrowa podstawa biegnie po granicy Niemiec z Belgią i Luksemburgiem. Z wierzchołka znajdującego się około dwudziestu kilometrów na południe od Akwizgranu, w pobliżu belgijskiej miejscowości Eupen, Ardeny rozszerzają się ku rejonowi miasta Luksemburg. Na zachodnich krańcach wieki wojen, podbojów i migracji umożliwiły zakładanie farm i rolnicze zagospodarowanie regionu. Ale najcenniejsza część lasu z bagnistymi torfowiskami i najczęściej niegościnną ziemią przylega do niemal całego stu-
trzydziestokilometrowego odcinka granicy niemieckiej. W północnym sektorze znajdują się torfowiska, które przyczyniły się do tego, że ludzie z całego świata jeżdżą do wód w niemieckim Akwizgranie i belgijskim Spa.

Ku południowo-wschodniej części Hautes Fagnes trójkąt Ardenów jest ograniczony przez region belgijskiego miasta St. Vith.

Malownicze ardeńskie wsie, wyglądające jak z bajki, były pełne krętych, brukowanych ulic i alejek, domów z ozdobnymi okiennicami i spadzistymi dachami krytymi dachówką. W szerokie połacie pól wcinały się spienione potoki i wijące się strumienie. Topografię wzbogacały, rozrzucone jak punkty na mapie, zamki, klasztory i ruiny z czasów Karola Wielkiego. Strzegący ich las, niemal w całości złożony z wysokich, wiecznie zielonych jodeł nadawał surowe piękno pokręconym wąwozom. Szczyt popularności turystycznej Ardeny osiągnęły między pierwszą i drugą wojną światową. Poza pocztówkowymi widoczkami, na ich zasłużoną reputację pracowały także smakowite, konserwowe szynki i potrawy z dziczyzny.

W stu-
trzydziestokilometrowej granicy Ardenów z Niemcami jedyny wyłom, umożliwiający szybki ruch wojsk ze wschodu na zachód, stanowi szeroka na osiem kilometrów dolina Losheim. Nazwa pochodzi od niemieckiej wsi, z której rozpoczynano ataki na Belgię podczas obu wojen światowych. Las jest tam znacznie rzadszy, niemniej jednak droga biegnie przez ponad trzy kilometry zadrzewionego terenu, poprzecinanego głębokimi dolinami i pełnego stromych wzniesień.

Przed rokiem 1914, w którym cesarz Wilhelm rozkazał swoim armiom maszerować przez Ardeny, ponad połowa tego archaicznego regionu była gęsto zalesiona. Kiedy Erwin Rommel puścił czołgi przez dolinę Losheim w roku 1940, dotarł nad Mozę trzeciego dnia wieczorem, jeszcze raz dowodząc, i to bardzo dobitnie, że jest to szlak do przebycia.

Właśnie przez tę oazę spokoju, tu i ówdzie wrogo nastawioną do człowieka, Adolf Hitler zaplanował zmasowaną kontrofensywę, oznaczoną kryptonimem „Straż nad Renem”.

Dzień Zero, czyli datę rozpoczęcia kontrofensywy, kilka razy przesuwano. W końcu wyznaczono ją na sobotę, 16 grudnia.

Tego dnia, wkrótce po północy, wysunięte oddziały zaczęły przenikać do Belgii i Luksemburga, przygotowując się do zabezpieczenia przepraw przez rzeki w kluczowych miejscach, przez które miało iść wkrótce główne uderzenie.

Klasztor i zalesiony teren wokół miejscowości Givet, gdzie owego brzemiennego w skutki dnia trafili Beck i jego ludzie, leżały w pobliżu Mozy na szczycie kawałka ziemi francuskiej, tworzącego jakby półwysep wcięty w terytorium Belgii. Dokładnie tamtędy miała posuwać się 5 Armia Pancerna. Był to zresztą jedyny skrawek Francji, na który Niemcy zamierzali wkroczyć w czasie tej kampanii.

W roku 1940 główne siły niemieckie forsowały Mozę w rejonie Sedanu, poniżej Givet. Powodzenie ataku sprawiło, że Francuzi i Brytyjczycy zostali zepchnięci nad morze, w rejon Dunkierki.

Tym razem, w roku 1944, cel stanowiła Antwerpia, toteż o wiele większą wagę przywiązywano do mostów na drogach biegnących bardziej ku wschodowi, w Liège, Huy, Namur i Dinant. Ponieważ jednak znajdowały się one w rękach aliantów, nie można było ich zabezpieczyć przed rozpoczęciem ofensywy. Przygotowania do przeprawy przez Mozę poczyniono więc w miejscach mniej rzucających się w oczy, między innymi w lasach pod Givet.

Obecność w pobliżu Givet nie oznaczała bynajmniej dla ludzi Becka szczególnej złośliwości losu. Jeśli nie tam, byłiby pewnie w innym punkcie Ardenów, a zarówno w tym dniu, jak i w następnych, niebezpieczeństwo groziło praktycznie w całym regionie. I tak, na przykład, w czterdzieści osiem godzin po rozpoczęciu ofensywy, siły 15 Armii niemieckiej, obejmujące dywizje pancerne i zmechanizowane oraz piechotę, dokonały koncentracji w rejonie Akwizgranu, skąd miały przejść do ataku. Według niemieckich map sztabowych na całym terenie między Akwizgranem i Given coś się działo.

* * *

Śnieg walił teraz mokrymi płatami. Idąc skrajem drogi, Beck pomyślał z zadowoleniem, że za kilka minut nie będzie śladu po ich przemarszu.

Dotarł na miejsce, gdzie znajdował się Miller i jego ludzie. Natychmiast go spostrzegli. Smythe wraz z grupą Boyle'a zajął pozycje bardziej na północ.

— I co? — spytał cicho Millera.

— Zimno jak w dupie zasypanego grabarza — zabrzmiała odpowiedź. Powoli przesuwali się do przodu przez gęsto zadrzewiony odcinek terenu

w kierunku, gdzie powinna odsłonić się przed nimi rzeka. Starannie planowali każdy ruch. Trzy- lub czteroosobowe grupki robiły kolejno po parę kroków do przodu i zalegały pod osłoną co potężniejszych drzew lub w innych możliwych do znalezienia kryjówkach.

— Ciężarówka bezpieczne, kapitanie? — spytał Miller.

— Tak. Zostawione kilkaset metrów stąd w przeciwną stronę, z dala od drogi. Kiedyś był tam chyba posterunek. — Beckowi spodobało się zarówno wybrane miejsce, jak i fakt, że Miller z Boylem pozostawili przy pojazdach czteroosobową wartę.

Ktoś nastąpił na kruchą gałąź. Suchy trzask rozległ się niezwykle głośno. Beck i Miller

zamarli. Mimo padającego śniegu, rozglądając się wokół, wyraźnie widzieli rozproszone sylwetki.

— Powinniśmy być ubrani na biało szeptnął Miller.

— Przekażcie wszystkim — rozkazał Beck. — Posuwać się nisko przy ziemi. Na tle śniegu dobrze nas widać.

W parę chwil później Beck zobaczył postać biegnącą ku ludziom Millera, niefrasobliwie łamiącą zasady ostrożnego poruszania się. W pewnym miejscu przystanęła, bez wątpienia pytając o kierunek, po czym zaczęła zmierzać niemal prosto na porucznika.

Był to Post, jeden z ludzi Boyle'a. Nie rozpoznając mijanego Millera, dopadł od razu Becka.

— Kapitanie, Shoen znalazł martwą zakonnice. Ma poderżnięte gardło. Ciało zeszywniało od mrozu.

— Jak daleko stąd?

— Około stu metrów w tamtą stronę — wskazał na północny wschód.

— Rzekę widać?

— Tak, sir. Zakonnica leży tuż przy brzegu. Przykryli ją gałęziami i śniegiem, ale noga wystawała i Shoen się o nią potknął.

— Dan, wszyscy kryć się, dopóki nie wrócę. Zająć tutaj pozycje do obrony. Lekko trącił Posta łufą thompsona.

— Idziemy, szybko.

Zbliżali się do grupy Boyle'a. Becka ucieszyło, że mimo początkowych obaw nie mógł dostrzec ani jednego żołnierza, póki prawie na nich nie wszedł. Szybko zrozumiał dlaczego. Również Boyle zatrzymał ludzi.

— Jestem tutaj, kapitanie.

To powiedział Boyle, wraz z dwoma innymi ludźmi zgięty w półprzysiadzie nad owiniętym czarną szatą ciałem młodej kobiety, częściowo przysypanym przez śnieg. Boyle zrobił osłonę z dłoni i zapalniczką oświetlił szyję zakonnicy.

— Równe cięcie, prawie od ucha do ucha, sir. — Przesunął płomień wzdłuż rany, na której zakrzepła krew, a potem, zatrzymawszy go przez ułamek sekundy nad twarzą, zgasił zapalniczkę.

Oczy wyszły Beckowi z orbit, przerażenie ścisnęło mu gardło. Przeleciało mu przez myśl, że to Maria.

— Twarz. Jeszcze raz światło na twarz!

Boyle bez wahania ponownie skurczył dłoń i pstryknął kóleczką o kamień. Nic to nie dało. Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz nic.

— Musiała zamoknąć — mruknął Boyle.

Beck upuścił broń na brzuch martwej dziewczyny i zaczął gorączkowo przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu własnej zapalniczki. Zanim mu się udało znaleźć, Boyle odniósł sukces w trzecim podejściu. Powoli zniżył przesłoniętą dłonią płomień nad sam policzek. Teraz oświetlił na dłużej młodą twarz. Zamknięte oczy dziewczyny zdawały się wyrażać spokój. Ale usta były rozchylone, jakby miały coś powiedzieć. Nad całym miejscem zawisła gęsta cisza, przerywana jedynie prawie niesłyszalnymi szmerami płatów mokrego śniegu spadających na helmy.

— To musi być siostra Elżbieta — stwierdził Boyle. — Ta, którą siostra Agnieszka wysłała po pomoc.

Beck skinął głową. Ulżyło mu. To na pewno nie była Maria. Ale przy kryteriach doboru, stosowanych przez siostrę Agnieszkę, mogłaby być. Kapitan powstał jako ostatni. Jego wzrok przykuła twarz, spowita teraz w całun mroku. Jaki to rodzaj nieprzyjaciela morduje z zimną krwią nikomu niewadząca, spokojną kobietę, nie mając żadnego powodu. A może miał powód? Może opierała się próbie gwałtu? Mimo lęków siostry Agnieszki, Beck uznał to ostatnie przypuszczenie za wyjątkowo nieprawdopodobne. Przede wszystkim dlatego, że przy takim zimnie kopulacja w tym miejscu nie wchodziła w grę. Zresztą strój dziewczyny nie był szczególnie zmięty. Nie, nie należało winić niekontrolowanej żądz, w każdym razie cielesnej.

Dlaczego więc mieliby ją zabijać? Ich obecność na tym terenie nie była przecież dla zakonnic z tajemnicą.

Jeden z ludzi Becka podbiegł do grupki zgromadzonej przy ciele. Becka zaskoczyło, że z drugiej strony dojrzał zbliżającego się Millera.

— Kapitanie, niech pan sam zobaczy. Odkryliśmy właśnie, co Szwaby naniosły — wyrzucił z siebie żołnierz. — Zgarnęli tu kupę szmelcu na most pontonowy. Zdaje się, że planują przeprawę przez rzekę.

— Dan? Mówiłem, że macie się kryć. Co tu robisz?

— Przyszedłem powiedzieć to samo, kapitanie. Znaleźliśmy identyczny szmelt koło nas.

Beck błyskawicznie podniósł pistolet maszynowy ze zwłok.

— Pokażcie — rozkazał żołnierzowi. Ten natychmiast ruszył ostrym truchtem. Beck dotrzymał mu kroku, inni swobodnie podążali za nimi.

Pokonali zaledwie kilkanaście metrów, kiedy ktoś wrzasnął „Padnij!”. Jeszcze nie przebrzmiał okrzyk, gdy od strony drogi i klasztoru otworzono zmasowany ogień z broni lekkiej.

Beck zorientował się, że nie ma żadnej osłony. Rzucił się na ośnieżoną ziemię. Zderzenie brzucha z twardą powierzchnią pozbawiło go oddechu. Udało mu się jednak przetoczyć ku jedynej kryjówce w pobliżu, za grubym drzewem. Poczul ból w klatce piersiowej, był pewien, że złamał sobie kilka żeber.

Bezpieczny za solidnym pniem jodły złapał oddech i przekręcił się tak, że jego głowa znalazła się przy podstawie drzewa. Wbijając na przemian stopy w śnieg, szybko „doszedł” do pozycji półsiedzącej, tyłem do Niemców. Rozejrzał się dookoła i zauważył błysk broni jego ludzi, odpowiadających ogniem na atak. Skorygował ich rozmieszczenie, a tymczasem kule bezlitośnie gwizdały po obu stronach, odrywając połacie kory z drzewa.

Jakimś cudem nikt z wystawionych na strzał, stojących razem z Beckiem ludzi nie został trafiony.

Miller leżał może o pięć metrów od Becka i wyraźnie go widział. Sam miał szczęście, znalazł się bowiem za kępą złożoną z kilku drzew, która chroniła go przed ostrzałem. W tym niewielkim labiryncie prawie wszystkie pociski szły rykoszetem w bok. Zasłona przeszkadzała jednak również Millerowi, który nie mógł prowadzić ognia do nieprzyjaciela. Dostrzegając za to w pobliżu tryskające z ziemi małe fontanny śniegu.

Boyle, Shoen i dwaj inni ludzie, którzy przyłgnęli do ziemi z tyłu za Beckiem i prowadzącym żołnierzem, ukryli się za przewróconym drzewem, którego wyrwane korzenie układały się w pionową ścianę. Leżeli po lewej ręce kapitana, o dwa, trzy metry bliżej niż Miller. Żołnierz pokazujący drogę przycupnął równo z Beckiem, po prawej. Również jemu udało się bezpiecznie usunąć z nieosłoniętego terenu. Był teraz dobrze chroniony.

— Przygoźdźdźli mnie tu! — wrzasnął Beck z całej siły, chcąc przekrzyknąć hałas broni maszynowej. — Daj mi solidną osłonę, Tom... przebij się do ciebie.

Powtórnie zastosował metodę wbijania pięt w śnieg i w ten sposób wstał.

Szybka i ostra wymiana ognia trwała od ponad trzech minut. Beck zauważył, że wokół niego, Niemcy koszą seriami z lewa na prawo i z powrotem, co wskazywało, że przynajmniej niektórzy nie koncentrują się na określonym celu. Kapitan ocenił, że do drzewa, za którym chowa się czwórka z Boylem, brakuje mu nie więcej niż trzy metry. Ból w piersi trochę ustał. Beck pomyślał z nadzieją, że może szczęśliwie nie sobie nie zламаł.

Jeszcze raz wrzasnął do Boyle'a.

— Uwaga, Tom, uwaga... widzisz te serie? — Miał nadzieję, że także ci za drzewem dostrzegają bryzgi śniegu przesuujące się powoli w rytm szczekliwych dźwięków po całej nie osłoniętej przestrzeni. Czekał na ich odpowiedź, chcąc do nich dołączyć.

— Osłaniajcie mnie... Zaraz do was idę... zaraz idę... — Z największą siłą, na jaką go było stać, odbił się od swojego drzewa. — Teraz! — Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek sadził większymi susami.

W chwili gdy Beck oderwał się od drzewa, mała grupka Boyle'a odpowiedziała Niemcom intensywnym, ciągłym ogniem. Inni, widząc śmiały skok kapitana, przyłączyli się do osłony.

Jeszcze nigdy w życiu Beck nie wykrzesał z siebie tyle energii, a jednak wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie. Na tych głupich trzech metrach spotkał się z wdzięcznością. Przemknęła mu przez głowę ulotna wizja z dziecięcych lat. Kiedy próbował biegać w oceanie. Miał czas, dużo czasu na myślenie.

„Chryste... a jeśli będzie snajper?... A jeśli dostanę?... Jeśli trafią mnie moi?” Kule zdawały się świstać we wszystkich kierunkach.

Nagle Beck poczuł ostry, rozdzierający ból w lewym udzie. Prawie zbiło go z nóg, ale jakoś utrzymał równowagę. „Cholera, nie przewrócić się tutaj, rozsieką mnie na kawałki!”. Zaskoczyło go, że wciąż biegnie. „Jeszcze trochę!”

Myśląc to, rzucił się ponad zwałonym drzewem chroniącym Boyle'a i jego grupkę. Cisnął przed siebie broń. W przerażeniu zmieszonym z zaskoczeniem zobaczył, że leci nad nią. Czuł, jak wznosi się bardzo wysoko. Również to zdawało się przebiegać w zwolnionym tempie.

„Jestem znakomitym celem w ruchu... dlaczego Shoen się nie odsuwa?” Beck był przekonany, że zmiażdży mu głowę albo złamie kark.

W ostatnim momencie Shoen z obłędem w oczach lekko drgnął. Beck rąbnął na ziemię o milimetry obok.

Pamiętając ból w piersi po poprzednim skoku, kapitan próbował tym razem wyhamować upadek kozłem. Wylądował z myślą, że trzasnął mu kręgosłup.

Kiedy otwierał oczy, znalazł się nad nim Boyle.

— Nic ci nie jest — w stwierdzeniu nie dźwięczała ulga ani radość. Była to medyczna ocena. — Masz broń — Boyle rzucił mu thompsona na pierś i natychmiast wrócił do walki.

Beck usiadł skulony, zamierzając wstać, ale najpierw rzucił szybkie spojrzenie w dół i przypomniał sobie o udzie. Nie było tam rany od kuli. Skacząc zawadził o konar. Wprawdzie nie rozdarł spodni, ale sądząc po bólu, podejrzewał solidne drapnięcie, a może nawet rozcięcie pod materiałem.

Znalazł za drzewem miejsce koło Boyle'a i po raz pierwszy odpowiedział nieprzyjacielowi ogniem. Przez godzinę sytuacja była patowa. Potem część ludzi Boyle'a zaczęła zdobywać teren, od drzewa do drzewa. Niemcy jakby zamierzali wycofać się na obronne pozycje za drogą.

Beck domyślał się przyczyny. Pluton Millera nadchodził od południa, ostro bijąc w lewe skrzydło Niemców.

Kiedy w czasie bitwy jedna ze stron zaczyna się wycofywać lub w inny sposób zrywa kontakt, kolektywne ciało drugiej zalewa potężna fala adrenaliny. Beck i Boyle czuli coś takiego, gdy wyszedłszy zza osłony zwałonego drzewa, ruszyli wraz ze swoim oddziałem naprzód. Minęła jednak jeszcze godzina, zanim mogli pomyśleć o przedostaniu się na drugą stronę drogi.

Niemcy powoli się wycofywali. „Chyba mają dość. Na razie, a może nawet na dobre”, pomyślał Beck, który podobnie jak Boyle przeskakiwał z miejsca na miejsce, kontrolując postępy swoich ludzi. Niektórzy żołnierze zbliżali się do niemieckich pozycji mało dbając o własne bezpieczeństwo. Mimo ciężkiej wymiany ognia, straty wydawały się po obu stronach nieduże.

Wroga najbardziej zajmowało teraz utrzymanie pozycji lub powolne wycofywanie się, w czasie którego ludzie Becka byli trzymani w szachu. Kapitan spostrzegł, że Niemcom nie udaje się wykorzystać przewagi, którą dysponowali, mając przed sobą liczne cele bez osłony. Sprawiali wrażenie, jakby grali na czas.

Beck wiedział jednak, że przy każdym zorganizowanym odwrócie można podchodzić do nieprzyjaciela tylko do chwili, gdy poczuje się osaczony. Wtedy zawraca i rusza naprzód do ataku.

Nie tracąc czasu na osiągnięcie wysuniętej pozycji, połączył plutony Boyle'a i Millera. Kiedy rozkaz został wykonany, polecił utrzymywanie stałej odległości od nieprzyjaciela i pozostawienie mu wystarczającej przestrzeni, żeby w razie gdyby chciał, mógł się całkiem wycofać. Kapitan przeczuwał, że Niemcy próbują ich w coś wciągnąć.

Walka toczyła się w ten sposób bardzo długo. Kierowcy zostali odesłani w kierunku drogi. Mieli odnaleźć i przyprowadzić pełne amunicji ciężarówkę.

Minęła jeszcze godzina, zanim pluton Millera połączył się z ludźmi Boyle'a na dobre, tworząc solidną, jednolitą ścianę po amerykańskiej stronie pata. Wtedy właśnie, bez jakiegoś wyraźnego powodu, odwrót Niemców stał się szybszy. W mniej więcej dwadzieścia minut po ostatecznym połączeniu plutonów, ludzie Becka zepchnęli przeciwnika do lasu, z którego się wyłonił, spory kawałek za klasztorem. Niemcy cofnęli się przez ten czas więcej, niż przez poprzednie cztery godziny.

Becka znowu ogarnęło przecucie, że dają się w coś wciągnąć. Zatrzymał ludzi. Poszli do przodu wystarczająco daleko. Wysłał łącznika po Boyle'a i Smythe'a, a sam dał ręką znak Millerowi, żeby wycofał się wraz z nim na naradę.

Kiedy wszyscy czterej spotkali się około piętnastu metrów za najbardziej wysuniętą pozycją ich linii, Beck rozpoczął od pytania o straty. Dowiedział się, że czterech ludzi zabito, trzech ciężko raniono, a kilku odniosło lżejsze obrażenia. Grupa nie poniosła jednak strat zmuszających ją do przerywania misji. Nastąpiła krótka dyskusja na temat zabitych. Zastanawiali się, czy zabrać ich ze sobą i urządzić pogrzeb w jednym z miast po drodze do Chappelleburga, czy też pochować ich w oznakowanych grobach niedaleko klasztoru. Beck wyciągnął mapy terenu. Znajdowali się prawie w zasięgu marszu od granicy belgijskiej. — Do Liège mamy około osiemdziesięciu kilometrów — powiedział, przesuwając palcem po powierzchni mapy.

— Liège stanowi główny ośrodek zaplecza dla całego frontu. Ale zgodnie z mapą sektora, jeżeli będziemy dalej posuwać się na północny wschód, to powinniśmy przejechać przez pozycje naszych jednostek, mijając szpital polowy w Dinant... do tego miejsca mamy tylko około dwudziestu kilometrów. Jest całkiem niedaleko stąd. Moim zdaniem należy ich dowieźć do Dinant. Ktoś na ten temat?

Boyle odezwał się pierwszy.

— Ciężko rannych trzeba zabrać do najbliższego szpitala polowego. Niech będzie Dinant.

— Okay — dodał Miller. — Zabitych też tam zabierzemy. Po cholere mamy ich chować w jakiejś zasranej dziurze?

— Wysłać ich do Dinant... zostawić ich tutaj — odezwał się Smythe z przesadną emfazą. — Brzmi to, jakby jeden z was mówił o pozostaniu tutaj, a drugi o tym, że mamy stąd zmykać.

— Co z tego wynika? — spytał Beck. — Dokładnie to, co mówię, Williamie. Gdybym był Niemcem i spędził niejedną noc na przenoszeniu przez amerykańskie linie kawałków mostu pontonowego, to musiałbym mieć niezgorszy powód, żeby się tym zajmować, nie sądzicie? — zrobił efektowną pauzę. — I nawet jeżeli ta walka wyglądała, jakby miała się nigdy nie skończyć, to i tak nie dałbym się odepchnąć równie łatwo, jak ci chłopcy.

Miller i Boyle zgodnie skinęli, po czym skupili się na reakcji Becka.

— Na wypadek, gdyby żaden z was nie zauważył — ciągnął Smythe, zanim Beck zdążył odpowiedzieć — dodam, że siostra Agnieszka miała rację... nasi martwi goście noszą mundury SS.

— Owszem — potwierdził Miller. — Też to spostrzegłem.

— Szybko, Preston, nie mamy czasu na zabawy. Zalecasz wycofanie się? — spytał Beck.

— Stanowczo, i to jak najszybciej. — Potoczył wzrokiem po pozostałych i dodał: — Naprawdę trudno powiedzieć, co Niemcy teraz knują, ale podejrzewam, że chodzi im o coś więcej niż tutaj pokazali. Prawdopodobnie właśnie przegrupowują się gdzieś na tyłach, czekają na nadchodzące posiłki i planują znowu uderzyć na nas jeszcze przed świtem.

Beck spojrział na zegarek. Było prawie wpół do szóstej.

Rozdział 13

— Nie sądzę, żeby ten most był ich kaprysem — ciągnął Smythe. — Planują tu jakąś większą operację i chyba przyszedł czas na ruszenie się. Powinniśmy zawiadomić dowódcę rejonu w Dinant. Niech się tym zajmie.

Beck głęboko wciągnął powietrze. Spojrzał każdemu po kolei w oczy i odpowiedział cicho.

— Jedna połowa mojego ja chciałaby pogonić tych skurwieli z powrotem do Niemiec, zapolować na nich — urwał i na chwilę pograżył się w zadumie. Myślał o czterech zabitych i wyrazie twarzy martwej zakonnicy. — Ale druga połowa przypomina mi, że nasza misja nie polega na oczyszczaniu terenu. Zrealizowaliśmy zamierzenia, nie dopuściliśmy Niemców do osiągnięcia celu, do rzeki. Sądzę, że powinniśmy przerwać właśnie w tym miejscu... utrzymując tę pozycję wysłać kogoś jeepem po posiłki. Zgodnie z tymi mapami — stuknął palcem w papier przez cały czas nie odrywając wzroku od mężczyzn, do których się zwracał — pomiędzy tym miejscem, a niemieckimi liniami musi się znajdować co najmniej połowa armii amerykańskiej.

— Ma pan rację, kapitanie — wtrącił Miller. — Byłoby szaleństwem ścigać ich i próbować zniszczyć z dwoma lekkimi plutonami. Ale jeżeli tutaj zostaniemy i będziemy trzymać tę pozycję, mogą wrócić wzmocnieni i dać sobie z nami radę. Nie wiemy przecież, co za cholera się za tym kryje. Gdyby ktoś mnie pytał, to jak na ludzi, którzy uciekają, cofali się wyjątkowo wolno.

Beck spojrzał na Boyle'a czekając na jego ostatnie słowo. Komandos był zdecydowanie najbardziej doświadczonym w walce członkiem grupy. Skubiąc krótką bródkę, porucznik odezwał się cichym, autorytatywnym głosem:

— Miller ma dużo racji, kapitanie. W tej małej całonocnej potyczce byliśmy raczej górą, nie widzę jednak pola bitwy usłanego ciałami nieprzyjaciela. — Zastanowił się przez chwilę i ciągnął: — Tak za bardzo od nas nie oberwali. A i Preston słusznie mówi. Nie wiadomo, ilu Szkopów poza tymi, których widzieliśmy, znajduje się w drodze na most, który mają zamiar zbudować. Chętnie spędziłbym noc, a właściwie to co z niej zostało, w ciepłym klasztorze, myślę, że podobnie jak wszyscy. Ale gdybyśmy tak zrobili, moglibyśmy wpaść w prawdziwe tarapaty. Głosuję za odejściem stąd jeszcze w nocy. Poza tym możemy się zdrzemnąć, i to całkiem nieźle, w Dinant, około godziny drogi stąd, prawda?

Beck był bliski wyrażenia zgody. Wszyscy powiedzieli to, o czym myślał i wiedział, że powinno być zrobione. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo Niemcy ogłosili decyzję za niego.

— Nadchodzą! — krzyknął któryś z ludzi. Salwa z moździerzy przeorała ziemię niedaleko za miejscem, w którym zgromadzili się oficerowie. Do ludzi Becka, znajdujących się dobre piętnaście metrów z przodu, zabrakło sporo.

Wszyscy czterej instynktownie padli, przyciskając się do zimnej ziemi. Czuli, jak ich ciała odskakują od rozedrganego gruntu. Grzmoty, przetaczające się w szybkim rytmie jeden

po drugim, wyjaśniły iż, że mają do czynienia z ciężką artylerią. Sądząc po gęstości ostrzału ze strony niemieckiej, należało być pewnym, że rozpoczyna się właśnie kontratak z ciężkim wsparciem ogniowym.

Ciągły i nieprzerwany ogień zaporowy trwał przez blisko dwie minuty, potem trochę zelżał, a tymczasem kanonierzy bez wątpienia poprawiali celowniki. Zaczęli „przechodzić” coraz dalej za nich, w stronę drogi, z tą samą bezlitosną siłą, co poprzednio.

— Jasna cholera! — spostrzegł Boyle. — Celują w klasztor. Zamierzają go zrównać z ziemią!

Beck odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy pocisk wyrwał kawał tylnej ściany budynku. W tej samej chwili przez głowę Becka przebiegło kilka myśli. Między innymi wyobraził sobie Marię i inne zakonnice ginące pod tonami gruzów.

Podświadomie Beck natężył słuch i wyłowił z hałasu niewyraźny dźwięk. Rozpoznał go, ale początkowo nie mógł umiejscowić. Był jeszcze dosyć daleko, ale z każdą sekundą narastał.

Teraz wiedział już, co to jest, bez cienia wątpliwości. Zerwał się na równe nogi z krzykiem.

— Czołgi! — popędził w kierunku swoich ludzi. — Czołgi! Ruszać się! Wycofywać na drogę! Do ciężarówek!

Niemcy wracali, i tym razem nie zamierzali pozwolić, by ktokolwiek ich zatrzymał. Bitwa w Ardenach rozpoczęła się.

Równocześnie z ludźmi Becka, którzy przedzierali się przez syjący śnieg w bezpieczne miejsce, tysiące Amerykanów na całym Froncie Duchów zaczynały, podobnie jak oni, cofać się przed potężnym, zdobywającym teren nieprzyjacielem, którego niemal wszyscy spisali już na straty. Dla tych, którzy zginęli lub dostali się do niewoli w nadchodzących dniach, wojna miała się skończyć przed Bożym Narodzeniem.

Wycofujący się w pobliże drogi ludzie Becka wydeptali szeroką ścieżkę wokół klasztoru. Była ona teraz metodycznie niszczone. Miller pociągnął większość swojego plutonu daleko na prawą stronę zespołu, podczas gdy podkomendni Boyle'a wydostali się z zasięgu bezpośredniego zagrożenia w lewo.

— Gdzie są, do cholery, te ciężarówki? — mrucał Shoen, nie kierując zresztą pytania do nikogo konkretnego. Należał do grupki nerwowo kulającej się przy stosie drewna, do którego powstania przyłożył się w lecie Miller. Okazało się, że pociski padły właśnie najbliżej nich.

— Jezu Chryste! — wrzasnął Post. — Jeśli się nie mylę, Shoen, jesteś jednym z kierowców. Co robisz tutaj, do ciężkiej cholery?

— Boyle wysłał po ciężarówki pierwszych ludzi, którzy mu się nawinęli. Jak przyjadą, będę prowadził.

— Tak myślałem... wleciesz dupę z tyłu, jak zwykle — dociął mu Geiger.

— Lepiej rusz swoją, kutasie. Byłem obserwatorem, z przodu. A gdzie, do diabła, podziewałeś się ty?

Nagle zobaczyli sylwetkę człowieka biegnącego w ich stronę przez otwartą przestrzeń.

— Co za pieprznęty skurwiel robi takie numery? — padło pytanie.

Za krótko wymierzony pocisk eksplodował za plecami biegnącego. Wybuch oderwał go od ziemi i cisnął na ludzi za stosem drewna.

— Cholera, to znowu Beck — Shoen skurczył się, oczekując uderzenia. Po raz kolejny Beck wylądował o milimetry od niego. Wyrzucony wstrząsem w górę pistolet maszynowy przeleciał ze świstem nad ich głowami niczym bumerang.

Beck szybko wstał i rozejrzył się, gdzie jest. Większość tylnej ściany klasztoru już runęła. Bez większego wysiłku mógł zajrzeć do sali, gdzie podano im herbatę. Miał wrażenie, że działo się to bardzo dawno. Odchylił głowę do grupki koło stosu.

— Chodźcie wszyscy ze mną. Musimy wydostać zakonnice z piwnicy, zanim zostaną pochowane pod górą gruzów.

Kapitanowi ulżyło, kiedy na otwartej przestrzeni, którą musieli pokonać sprintem, chcąc dotrzeć do wyłomu w ścianie, nie dostali się już pod ogień lekkiej broni maszynowej. Nie słyszał teraz zbliżających się czołgów, ale wiedział, że wkrótce znajdą się wystarczająco blisko, żeby przysporzyć mu nowych kłopotów. Na domiar złego, zdawał sobie sprawę, że wraz z czołgami pojawi się piechota. Nie było czasu do stracenia.

Wnętrze klasztoru zamieniło się w rumowisko. To, co wciąż jeszcze zachowało pozycję stojącą, groziło zawaleniem przy pierwszej eksplozji. Beck pomyślał, że chciałby mieć chociaż mętne pojęcie, gdzie znajdują się drzwi do kryjówki.

— Siostro! — zawołał głośno raz, a potem drugi. — Siostro! — Pozostali przyłączyli się do niego. Wszyscy przemykali się po budynku, jak po polu minowym. Przy każdej eksplozji po całej sali fruwały kawały drewna i innych materiałów.

Już po kilku minutach Beck stwierdził, że sytuacja staje się krytyczna. Ciężarówki mogły nadjechać w każdej chwili, jeśli jeszcze nie dotarły, nad klasztorem wisiało niebezpieczeństwo runięcia, a nikt nie pomyślałby, żeby szukać sióstr w gruzach, zresztą nie byłoby na to czasu. Musiał postawić bezpieczeństwo własnych żołnierzy na pierwszym miejscu. Właśnie miał odwołać poszukiwania, kiedy jeden z żołnierzy głośno przyzwał wszystkich do kuchni. Kiedy Beck z trzema ludźmi wpadli do pomieszczenia, znaleźli tam już dwóch innych, usuwających gruz znad stopy, która wystawała z niewielkiej sterty.

Pracowali jak wściekli, całkowicie lekceważąc teraz ostrzał. W niecałą minutę wydobyli półumarłą siostrę Agnieszkę.

— Siostro, gdzie jest reszta? Gdzie się ukrywa? — błagalnie spytał Beck.

Ostatni większy kawał dachu roztrzaskał się o ziemię niecałe dwa metry od nich, wznosząc oślepiający tuman pyłu. Położona najbliżej nich wysoka, kamienna ściana paskudnie się chwiała. Przez kilka sekund żaden z żołnierzy nie był w stanie dostrzec własnych rąk, potem chmura zaczęła osiadać. Część, włącznie z Beckiem, dusiła się od pyłu, który dostał się do gardel.

— Siostro, proszę posłuchać! Gdzie one są? Wszystkie zginą! I my zginieemy!

Nie mogąc mówić, wolno wskazała oczami w kierunku, gdzie przykucnął Post. Zakonnica kaszlnęła i z wysiłkiem unosząc rękę, wskazała mniej więcej to samo miejsce.

— Zabierzcie ją stąd — rozkazał Beck Shoenowi i drugiemu z ludzi. — Do ciężarówka. Reszta zostaje i pomaga mi.

Mimo pyłu wciskającego się do oczu, Beck natychmiast skoczył do rumowiska otaczającego Posta. Walczyli z gruzem, jakby od tego zależało ich własne życie. W zasadzie tak zresztą było.

Nadal waliła artyleria. Beck pomyślał, że ma to i dobrą stronę. Czołgi i piechota nie ruszą do przodu przed zakończeniem wsparcia. Ale zabytkowe ściany klasztoru mogą stać się tymczasem nagrobnymi kamieniami jego ludzi. Ponad połowa klasztoru uległa zniszczeniu.

Znaleźli kłapę do piwnicy pod dywanikiem, na którym stał potężnych rozmiarów rzeźniczy stół z drewnianych kłoców. „Proste”, pomyślał kapitan. Jedyne dywanik, jaki widział w tym spartańskim klasztorze. Byłoby to prawdopodobnie pierwsze miejsce, w które zajrzeli-by Niemcy nie doliczywszy się jakiejś zakonnicy.

— Przygotujcie latarki — głos Becka brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu.

Po podniesieniu kłapy nie trzeba było szczególnie zachęcać zakonnice do opuszczenia ich podziemnego sanktuarium. Beck przeżył szok, stwierdzając że u podnóża koślawej drewnianej drabinki zgromadziło się zaledwie pięć dziewcząt. Maria była ostatnia w rzędzie. Beck wypowiedział w myślach modlitwę dziękczynną za odnalezienie ich całych i zdrowych.

Zaskoczony zobaczył, że tuż koło niego pochyla się Shoen.

— Powiedziałem, żebyście zabrali stąd siostrę Agnieszkę.

— Ona nie żyje, panie kapitanie.

Kiedy Maria wyszła na powierzchnię, Beck ujął ją delikatnie za ramiona.

— Gdzie się schowała reszta? — Musiał krzyzczeć, żeby można go było usłyszeć mimo huku pocisków, wybuchających po kilka naraz.

— Na dół z nami nie zeszyły. Siostra Agnieszka mówiła, że modlą się w kaplicy. — Przerwano na chwilę ostrzał. Maria przyjrzała się szybko ruinom dookoła i pokręciła głową: — Kaplica była właśnie tam — wskazała tę część klasztoru, która z wyjątkiem masywnej kamiennej ściany już nie istniała. Pomieszczenie zostało zasypane tonami kamieni i gruzu.

Beck przyznał w duchu, że poszukiwania nie mają sensu, ale mimo to machinalnie ruszył w tamtym kierunku.

Dokładnie w tej chwili gwałtowny podmuch po eksplozji na zewnątrz przewrócił masywną ścianę.

— Kapitanie — Miller chwycił go za ramię. — Wystarczy. Nie żyły na pewno już wcześniej, zanim to rąbnęło. Zwiewajmy stąd!

Ciężarówka jazgotała na jałowym biegu. Były załadowane i czekały na Becka i jego ludzi, którzy wyłonili się z ruin klasztoru, prowadząc gromadkę zakonnice. Biegli przez frontowy dziedziniec, zbliżając się do kolumny samochodów od tyłu. Na śliskim podłożu żołnierze i zakonnice potykali się. Kilkoro upadło w śnieg. Ludzie z ciężarówek pohukiwali na nich i okrzykami dodawali im otuchy, a tymczasem bijące dookoła pociski obsypywały ich fontanami szarego, śnieżno-ziemnego pyłu.

Nagle wszyscy zorientowali się, że intensywność ognia z moździerzy zdecydowanie słabnie.

Kryty jeep stał, jak zwykle, na czele kolumny złożonej z trzech ciężarówek. Cały konwój znajdował się może dziesięć metrów na północ od wjazdu na teren klasztoru. Ustawienie

pojazdów kazało domyślać się, że posuwały się już powoli naprzód.

— Weźcie je gdziekolwiek. Zróbcie miejsce — wrzasnął Beck, windując wraz z Postem jedną z zakonnice na ostatni samochód. Co najmniej tuzin rąk wyciągnęło się, żeby wciągnąć następne. Beck popędził na początek konwoju.

Wskoczył na stopień pierwszej ciężarówki, po stronie pasażera, i spojrzął przez opuszczoną szybkę do środka. Z ulgą zobaczył powitalny, szeroki uśmiech Smythe'a. Ale w zębach Anglik przygryzał papierosa.

— Dzięki Bogu... Już zaczynaliśmy myśleć, że paru z was tam przysypało — wyrzucił z siebie Smythe słabym głosem. Obaj z zaskoczeniem dostrzegli jeszcze jedną głowę, która pojawiła się nagle z prawej strony kapitana.

— Jazda, jazda! — zawołał Beck do Smythe'a.

Smythe wrzucił bieg. Dwuipółtonowa ciężarówka lekko zarzuciła i szarpnęła do przodu. Beckowi udało się wsadzić do środka rękę przez okienko i opuścić do końca szybkę.

— Czemu, do diabła, nie jesteś na końcu z innymi? — wybuchnął Beck, spoglądając na Marię.

— Pobiegłam za tobą.

— Nie jestem ślepy. Widzę!

— Bo ja... Ja nie znam tych żołnierzy.

— Reszta zakonnice też nie zna, ale jedzie w ostatnim wozie.

— Ja jeszcze nie jestem zakonnica! — ucięła.

— Mamy pasażerów? — spytał Smythe.

— Pięć z nich... Tylko one przeżyły — odparł Beck.

— Hej, wy dwoje, mam stanąć, żebyście mogli wsiąść — spytał Smythe, zaczynając zwalniać — czy wolicie przebiedować na zewnątrz i pogadać sobie na osobności?

— Nawet nie myśl o stawaniu — odparł Beck. — Dawaj ostro do przodu. Człogi mogą w każdej chwili wjechać na drogę. Jesteśmy w ich zasięgu.

Smythe skinął głową i przycisnął pedał gazu. Maria gwałtownie wciągnęła powietrze, bo ciężarówka znów wpadła w lekki poślizg. Ponieważ dziewczyna stała na stopniu przed Beckiem, bliżej maski, szybko oblepiały ją płaty mokrego śniegu.

— Uwaga, musimy zrobić parę małych sztuczek, żeby się dostać do środka — Beck niemal ryczał jej do ucha, chcąc przekrzyczeć wycie silnika.

— Bez zatrzymania? — spytała głośno, wytrzeszczając oczy w niedowierzaniu.

— Zgadza się. Bez zatrzymywania. — Beck zdjął prawą rękę z ramy okienka. — Teraz! Wchodź przede mną.

Zawahała się.

— Powiedziałem, wchodź.

Przesuwając się po kawałeczku na śliskim stopniu, zaczęła powoli wciskać się między Becka i drzwi. Jechali teraz po wyjątkowo podłym odcinku drogi i kilkakrotnie Beck czuł, że ześlizguje się ze stopnia. Maria trzymała się kurczowo dolnej krawędzi okienka. W końcu Beckowi udało się z powrotem chwycić prawą ręką za ramę. Odetchnął.

Byli ściśnięci jak sardynki. Oboje nie rozstawali się z tym wrażeniem.

— Co robimy teraz? — spytała nieśmiało.

Byłoby o wiele bezpieczniej, gdyby Smythe zatrzymał pojazd, ale Beck wiedział, że nie mogą ryzykować. Każdy metr więcej dzielący ich od klasztoru miał olbrzymie znaczenie. Wciąż jeszcze znajdowali się w zasięgu czołgów i mieli pozostać w tej sytuacji przez kilka najbliższych minut.

— Zabiorę lewą rękę. Wtedy przesuniesz się za mnie i wepchniesz w ten kąt. — Nie rozluźniając chwytu na drzwiczkach, Beck wskazał gestem lewego łokcia wąską przestrzeń między kabiną i budą ciężarówki. — Wciśnij się tam, jak możesz najbardziej. Wtedy spróbuję otworzyć drzwiczki.

Spojrzała w kąt, o którym mówił Beck. Wyglądało na to, że nie zmieściłaby się tam, nawet gdyby była o połowę mniejsza.

— To szaleństwo. Nie uda ci się otworzyć drzwiczek tak, żeby mnie nie zawadzić. Zresztą nie mam się za co złapać.

— Spróbuj. Tylko spróbuj — głos Becka zabrzmiał łagodnie i prawie błagalnie.

Nadal byli przyklejeni do siebie. Trzymali się ramy okienka, a ciężarówka podskakiwała tymczasem na wybojach. Kilka razy Beck przesunął twarzą po jej policzku i mimo dotkliwego zimna poczuł dużą przyjemność. Pomyślał, że w innym miejscu i czasie przekraczałoby to jego najśmielsze nadzieje. Ale nie w tej chwili.

Wyteżył wzrok, chcąc dostrzec przez oślepiający śnieg, kiedy wjadą na gładszy odcinek drogi, żeby mógł się puścić jedną ręką, nie narażając się na spadnięcie.

— OK., Preston, tu nawierzchnia wygląda jakby lepiej. Zwolnij trochę, gdy poczujesz, że jest równiej. — Zwracając się do Marii dodał: — Szybko... Musimy to zrobić szybko. Jesteś gotowa?

Bez wahania skinęła głową.

— Preston?

— Jeszcze nie, Williamie. Zdaje się, że zaraz będzie zakręt. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Rzeczywiście, zakręt był, łagodny, ale długi. Kiedy na niego wjechali, przestali być widoczni z klasztoru. Smythe mógł nawet zjechać na bok i zatrzymać się. Beck i Maria nie musieli ryzykować przesiadki w biegu.

Smythe nacisnął kilka razy hamulec, ostrzegając pojazdy za nim, że zwalnia i staje. Natychmiast po zatrzymaniu Beck zeskoczył ze stopnia i pomógł zrobić to samo Marii. Nie tracąc czasu, pociągnął do siebie drzwiczki kabiny i ujawszy dziewczynę w talii, wsadził ją z powrotem na stopień. Maria wślizgnęła się do szoferki i usiadła koło Smythe'a, Beck wsunął się zaraz za nią.

— Jedziemy!

Smythe przełożył dźwignię biegów i ciężarówka skoczyła naprzód, wciskając wszystkich troje głęboko w siedzenia. Beck szybko zamknął okienko.

— Dzień dobry — Smythe rozpoczął prezentację. — Porucznik Preston Smythe z Marynarki Wojennej Jego Królewskiej Mości, do usług, madame. A może powinienem mówić „siostrzo”? — nie odrywając wzroku od drogi, wyciągnął do Marii prawą rękę na powitanie.

— Jeszcze nie jestem siostrą... a na pewno nie jestem madame.

Minio strasznych przejść i niebezpieczeństwa, które wciąż im zagrażało, udało jej się zachichotać po dziewczęcemu z własnego żartu.

Mały konwój ruszył w stronę Dinant. Po prawej stronie niebo na horyzoncie zaczęło po woli jaśnieć.

* * *

W tę samą sobotę 16 grudnia, prawie dokładnie w chwili, gdy na Becka i jego ludzi spadły pierwsze pociski z niemieckich moździerz, obserwatorzy jednostek piechoty na całym Froncie Duchów, ciągnącym się w kierunku wschodnim na odcinku około stu trzydziestu kilometrów, gorączkowo manipulowali telefonami polowymi, chcąc zameldować o niespodziewanym, intensywnym ogniu zaporowym z niemieckich pozycji.

Chociaż penetracja w rejon Mozy, wokół słabo bronionego obszaru, na którym leżał klasztor, została skoordynowana z główną ofensywą, w rzeczywistości nie stanowiła jej części i miała być przeprowadzona dyskretnie.

Gdyby nie doszło zaraz na początku do potyczki z ludźmi Becka, niemieckie czołgi, które wyjechały na nich przed świtem, przedostałyby się tą samą drogą bez wsparcia artylerii. W innych miejscach, poza zamaskowanymi akcjami ludzi Otto Skorzenego, którzy przeniknęli przez linie wroga w amerykańskich mundurach, niemiecka ofensywa nie miała w sobie nic sekretnego. Główne uderzenie poszło przez dolinę Losheim w Ardenach, ale cały plan Hitlera, ukryty pod kryptonimem „Straż nad Renem”, obejmował stukilometrowy odcinek frontu, ograniczany średniowiecznym miastem Echternach od południa i miejscowością Monschau na północy. Północne ekstremum znajdowało się mniej więcej trzydzieści kilometrów na południowy wschód od Akwizgranu i było niemal w zasięgu wzroku osoby stojącej przed jaskiniami w Chapelleburgu.

Po rozpoczęciu walk w Ardenach niemiecka 15 Armia, obejmująca dywizje pancerne i zmechanizowane oraz piechotę, dokonała koncentracji na południe od Akwizgranu i spokojnie czekała. Miała stanowić rezerwę przez czterdzieści osiem godzin, a potem, w zależności od rozwoju wypadków, przystąpić do realizacji jednego z dwóch planów bojowych: albo przemieścić się na południowy wschód nad Mozę, w rejon Liège, w celu odcięcia i okrążenia oddziałów amerykańskich znajdujących się w okolicach Akwizgranu, albo zaangażować i powstrzymać oddziały nieprzyjaciela, gdyby Amerykanie próbowali wzmocnić siły w Ardenach. W obu przypadkach armię czekał czterdziestoosmiodzinny postój.

Konrad Pelch znowu miał zły dzień. Prawdę mówiąc, od kiedy na początku sierpnia przystąpili do tej operacji, miał bardzo niewiele dobrych dni. Czasami zastanawiał się, czy to nie przez związany z jaskiniami bzdurny zabobon, w który wierzyła większość jego ludzi.

Rozkazy dostał całkiem jasne i pozornie łatwe do wykonania, tym bardziej że dysponował na to czasem. Przenieść skarb na jak najniższy poziom w jaskiniach, zlikwidować ślady pobytu ludzi wewnątrz, potem zatarasować wejście i przywrócić otoczeniu naturalny wygląd, tak żeby nawet osoba wiedząca o istnieniu jaskiń nie mogła ich znaleźć.

Okazało się jednak, że łatwiej powiedzieć niż wykonać. W rozkazach nie brano pod uwagę żadnych przerw.

W październiku las Hurtgen w pobliżu Akwizgranu i Chapelleburga zyskał sobie fałmę „Argonne drugiej wojny światowej”, jako powtórzenie krwawej bitwy z okresu pierwszej wojny. Obie strony poniosły tam ciężkie straty.

Pelch nie miał wyboru. Musiał zniszczyć małą wieś, usunąć wszelkie ślady ich obecności i, po wycofaniu ludzi do jaskiń, przeczekać bitwę. Mieli wewnątrz wystarczająco dużo żywności, żeby w razie potrzeby dotrzeć do wiosny. Mogli wprowadzić nadal przenosić skarb na niższe poziomy, ale prace przy tarasowaniu wejścia zostały zatrzymane.

W czasie bitwy Chapelleburg był ziemią niczyją. Sporadycznie odwiedzały go zarówno niemieckie, jak i amerykańskie patrole, więc niebezpieczeństwo odkrycia jaskiń było podwójne. Jeszcze później wszystko stało się w martwym punkcie. Amerykanie zajęli Akwizgran, zostawiając Chapelleburg Niemcom. Niemiecka aktywność w tym rejonie nagle wzrosła.

Jedynie Pelch i garstka zaufanych żołnierzy wychodzili niekiedy z jaskiń na rozpoznanie. W ciągu dnia nie było widać, żeby cokolwiek na tym terenie się zmieniło. Ale w ciągu ostatnich tygodni Pelch osobiście obserwował niemieckich żołnierzy, układających przody czołgów słomą, żeby wyciszyć odgłosy ruchu. A czołgi przybywały coraz liczniej. Nie była to jego sprawa. Z rozbawieniem przyglądał się żołnierzom, starannie maskującym każdy wóz siatką i gałęziami. Odbywały się tu przygotowania na dużą skalę i wyglądało na to, że Pelch ze swoimi ludźmi znalazł się akurat w ich środku. Miał wątpliwości, czy w przypadku nowej dużej bitwy na tym terenie nadal będzie sprzyjało im szczęście, czy tym razem nie zostaną wykryci.

Teraz czas najwyraźniej nadszedł. Nowe czołgi, które dołączyły, zrobiły to po raz pierwszy przy świetle dziennym. Zaprzesano wyciszania silników słomą. Z rozmieszczonych wcześniej czołgów pościągano siatki maskujące. Załogi starannie sprawdzały działanie wieżyczek i wietrzyły pojazdy przed walką. Po przegrupowaniu żołnierze kręcili się całkiem swobodnie po terenie, przyglądając się nowo sformowanym jednostkom. Piechota, w sile wystarczającej do zestawienia dywizji, była praktycznie wszędzie. W przygotowaniach ujawniło się gorączkowe przyspieszenie. „Gdzieś w Ardenach bitwa musiała się już rozpocząć”, pomyślał Pelch.

— Będziemy nadal siedzieć cicho — powiedział zebrany oficerom i podoficerom. — Dopóki te oddziały stąd nie ruszą, nie jesteśmy w stanie określić, co się właściwie dzieje.

— Idzie ofensywa, panie majorze, jestem tego pewien — entuzjastycznie rzucił Kleist.

— Albo idą Amerykanie, a my się przygotowujemy do obrony — sarkastycznie skomentował Steiner.

— Wszystko jedno, w każdym razie to ich wojna, a nie nasza — ciągnął Pelch. — Nie wolno nam się w to angażować. Nasza jednostka nie może odstąpić od swojego zadania. Dalej będziemy starali się pozostać niewykryci. Za wszelką cenę musimy uniknąć wplątania w tę bitwę, chyba że jaskinie zostaną zagrożone... przez kogokolwiek. Nikt nie ma prawa do nich wejść. Zrozumiano?

Potoczył wzrokiem po wszystkich i postanowił wyjaśnić sytuację jeszcze dobitniej.

— Nie dopuszczę do podporządkowania ani jednego z moich ludzi Wehrmachtowi. Nawet gdyby niemieckie oddziały miało tu wyciąć w pień... nawet gdyby błagały nas o pomoc. Mamy rozkazy bezpośrednio z Berlina: za wszelką cenę uchronić zawartość jaskiń.

— Sturbannfuehrer — zapytał Steiner — jeżeli okaże się, że bitwa rozgrywa się gdzie indziej, to jak długo po odejściu tych oddziałów będziemy jeszcze musieli czekać na pozwolenie wyjścia z jaskiń?

— Cieszcie się, Steiner, że siedzicie w środku — warknął Pelch. — Na zewnątrz jest zima i mróz.

— Wiem o tym — naciskał — ale już od miesiący poza panem i kilkoma oficerami nikt stąd nie wychodził, jesteście tu cały czas. Niektórzy z ludzi są... stali się nerwowi — Steiner uśmiechnął się lekko.

— Czy to właśnie dlatego nikt już nie chce schodzić na dół? Czy dlatego nie można usunąć oświetlenia z korytarzy? — spytał Pelch.

„Znowu ta cholerna legenda”, pomyślał. Dużo dałby, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób rozpowszechniła się wśród żołnierzy. Kleist? Nie, gdyby Pelch naprawdę go podejrzewał, to porucznik powinien być już rozstrzelany. Musiał rozpowiedzieć Rau, jeszcze przed śmiercią.

Steiner nie odpowiedział, tylko lekko spuścił głowę, jakby w zakłopotaniu. Pelch miał świadomość, że powinien udzielić jakiejś odpowiedzi.

— Jeżeli odejdą na południe lub wschód, żeby uderzyć na linie Amerykanów, a przypuszczam, że tak właśnie będzie, bo ten teren wygląda na miejsce zgrupowania przed bitwą, to znowu zaczniemy odkomenderowywać małe grupy do zajęć na zewnątrz. Może zachęci to pozostałych do cięższej i szybszej pracy.

Nastroj zebranych zdawał się poprawiać. Pelch przeszedł do szczegółowych zadań na cały dzień, po czym kazał się rozejść.

Steiner szedł do swoich ludzi w stronę wylotu jaskiń. Był wściekły. Zupełnie jakby Pelch wiedział o jego planach zejścia na dół, ale nie chciał mu pozwolić na ich realizację. Od ponad tygodnia patrol Steinera stanowił jedną ze zmian na posterunku przy wylocie. Tego dnia Steiner był pewien, że zmienią mu zadanie, zgłosił nawet swoich ludzi jako ochotników do pracy na dole. Pelch odrzucił jednak te propozycje stanowczo i bez wyjaśnień.

Dwukrotnie w nocy, mając czas wolny od służby, Steiner usiłował zejść w głąb samodzielnie. Z obu prób zrezygnował. W korytarzu panowała całkowita ciemność, bez światła nie dało się iść dalej. W mroku łatwo było skrócić nie tam, gdzie trzeba. W pierwszym korytarzu Steiner nie mógł jednak odważyć się nawet na zapalenie zapalki. Ktoś w głównej komnacie mógłby dostrzec odbłask. Ryzyko odkrycia było zbyt duże. Jak wytłumaczyłby wtedy, po co idzie na dół?

Pogodził się więc z faktem, że prawdopodobnie będzie musiał zaczekać, aż znowu zostaną wystawiane warty na zewnątrz. Dyscyplina się wtedy rozluźni. Praca będzie się odbywać przy świetle, przez okrągłą dobę, bo muszą przecież jak najszybciej skończyć. Steiner uznał, że wtedy znajdzie trochę czasu, żeby się oddalić.

Tak czy inaczej, nie zamierzał opuszczać jaskiń bez złotego krucyfiks.

Rozdział 14

Świeży, nieodgarnięty śnieg na drodze sprawił, że reszta podróży do Dinant trwała o wiele dłużej niż przewidywali, ale na szczęście minęła bez nieprzewidzianych wypadków.

Pierwsze minuty w kabinie Beck spędził dyskutując ze Smythem o znaczeniu wydarzeń, które zaszły w ostatnich godzinach. Maria, mimo wyczerpania, próbowała uważnie się przysłuchiwać, ale głowa opadała jej raz po raz, jak korek na oceanie, i wkrótce dziewczyna zasnęła.

Dwupasmowa droga wiała się serpentyną po pagórkowatym terenie. Nad jej większą częścią górowała ściana potężnych świerków, wyglądających jak rzymskie centurie milcząco trzymające wartę po obu stronach. Gałęzie, zwisające pod ciężarem świeżo spadłego śniegu, przywodziły na myśl zmęczone, spracowane ręce.

Wartownicy z niedbale strzeżonego posterunku na obrzeżach miasta szybko opisali drogę do polowego szpitala. Ciężarówka Boyle'a, wioząca rannych i zabitych, natychmiast tam popędziła.

W parę minut później Smythe zatrzymał kolumnę pozostałych pojazdów przed rzędem przyklejonych do siebie domów na malowniczej głównej ulicy.

— Dobra, już idę — powitalne warknięcie stanowiło odpowiedź na uporczywe bębnie nie Becka. Dobiegło zza barwnego witraża w solidnych drewnianych drzwiach. Drzwi otworzyły się. Ukazał się niechlujnie wyglądający oficer z kapitańskimi pagonami. Jedną ręką niezgrabnie upychał w spodnie zwisający dół koszuli, drugą przysłaniał oczy przed uderzeniem dziennego światła.

— Kapitan William Beck, Naczelne Dowództwo. Muszę porozumieć się natychmiast z komendantem rejonu. Proszę mnie z nim skontaktować, kapitanie — zażądał Beck, starając się jednocześnie utrzymać równowagę na śliskim stopniu prowadzącym do drzwi.

— Jaja sobie robisz? Starego szukasz w tym syfie? — oficer podjął nieprzekonującą próbę wygładzenia rozczochranych włosów. Beck najwyraźniej go zbudził.

— Proszę posłuchać, Niemcy rozpoczęli ofensywę w rejonie Givet, mają czołgi.

— Givet? — przerwał Beckowi. — I chuj z tym, to nie nasz sektor, nawet nie sąsiedni.

— Gdzie jest wasz dowódca?

— Poczekaj, żołnierzu! — zaskoczony tonem Becka, oficer uniósł ręce, dłońmi do przodu. Zmrużył oczy i podejrzliwie wbił wzrok w kapitana. Językiem usunął z zębów osad z porannego, nieświeżego oddechu i odezwał się znowu:

— Jest teraz cholerna siódma rano. Kim ty, do diabła, mówiles że jesteś?

— Beck, William, kapitan, siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, przydzielony do Naczelnego Dowództwa Sojusznicznych Sił Ekspedycyjnych. A teraz proszę szybko powiedzieć, gdzie znajdę dowodzącego oficera tu, w Dinant.

Na twarzy oficera pojawiło się osłupienie.

— Po pierwsze, chłopie, tu nie jest żadne Dinant. Trafiełeś ze sto kilometrów na wschód. Beck jęknął. Musieli pomylić jakiś skrót.

— A po drugie ktokolwiek chce się zobaczyć z pułkownikiem Withersem, musi najpierw załatwić to u mnie. Nazywam się Renko. Jestem oficerem służbowym.

— To załatwiał, do diabła. Nie słyszałeś, co mówiłem? Muszę się z nim zobaczyć! — upierał się Beck. Prawie wcisnął swoje papiery w twarz Renki.

Ten spojrział na nie przelotnie i odepchnął rękę Becka, przesywając go spojrzeniem.

— Dobra, dobra, załatwione... ale niezłatwione.

Twarz Becka przybrała zdeorientowany wygląd.

— Nie zatrzymywałeś się tutaj i nie widziałeś mnie, kapujesz? — oficer był teraz bardzo wzburzony. — Szukasz go? Withers prawdopodobnie leży jeszcze w wyrze i wykręca poranny numer z jakąś belgijską kurwą. Mieszka w słodkim, małym domku z czerwoną dachówką. Jest tu tylko jeden taki, dokładnie na drugim końcu tej dziury — wskazał wzdłuż głównej ulicy. — Ale na twoim miejscu nie zwracałbym mu głowy przed pierwszą kawą.

Na to Beck nie mógł się zgodzić.

— Gdzie jest twój dowódca?

— Szlag go trafił już dosyć dawno. Jeszcze nie przysłali uzupełnienia — wzruszył ramionami, demonstrując brak zainteresowania. — Może ja wejdę na jego miejsce.

— A gdzie jest stanowisko dowodzenia i węzeł łączności?

Renko zmarszczył brwi.

— W klubie — przerwał i otrząsnął się, poczuwszy zimny podmuch na twarzy. — Hej, chłopie, mnie to całe gówno niepotrzebne. Ale jak pójdziesz prosto tą ulicą, to na pewno nie zabłądzisz. Jest przy rynku. Tyle, że nie skorzystasz...

W okamgnieniu Beck zbiegł ze schodów i znalazł się z powrotem w ciężarówce.

— Pieprzony błazen — mruknął Renko zatrzaskawszy drzwi.

Klub był imponującym ceglany budynkiem z sześcioma doryckimi kolumnami, podtrzymującymi łukowaty dach nad wejściem. Majestatyczny wygląd budynku przypominał jego lepsze dni. Beck pomyślał, że być może zbudowano go kiedyś jako operę.

Maria, która całkiem już się rozbudziła, została w szoferce. Beck i Smythe poszli po Millera. Kiedy we trójkę wchodzili do budynku, samotny wartownik nie próbował ich zatrzymać.

Wnętrze było obszerne. Dużą jego część zajmowało podium, które niegdyś pełniło rolę sceny bez kurtyny. Przed nim wciąż jeszcze ciągnęło się kilka przytwierdzonych rzędów miękkich, głębokich krzeseł. Po pomieszczeniu były rozrzucone kartoteki w brudnozielonym wojskowym kolorze i części biurka. W centrum dominowała ścięta jodła. Na czubku miała ręcznie wypisaną tabliczkę „Na Boże Narodzenie do domu”. Kręciło się tam kilku żołnierzy, niektórzy letargicznie przenosili papiery, inni ucinali pogawędkę.

W wydzielonym kącie, odgradzonym od ciągów komunikacyjnych, Beck zauważył system łączności stanowiska dowodzenia. Nikogo przy nim nie było.

— Kto tam ma służbę, żołnierzu? — zwrócił się Beck do bardzo młodego kaprała, siedzącego tyłem do drzwi. Miller spojrzął na nowiutkie buty wojskowe, oparte na zasłanym papierami biurku, i natychmiast rozpoznał w nim żółtodzioba ze świeżych uzupełnień. Beck przerwał kapralowi przeglądanie magazynu przy parującym kubku kawy.

Żołnierz zaczął niedbały obrót i natrafił oczami na plakietkę Naczelnego Dowództwa na rękawie Becka. Ochlapał się gorącym płynem próbując szybko doprowadzić się do porządku i stanąć na baczność.

Miller położył rękę na ramieniu chłopaka, przyciskając go do obrotowego krzesła.

— Spocznij, dziecko, i odpowiedz kapitanowi na pytanie.

— Kapitan Renko... sir, ale nie ma go tu w tej chwili — odpowiedział bez zastanowienia. „Wszystko się zgadza”, pomyślał Beck.

— W porządku. A kto z obecnych jest najstarszy stopniem?

— Chyba sierżant Maas — odchylił głowę wskazując otwarte drzwi do wydzielonego przepierzeniem pomieszczenia po lewej.

Beck przesunął się bez słowa obok kaprała i skierował się za przepierzenie. Smythe poklepał żołnierza po policzku.

— Witaj na wojnie, synku.

Sierżant Maas usłyszał, że coś się dzieje i pojawił się w drzwiach właśnie, gdy podchodził do nich Beck, a za nim inni. Elegancko zaszalutował. Sierżant wyglądał czysto i porządnie, całkiem odmiennie od pozostałych ludzi widzianych dotychczas przez Becka w tym mieście. Kapitan odsalutował.

— Musimy skorzystać z pańskiej łączności, sierżancie. Niemcy zaatakowali w rejonie Givet.

— Givet, sir? Czy jest pan pewien? To jest dosyć daleko na południowy zachód od nas... sporo za frontem.

— Bardzo dobrze wiemy, gdzie to jest, sierżancie. Wykurzyli nas stamtąd parę godzin temu. Niech pan da teraz szybko kogoś, kto połączy mnie z dowództwem dywizji stacjonującej na tamtym terenie.

— To niemożliwe, sir. Wszystkie linie zerwane, prawdopodobnie przez burzę, która szalała przed świtem. Jesteśmy zupełnie pozbawieni łączności.

— Co? — Beck nie wierzył własnym uszom.

— Tak, sir. Rozpocząłem służbę o siódmej rano. Znalazłem informację, że od piątej linie są zerwane.

— Czy pułkownik Withers albo kapitan Renko otrzymali formalny meldunek w tej sprawie?

— Pułkownik nie, sir, nie ma takiego, kto byłby w stanie mu zameldować. Ale na tablicy jest kartka, że kapitan wie.

Beck plasnął dłońmi o biodra i obrócił się z niesmakiem, po czym znów spojrzął na sierżanta.

— Boże wszechmogący! Co tu się dzieje, do jasnej cholery? Czy Renko wysłał kogoś, żeby znalazł uszkodzenia linii? Czy ktoś otrzymał rozkaz naprawienia tego? Czy łącznik skontaktował się z sąsiednim stanowiskiem dowodzenia?

— Nie sędzę, żeby którakolwiek z tych rzeczy została zrobiona, sir...— Maas chciał jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał.

— Coś panu powiem, sierżancie — Beck się wściekł. — Z tego, co widzę, tutejsze dowództwo jest najbardziej syfiastym balaganem w całej zasranej armii. Wasz kapitan Renko jest kawałem kutasa...

— Tak jest, sir.

— ... a wasz pułkownik Withers wygląda mi na nadętego balona!

— Bardzo się cieszę, że pan kapitan podziela moją opinię o tutejszych oficerach — oznajmił beznamiętnie, sądząc po twarzy, szczerze. Sierżant wciąż stał w postawie zasadniczej.

Beck spojrział na niego. Paski na rękawie wskazywały na dwa lata służby. Miał przed sobą zawodowego żołnierza.

— Sierżancie, co wy, do diabła, robicie w takiej zbieraninie?

— Moją jednostkę posiekali na kawałki, sir. Kilka miesięcy temu zdobywaliśmy Akwizgran.

— Właśnie tam się wybieramy — zauważył Miller.

— Ja miałem szczęście — ciągnął Maas. — Dostałem przeniesienie i skończyłem tutaj na czasowym przydziale — zamilkł na chwilę, w końcu zdecydował się powiedzieć wszystko do końca. — W Liège był taki cykorowaty kapitan. Wymyślił sobie dowcip.

Beck pokręcił głową i miał już zamiar się odwrócić, ale przystanął.

— Powiedźcie mi coś. Jak to możliwe, że ci ludzie tutaj są tak zupełnie bezkarni? — wykonał ręką szeroki gest, jakby omiatał całą salę.

Maas popatrzył na niego przez chwilę i odparł:

— Jak oficerom wszystko wisi, to ludziom też. Poza tym każdy myśli, że do Bożego Narodzenia będzie po wojnie.

Właśnie w tej chwili do sali wszedł Boyle.

— Kapitanie, będziemy chyba mieli mały problem.

— Już mamy: zerwana łączność. A co z tobą?

— W szpitalu pojawił się niejaki Renko, zasrany kapitanek i chciał wypieprzyć jedną z pielęgniarek. Nie był zbyt szczęśliwy, dowiedziawszy się, że przez najbliższe parę godzin jego dupcia będzie się zajmować naszymi ludźmi.

— Chuj z nim — uśmiechnął się Miller.

— Mów dalej — rozkazał Beck.

— Zaczął narzekać, że go zbudziliśmy i nie mógł z powrotem zasnąć, że będzie miał kłopoty z pogrzebem i z papierami. Ale naprawdę się wkurzył, kiedy zobaczył zakonnice, a ja powiedziałem mu, że musimy je tutaj zostawić. Nie chciał uwierzyć, że to rzeczywiście zakonnice.

— W każdym razie — odparł Beck racjonalnie — widzi chyba, że to nie żołnierze, tylko cywile, więc nie możemy ich wziąć ze sobą. Wie to przecież doskonale. Jesteśmy w ruchu, a tu jest jednostka stacjonarna. To o co mu właściwie chodzi?

— Zaczął rzucać kurwami i marudzić, że nie prowadzi obozu dla uchodźców, tym bardziej że są z Francji, a tu jest Belgia. Ogólnie zachował się jak rzadki skurwiel — Boyle urwał i rzucił krótkie spojrzenie na Millera. — W końcu ten jełop przysunął się do mnie i wrzasnął:

„Zabieraj stąd swoje pieprzone trupy i francuskie dziwki i wrywaj z tego sektora”.

Boyle przerwał na chwilę i rzeczowo przeszedł do pointy.

— Wyprowadził mnie tym z równowagi, kapitanie. Wziąłem skurwysyna i przetrzepałem mu dupę. Lekarz i żołnierz na służbie musieli mnie z niego ściągać. Zabrał się stamtąd jeepem, wrzeszcząc, że powiadomi pułkownika Withersa.

— Kurwa! — tyle tylko Beck był w stanie powiedzieć.

— Ładne przedstawienie! — rzucił Smythe. — Dobrze tak bydlakowi, niech nie przeklina przy siostrach.

Miller mrugnął i pokazał Boyle'owi kciukiem znak pełnej aprobaty.

— To najlepsza nowina w tym tygodniu — oświadczył Maas. — Przepraszam, panowie — i szybko wycofał się do swojego biura.

— Teraz mamy dwa powody, żeby stąd szybko wiać — podsumował Beck. — Niemiecki atak pod Givet, jeśli jeszcze ktoś o nim nie wie, i wyciągnięcie twojego durnego zadka z paki. Idziemy.

Konwój miał właśnie ruszyć, kiedy z budynku wybiegł Maas i zbliżył się do okienka, przy którym siedział Beck.

— Panie kapitanie, zaznaczyłem na tej mapie różne boczne drogi, które pomogą wam wydostać się z tego sektora i przenieść się w stronę Akwizgranu. Są kiepskie i leży na nich głęboki śnieg, ale nie powinno tam być żadnych wojskowych pojazdów. Proponuję, żebyście do końca dzisiejszego dnia nie wychylali nosa na ważniejsze drogi. Około szesnastej zacznie się ściemniać, mniej więcej w tym czasie powinniście przejechać przez rzekę. Wtedy będziecie już w innym sektorze.

— Ale pod Givet są Niemcy, musimy o tym zameldować.

— Zajmę się tym, sir. Wyślę jeepem człowieka do Malmedy. Wy lepiej stąd znikajcie. Withers jest tępą i wredną — zatrzasnął drzwiczki i krzyknął coś jeszcze, pewnie życząc im powodzenia. Ruszyli ostro.

Pierwszy raz zdarzyło się Beckowi, że w ogóle nie zapytał o nazwę miasta.

— Nie zostajemy? — spytała niewinnie Maria.

— Przykro mi, ale nie. Przepraszam, Mario. Wygląda na to że i ty, i reszta pobędziecie z nami jeszcze trochę.

Przez sekundy myślała, a potem dodała:

— Chyba pojedziemy z wami aż do Akwizgranu, prawda?

— Chyba nie — odparł Beck.

Kiedy wjechali na bezpieczny teren, Beck kazał Smythe'owi zatrzymać. Wyciągnął z mapnika trochę czystego papieru.

— Preston, załatw kopie dla pozostałych kierowców — wręczył mu papier i mapę, którą dostał od Maasa. — Na wypadek, gdyby nas rozdzielono.

Kiedy zostali z Marią sami, Beck odwrócił się do niej. Siedzieli w kabinie ciężarówki.

— Wiesz, że nie możemy zabrać ciebie i innych — powiedział cicho i łagodnie.

Maria spuściła oczy. Nie odezwała się.

— Nie chcę was zostawiać po drodze. Musisz to wiedzieć.

— Więc weź nas! Zabierz do Akwizgranu. Możemy gotować dla żołnierzy...

— To niemożliwe — Beck pokręcił głową.
— Poza tym znam miasto. Mogłabym się przydać.
— Mario — położył jej ręce na ramionach. — Nie ja wymyśliłem te reguły. Jest wojna, a ja jestem w armii. Po prostu nie wolno przewozić osób cywilnych.

Urwał. Minęło kilka sekund, zanim zebrał w sobie odwagę, żeby dodać:

— Chciałbym. Boże, jak bardzo chciałbym. — Prawie odruchowo przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Chciał ją pocałować, żadna inna dziewczyna nie wzbudziła w nim dotąd tak silnego pragnienia. Poczuł jednak, że ciało Marii sztywnieje. Zaskoczony własnym zachowaniem, Beck puścił ją i szybko odwrócił twarz ku masce samochodu zaciskając oczy. Maria spoglądała na niego przez chwilę bez wyrazu, potem zaczęła wyglądać przez boczną szybę.

Stuk wycieraczek przebiegał się przez stłumione jęczenie pracującego na luzie silnika. Łączył się z dźwiękiem bijącego serca Becka, wzmacniał go. Żadne z nich już się nie odezwało. Po kilku minutach Smythe wrócił. Oddał Beckowi mapę i pojechali dalej.

Smythe urozmaicał sobie monotonię warkotu silnika podśpiewując coś pod nosem. Beck zajął się własnymi myślami. Maria siedziała nadąsana. Nie miała zamiaru dopuścić, żeby wysadzili ją gdzieś po drodze jak zbędny bagaż. Muszą zabrać ją do Akwizgranu. Pomyslała, że znajdzie na to sposób. Najważniejsze, że Beck przywrócił ją do życia. Chciała z nim być. A podobała mu się, wyraźnie dawał jej to odczuć. Usatysfakcjonowana tą myślą, zamknęła oczy i zaczęła snuć różne plany, które mogłyby doprowadzić ją do celu.

W kilka minut później Beck poczuł jej głowę na ramieniu. Sprawilo mu to przyjemność. Ale okoliczności znowu nie sprzyjały. Wyjrzał przez okno i zobaczył gonitwę zimowych krajobrazów. Myślał teraz o widmie, które prześladowuje go od początku drogi.

Przez trzy dni od wyjazdu nie zdarzyło się nic groźnego, ani nawet podejrzanego. Może Shindler i inni zostali zabici przez nieprzyjacielskiego agenta z Granville, a nie przez któregoś z uczestników misji? W głębi duszy Beck wiedział jednak, że nie ma co się łudzić.

Kto jest zdrajcą? Gdzie i kiedy uderzy znowu?

Ciężarówka odjechała już daleko od miasta. Inny żołnierz w konwoju również obserwował śnieżne pejzaże. Gdyby nie słowa na tworzonych przez ludzi mapach, mogłyby tu być równie dobrze Niemcy.

„Może Niemcy jeszcze nie zostały pobite?”, pomyślał. Ofensywa w lasach wokół klasztoru z pewnością nie była ostatnim tchnieniem zmiażdżonej armii. W drugiej bitwie oddziały, które zmusiły ich do odwrotu, były dobrze zorganizowane. Czółgi poprzedzały piechotę, odezwało się artyleryjskie wsparcie.

Do końca misji było jeszcze daleko. Kiedy myślał o tym, uświadomił sobie, że ma czas, żeby upewnić się, że ów koniec nie nastąpi nigdy. Odczuwał zadowolenie. Udało mu się odzyskać spokój wewnętrzny. Od czasu nocy na moście w Paryżu przenikała go pustka. Miał wrażenie, że jest bezużyteczny, że zmarnował wiele wysiłku, bo sprawa, której go poświęcił, padła. Teraz znowu zaświtała nadzieja.

Sięgnął do kieszeni i przebiegł palcami po małej szaszce zawierającej niezwykle mone-
tę. Gdyby nie udało się unicestwić misji przed dotarciem do jaskiń w Chapelleburgu, posłu-
ży mu jako znak identyfikacyjny dla tamtejszego komendanta SS.

* * *

Nim przyszedł grudzień 1944 roku, obecność aliantów w Twierdzy Europa, którą rozpo-
częło czerwcowe lądowanie na pięciu odcinkach normandzkiego wybrzeża, rozszerzyła się
na cały kontynent, od Morza Północnego do Śródziemnego.

Na tym właśnie polegał problem Eisenhowera. Alianci dysponowali sześćdziesięcioma
czterema dywizjami pancernymi, powietrzno-desantowymi i piechotą do obsadzenia ponad
ośmiusetkilometrowego frontu naprzeciwko Niemców. Gdyby Eisenhower próbował zbu-
dować solidną linię, wypadłyby ponad jedenastokilometrowe odcinki na jedną dywizję.
Oczywiście, nie próbował i nie zrobiłby tego żaden zdrowy na umyśle dowódca. Niemniej
łańcuch miał słabe ogniwa, szczególnie w Ardenach.

Ardeny, położone niedaleko Morza Północnego, bywają zimą niegościnnie. Średni rocz-
ny opad deszczu osiąga tam niemal jeden metr, przy czym pada przede wszystkim w listo-
padzie i grudniu. Kiedy zaś nie ma deszczu, sypie śnieg.

Zawieje i ponad półmetrowe zasy są na porządku dziennym, a gdziekolwiek w zwałach
śniegu można się schować po pas. Gdy się ociepla, wiejskie trakty rozmiękają i pokrywają
się błotem, a gdy temperatura spada, robią się oblodzone i pełne kolein. Ruch pojazdów
poza brukowanymi drogami staje się prawie niemożliwy. Co więcej, deszcz niesie ze sobą
mgłę, która często aż do południa przesłania widoczność.

W greckiej mitologii Anteusz przy każdym dotknięciu Matki Ziemi odyskiwał, siły,
znowu młodził i był gotów do walki. Teraz, po pięciu latach podbojów cudzych terytoriów,
nadludzie Hitlera nie tylko dotykali niemieckiej Matki Ziemi, ale nawet musieli jej bronić. I
niczym w Anteusza wstąpił w nich świeży zapal.

Pierwszego dnia kontrofensywy z Niemiec wyszły oddziały liczące dwieście pięćdziesiąt
tysięcy ludzi. Drugie tyle było przygotowane do pójścia w ich ślady. Cel, belgijski port An-
werpia, znajdował się nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od nich, za Ardenami.

* * *

— Cholera, myślę całkiem poważnie, że zabłądziliśmy, Williamie — Smythe nie mógł
ukryć zaniepokojenia, które brzmiało w jego głosie.

Beck ze złą miną złożył mapę od Maasa.

— Nie wiem, do diabła, jak mogliśmy nie trafić do kolejnego miasta. Trzeba było wy-
rzucić to świństwo — udał, że ciska mapę przez okienko ciężarówki, ale zamiast tego scho-
wał ją do kieszeni.

Maria w milczeniu wyglądała na zewnątrz. Zaczynało się ściemniać, szybko opadała gę-
sta mgła.

— Co gorsza — dodał Smythe — słyszę artylerię. Śmieszne, ale mam wrażenie, że im
dalej jedziemy, tym bardziej się do niej zbliżamy. Przypominamy pływaka, który poświęca

całą energię na utrzymanie się na wodzie tuż przed załamującą się falą. A te działa nie strzelają po amerykańsku, Williamie.

— Mnie się ciągle wydaje, że to nasi chłopcy na zmiany obrzucają Niemców żelastwem — powiedział Beck z wymuszonym, słabym uśmiechem. — Pewnie chcą im dać awansem prezent świąteczny. — Kapitan sam w to nie wierzył, ale nie chciał alarmować Marii.

— Wobec tego musimy być bardzo blisko frontu — podsunęła dziewczyna. — Dlaczego nie widzimy żadnych amerykańskich żołnierzy?

— Z drugiej strony — zastanawiał się Smythe — niewykluczone, że atak na klasztor dzisiejszego rana nie był odosobniony. Niemcy mogli przygotować coś naprawdę dużego i to jest ten huk dział, który słyszymy.

— Odpukaj to, Preston. Kanonada intryguje mnie tak samo jak ciebie — Beck był zaniepokojony. — Zjedź na bok. Odsapniemy trochę.

Konwój stanął, ciężarówki opróżniły się, żołnierze i zakonnice prostowali kości. Kilku ludzi Becka i dwie siostry pospieszyli ku drzewom.

Maria odbiegła porozmawiać z zakonnicami, tymczasem do ciężarówki kapitana podeszli Boyle i Miller.

— Co pan myśli o tym ostrzale, kapitanie? — odezwał się Boyle.

— Trudne pytanie. Może to nasi.

— Nie, sir — Miller nie owijał w bawełnę. — To są niemieckie osiemdziesiątki ósemki. Nasłuchałem się ich w Afryce Północnej.

— Nie brzmią zachęcająco — mruknął Boyle.

— Ale dla nas — rzucił Smythe — prawdziwym problemem jest mapa domowej roboty, którą dał nam ten sierżant.

— Zdecydowanie. Nie nadaje się nawet do podtarcia dupy. Cholernie mnie dziwiło, jak ty z nią jedziesz — zainteresował się Boyle.

— Kto ma oryginał? — spytał Beck. — Zdaje mi się, że kiedy Preston wrócił, dostałem kopię.

— Tu jest moja — Miller wręczył papier Beckowi.

— I moja — Boyle podał swoją.

Beck spojrzał na nie. Wszystkie narysowano na papierze, który dał Smythe'owi. — Gdzie jest oryginał? — spytał. — A co z Shoenem?

— Przyprawdę go — ruszył się Boyle.

— Poczekaj — włączył się Smythe. Wziął mapę od Becka.

— Wszystkie wyglądają identycznie, Williamie. Różni autorzy, ale w zasadzie to taka sama mapa.

— Dobrze, Preston... tylko gdzie jest oryginał? — spytał jeszcze raz Beck.

— To musi być jedna...

— Nie jest. Wszystkie są na papierze, który ci dałem. Oryginał narysowano na innym. Sierżant robił go na odwrocie jakiegoś blankietu.

— Te mapy rysowaliśmy sami — stwierdził Miller. — Staliśmy rozmawiając, a Smythe puścił oryginał w kółko.

Beck objawił rozdrażnienie.

— No cóż, jest jasne jak słońce, że ktoś ma oryginał.

— Nie widzę problemu — przerwał mu Smythe. — Wszystkie mapy są identyczne. Nie mogliśmy zrobić takiego samego błędu, skoro rysowaliśmy z jednego wzorca.

„Chyba, że ktoś świadomie pominął skrót zaznaczony na oryginale, a potem dał do prze-rysowania lipną mapę”, pomyślał Beck.

Właśnie spoglądał wszystkim po kolei w oczy, kiedy podbiegł żołnierz.

— Panie kapitanie, z tego nasypu widać światła pojazdów — wskazał niedalekie wznie-sienie. — Myślę, że to jakieś miasto albo stanowisko dowodzenia.

Zjechali z bocznego traktu i znaleźli się na drodze, która w porównaniu z nim wyglądała bardzo przyzwoicie. Dojazd do stanowiska dowodzenia w mieście zajęł im jednak prawie godzinę. Zanim tam dotarli, od zatrzymywanych i pytanych o drogę żołnierzy dowiedzieli się, że trwa niemiecka ofensywa.

W dowództwie spanikowany major dał wyraźnie do zrozumienia, że nie ma czasu dla Becka.

— Słuchajcie, kapitanie, jeżeli chcecie jechać do Akwizgranu, to wasza sprawa, czujcie się tu jak w domu — cisnął Beckowi dokładną mapę sektora i dalej wpychał inne papiery do teczki. — Ale prawdopodobnie nigdy się tam nie dostaniecie. Niemcy zalewają teren, a biorą się diabli wiedzą skąd.

Beck rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Pokój został okaleczony. Żołnierze i kadra krzżeli się wszędzie, niszcząc lub szybko pakując dokumenty.

— Macie rozkazy wycofania? — spytał Beck.

— Rozkazy? Kto tu, do cholery, potrzebuje rozkazów?! Widzieliście te ciężarówki, które was mijaly? Jadą z frontu. Tyle zostało ze 106 Dywizji. A przed nią były dzisiaj inne. Całe dywizje w proszku! Ja nie mam tutaj nawet pułku. Skoro oni pryskają na zachód, to my też, chłopie, to my też.

— Ale czy widzieliście niemieckie oddziały? — dociekał Beck.

— Nie, sir, i nie zamierzam ich oglądać. Jestem rezerwistą, nie zawodowcem. Nie mam zamiaru wystawiać dupy na strzał pod sam koniec wojny — zatrzasnął teczkę i skierował się do drzwi.

Beck musiał zwalczyć chęć uderzenia tego człowieka. Będąc już przy drzwiach major obrócił się do Becka:

— Radzę wam i wszystkim ludziom zniknąć stąd, póki są po temu odpowiednie warunki. Jeśli chcecie zostać bohaterem, to posiedźcie tutaj parę godzin i zobaczcie, ile oddziałów tymczasem przejedzie. Może wtedy nabierzecie rozumu — pomyślał jeszcze przez chwilę i dodał: — Zresztą musicie poczekać. W żaden sposób nie uda wam się wcisnąć w kolumny jadące na wschód. — I już go nie było.

— No i co? — spytał Smythe.

— Nie wiem. Czy może być naprawdę tak źle, jak mówił? — głośno pomyślał Beck.

— No cóż — Boyle skubnął bródkę. — Akcja pod klasztorem i dzisiejsza kanonada mogą mieć w tym czymś udział.

— Boże! — z głosu Millera przebijał lęk przepojony podziwem. — To musiałyby być zma-sowany kontratak. Wiecie, ile kilometrów zrobiliśmy od rana?

— Słuchajcie, chłopcy, skoro nie wracamy i nie przemieszczamy się na wschód

dzisiejszego wieczoru, to proponuję opanować jeden z tych dworów, które mijaliśmy przed wyjazdem na główną drogę. Jeżeli Niemcy przyjdą, to nie będziemy włączyć im w łapy. Porządek z tym wszystkim możemy zrobić rano.

Rozdział 15

Nawet dla osoby z bujną wyobraźnią „dwór” nie stanowił właściwego słowa na określenie budynku, który Beck wybrał jako schronienie. W najlepszych czasach miejsce to nie było niczym innym jak zwykłą farmą. A te przeżyły się z pewnością. Według oceny Becka, budynek został zbombardowany w pierwszych dniach wojny i od tego czasu był nie zamieszkały. Chroniły go gęste kępy rosłych, kłujących jodeł. Stał w oddaleniu od bocznej drogi, biegnącej przez miasto. Beck uznał, że dzieli go wystarczająca odległość od zatłoczonej głównej arterii ze wschodu na zachód, by postępujące oddziały niemieckie mogły tu dotrzeć. Gdyby mimo wszystko Niemcy, lub ktokolwiek inny, znaleźli się przypadkiem obok, to rozbity budynek zasłużył sobie najwyżej na przelotne spojrzenie. Na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa, Beck kazał zwalić kilka drzew w poprzek drogi dojazdowej. Ciężkie konary z gałęziami gęsto porośniętymi igłami zostały przeciągnięte po trasie konwoju, żeby zamaskować ślady pojazdów.

Mgła ustąpiła, zaczęło natomiast lekko śnieżyć. Beck pomyślał, że przy odrobinie szczęścia do rana znikną wszystkie znaki, wskazujące na ich obecność. Samochody zostały zaparkowane w wypalonych szczątkach stodoły. Z drogi były niewidoczne.

Po rozstawieniu wart i zjedzeniu suchego prowiantu Beck poszedł sprawdzić, czy ludzie rozłożyli się do spania. Większość wybrała parter lub piwnicę. Małe ogniska podsycane węglem drzewnym dawały odrobinę ciepła. Niektórzy woleli spać w ciężarówkach. Maria i zakonnice ulokowały się na piętrze. Znalezienie miejsca, w którym resztki dachu osłaniałyby dostatecznie przed śniegiem, zajęło trochę czasu. Mniej więcej w godzinę później również Beck się położył. Ale sen nie przyszedł łatwo. Gdzieś w oddali szalała bitwa. Słyszał stłumiony łoskot artylerii. W rzadkich przerwach między salwami zapadała całkowita cisza. Dobiegał go wtedy ledwo słyszalny dźwięk padającego śniegu. Kapitan rzucał się i przewracał z boku na bok zanim w końcu i on usnął.

Obudził się rano z nowym pomysłem.

— Niech wszyscy wymienią się koszulami i górami od mundurów z osobami noszącymi inne rozmiary. Zostawcie sobie własne spodnie i buty. To nie ma znaczenia. Do roboty! Start!

Beck przeszedł pomiędzy ludźmi. Rozkaz wykonywano z ociąganiem, przez cały czas żołnierze rzucaли na siebie zdziwione spojrzenia.

Zgromadzili się w pozostałościach dwóch pokoi, pozbawionych teraz ściany działowej. Przygotowywali się do dalszej drogi. Przed nimi był Akwizgran i Chapelleburg.

— Co to da, panie kapitanie? — zawołał Geiger, próbując wcisnąć na siebie za małą koszulę.

— Pomyślcie — Beck, zachwycony pomysłem, chciał zobaczyć reakcję ludzi, kiedy idea do nich dotrze. — No, pomyślcie tylko. Jak będziecie wyglądać?

— Jak ofermi! — wrzasnął ktoś wschodnioeuropejskim dialektem. Rozległy się gwizdy i wybuch śmiechu.

— Hej, jesteśmy ubrani jak ludzie z marynarki — rzucił inny żartowniś. Przyciągnął tym sarkastyczne spojrzenie Smythe'a i wywołał następną salwę śmiechu.

— Nie, panowie. Poważnie. Jak wyglądacie?

— No cóż, sir — Post wstał ubrany w mundur, którego rękawy zakrywały mu dłonie. — Zgodnie z prawdą, wyglądamy jak ludzie w ubraniach innych ludzi. Szeroki uśmiech ozdobił twarz Becka. Kapitan dał wybrzmieć uwadze Posta, potem wdrapał się na stół i ciągnął:

— Masz rację, John, ale myślę, że można to jeszcze poprawić — Beck wskazał na jego rękawy. — Weź coś, co bardziej na ciebie pasuje. Tak samo inni. Nie wpadajmy w skrajności... Niech na pierwszy rzut oka mundury wyglądają, jakby były dobrane, a niedopasowanie wychodzi dopiero przy dokładniejszym przyjrzeniu się.

Parę osób znowu wymieniło stroje, narzekając przy okazji na zimno. Wreszcie wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych z tego, co mają na sobie.

— W porządku, słyszeliście, co powiedział Post: będziecie wyglądali, jak ludzie w ubraniach innych ludzi, zgadza się?

Tu i ówdzie rozległy się chrząknięcia, które można było potraktować jako potwierdzenie.

— A kiedy zaczynaliśmy ćwiczenia do tej misji, to jak mieliśmy być ubrani za liniami nieprzyjaciela? Planowaliśmy wykorzystanie ubrań innych ludzi...

dokładniej, niemieckich mundurów.

Beck dostrzegł falę zrozumienia, przetaczającą się przez grupę. Jakby kolejno zapalały się coraz to nowe światła.

— Jeden z żołnierzy pytanych o drogę wspomniał, że niemieckie grupy specjalne w amerykańskich mundurach przenikają przez nasze linie i dezorganizują odwrot — przerwał i znowu rozejrzał się po pokoju. — Jeśli trzeba, pobijemy ich tą samą bronią. A kto jest przygotowany lepiej niż my do odegrania roli Niemców w amerykańskich mundurach?

Odpowiedź nie była potrzebna. Beck dowiódł swego.

— Jeżeli Niemcy doszli aż tutaj, albo jeżeli spotkamy ich przed osiągnięciem naszego celu, to musimy dobrze tę grę rozegrać. Niepasujące mundury stanowią dodatkowy szczegół.

— Panie kapitanie? — odezwał się Geiger, który jako jedyny nie znalazł dla siebie odpowiedniej zmiany — założę się, że te niemieckie grupy specjalne noszą dobrane mundury.

Beck przeczekał śmiech i chichoty.

— Masz rację. Prawdopodobnie mają mundury jak spod igły. Ale w naszej sytuacji potrzebne są ubrania wyraźnie niedopasowane. Gdybyśmy zostali zatrzymani, nie znamy niemieckich haseł, nie wiemy do jakiej jednostki należymy. Krótko mówiąc, jesteśmy w górze strumienia, nie mając wiosła. Musimy liczyć się z koniecznością przekonania sprawdzających nas osób, gdyby doszło do kontroli, że nosimy mundury, które zabraliśmy

wziętym do niewoli Amerykanom. W takich okolicznościach nie zawsze znajduje się dokładnie swój rozmiar.

— Panie kapitanie? — tym razem pytanie miał Shoen.

— Dawaj.

— Czy nadal naszym celem jest Chapelleburg?

— Jak do tej pory nie dostałem innych rozkazów. — Do pokoju weszła Maria i inne zakonnice. Beck stanął z powrotem na podłodze.

— Ale czy wycofanie się ku naszym liniom nie miałoby więcej sensu? — nie ustępował Shoen.

— Sądząc po tym, co widzieliśmy w czasie obecnej ewakuacji, czy też, nazwijmy to, odwrotu, nie uważam tego pomysłu za dobry. Jesteśmy w tej chwili prawdopodobnie jedynymi Amerykanami na tym terenie. Myślę, że mamy większe szanse rozgrywając ten błąd dalej. Jedziemy do Chapelleburga, a potem w tył zwrot i wnosimy się stamtąd — Beck powiedział to szczególnie głośno, żeby wszyscy go słyszeli.

Nagły, ogłuszający wybuch wstrząsnął budynkiem.

— Niemieckie osiemdziesiątki ósemki czy nasza ciężka artyleria? — Miller ubrał w słowa myśl biegnącą jednocześnie przez kilka głów.

— O.K., ruszamy! Najwyższy czas! — zakomenderował Beck. — Wychodzić, szybko!

Miller i Boyle wybiegli po drodze wysyłając kierowców do ciężarówek. W pokoju zapalono lekki rozgardiasz. Ludzie kotłowali się, zbierając ekwipunek i przełykając resztki prowiantu.

— Williamie — do Becka podszedł Smythe. — Czy sądzisz, że Niemcy mają nas na celowniku?

Zanim Beck zdążył odpowiedzieć, poszła następna salwa, która jednak wyładowała dalej od nich.

— Nie wiem, Preston. Może krzywo biją, chcąc zrównać miasto z ziemią, ale nie zamierzam czekać i się o tym przekonać.

— W każdym razie to głównie trzeba jeść szybko, wtedy lepiej smakuje — odezwał się jeden z ludzi, krytycznie nastawiony do żywności, energicznie rzucając puszkę w kąt. Podmuch spowodowany dwiema bliskimi eksplozjami wzbudził w budynku tumany pyłu.

— Podnieś to, żołnierzu — warknął Boyle. I głośniejszym głosem dodał: — Uwaga dla wszystkich. Smieci zabierać z sobą. Po co Niemcy mają znaleźć amerykański trop?

— Mam wrażenie, że amerykańskie racje żywnościowe są tajną bronią nazistów — rzucał inny z żołnierzy starając się nie zwracać uwagi na ostrzał.

— Owszem, nasi rodacy nie powinni od nas oczekiwać, że po zjedzeniu czegoś takiego będziemy walczyć na wojnie — odezwał się któryś do wtóru. Tym razem pocisk rozerwał się o wiele bliżej.

— Boże, co ja bym dał za uczciwy stek, duszony z pieczarkami — wymiana zdań trwała.

— Przestańcie! — Beck zaczął się przesuwając do drzwi.

— Kapitanie Beck! — zawołała Maria. Podeszła do niego. Kapitan się odwrócił.

— Proszę, któryś z żołnierzy musiał to zgubić — podała mu małą niebieską szaszetkę. — Myślałam, że to różaniec, ale w środku jest dziwna moneta.

Ryk silników zasygnalizował, że samochody podjechały przed dom.

— Dziękuję. Obejrzę później — odepchnął rękę z szaszetką i wzięwszy Marię za ramię, wyprowadził ją na zewnątrz. — Jedziesz razem z siostrami ostatnią ciężarówką.

— Ale ja chcę jechać z tobą — jęknęła błagalnie.

— Powiedziałem, w ostatniej ciężarówce... i masz tam zostać!

W niecałe dwie minuty później ciężarówki zostały załadowane i konwój wyruszył z posiadłości. Drzewa, które poprzedniego dnia zwalili na drogą dojazdową, przymarzły do ziemi i usunięcie ich zajęło trochę czasu.

Beck i trzej pozostali oficerowie wykorzystali ten czas na sklecenie historyjki, na wypadek gdyby ich sprawdzano. W skrytości ducha każdy z nich sądził, że do tego dojdzie. W czasie wyjeżdżania z terenu farmy, historyjkę przekazano wszystkim żołnierzom.

Post prowadził teraz jeepa z Beckiem i Smythem na tylnym siedzeniu. Kierowca jeepa i jego towarzysz zajęli ich miejsca w ciężarówce na początku konwoju. Maria, mimo protestów, jechała w ostatniej ciężarówce, razem z innymi zakonnice.

Ostrzał, który Beck uznał za amerykański, koncentrował się na drodze i terenach na zachód od posiadłości, gdzie nocowali. W miarę, jak przesuwali się na wschód, w stronę miasta, stawał się coraz bardziej odległy. Jeep, który tymczasem przejechał na czoło, wyprowadził konwój z powrotem na główną drogę i zatrzymał się w mieście przy stanowisku dowodzenia, które odwiedzili poprzedniego dnia. Było opuszczone, ale Beck znalazł dużą mapę całego terenu, która została na ścianie.

Konwój ostrożnie przemieszczał się na wschód. Mniej niż dwanaście godzin wcześniej szosą płynęła rzeka ludzi i pojazdów. Teraz, w porannej mgłę, droga świeciła złowrogą pustką. Dwa rzędy budynków wymarłego miasteczka w niektórych miejscach były urozmaicone sklepowymi szyldami i wystawami. Przenikliwy wiatr kołatał jakąś obłuzowaną okiennicą, objając ją o ścianę. W otwartych lub straszących wybitymi szybami oknach lekko trzepotały zasłony. Abażur, chwycony podmuchem wiatru, poturlał się wzdłuż jezdni i zderzył z resztkami czerwonego, tapicerowanego krzesła z groteskowo zwisającymi mokrymi zwitkami bawełny. Ktoś najwyraźniej wyrzucił je na ulicę i nożem przeciął obicie, być może w poszukiwaniu czegoś wartościowego.

— Tak, tak, tak — Smythe przyglądał się, jak Post zmienia biegi, wjeżdżając na stok prowadzący za miasto.

— Założę się, że to Niemiachy rozpruły krzesło — oświadczył z przekonaniem. — Az tego wynika, że tędy szli.

— Skąd wiesz, Preston? — zapytał Beck. — Znowu bawisz się w jasnowidzenie?

— Nie, Williamie, po prostu dedukuję. Ostatniej nocy amerykańskie oddziały szorowały stąd z obłędem w oczach. Nie miały czasu na szukanie łupów. Zresztą stacjonowały tutaj już od pewnego czasu i gdyby ktoś chciał zaspokoić swoją chciwość, mógłby wyczyścić każde miejsce do czysta. Nie wydaje ci się?

Beck skinął głową. Miało to sens.

— Ale tyły niemieckich kolumn, które prawdopodobnie przeszły obok, kiedy spaliśmy, miały czas, żeby trochę powęszyć, i prawdopodobnie to wykorzystały. Sądząc po strzaskanych słupach, elektryczności tu nie ma. Zaryzykowałbym twierdzenie, że ktoś wytargał to krzesło na ulicę... prawdopodobnie przed lampy pojazdu... i tam je rozpruł. Zauważyłeś chyba, że leży przed sklepem jubilera.

Na Becku zrobiło to wrażenie.

— Ładny kawałek detektywistycznej roboty... Mam nadzieję, że się nie mylisz i że już naprawdę przeszli.

— Ale nasza historyjka! Williamie, z pewnością chcesz przetestować naszą historyjkę — żartobliwie wypomniał mu Smythe.

— Nie, dziękuję. Będę szczęśliwy, jeżeli do końca misji nikogo nie spotkamy — Beck przyglądał się dopiero co zdobytej mapie.

— Chapelleburg jest, moim zdaniem, około czterdziestu kilometrów stąd, dobrze mówię? — spytał Smythe, zaglądając kapitanowi przez ramię.

Beck skinął głową.

— Owszem. Ja też wyczytałem z tej skali mniej więcej tyle. Tymi trupami będziemy jechać chyba za godzinę.

— Raczej nie dłużej, chyba że trafimy na bardzo złą drogę.

Trafil.

Około dziesiątej, mniej więcej w trzy godziny po odjeździe z farmy, konwój miał za sobą nie więcej niż trzydzieści kilometrów.

— Kurwa mać, znowu drzewo! Uda się objechać, John?

— Nie radziłbym, panie kapitanie. — Post zatrzymał jeepa. — Nie mam zaufania do pobocza, może być miękkie.

— Poza tym tu są miny — rzucił Smythe. — Właśnie dlatego naścinali tyle drzew dookoła.

— Jakie miny? Artyleria skosiła drzewa, to musiały się gdzieś poprzewracać. Kto minuje pobocze, mogąc zaminować drogę? — spytał Beck.

— Tylko ktoś, kto chce sam mieć pożytek z drogi, a w gorącej wodzie kąpanych, młodych kapitanów skłania do przeprowadzenia konwoju dookoła drzew — odparł sarkastycznie Smythe.

Beck zlekceważył uwagę.

— Ale jak, do diabła, Niemcy się tędy przedostali?

Nagle coś go oświeciło. Twarz mu pojaśniała.

— No tak! Oni wcale tędy nie jechali! Drzewa leżą na drodze od przedwczoraj albo i dłużej. Spójrz — Beck wskazał całkowicie dziewiczy śnieg przed nimi — nie ma żadnych świeżych śladów.

Wysiadł z jeepa i zaczął badać grunt przed samochodem. Boyle już nadbiegał z kilkoma ludźmi, chcąc usunąć drzewo. Razem z nimi zjawiała się Maria.

— Panie kapitanie — zawołał Shoen. — Musimy się odpryskać.

— Tylko szybko! — odparł Beck.

Ciężarówka opustoszała w jednej chwili. Boyle upewnił się, że ludzie zajęli się zawalidrogą i także popędził ku drzewom.

- Potrzeba naturalna, za minutę wracam, kapitanie — krzyknął już w biegu. Beck spojrzął z rozdrażnieniem na Marię.
- Co tu robisz? — chciał, by głos zabrzmiał surowo.
- Przyszłam z tym — wręczyła mu saszetkę. „Zawsze znajdzie pretekst, żeby wścibić nos”, pomyślał Beck. Tym razem wziął.
- Co to?
- Nie wiem. Jedna z siostr znalazła na podłodze w budynku, po zamianie ubrań. Któryś z żołnierzy musiał zgubić.
- Beck rzucił pobieżne spojrzenie. Zapominając o wcześniejszych słowach Marii, również myślał, że saszetka zawiera różaniec. Ale kiedy ją otworzył, na rękawiczkę wyslizgnęła się moneta. Zarówno pieniądz, jak opakowanie były w doskonałym stanie. Najwyraźniej ktoś o nie dbał. Ale po cholere brać z sobą coś takiego do walki? Musiał jednak pomyśleć o ważniejszych sprawach. Wsadził z powrotem monetę do saszetki i wcisnął wszystko do kieszeni.
- Dziękuję. Zrobiłaś już dzisiaj dobry uczynek, a teraz wracaj do ciężarówki. Potem znajdę właściciela.
- Ale ja chcę jechać razem z tobą i Smeethisem — powiedziała okrutnie zniekształcając nazwisko. — Zakonnice ciągle się modlą.
- No cóż... ty też powinnaś się modlić. Zdaje mi się, że właśnie tego oczekuje się od zakonnicy.
- Ja nie jestem zakonnica. Zawsze ci to mówię, tylko ty nie słuchasz. Jesteś taki... taki... głupi! — Wściekła pobiegła do ciężarówki. Beck zaczął się przyglądać grupce usuwającej drzewo.
- Boyle'a zajmowało usuwanie nadmiaru płynów z organizmu, poczuł jednak nagle, że ktoś cicho stanął za nim. Odwrócił się.
- Cholera! Co tak podłazisz jak wąż?! Mało nie oblałem sobie butów. — Boyle wrócił do swojego zajęcia.
- Przepraszam — żołnierz wyciągnął z rękawa bagnet i bardziej zbliżył się do Boyle'a...
- Zabrali już z drogi to zasrane drzewo? — spytał Boyle, gdy mały obłoczek pary zaczął unosić się nad śniegiem.
- Nie, nie spiesz się.
- Hej — zachichotał Boyle — próbowałeś kiedyś napisać na śniegu swoje nazwisko? Nie usłyszał odpowiedzi.
- Masz na sobie moją górę od munduru.
- No to co? A ktoś ma moją. — Boyle skończył i zaczął zapinać rozporek. Nagle poczuł ucisk wokół szyi i ostry, promieniujący ból w plecach. Żołnierz skutecznie ścisnął mu jedną ręką tchawicę, a drugą głęboko wepchnął bagnet w plecy i wykonał nim kilka ruchów, chcąc sięgnąć serca.
- Szybko odrzucił martwe ciało od siebie, pozwalając mu zwalić się na ziemię. Jeszcze zanim na dobre opadło w śnieg, zaczął przeszukiwać kieszenie. Ale monety w nich nie było.

— W porządku, panie kapitanie. Droga wolna — krzyknął Post, a ludzie ścinający drzewo odbiegli do swoich ciężarówek.

Beck stał przy samochodzie, zmieszany. Odwrócił się, patrząc w ślad za oddalającą się Marią. Zaraz zasłoniły mu widok migające sylwetki grupki, która usuwała przeszkodę.

„O co, do diabła, jej chodzi?“, zastanawiał się. „Czyżbym czegoś nie dopilnował? A może powinienem czytać między wierszami?“

— Beck, chłopie, masz zamiar stać tam cały dzień i odmrozić sobie to i owo?

Wojna czeka.

Wołanie Smythe'a wyrwało Becka z zamyślenia. Natychmiast wsiadł do jeepa.

— Powiedz, proszę, tej anielicy, że nazywam się Smythe, a nie Smeethis. — Poklepał siedzenie przed nim: — Odjazd, panie Post, odjazd. — Jeep szarpnął i skoczył do przodu, zarzucając w poślizgu, zanim Post odzyskał nad nim panowanie na ośnieżonej nawierzchni i wyrównał.

— Słuchaj, on chce nas zabić — zaprotestował Smythe, ale Beck zatopiony we własnych myślach, zignorował go.

Smythe zwrócił się do Posta.

— Kto właściwie was wrobił i powiedział wam, że umiecie prowadzić taki pojazd?

— Porucznik Boyle, sir.

— Ale dlaczego? Czy macie jakieś zawodowe doświadczenia za kierownicą? Przecież nie jesteście w grupie kierowców.

— Nie, sir. Ale kierowcy są potrzebni na zmiany w ciężarówkach. Kiedy pan z kapitanem Beckiem przesiadł się do jeepa, podpadłem. Porucznik Boyle uznał, że z jeepem dam sobie radę. Myślę, że w złym momencie nawinąłem się nie tam gdzie trzeba.

— A co robiliście przed wojną?

— Studiowałem prawo. Chciałem zostać adwokatem.

— O Boże! Głupota załatwi nas szybciej niż Niemcy.

Beck nadal rozmyślał w milczeniu. Smythe dla bezpieczeństwa wcisnął się głęboko w siedzenie. Jako pasażer był bardzo niewdzięczny, nie mógł znieść obecności kogoś innego za kierownicą. Bardzo chciał prowadzić dalej, wiedział jednak, że w razie gdyby ich zatrzymano, nie spełniał wymagań. Ze swoim niemieckim w żadnym wypadku nie mógłby udawać Niemca. Musiał zadowolić się rolą, którą dla niego wymyślono specjalnie na tę część misji. Został jeńcem. Miał jednak nadzieję, że do Chappelleburga nie jest już daleko.

Rzeczywiście, nie było. Ale zanim tam dotarli, konwój wpadł niespodziewanie na niemiecki posterunek. Post ostro zahamował i jeep ześlizgnął się na bok drogi, stając. Ciężarówki za nim zatrzymały się znacznie łagodniej. Wszyscy mieli się zaraz przekonać, na ile wiarygodna jest ich historyjka.

W mgnieniu oka jeep został otoczony. Post ściągnął pistolet maszynowy Thompsona i wycelował w Niemców, którzy ze swej strony mierzyli w konwój. Beck rzucił z ukosa spojrzenie na opróżniające się ciężarówki i dostrzegł, że również one są pod dobrą opieką i nie

mogą ruszyć dalej. Modlił się w myślach, ażeby żaden z jego ludzi nie otworzył ognia jako pierwszy.

Beck wysiadł z lekko podniesionymi rękami i natychmiast odezwał się po niemiecku do młodego porucznika stojącego obok.

— Hauptsturmfuehrer Wilhelm Beck, Brygada Komandosów, Grupa Specjalna — miał nadzieję, że coś takiego rzeczywiście istnieje. — Kto tu jest dowódcą, poruczniku?

Płynny niemiecki i bez wahania podany przydział plus ranga kapitana SS zrobiły swoje, zaskoczonemu porucznikowi zabrakło na chwilę słów. To wystarczyło.

— Co z wami, do cholery? Jesteście głusi? — zaczął napastliwie Beck i zbliżył się o krok. Oficer ani drgnął. Beck poczuł, jak otaczający ich Niemcy tężeją.

— Na tym posterunku ja jestem oficerem dyżurnym! — porucznik odzyskał pewność siebie. Obejrzał Becka od stóp do głów. — Czy możecie dowieść, że jesteście grupą specjalną SS? Hasło?

— Niczego nie muszę wam dowodzić. I nie znam żadnych haseł Wehrmachtu. To dobre dla dzieci. Właśnie spędziliśmy dwa dni za amerykańskimi liniami! — Beck dał mu znak ręką, żeby stanął na spocznij.

— Mam tu ważnego jeńca — ciągnął, wskazując Smythe'a w jeepie. — Zaprowadźcie mnie do komendanta SS w tym rejonie — zażądał, niedbale sięgając po papierosy.

Wyciągnął paczkę wingsów i skrzywił się z niesmakiem. — Kto ma niemieckie papierosy? — zapytał. — Te są jak amerykańskie kobiety, całkiem bez smaku! — rozległ się serdeczny śmiech Niemców, napięcie jakby nieco zelżało. Beck pomyślał, że jeśli się nie pomyli, to obejdzie się bez strzelaniny.

Starszy mężczyzna z oznakami sierżanta szybko się zakrzętnął i poczęstował Becka.

— Danke, Unteroffizier — Beck uśmiechnął się do niego.

Na ten afront w poruczniku się zgotowało.

— Tu nie SS! — wrzasnął. — Ja tu jestem na służbie. Ten sektor należy do Wehrmachtu, a nie do SS!

„Dzięki Bogu”, pomyślał Beck. Miał nadzieję, że udało mu się przesunąć konfrontację na sprawy jurysdykcji i zepchnąć na dalszy plan zagadnienie, czy są istotnie Niemcami. Musiał dążyć do utrzymania tej linii.

— Nie podoba się wam SS? — złowrogo warknął Beck, osłaniając dłońmi zapalającego papierosa. Nie odrywał wzroku od porucznika.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał oficer, nie szukając zresztą u nikogo odpowiedzi. Sytuacja zaczynała go irytować w najwyższym stopniu. Czuł, że traci panowanie nad sobą. — To jest mój posterunek! I ja tu zadaję pytania. Nosicie amerykańskie mundury. Sprawdzam was... a jeżeli odpowiedzi mi się nie spodobają, to was rozstrzelamy.

— Przepraszam, panie poruczniku. Może odejdziemy na chwileczkę na bok — Unteroffizier położył ojcowską dłoń na ramieniu młodego porucznika i pociągnął go na stronę. Taki incydent był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, szczególnie gdyby okazało się, że naprawdę trafili na oddział SS, a sądząc po zachowaniu Becka na to wyglądało.

Dzięki mądrości życiowej sierżantowi udało się do tej pory przetrwać wojnę bez najmniejszego draśnięcia. Nic miał też zwyczaju podejmowania ważnych decyzji w gniewie. Ten młody zapaleniec był teraz o krok od zepsucia tego.

Kiedy odeszli o kilka kroków, Unteroffizier odezwał się do młodszego mężczyzny tonem niemal protekcyjnym.

— Panie poruczniku, ci ludzie naprawdę mogą być grupą specjalną SS. Słyszał pan o ludziach Skorzenego? Niewykluczone, że były też inne oddziały.

— Ale dlaczego tędy jadą? Powinniśmy wcześniej otrzymać wiadomość, że mamy ich oczekiwać. Powinno być specjalne hasło — powiedział porucznik niezachwianym tonem.

— Może musieli zmienić trasę, panie poruczniku. Nie pytaliśmy...

— Kto miał czas pytać? Widzieliście, jak ten skurwiel skoczył mi do gardła?

— Jakby był z SS, nie? — rzucił podoficer.

— Niezłe z nich skurwiele, fakt. Ale skąd można mieć pewność, że nie udają? To mogą być Amerykanie — porucznik mówił lekko drżącym głosem. Bał się.

— Taka garstka? Dlaczego nie pojechała w drugą stronę?

— A jeśli są grupą specjalną, która ma porwać jakiegoś generała albo marszałka? Kto to wie?

— Amerykanie posłużyliby się komandosami, nie sądzi pan? Po co ryzykować wysyłając ludzi łądem, i to pod prąd ofensywy? — urwał na moment i podjął wątek. — Z wszystkich meldunków wynika, że Amerykanie wycofują się inną drogą — starszy żołnierz znowu zrobił pauzę. Potem wystąpił z całkiem sensowną propozycją. — Powiem panu, co zrobić. Trzeba ustawić ich w szeregu i odpytać na wyrwyki z rzeczy, które wie tylko autentyczny żołnierz niemiecki. Porozmawiam z tym hauptsturmfuehrerem...

— Nie wiadomo, czy to hauptsturmfuehrer!

— Słusznie. Porozmawiam z tym człowiekiem, który podaje się za hauptsturmfuehrera. Jeśli jego ludzie zdadzą egzamin, może powinniśmy wezwać eskortę i zaprowadzić ich do oberstleutnanta.

— Niby z jakiego powodu? Po co mam ich wysłać do podpułkownika?

Starszy żołnierz uśmiechnął się.

— Niech pan tylko pomyśli, jaki wściekły będzie hauptsturmfuehrer, opowiadając, że pan potraktował go z góry, trzymał pod bronią, a do tego opóźnił zadanie. Taka śmiała akcja w obronie posterunku, przy okazji zaś przeciwko SS, postawi pana w dobrym świetle — uśmiechnął się znowu i trącił młodszego kolegę łokciem.

— A jeśli nie są Niemcami, to co wtedy? — spytał przełożony.

Unteroffizier westchnął. „Chryste, ale głupi wał”, pomyślał.

— Wtedy rozwalimy ich na miejscu — odparł z niezmiennym uśmiechem.

Oczy porucznika zapłonęły.

— Zgoda!

„To oczywiście, przecież będą stali pod naszym ogniem. Nie zdążą pomyśleć nawet o jednym strzale, ty ośle”, przekonał się porucznik. Kiedy wrócili do jeepa, rozmowę poprowadził sierżant.

— Hauptmann Beck — wybrał odpowiednik rangi SS, stosowany w Wehrmachcie

— czy pozwoli pan porucznikowi porozmawiać z pańskimi ludźmi? My w tym czasie też pogadamy.

— Długo to potrwa? — Beckowi trudno było uwierzyć, że tak warknął. Prawie nie poznał własnego głosu.

— Tylko tyle, żeby pan porucznik upewnił się, że nie jesteście Amerykanami — podoficer uśmiechnął się.

Beck natychmiast zrozumiał, że temu człowiekowi konfrontacja jest nie na rękę. Utrzymując się w roli, energicznie oparł ręce na biodrach i wykonał półobrót.

Krzyknął w stronę ciężarówek, każąc ludziom opuścić broń i współpracować.

Rozdział 16

— Dobrze, zaczynamy. Ale pospieszcie się — Beck odwrócił się i spojrzął w twarze swoich egzaminatorów. — Idę z wami — warknął zde gustowany. — Moi ludzie będą słuchać rozkazów wyłącznie od oficera SS.

Porucznik zbaraniał. Spojrzął na sierżanta, oczekując wskazówki. Starszy człowiek wzruszył ramionami i pokiwał głową, co miało oznaczać zgodę. Poszli wzdłuż szeregu. Im bliżej było końca, tym częściej porucznik przystawał, pytając o nazwisko, stopień wojskowy i miejsce urodzenia. Odpowiedzi były bez skazy. Po aprobującym skinieniu Becka kolejni żołnierze z trzaskiem obcasów przyjmowali postawę zasadniczą i wyrzucali z siebie żądane informacje.

Doszli w ten sposób do Geigera.

Porucznik, mający nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, zatrzymał się przed nim. Geiger bez butów mierzył metr dziewięćdziesiąt. Na mundury zamienił się z następnym w kolejności uczestnikiem misji, niższym o parę centymetrów, i to było widoczne.

— Ten człowiek ma niedopasowany mundur! — zauważył sarkastycznie porucznik. — Czy tak SS ubiera grupy specjalne?

Geiger udał wściekłość. Raptownie pochylił masywne ciało do przodu, jakby chciał zrobić krok. Porucznik cofnął się. Beck modlił się, żeby Geiger nie przesadził.

Porucznik odszedł jeszcze kawałek i z odległości omiół spojrzeniem kilku ludzi.

— Żaden mundur nie pasuje! — oświadczył.

Spojrzał na Becka, nieco skonsternowany.

— Nie stać nas było na luksus korzystania z usług kwatremistrzostwa armii amerykańskiej i zamawiania dobrych rozmiarów! — szcze knął Beck. — Zdobyliśmy te mundury na tyłach wroga — dodał nonszalancko.

Zostawiwszy Geigera w spokoju, porucznik ruszył dalej, Beck rzucił tymczasem zdziwione spojrzenie sierżantowi, który po prostu wzruszył ramionami.

Leutnant przeszedł przez szereg i zaczął lustrować ciężarówkę. Mimo zimna Beck poczuł krople potu wokół ust.

— Co to wszystko jest? — zapytał Niemiec, wpatrując się w ekwipunek potrzebny podczas misji.

— Lipny ładunek. Miał sprawiać wrażenie, że wycofujemy się razem ze wszystkimi. Amerykanie jechali właśnie z czymś takim — Beck urwał, chcąc sprawdzić, czy porucznik kupuje tę wersję.

Nie kupił. Postawił stopę na klapie i zaczął włączyć na samochód.

— Nie potrzebujemy już tego — dodał Beck z własnej inicjatywy. — Myślę, że możemy to zwalić gdzieś tu przy drodze.

— Tylko nie w moim sektorze! Nie będziecie zapaskudzać mi drogi tymi rupieciami!

„Dzięki Bogu, porucznik jest wyraźnie pedantem”, pomyślał Beck. Postanowił doić swoje szczęście.

— Ale nam to już niepotrzebne. Po co mamy, targać wszystko z powrotem do Akwizgranu? Równie dobrze możemy się pozbyć towaru tutaj...

Właśnie w tej chwili wybuchło zamieszanie przy ostatniej ciężarówce. Jeden z Niemców zauważył zakonnice. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Maria, zeskoczywszy na ziemię, rozpoczęła tyradę.

Hałas odwiódł porucznika od zamierzonej kontroli. Oficer opuścił pojazd i podszedł zobaczyć, co się dzieje.

— Aha, co tu mamy? Następnych jeńców... czy świtę oddziału? — porucznik uśmiechnął się szeroko z satysfakcją. Chciał coś powiedzieć Beckowi.

Maria błyskawicznie przeniosła furię na niego.

— Zamknij swój plugawy ryj, świniu! — oczy pałały jej ogniem. Wyrzucała z siebie potoki słów w ojczystym języku.

Oślupiały porucznik zrobił krok do tyłu i potknąwszy się, o mało nie upadł. Maria wycełowała palec dokładnie w jego twarz.

— Czy to wy jesteście przyczyną zatrzymania tego konwoju? Taki poruczniczyna! Cemu coś takiego jak wy zawraca oficerowi du...

— Mario! — krzyknął Beck, stając pomiędzy nią i porucznikiem. — Mario, proszę, idź do ciężarówki. Porucznik po prostu spełnia swój obowiązek — nie powstrzymał jej.

— Obowiązek? Obowiązek?! — pochyliła się w stronę Becka, który odstąpił o dwa kroki. Skorzystawszy z tego z powrotem zręcznie przesunęła się ku porucznikowi. — Może lepszym miejscem dla tego gryzpiórka będzie front wschodni?

— Mario! — Beck zaczął jej ostrożnie perswadować. — Mario, posłuchaj, panujemy nad sytuacją, proszę, wracaj do ciężarówki.

Dziewczyna wykrzywiła usta z niesmakiem i powoli doszła do Becka, opierając wyprostowany palec wskazujący o jego pierś.

— Nad niczym nie panujecie, dopóki ja sama wam tego nie powiem. Rozumiecie, czy także wy macie ochotę obejrzeć Rosję?

I porucznikowi, i sierżantowi odebrało mowę. Patrzyli na wymianę zdań z Beckiem jak na film w kinie.

— A poza tym ja nie jestem zakonnicą, pojmujecie to, Herr Beck? Czy naprawdę jesteście za głupi, żeby to do was dotarło?

Zaczynała przedobrać. Beck miał nadzieję, że nikt nie zauważy, jak staje butem na jej palcach. Przycisnął mocno i dopiero potem zabrał but z powrotem.

— Skończyliśmy, Mario. Porucznik tylko spełniał rozkazy. Ale już jest po wszystkim. Konwój ruszy, kiedy tylko wrócisz do ciężarówki — skierował się do wozu. — Mario, proszę.

Zrobiła wścieklą minę i zamilkła. To był punkt dla Becka. Powoli odwróciła się w stronę swojego samochodu, na odchodnym częstując porucznika jeszcze jednym piorunującym spojrzeniem.

— Ty i ty — wskazała unteroffizera i drugiego żołnierza — pomóżcie mi wejść.

Beck chwycił porucznika za łokieć i szybko go odciągnął. Ściągał ich głos dziewczyny:

— Jego nazwisko, Beck! Słyszycie? Mój ojciec zrobi z nim porządek. Beck!

Unteroffizier zdecydowanie dołączył do Becka i leutnanta.

— Jej ojciec? — porucznik uwolnił się z chwytu Becka i zatrzymał się, ale dopiero gdy miał pewność, że oddalił się odpowiednio od ciężarówki. — Kto jest jej ojcem? — spytał podejrzliwie.

Beck zrobił głęboki wdech i westchnął.

— Generał SS. Przykro mi, ale mogę ujawnić tylko tyle.

— Który? — naciskał leutnant.

— Nie pytajcie — powiedział Beck smutnym głosem. — Wierzcie mi, że dla waszego dobra lepiej, żebyście nie wiedzieli. I kończmy szybko.

— Chwileczkę, chwileczkę. Kim ona jest? I co razem z tamtymi robi w waszym wozie? Dlaczego pozwoliliście na taką zniewagę? — protestował.

Beck ściszył głos i rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt inny nie słyszy tego, co ma do powiedzenia.

— Ona należała do naszych kluczowych ludzi. Była agentką w Naczelnym Dowództwie. Oddawała wielkie usługi Rzeszy, Beck wskazując naszywkę na własnym rękawie ciągnął: — Miewa jednak lekkie odchyły. Mam wrażenie, że pod wpływem presji obowiązków.

— Lekkie odchyły? To całkowita wariatka — stwierdził porucznik.

— Możliwe, ale ojciec ją uwielbia. Daje jej wszystko, czego ta zapragnie.

— Mój Boże! To my mamy takich ludzi, wykonujących odpowiedzialne zadania? Co oni sobie myślą w Berlinie?

Beck tylko wzruszył ramionami. Śnieg, który zaczął prószyć kilka minut wcześniej, sypał teraz znacznie gęściej. Kapitan wziął leutnanta za ramię i pociągnął wzdłuż ciężarówek na czoło konwoju.

— Czy ona naprawdę może mi narobić kłopotów? — spytał leutnant.

— Mogłaby nawet Skorzenemu! — Beck urwał i dodał po chwili: — Ale nie przejmujcie się. Nie dam jej waszego nazwiska.

— A kim są pozostałe kobiety — nalegał.

— Stanowiły część naszej siatki we Francji. Bez wchodzenia w szczegóły objęte tajemnicą wojskową mogę powiedzieć, że dzięki ich połączonym wysiłkom zdobyliśmy jeńca.

Zostały jednak spalone i musieliśmy zabrać je z sobą. Tyle przynajmniej Rzesza jest im winna za lojalność.

— Czy one są zakonnicami? — spytał porucznik, gwałtownie przystając.

Przebiegł go dreszcz. Podniósł kołnierz płaszcza. Szybko przemarzał.

Beck spozjrzał spod oka na unteroffiziera. „Rany, ten facet jest naprawdę głupi”, pomyślał.

Jakby czytając w myślach Becka, unteroffizier w milczeniu skinął głową.

— Oczywiście, że nie. To przebranie. Jak inaczej wyjaśnilibyśmy obecność pięciu kobiet? Gdyby zatrzymali nas Amerykanie, moglibyśmy powiedzieć, że wyswobodziliśmy je z rąk SS.

Leutnant spozjrzał Beckowi prosto w oczy, jakby szukając głębszego znaczenia. Opuścił głowę, dokładniej otulając szyję płaszczem. Zastanawiał się nad słowami Becka.

Kapitan poczuł, że robi mu się gorąco. Czy przypadkiem nie przesadził? Historyjka była dostatecznie nonsensowna, po co jeszcze musiał kusić los?

Poza szmerem świeżego, mokrego śniegu lądującego na ziemi dookoła panowała cisza. Po kilku sekundach leutnant ze zrozumieniem skinął głową.

— Bardzo mądre — podniósł głowę i wbił wzrok prosto w Becka. — Naprawdę mądrze pomyślane!

— Dziękuję — Beck powiedział to z ulgą w głosie. — A teraz rzeczywiście musimy jechać — podniósł głowę i rozejrzał się po niebie. — Pogoda się psuje, a przed nami jeszcze kawał drogi. — Prostując się i prężąc zgodnie z wymogami wojskowego drylu, kapitan bez powodzenia spróbował trzasnąć obcasami. Obaj Niemcy zeszywnieli na baczność perfekcyjnie wyćwiczonym ruchem i oddali honory. Beck odpowiedział na nie i zrobiwszy w tył zwrot, zawołał do swoich ludzi:

— Do ciężarówek! Odjazd!

Kiedy Beck odszedł, unteroffizier trącił łokciem leutnanta: — Niech pan wyśle z nimi eskortę do oberstleutnaela — szepnął.

Porucznik zrobił wielkie oczy. Wciąż nie był pewien, czy to dobry pomysł. Beck znajdował się teraz kilkanaście kroków od nich, w pobliżu jeepa, ale porucznik nadal milczał, skonsternowany.

— Sir? — Beck odwrócił się do podchodzącego Millera.

— Mamy poważny kłopot — Miller wyglądał na poruszonego.

— Mów, Dan, ale nie zatrzymuj się. Chcę się stąd jak najszybciej wydostać — Beck nadal zbliżał się do jeepa. Miller zrównał się z nim w marszu.

— Ktoś zrobił sabotaż z paliwem.

— Co? — osłupiał Beck. — W twojej ciężarówce?

— Nie, sir. W rezerwowych niemieckich zbiornikach. Wszystkie są puste. Mamy tylko tyle benzyny, ile jest w bakach.

— Niech pan to robi, szybko! Na co pan czeka? — popędzał unteroffizier.

Usta porucznika zaczęły się rozwierać, jakby miał posłuchać, ale zawahał się i zwrócił do sierżanta:

— Naprawdę myślicie, że powinienem, Bauer? Kogo powinienem wysłać?

Zdegustowany unteroffizier w wysiłkiem ukrył niesmak. „Nic dziwnego, że alianci leją nas po dupie”, pomyślał. Uśmiechnął się do porucznika.

— Zajmę się tym.

Porucznik spojrział ze zdziwieniem, ale zanim zdążył odpowiedzieć unteroffizier oddalił się, wołając za Beckiem:

— Hauptsturmfuehrer Beck! Proszę poczekać! Pojadę z wami... inaczej będą was sprawdzać i opóźniać na następnych posterunkach.

Beck, mający już wsiadać do samochodu, przeżył drugi wstrząs w ciągu ostatnich dwóch minut. Stanął jak wryty. Postowi opadła szczęka. Smythe, nawet w kryzysie pamiętający, że jest gentlemanem, spytał cicho:

— Czy dobrze zrozumiałem? On powiedział, że chce z nami jechać?

— To właśnie powiedział, Preston — potwierdził Beck.

— O Boże! Przeżywam ciężkie chwile. Zaraz zleję się w spodnie.

— Czyżby? — odparł Beck. — A jak usłyszysz, co Miller mi przed chwilą powiedział, to się jeszcze zesrasz.

— Złe nowiny? — jęknął Smythe.

— Tak sądzę. Wygląda na to, że ktoś nam spuścił w nocy zapasowe paliwo.

Beck odwrócił twarz do unteroffiziera, który tymczasem podszedł.

— Dziękuję, sierżancie, ale nie sądzę, żeby to było po...

— Bauer, unteroffizier Bauer — przerwał i głęboko wciągnął powietrze. — Naprawdę nie chcę przeszkadzać. Po prostu znam posterunki. Moi ludzie obsadzają większość w tym sektorze. Ale są też inne drogi, gdzie moglibyście mieć trudności. Jeśli z wami pojadę, unikniecie zatrzymania.

Uniósł oczy ku niebu.

— Ten śnieg wygi; ... lie. Znam się na ardeńskim śniegu. Dzisiaj będzie sypać przez cały wieczór! latwo moglibyście się zgubić

— Bauer tupnął i sk. ^ nogi na nogę.

Przez mózg Beck ig^. Biorąc tego człowieka z sobą ryzykowali, ale czy .

— Poza tam — . „ „ „ „ie się, a ludzie w moim wieku nie powinni tutaj zama -<•; ;wètv- 'S wycofania na tyły. Eskortując was do Akwizgranu, u o.t- t..• do sztabu i odwiedzić kilku przyjaciół. Może uda mi się trochę po . .(c sprawy do przodu. — Mrugnął: Rozumiecie?

[NIESTETY W ORYGINALE TEKST W TYM MIEJSCU BYŁ CAŁKOWICIE ZATARTY]

Beck zaśmiał się nerwowo.

— Rozumiem, wsiadajcie — wskazał Bauerowi miejsce obok Posta, a sam usiadł z tyłu, koło Smythe'a. Wolał szybko odjechać, niż prowokować incydent.

Szarada potrwa trochę dłużej. Bauer mógł być pożyteczny, jeśli naprawdę chciał im pomóc w uniknięciu dalszej kontroli. Beck wiedział jednak, że w pobliżu Chapelleburga będą musieli się go pozbyć.

Post wrzucił bieg i jeep szarpnął do przodu. Beck zajął się płóciennymi osłonami po bokach samochodu. Bauer odchylił się nieco ku Smythe'owi. Anglik miał szeroko otwarte oczy i spoglądał przed siebie. Bauer obejrzał go od stóp do głów. Nigdy przedtem nie znajdował się tak blisko jeńca. Nagle zauważył kałużę rosnącą na podłodze, między stopami Smythe'a.

— Hauptsturmfuehrer Beck! — Bauer miał rozbawioną minę. — Zdaje się, że Engländer się zlał!

* * *

Jechali naprzód powoli, ale Bauer sprawdził się nawet lepiej niż obiecywał. Zapadła noc. Przez ostatnią godzinę konwój zatrzymywano dwa razy. Na szczęście w obu przypadkach robili to ludzie Bauera. Rozpoznając unteroffiziera, wartownicy zachowywali się, jakby konwój miał przepustkę od samego Hitlera. Z tonu rozmów i docinków wynikało, że Bauer jest całkiem przyzwoitym facetem.

W dodatku upajało go bycie w centrum uwagi. Na obu posterunkach Beck, Post i Smythe słuchali w kamiennym milczeniu, jak Bauer chełpi się, że został „wybrany” do eskortowania „ściśle tajnego” konwoju i jego jeńca. Po takim wstępie warty nie miały podstaw do kwestionowania autentyczności Becka czy jego ludzi.

Bauer był przedsiębiorczym typem, korzystającym z wojny, żeby to i owo załatwić, nastawionym na przeżycie. Tacy ludzie przydawali się w armiach zawsze i wszędzie. Wkrótce po minięciu drugiego posterunku unteroffizier przedstawił Beckowi propozycję nie do odrzucenia:

— Hauptsturmfuehrer, niedaleko stąd mamy skład dywizyjny, z którym jestem zaprzyjaźniony. Kwatermistrz ma u mnie spory dług wdzięczności. Może potrzebujecie czegoś, zanim dojedziemy do Akwizgranu? Białe kombinezony? Kubek kawy? Oczywiście zbożowej, ale w każdym razie ciepłej.

Beck w pierwszym odruchu chciał powiedzieć o paliwie. Zawahał się jednak. Musiał spotkać się z trzema pozostałymi oficerami i ocenić sytuację. Wątpił, czy uda im się wrócić za amerykańskie linie, jeżeli Miller miał rację i zapasowe zbiorniki były puste. Nie mógł jednak okazywać niepokoju.

— Bardzo mi przykro, unteroffizier, ale o zbaczaniu z drogi nie ma mowy. Naprawdę musimy się spieszyć...

— Nie zboczymy z drogi, hauptsturmfuehrer. Przez Chappelleburg musimy przejechać tak czy inaczej.

Beck, Smythe i Post zeszywnieli z wrażenia.

— Chappelleburg? — powtórzył kapitan, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Tak, to jest około dwudziestu kilometrów na południe od Akwizgranu. Już prawie tam dojeżdżamy. Mniej więcej dwa kilometry za miejscem, w którym była dawniej cygańska wieś, znajduje się skład dywizji pancernej, która tam się grupowała i dokonywała napraw przed ofensywą. Skład powinien się właśnie pakować. Jutro ma ruszyć w ślad za dywizją.

— Powiedzieliście, że będziemy tamtędy przejeżdżać. Czyli i przez Chappelleburg, i koło składu? — pytając, Beck starał się zachować obojętność.

— Tak — odparł Bauer. — Nawet nie moglibyśmy ominąć składu. Droga prowadzi dokładnie przez niego.

— No cóż, to może staniemy — powiedział Beck niezdecydowanie. — To znaczy, jeżeli uważacie, że możemy tam dostać gorącej kawy.

— Jestem tego pewien, hauptsturmfuehrer. Na pewno będzie kawa.

— Tak... i nie. Już przejeżdżamy, jeżeli tak można powiedzieć. Cały ten teren to Chappelleburg, pastwiska na zboczach wzgórz, pola. Ale sama wieś, jej centrum... leży około dwóch kilometrów w lewo, u podnóża góry.

I wtedy Bauer wystrzelił następną rakietę.

— Słyszałem, że stacjonuje tam specjalna jednostka SS. Supertajna.

— Jak to „tajna”? — przycisnął Beck.

— Właśnie tak. Tajna. Zakaz wstępu. Kwatermistrz mówił mi, że kilku ludzi z dywizji warta zawróciła, kiedy za bardzo podeszli. Nikt nie ma prawa zbliżyć się do wsi.

Beck i Smythe wymienili spojrzenia, pełne zachwytu nad obrotem wydarzeń. Kapitan pomyślał, że towarzystwo Bauera może okazać się najszerszym uśmiechem losu od czasu ich wyjazdu z Granville.

— Oho, jesteśmy na miejscu. Zaraz po obu stronach drogi będą dwie złamane w pół solidne jodły, a potem jeszcze parę metrów — oświadczył Bauer. Trzymał twarz tuż przy przedniej szybie, poruszając głową w rytm wycieraczki, zgarniającej płaty śniegu.

— O, tam. Widzicie?

Siedzący za kierownicą pełzającego powoli jeepa Post zmrużył oczy i, zobaczywszy drzewa, twierdząco skinął głową. Ani Smythe, ani Beck nie mogli ich jednak dostrzec z tylnego siedzenia.

— Zjedź na bok drogi za jodłą po prawej — powiedział Bauer do Posta i szybko dodał — oczywiście, za pozwoleniem.

— Zgoda — potwierdził Beck.

Jeep i ciężarówka z konwoju zatrzymały się. Bauer wysiadł.

— Herr hauptsturmfuehrer, proszę pozwolić, że najpierw pójde porozmawiać z kwatermistrzem sam. To zajmie tylko parę minut.

Beck skinął głową.

— Idźcie, tylko nie siedźcie tam przez całą noc — i pod wpływem naglego impulsu dodał: — dowiedźcie się, jeśli można, czy wasz przyjaciel kwatermistrz nie ma przypadkiem trochę zaoszczędzonej benzyny.

— Oczywiście, hauptsturmfuehrer! — Bauer błyskawicznie wszedł w las, na skraju którego przystanął jeep. Drzewa były ledwie widoczne w zawiei, na białym tle śniegu. Widoczność ograniczała się do trzech metrów. Bauer pograżył się w nocy. Beck spoglądał za nim i próbował śledzić jego drogę, ale szybko stracił Niemca z oczu.

Smythe pochylił się, robiąc sobie podpórkę z Becka, i przycisnął nos do bocznej szyby:

— Wybacz Williamie, ale stąd ni cholery nie widzę.

— Ja też nie — odparł Beck. — John, a ty widzisz Bauera... albo w ogóle cokolwiek?

— Nie, sir. Myślę, że spokojnie przejechalibyśmy to miejsce, gdyby nam nie powiedział, że mamy się zatrzymać.

— Bez wątpienia — zgodził się Beck. — Ale jeżeli tu jest niemiecki skład, to jasne jak słońce, że musi być dobrze schowany — otworzył drzwiczki i wysiadł. — John — zwrócił się do Posta. — Sprowadź tu na jednej nodze Millera i Boyle'a, ja się tymczasem rozejrzę.

Post wysłizgnął się na zewnątrz i ruszył w stronę pozostałych pojazdów. Beck przeszedł kilka kroków mierząc tam, gdzie zniknął Bauer. Wpatrywał się w ścianę drzew. Wysokie jodły do pewnego stopnia zasłaniały przed śniegiem, co polepszało widoczność, ale tylko nieznacznie.

Skład rzeczywiście tam był.

Beck zobaczył niedaleko przed sobą zamazane sylwetki pojazdów i budynków. Starał się zapamiętać ten obraz najlepiej, jak tylko mógł, próbując jednocześnie ocenić wielkość składu, choć w tych warunkach nie było mowy o precyzji. Skoro jednak skład zaopatrywał dywizję pancerną, to z pewnością był znacznie większy niż należałoby sądzić po kilku niewyraźnych zarysach. Przed jeepem kapitan spotkał Millera, Smythe'a i Posta, rozmawiających z resztą kierowców.

— Miller ściągnął tu wszystkich, żeby zorientować się, jak stoimy z benzyną — oznajmił Beckowi Smythe. — Wyjaśniłem, że właśnie z powodu paliwa się zatrzymaliśmy. Ale zdaje się, że mamy również palący problem.

— Co tym razem?

— Boyle'a nie ma w konwoju — odparł Miller.

— Jaja sobie robicie?

— Nie ma go, sir — zawołał Shoen. — Przed chwilą sprawdzaliśmy.

— Jak to, do cholery, możliwe? Przecież jechał z tobą, Werner, nie?

— Tak, sir, póki nie dojechaliśmy do ostatniego drzewa na drodze.

— Do drzewa? — Beckiem zatrzęsła złość. — Przecież to było parę godzin temu i wiele kilometrów stąd. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

— Wtedy prawie wszyscy pobiegli się odpryskać — wtrącił Miller — i...

— I Boyle był koło mnie na czele kolumny, razem z ludźmi usuwającymi drzewo, więc co z tego? — warknął Beck.

— Shoen powiedział, że zdrewniał i spytał, czy któryś z zapasowych kierowców nie usiadłby za niego. Okazało się, że wszyscy kierowcy mają dość, więc zrobiliśmy zamianę. Poprzesiadali się wszyscy co do jednego — odparł Miller.

Beck klepnął się po biodrach i zaczął chodzić w kółko.

— Niech to diabli. Nie mogą uwierzyć! — przystanął i spojrzał na grupkę.

— Czy ktoś go nie zostawił na posterunku, tam gdzie ten półgłówkowaty porucznik rznął waźniaka?

Nikt nie odpowiedział.

— Chce pan powiedzieć, że go zgubiliśmy i teraz zamarza w pieprzonym śniegu?

— Sir, nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało głupio — wtrącił Shoen — ale może zrobił właśnie... no, coś grubszego, odjechaliśmy, a on nie zdążył podciągnąć spodni.

— To całkiem prawdopodobne — dodał Smythe. — Pobiegł w krzaki chyba jako jeden z ostatnich. Pamiętasz, Williamie? Zostawił ludzi pracujących przy drzewie.

Beck przymknął oczy.

— Pamiętam. Zostawił ich i pobiegł między drzewa na wysokości jeepa — wycedził. — Jaka była odległość między pojazdami? — spytał reszty.

— Jadąc, trzymaliśmy się blisko, jak zwykle — odparł Miller. Ale na postojach zwiększyliśmy odległość. Mniej więcej do dwóch, długości wozu.

— Ile czasu zajęła kierowcom ta gra w komórki do wynajęcia przy przesiadce?

— Kilka minut.

— Chyba z pięć. — ciągnął Beck.

— Na pewno nie, najwyżej trzy.
— Tak, raczej koło trzech.
— Trzy? Według mojej oceny, od chwili kiedy Boyle zszedł z drogi przy czole konwoju, do usunięcia drzewa minęło co najmniej dziesięć minut — skonstatował Beck.

— Co oznacza, że powinien mieć więcej niż dość czasu na wskoczenie do ostatniej ciężarówki w konwoju — uzupełnił Smythe.

— Słusznie — zgodził się Beck. — Więc gdzie on jest?

Trzask łamiących się pod stopami gałęzi zaanonsował powrót Bauera. W chwilę później Niemiec stanął przy nich.

— Mamy szczęście, hauptsturmfuehrer. — Kwatermistrz mówi, że się zwijają i rano pojadą za dywizją. Dziś w nocy jest doskonały moment na załatwienie wszystkiego, co potrzebne.

— Nic nie potrzebujemy, dziękuję — oznajmił Beck. Z głosu przebijało rozdrażnienie, które wywołała wiadomość o zniknięciu Boyle'a.

— Ale coś z pewnością się przyda — Bauer miał wyraźną chęć wprowadzić Becka i jego ludzi do składu.

— No cóż — westchnął Beck. — Może trochę gorącej kawy i białe peleryny, o których wspominaliście... — zawiesił głos. Spojrzał Bauerowi w oczy.

— A pytałyście o paliwo?

Bauer pokręcił głową.

— Proszę mi wierzyć, że to nie była właściwa chwila. Kiedy będziemy w środku — skinął głową — wtedy będzie na to czas.

— W jaki sposób dostaniemy się do środka? — spytał Miller, patrząc w stronę drzew, pomiędzy których wyszedł Bauer.

— Nie tędy. Jest wjazd od tyłu, bliżej namiotu kwatermistrza. Proszę spojrzeć!

Bauer rozłożył przed nimi oficjalny dokument. Była to podpisana przepustka, umożliwiająca konwojowi wjazd na teren składu.

— Musimy się cofnąć o kilkaset metrów. Z tym papierem wjedziemy, nikt nas o nic nie będzie pytał. Papier jest oficjalny, widzicie? — wskazał na podpis.

— Skąd go macie?

— Ze środka. Po to was w tym miejscu zatrzymałem.

— Czyj podpis tu sfalszowaliście?

— To żadne fałszerstwo. Podpis jest autentyczny. Przy bramie go zidentyfikują. Obersta z pancernejszej męczyło wypełnianie przepustek, więc zostawił bloczek kwatermistrzowi. Musiałem tylko wypełnić na górze.

— Weiskacie nam kit — wtrącił się Miller. Zaskoczył Bauera. — Jedziemy amerykańskimi samochodami, w amerykańskich mundurach, a wy sądzicie, że po prostu zatrzymamy się przed bramą i nas wpuszczą.

Bauer uśmiechnął się.

— Kwatermistrz zadzwoni na bramę. Będą czekać na grupę specjalną SS w amerykańskich pojazdach. Możecie mi wierzyć, że interesuje ich wyłącznie, czy przepustka jest podpisana przez upoważnionego oficera.

Teraz rolę niewiernego Tomasza przejął Beck.

— Czyżbyście twierdzili, że pułkownik zostawił kwatermistrzowi przepustki in blanco?

— Przed ofensywą wszyscy mieli mnóstwo roboty, ciężkiej roboty. Wielu oficerów tak zrobiło. Traciło się zbyt wiele czasu na szukanie upoważnionych osób, żeby coś podpisały. Przekazanie kompetencji kwatermistrzowi przyspieszyło procedurę.

Beck patrzył na dokument z lekkim niedowierzaniem.

— Herr hauptsturmfuehrer? — wyrwał go z zamyślenia Bauer. — Czy nie powinniśmy ruszać? Kawa już się grzeje.

Zgodnie z przepowiednią Bauera, wartowników przy bramie o wiele bardziej interesowało porównywanie podpisu na przepustce z wzorcem w wartowni, niż pojazdy czy mundury Becka i jego ludzi.

Rozdział 17

Pelch dotrzymał słowa. Po rozpoczęciu ofensywy w Ardenach i odejściu dywizji pancernej z rejonu Chapelleburga w stronę linii amerykańskich znowu zaczął wystawiać warty na zewnątrz jaskiń. Skarb został w końcu przeniesiony na dolny poziom, zgodnie z obietnicą daną generałowi. Oświetlenie prawie rozmontowano, a maskowanie śladów po szlaku, którym transportowano kosztowności, było bliskie końca.

Środki, wprowadzone przez Pelcha w celu zapewnienia jaskiniom całkowitego bezpieczeństwa i izolacji w czasie koncentracji sił niemieckich, zostały teraz do pewnego stopnia złagodzone.

Robota nie szła łatwo. Parę razy Pelch musiał grozić swoim ludziom, zahartowanym żołnierzom SS, że nikt nie wyjdzie na zewnątrz, dopóki nie wykażą się znaczącymi postępami w pracy na dole. Wiedział, co doprowadza ich do granicy buntu. Ta przekłeta legenda. W jakiś sposób rozprzestrzeniła się w oddziale, niczym choroba, i, jak większość historii tego typu, przy każdym opowiadaniu robiła się coraz straszniejsza.

Żelazna wola Pelcha wzięła jednak górę nad utyskiwaniem i w końcu udało się osiągnąć postęp. Teraz przenosili się z pracą na coraz wyższe poziomy. Zmiana po zmianie zbliżali się do głównej komnaty. Pelch premiował ludzi bardzo pożądaną nagrodą: co trzecią zmianę na dole można było dostać służbę wartowniczą na zewnątrz. Posterunki przed jaskiniami nie musiały być właściwie obsadzone tak licznie, jak w tej chwili, ale major uznał, że warto iść na to ustępstwo, skoro szybkość pracy na dole wyraźnie wzrosła.

Niezniechęceni śniegiem i przejmującym zimnem, wszyscy ludzie Pelcha ochoczo pełnili służbę wartowniczą pod gołym niebem. Słowo „wszyscy” nie odnosiło się jednak do Steinera, który bez najmniejszych kłopotów zamieniał swoje warty na zewnątrz, czerpiąc przy okazji korzyści. Zamiast jednak pomagać w usuwaniu śladów transportu, Steiner spędzał czas na dole starannie znacząc kodem kręty szlak i różne przejścia. Kiedy tylko udawało mu

się odłączyć od pracującej grupki, poświęcał czas na poszukiwanie złotego krucyfiks.

Tego dnia jego wysiłki przyniosły pierwsze owoce. Odnalazł przejście, w którym był już raz z Kleistern, lecz zawrócili wówczas, rezygnując z dalszej drogi. Tym razem Steiner poszedł dalej i znalazł złoty krucyfiks.

Znajdował się mniej więcej trzy metry dalej. Stał prosto, wbity w podłoże. W chwili gdy latarka zaalała go światłem, przestrzeń wypełnił prawie oślepiający złoty odbłask. Krzyż był zdecydowanie większy niż Steiner sobie wyobrażał. Ramiona rozpięły się znacznie szerzej, był o wiele wyższy i, najwyraźniej, o wiele bardziej wartościowy.

Steiner stał nieruchomo przez kilka sekund, omiatając latarką komnatę w poszukiwaniu dalszych skarbów. Nie było nic innego. Nagle podłoże i ściany jaskiń zaczęły lekko drżeć. Steiner zlekceważył to zaburzenie równowagi i powoli podchodził do krucyfiks. Szarpała nim żądza, chciał ująć w dłonie gruby, ozdobny trzon i, skręcając w obie strony, wydstać go z ziemi.

Im bliżej celu się znajdował, tym mocniej falowała mu ziemia pod stopami. Szczególnie raptowny wstrząs prawie go przewrócił. Niechętnie zatrzymał się i czekał, aż drżenie ustąpi. Nic takiego jednak się nie stało, Steiner zaklął i pomalutką zaczął posuwać się naprzód. Starał się utrzymywać latarkę tak, by światło padało wprost na krucyfiks. Wstrząsy stawały się z każdym krokiem coraz gwałtowniejsze. Steiner walczył rozpaczliwie o utrzymanie pionu, grunt pod jego stopami fałdował się, tańczył we wszystkich płaszczyznach. Półtora metra przed krucyfiksem stracił kontakt z podłożem. Cisnęło go o skalną ścianę. Głowa, ramiona i klatka piersiowa z dużą siłą uderzyły o nierówną powierzchnię. Steiner wrzasnął z bólu. Ruchy podłoża wprawiły leżące, oszołomione ciało w drgawki. Steiner przykleknął na jedno kolano i próbował wstać, ale odzyskanie równowagi było zupełnie niemożliwe. Upuścił latarkę. Zszokowany, choć jednocześnie rozbawiony, patrzył, jak skacze po dnie komnaty, a światło ginie w gęstniejącym obłoku pyłu.

Kiedy dosięgnął ściany, chcąc się podeprzeć, ostry, oślepiający ból w lewym ramieniu znowu rzucił go na kolana. Jeszcze raz wrzasnął czując, jak złamane żebra wbijają się w ciało. Upadł. Brodę miał teraz w warstwie pyłu pokrywającej dno komnaty. Ta pozycja przyniosła mu trochę ulgi. Ponowna próba wstania nie wchodziła jednak w grę. Stwierdził, że wstrząsy muszą wzbijać tumany kurzu w korytarzach, gdzie pracują ludzie. Słyszał, jak krzyczą, w panice biegnąc na powierzchnię. Latarka skakała teraz w jego stronę, dotknął ją palcami.

Był tak blisko. Miał krucyfiks w zasięgu ręki, ale wiedział, że jeżeli nie wycofa się natychmiast, pył zasypie mu drogę powrotną albo zadusi go na śmierć. Sięgnął po latarkę, która znowu zaczęła się oddalać. Po kilku bolesnych próbach zdołał ją chwycić. Z niechęcią rozpoczął odwrót. Pełznął z powrotem na kolanach i łokciach. Ból był prawie nie do wytrzymania. Z oczu zaczęły mu kapać łzy. Przy każdym poruszeniu przeżywał mękę; jakby rozrywano mu ramię i wyszarpywano żebra. Zmusił się do skoncentrowania myśli na krucyfiksie, żeby wyrzucić ze świadomości wrażenie potwornego bólu. Nareszcie znalazł to, czego szukał. Złoty krucyfiks naprawdę istnieje, nie jest legendą. Kiedy ziemia przestanie drżeć,

a Steiner skorzysta z pomocy medycznej, wróci i zdobędzie go. Potem zaczął się zastanawiać, ile żeber złamał i ból powrócił.

Szukał po omacku drogi do korytarzy i komnat, w których pracowali jego ludzie. W pewnej chwili rozległo się rozdzierające wycie. Wstrząsy zamarły.

Przeszał słyszeć krzyki i tupot ludzi. Jaskinie wypełniła niesamowita cisza. Jak nigdy dotąd, Steiner poczuł wzbierający lęk.

* * *

Namiastka kawy była paskudna. Beck popijał ją z miną osoby przesłuchującej. Smythe siedział przed nim z rękami związanymi z tyłu. Dla efektu, za krzesłem stał Miller. Beck odstawił kubek na pobliską przewróconą na bok drewnianą skrzynię z karabinami, służącą za stół.

Cała trójka zajmowała w królestwie kwatermistrza kąt naprzeciwko wejścia, który zaadaptowano specjalnie dla Becka. W pomieszczeniu pełno było nieregularnych piramid z tekturowych pudeł. Niektóre były w połowie pełne, większość została już opróżniona.

W pewnej odległości, tuż przy drzwiach, kwatermistrz Wyckoff siedział za imponującym biurkiem na ciężkim, ministerialnym krześle, odchylony ku ścianie. Splótł masywne ręce na okazałym brzuchu. Wyglądał na znudzonego. W pękatym piecyku stojącym przy tej samej ścianie płonął solidny ogień. Para unosiła się z białego, porcelanowego garnka, zawierającego pozbawioną smaku, gorącą ciecz, którą Beck przed chwilą uznał za lurę.

Wyckoff był obiektem namiętnych, płynących jak potok perswazji Bauera, który siedział okrakiem na obróconym tyłem krześle z wysokim oparciem, stojącym naprzeciwko kwatermistrza, po drugiej stronie biurka. Nie wiadomo, jakich argumentów używał unteroffizier, żeby wyciągnąć od Wyckoffa tak bardzo potrzebne paliwo, ale ten pozostawał nieugięty.

— Co teraz robią? — spytał Beck po cichu. Stał twarzą do Smythe'a, za to tyłem do Bauera i Wyckoffa.

— Bauer ciągle go zagaduje. Nie zwracają na nas uwagi — odparł Smythe z równą ostrożnością.

— W porządku. Miejmy nadzieję, że Bauer się nie zniechęci i dalej go będzie męczył. Jeżeli nie uda się napełnić przynajmniej baków do pełna, to będzie znaczyło, że mamy zasranego pecha. Głowa Becka pozostała nieruchoma, ale spojrzenie prześlizgnęło się na Millera. — Dan, wyjdź powolutku na zewnątrz i znajdź Posta. Zróbcie zbiórkę wśród ludzi. Niech dadzą trochę pieniędzy. Unteroffizier Bauer będzie mógł wzmóc nacisk, mając zachętę w postaci gotówki.

Nie rzucając się w oczy Bauerowi ani Wyckoffowi Miller obszedł krzesło Smythe'a i z obojętną miną skierował się do drzwi.

W czasie jazdy od bramy wejściowej do budynku, w którym się teraz znajdowali, Beck upewnił się, że unteroffizier Bauer ma opory, żeby naciskać kwatermistrza o paliwo. Od kwatermistrza można dostać kawę, kombinezony i podobne rzeczy. Ale paliwo! To całkiem inna historia. Zasoby tego towaru kurczyły się i w całej Rzeszy stosowano surowe oszczędności.

Prawdę mówiąc, paliwa brakowało do tego stopnia, że przeznaczono je co do kropli dla czołgów. Właśnie z tego powodu opóźniło się przemieszczenie składu w ślad za dywizją. Bauer wspominał jednak, że być może uda się przekonać kwatermistrza do zakwalifikowania tak małej ilości, jakiej potrzebował Beck, jako przydziału w nagłej potrzebie. Gdyby kwatermistrz dostał, zgodnie z sugestią Bauera, jakąś rekompensatę za kłopot, wtedy może pojawiłaby się szansa. „Nikła szansa, rozumiecie, ale jednak”. Bauer utrzymywał ponadto, że chodzi o poważne nagięcie regulaminu. Te niezbyt ogłędne sugestie nie pozostały bez echa. Beck wręczył unterofficerowi pięćdziesięciodolarowy banknot dla kwatermistrza, w pełni przekonany, że ten go nigdy nie ujrzy na oczy.

Natychmiast po wyjściu Millera Beck się odezwał. W jego głosie wyczuwało się pośpiech.

— Preston, miej oczy otwarte. Gdyby ktokolwiek się zbliżał, z Millerem włącznie, daj mi znak. Nie wiem, komu jeszcze mogę wierzyć.

Smythe, zmieszany, zerknął na Becka.

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— O spreparowanych mapach, zniknięciu Boyle'a i brakującym paliwie. Boyle nie opuścił konwoju dlatego, że srał za drzewkiem. Czegoś takiego nie kupię. Ten skurwiel, który zabił Shindlera i innych jeszcze we Francji, wciąż z nami jedzie. Prawdopodobnie zabił Boyle'a w lesie... A mógł to zrobić każdy.

Smythe uniósł brwi w zaskoczeniu.

— Z pewnością nie możesz włączać Millera...

— Dlaczego nie? Trzymał w rękach mapy, miał tyle samo sposobności, co reszta, żeby spuścić paliwo i zlikwidować Boyle'a.

— Teraz, Williamie, nie mówisz chyba poważnie? Miller? Przecież to twoja prawa ręka.

— Nie mówię, że go podejrzewam, ale ostrożność trzeba zachować. Wszyscy, z wyjątkiem ciebie, są podejrzani.

— No cóż, dziękuję za komplement, ale czy mogę spytać, czemu go zawdzięczam? Przecież potrafię wylać ropę ze zbiornika tak samo, jak ktoś inny. A przecież właśnie ja puściłem w obieg mapę od sierżanta Maasa, pamiętasz? Mogłem łatwo zrobić lipną wersję przed daniem jej do skopiowania. Był jeszcze przedwczesny wybuch, który zabił dwóch ludzi pod Ponte du Hue, przesunięcie ładunku w ciężarówce, spowodowane niewłaściwymi kłami, i spadochron, osobiście przeze mnie wręczony temu młodemu pechowcowi — urwał na chwilę. — Gdybym był obcym agentem, nie miałbym również najmniejszego kłopotu z uszkodzeniem hamulców Shindlera.

— Starczy, Preston. Trefny spadochron był przeznaczony dla mnie, obaj to wiemy, a resztę rzeczy też mogli zrobić praktycznie wszyscy... Ale ty jesteś jedyną osobą, która nie znikła mi z oczu ani na chwilę w czasie, gdy ulotnił się Boyle. Siedziałeś bez przerwy w jepie. Nawet ludzie z grupki ściągającej drzewo odchodzili po kolei, żeby się odlać — Beck opuścił głowę i zamilkł.

— Mam mocne nerki — Smythe poklepał się po plecach z obu stron krzyża. — Zawdzięczam to ucziwemu angielskiemu rodowodowi, pochodzę z dobrej rodziny — próba rozluźnienia nastroju spełzała na niczym. Beck dalej tonął we własnych myślach.

— Zdaje się, że wpadliśmy w tarapaty — oświadczył Smythe. — Jesteśmy u podnóża gór, w których znajduje się nasz cel. Brakuje nam do szczęścia dwóch, może trzech kilometrów, ale gdzie spojrzeć na drodze leżą przeszkody. Cały teren trzymają w łapach Niemcy. Mamy z sobą niemieckiego harcerzyka, który postanowił eskortować nas do Akwizgranu i diabli wiedzą, co jeszcze. Mówi, że jaskiń strzeże oddział SS, a my przecież właśnie tam chcemy się dostać. Prawie skończyło się nam paliwo. Do tego jadą z nami cywile, czyli pięć kobiet, i nieznaną agent nieprzyjaciela, mający mordercze usposobienie — Smythe zrobił znowu krótką przerwę. — Zdrowym rozwiązaniem byłoby podkulić ogon i zwiewać w stronę naszych linii. Niech szlag trafi ten skarb — dokończył.

Beck podniósł głowę i pochwycił spojrzenie Smythe'a.

— Naprawdę wierzysz, że mógłbym coś takiego zrobić?

— Ani przez chwilę nie, Williamie. Powiedziałem tylko, że byłoby to zdrowe rozwiązanie.

— No cóż, z tego powodu mnie też można chyba wykreślić — uśmiechnął się Beck. — Rozumiem, że musimy się sprężyć i zrobić, co w naszej mocy. Obecność oddziału SS w jaskiniach wskazuje, że prawdopodobnie trafiliśmy we właściwe miejsce.

— Ja też tak sądzę.

— Teraz jesteśmy tak blisko, że nasz szatański przyjaciel może się zdradzić, przeciągając strunę.

— Myślę, Preston, że powinniśmy podjąć decyzję, czy atakujemy jaskinie dziś w nocy, czy przy świetle dziennym jutro.

— Z obydwoma sposobami łączy się duże ryzyko. Uważam, że mógłbyś się zastanowić, bo może warto odczekać jeden dzień lub dwa, a przynajmniej tyle czasu, żeby ten skład się stąd zabrał.

— Po jaką cholere?

— Wyobraźmy sobie, że weszliśmy do jaskiń i SS otwiera ogień. Bauer mówił, że zniechęcali ciekawskich Niemców. A my nosimy amerykańskie mundury! Nie wiemy, ilu ich tam jest, ale w mojej ocenie tutaj, w składzie, zostało jeszcze co najmniej stu Niemców. Jeżeli wdamy się w strzelaninę, grozi nam zdziesiątkowanie.

— Naszym zadaniem jest zbadanie jaskiń, wszystko jedno czy są tam Niemcy, czy nie.

— Słusznie, ale jest kilka innych przeciwwskazań.

— Na przykład?

— Na przykład, co zrobimy z zakonnicami? Zostawimy je tutaj?

— Preston, w stosunku do naszej misji ten problem jest na drugim planie. Musimy znaleźć dla nich jakieś miejsce i zabrać je, kiedy będzie po wszystkim — Beck zawahał się. — A jeśli nie przeżyjemy albo nas złapią, wtedy muszą działać na własną rękę. I tak miałyby o niebo lepiej niż gdyby zostały w klasztorze. Masz coś jeszcze?

— Przypuszczam, że będziemy musieli zlikwidować Bauera, nie możemy oczekiwać, że zachowa się jak bezstronny obserwator, kiedy coś się zacznie dziać. A to też jest potencjalny problem...

- Jak to?
- Szczerze mówiąc, Bauer, jak dotąd, okazuje się bardzo przydatny. Na posterunkach robi bardzo przekonujące wrażenie, bo jest autentyczny!
- Ale tutaj jego rola się kończy. Nie wie przecież, że dowiózł nas dokładnie tam, gdzie chcieliśmy. Myśli, że jedziemy do Akwizgranu. Przykro mi, ale trzeba mu skasować bilet.
- Może dałoby się coś zrobić, żeby mu darować? Niechby poszedł swoją drogą. To sympatyczny facet.
- Nie, Preston. Nie możemy narażać się na wzbudzenie podejrzeń, mówiąc mu teraz, żeby się odchrzańił. Nawet jeśli uwierzy w kłamstwo, to chyba umiesz sobie wyobrazić, jak dociera do Akwizgranu i rozpowiada na prawo i lewo o grupie specjalnej SS, z którą się przyjaźnił. Przecież nie możemy go poprosić o eskortę z powrotem do naszych linii.
- Smythe wbił wzrok w punkt nad głową Becka. Zanucił kilka taktów melodyjki, wskazując, że ktoś się zbliża. Miller i Bauer podeszli do Becka.
- Rozbiliśmy bank, trochę tego jest, *captain*.
- W chwili, gdy słowo wymknęło się z ust Millera, Beck stęzał, ale szybko sobie z tym poradził i zwrócił się do Bauera:
- Udało się załatwić trochę paliwa dla nas?
- Nie, *hauptsturmfuehrer*. Kwatermistrz Wyckoff upiera się, że nie ma.
- Zachęciliście go? — Beck się rozluźnił. Wpadka Millera wyraźnie przeszła niezauważona.
- Tak, *hauptsturmfuehrer*, ale nie chciał wziąć. Powiedział, że za drugie tyle też nie będzie paliwa.
- Za drugie tyle też nie? — spytał Beck. — Powiedział, że za drugie tyle?
- Tak... ale co z tego? — Bauer nie pojął znaczenia.
- Nie rozumiecie, co on powiedział, *unteroffizier*? Paliwo może się znaleźć za więcej niż dwa razy tyle!
- Beck odwrócił się do Millera:
- Ile uzbierałeś?
- Chyba trochę ponad sto trzydzieści. Mieszanka amerykańskich, francuskich i brytyjskich banknotów, plus trochę włoskich i garść monet.
- Więc razem z pięćdziesięcioma dolarami, które już mu daliście, jest sporo ponad dwa razy, zgadza się, *unteroffizier*?
- Bauer, złapany w chwili nieuwagi, mógł tylko szepnąć:
- Tak jest. Ale włoskie liry? Możecie mi wierzyć, że nie będzie tego chciał. Nikt nie chce. W Niemczech są bez wartości. Co tydzień jest wymiana albo dewaluacja — Bauer przerwał raptownie, potem dodał podejrzliwie: — Mówiliście tylko o alianckich pieniądzech. Czy żaden z waszych ludzi nie ma niemieckich marek?
- Oczywiście, że nie. Jak moglibyśmy wyjaśnić ich pochodzenie, nosząc takie mundury? — teraz z kolei Beck miał kłopoty. — Jeśli zaś chodzi o liry, to wiemy, że są bez znaczenia, ale może kwatermistrz Wyckoff nie jest na tyle lotny?
- *Herr hauptsturmfuehrer* — wtrącił Miller — w lirach jest tylko około dwudziestu dolarów.

— Widzicie, Bauer! — Beck poczuł ulgę w duchu. — Nawet bez lirów możemy zaproponować poważną zachętę. Wiercie mi, Bauer, że wbrew twierdzeniom Berlina istnieje przyzwoity rynek alianckich pieniędzy. Bystry człowiek, taki jak wy... mógłby pomóc kwatermistrzowi w wymianie, a przy okazji zapewnić sobie jakiś procent. Jak sądzicie?

Nie czekając na odpowiedź, Beck szybko odwrócił się do Millera.

— Daj mu to, co zebrałeś.

Bauer wyciągnął ręce, a Miller tymczasem sięgnął do kieszeni jego munduru i wsunął mu gruby plik różnokolorowych banknotów. Potem chciał dołożyć jeszcze trochę monet.

Unteroffizier wlepił wzrok w otwartą dłoń Millera.

— Herr hauptsturmfuehrer — zaczął — monety są zagraniczne, nie niemieckie. On ich nie weźmie. Może zgodzi się na banknoty, ale nie na bilon — odepchnął dłoń Millera.

Miller potrząsnął głową z niesmakiem.

— Wiecie, ile się namęczyłem, żeby to zebrać? Musiałem ludzi brać za nogi i wytrząsać — z powrotem wsadził garść monet do swojej kieszeni.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Wrócił Wyckoff. Obdarzył grupkę bardzo przelotnym spojrzeniem i skierował się prosto za biurko.

— Unteroffizier, popracujcie nad nim jeszcze i nie pokijcie sprawy! — rozkazał Beck najbardziej złowieszczym tonem esesmana, na jaki go było stać. — Zabierzemy jeńca do innego budynku, żeby nikt wam nie zakłócał spokoju.

Bauer ruszył powoli w kierunku frontowej ściany, a Beck i Miller ściągnęli „opornego” jeńca z krzesła i praktycznie wywłoczyli go koło Wyckoffa na zewnątrz.

Becka zaskoczyły pogarszające się warunki atmosferyczne. Śnieg padał dużo gęściej niż kiedy wjeżdżali do składu. Widoczność spadła do zera i mimo wcześniejszego, a także świeżego śniegu wszystko, co znajdowało się dalej niż o metr, dwa było czarne jak smoła.

— Dan, gdzie są nasi ludzie?

— Dwa budynki dalej, po prawej. Normalnie jest tam stołówka. Kawa smakuje jak szczyzny, ale za to ciepło jak w piekarniku. Ogień buzuje w piecach jak złoto. Zaprowadzę cię, tylko uważaj, jak idziesz.

Miller skierował się natychmiast we właściwą stronę.

— Niemcy mają naprawdę dobre zaciemnienie. Po założeniu nie wydostaje się na zewnątrz nawet najmniejszy promień światła. Dopiero kiedy otworzysz drzwi — dodał.

— Miło słyszeć — wtrącił Beck, chcąc zmienić temat. — Wyślemy dzisiaj w nocy patrol na rozpoznanie jaskiń.

— Dzisiaj w nocy, sir? W taką pogodę i na taką ciemnicę? — zaprotestował Miller.

Stali przy budynku. Nie odpowiedziałwszy Millerowi, Beck nacisnął klamkę. Powitało go uderzenie ciepła.

* * *

Pelch spojrział z góry na lekarza wojskowego zajmującego się Steinerem. Nie czuł nic prócz wzgardy.

— Życiu nic nie zagraża. Bez wątpienia pacjent bardzo cierpi. Ma paskudnie popękane, może nawet połamane żebra, prawdopodobnie wybitą kość ramieniową i sporo brzydtko wyglądających ran ciętych — lekarz dał Steinerowi zastrzyk morfiny i wstał. — Niech go przeniosą na jego prycze. Tam nad nim popracuję.

— Wy dwaj, zabierzcie go — warknął Kleist do dwóch najbliższych żołnierzy z grupki, która zebrała się wokół Steinera.

Mimo ostrożnego kładzenia na nosze Steiner musiał ze wszystkich sił walczyć, żeby postrzymać okrzyki bólu.

Grupka rozeszła się. Dwaj żołnierze ze Steinerem na noszach pokonali parę metrów korytarzem i znaleźli się w głównej komnacie.

— Przykry wypadek, Steiner mógł się zabić — zauważył Kleist, idący wraz z Pelchem na końcu.

— Wypadek? — odparł Pelch z kpiącym niedowierzaniem. — Jaki wypadek, sam sobie jest winien. Przez ostatnie dni Steiner zamieniał z innymi warty na zewnątrz. Chciał być na dole. To przez tę cholerną legendę.

— Przez tę cygańską historię o złotym krucyfiksie?

— Właśnie, Kleist. Steiner jest chciwy, a przy tym wierzy w te bzdury. Jestem pewien, że na dole zajmuje się węszeniem za złotym krucyfiksem, zamiast pomagać ludziom w kończeniu pracy. Najprawdopodobniej był bliżej epicentrum niż reszta, stracił równowagę i poranił się. — Pelch pokręcił głową. — Co za głupiec.

Szli teraz po rozległym dnie głównej komnaty.

— Kiedy stąd odejdziemy, sprawy powinny przybrać lepszy obrót — oświadczył Kleist. — Ta historia rozstroiła większość ludzi — w jego głosie brzmiał przestach.

Pelch przystanął i odwrócił się do niego.

— I wy też, Kleist? — spytał nieco rozbawiony. — Was też to rusza?

— Herr sturmbannfuehrer, ja nie wierzę w takie rzeczy, ale... — w zakłopotaniu szukał słów — wszystko jakby zaczęło inaczej wyglądać od czasu, kiedy znaleźliśmy się tam, głębiej. Ludzie się zmienili...

— Zmienili się? W jaki sposób?

— Mam na myśli... ich postawę, sturmbannfuehrer... Zachowują się inaczej...

— Złożyłbym to na karb wyczerpania walką i długotrwałego zamknięcia w jaskiniach — skłamał Pelch. Dobrze wiedział, o jakich zmianach mówi Kleist. Odłączył się od porucznika i wdrapał na duży, sterczący głaz. Nadal trzymał w dłoni lampę naftową. Stojąc w tym miejscu, mógł być słyszany przez wszystkich w głównej komnacie.

— Posłuchajcie mnie teraz wszyscy! — krzyknął. Pelch trzymał lampę blisko twarzy, jej odbłask otoczył głowę majora niezmierną aureolą. — Nasze zadanie w jaskiniach zostało prawie wykonane. Jeśli zmobilizujecie się do jeszcze jednego, ostatniego wysiłku, dziś w nocy możemy zakończyć maskowanie szlaku i śladów naszej obecności.

Pomruk zadowolenia przetoczył się po komnacie.

— Jutro możemy przenieść się na zewnątrz i skoncentrować na zacieraniu drogi prowadzącej do wejścia. — Będą pracować wszyscy naraz. Zmiany zostają zawieszono. Dzisiaj w nocy nie śpimy. Niezwłocznie ograniczamy liczebnie warty na zewnątrz. Zostanie tylko czterech ludzi, na grzbiecie przy samym wejściu. Wszyscy poza tym włączają się do pracy. Jeśli okaże się, że gdziekolwiek w korytarzach jest za duża obsada, należy przenieść zbędnych ludzi w inne miejsce. Zaczynacie natychmiast! Rozmontować prycze! Do pracy.

Heil Hitler!

Ludzie z entuzjazmem odpowiedzieli na pozdrowienie i zaczęli się poruszać dookoła, niczym mrówki robotnice skoncentrowani na swoim zadaniu. Praca przez całą noc, bez odpoczynku, nie była zbyt wysoką ceną za uwolnienie się od tego miejsca. Pelch zeskoczył z głazu.

— Adler! — odwrócił się wołając przechodzącego oficera. — Upewnijcie się, czy zdjęto już warty, z wyjątkiem tych czterech ludzi, o których mówiłem — oficer energicznie zasalutował i oddalił się. Pelch i Kleist ruszyli dalej przez główną komnatę.

— Widzicie, Kleist? Jednak ludzie się nie zmienili. Wciąż mają wolę, dzięki której są zdolni do największych poświęceń dla fuehrera i ojczyzny — Pelch potoczył wzrokiem dookoła, zadowolony z wyraźnego wzrostu aktywności. Jeszcze trochę szczęścia, skończymy pracę przez nikogo nie niepokojeni i będziemy mieli powody do chwały. Sprzyjało nam do tej pory i nie opuści nas nadal — odparł Pelch.

— Też tak sądzę, sturmbannfuehrer. Musimy tylko jutro zrobić wszystko na zewnątrz nie zwracając uwagi ludzi ze składu dywizji pancerniej.

— To nie powinno być trudne, Kleist. Nie sądzę, żeby ci, którzy tam zostali, byli zainteresowani czymkolwiek poza ratowaniem własnej skóry. Tam nie ma wojsk liniowych. Korpus kwatermistrzowski i trochę zabezpieczenia z Volkssturmu. Nawet gdyby próbowali robić jakieś problemy, bez większych trudności załatwimy ich odmownie. Poza tym oni stacjonują ponad trzy kilometry stąd.

— To dziwne — ciągnął Kleist — ale ta amerykańska grupa specjalna, na którą mieliśmy oczekiwać, nigdy się nie zmateriałizowała.

— Najprawdopodobniej agentowi powiodło się unieszkodliwienie misji — wyraził swoje przypuszczenie Pelch. — A może przetoczyły się po nich własne wycofujące się oddziały albo wcisnęła ich w błoto nasza ofensywa? Mniejsza z tym. Nie pojawili się i to jest ważne — dodał obojętnie.

— A co z niemieckim agentem mającym monetę? — rozważał Kleist.

— Zastanawiam się, czy udało mu się, wyjść cało, czy zginął bezimiennie w amerykańskim mundurze?

— Myślicie pozytywnie, Kleist. Człowiek był inteligentny i sprytny. Jestem pewien, że dał sobie radę... czyjś kosztem.

Ich zgodny śmiech zabrzmiał echem w obszernej komnacie i wyrwał Steinera z głębokiego uśpienia, w które wprowadził go zastrzyk morfiny. Prycze dookoła niego były właśnie rozbierane.

— Co ty robisz, do cholery? — zapytał żołnierza w sąsiedztwie.

— Zwijamy obóz, Steiner. Nie słyszałeś Pelcha? To jest to. Pracujemy dzisiaj przez całą noc, a jutro koniec z jaskiniami. Ciesz się lepiej tą pryczą, póki możesz. Zaraz mają przynieść cię na ciężarówkę.

Jutro koniec? Te słowa dotarły do Steinera jak przez mgłę. Patrząc na ludzi uwijających się dookoła, Steiner boleśnie zwłókł się z pryczy. W kilka minut później znajdował się z powrotem na szlaku, w drodze do złotego krucyfiks.

Rozdział 18

Miller nie przesadził. Stołówka dywizji pancерnej była ogrzana. Tak ogrzana, że wszyscy ludzie pozdejmowali góry od mundurów. Większość, zgromadzona w małych grupkach, siedziała wokół długich stołów, które wypełniały prawie całe pomieszczenie. Niektórzy oparli się na stołach i ucinali drzemkę.

W głębi pomieszczenia ciągnęła się obskurna przegroda z dykty, w której znajdowało się jakby okienko. Wyglądało na to, że dykta dzieliła stołówkę na część jadalną i kuchenną. Konstrukcja sprawiała wrażenie pospiesznie skleconej. Wyraźnie zabrakło typowej niemieckiej dokładności. Nie odnosiło się wrażenia, że przeznaczono to pomieszczenie do trwałego użytkowania.

Na obwodzie sali, mniej więcej co pięć metrów, były rozmieszczone brzuchate piecyki. Przy każdym leżał obfity zapas drewna. Załogi hitlerowskich czołgów wyraźnie lubiły ciepło tego miejsca. Pod tym względem ludzie Becka nie różnili się od nich.

Poza dostarczającymi ciepło brzuchatymi piecykami w sali jadalnej, w drugiej części stały rzędem, widoczne przez okienko, olbrzymie kuchnie. Parowało na nich kilka kotłów. Maria z zakonnkami wyglądały na bardzo zajęte. Beck pomyślał, że pod wieloma względami ta scena przypomina ich wizytę w klasztorze.

— Co one pichcą? — spytał Shoena, siedzącego przy sąsiednim stole.

— Zupełnie, panie kapitanie. Siostra Maria poszła zapolować na coś jadalnego i znalazła przypadkiem mnóstwo różnych towarów. Były ziemniaki, warzywa i masa innych rzeczy, wszystko schowane parę budynków dalej. Siostry zaprowadziły tam kilku ludzi, którzy przynieśli trochę tych zapasów tutaj. Jeszcze dużo zostało na starym miejscu.

— Są schowane?

— Tak wygląda. Leżały w wielkich stertach w głębi budynku, za takim samym przepięzieniem jak tu. Ktoś przykrył to brezentem i deskami. Zupełnie jakby nazgarniał żarcia dla małej armii.

— A budynek był otwarty?

— Nie, panie kapitanie. Zamknięty na cztery spusty i zabity deskami. Siostra Maria odwaliała deskę bagnetem i wybiła szybę.

Beck spojrział z rozbawieniem na Smythe'a i Millera.

— Co ona jeszcze wymyśli?

Nagle otworzyły się drzwi. Wszedł Bauer.

— Mam dobre nowiny, hauptsturmfuehrer! Kwaternistrz znalazł jakieś paliwo.

— Znakomicie, Bauer, dobra robota — Beck spojrzął na Millera. Zbierz zaraz kierowców i...

— Nie, nie! — przerwał Bauer. — Nie dzisiaj w nocy. To niemożliwe. Dopiero rano, po zwinięciu składu.

— Dlaczego? — spytał z rozdrażnieniem Beck.

— W nocy moglibyście zwrócić uwagę, a są tu ludzie, którzy zdaniem kwaternistrza nie powinni o paliwie wiedzieć.

— To śmieszne — zaprotestował Beck. — Kogo będą interesować pojazdy tankujące w taką pogodę?

— Powtarzam tylko, co powiedział kwaternistrz Wyckoff. Rano dowie się pan od niego, gdzie jest paliwo.

— Dowiem się? Przecież to wy prowadzicie z nim pertraktacje. Dlaczego nagle ja mam z nim dyskutować na ten temat? — spytał Beck.

Smythe, który znał niemiecki słabiej niż reszta, nie był do końca pewien, co powiedział Bauer. Unteroffizier spojrzął nerwowo na Becka i niemal przeproszającym tonem odparł:

— Muszę was opuścić. Rano już mnie tu nie będzie. Poczynilem przygotowania, żeby dostać się dziś w nocy do Akwizgranu.

— Daliście już Wyckoffowi pieniądze? — spytał Beck.

— Tak jest, hauptsturmfuehrer.

— Myślę, że ktoś nas tu nabiera — oświadczył Miller.

— Wcale nie — odparł Bauer. — Paliwo na pewno jest, jeśli kwaternistrz tak mówi. Nie będziecie mieli najmniejszych kłopotów. Droga, którą jechaliśmy, zaprowadzi was prosto do Akwizgranu. Nie ma mowy, żebyście się zgubili.

— Kiedy i w jaki sposób wyjeżdżacie? — spytał Beck.

Bauer poruszył się niespokojnie, potem odpowiedział:

— Wkrótce, hauptsturmfuehrer. Kwaternistrz wszedł w posiadanie cywilnego pojazdu, małej ciężarówki, którą jeden z żołnierzy zarekwirował w Akwizgranie. Ponieważ skład jutro się przenosi, Wyckoff prosił mnie, żebym zwrócił ją właścicielowi w Akwizgranie... Samochód już nie jest potrzebny w składzie. Pozbieram tylko trochę rzeczy, które tu mam, i zaraz wyruszam.

— Rzeczy? — nalegał Beck. — Jakiego rodzaju? Może żywność?

— Skądże, hauptsturmfuehrer! Nie żywność — Bauer spoglądał to na Millera, to na Becka, w pełni świadomy, że żaden z nich mu nie wierzy. — No, może trochę, tyle żeby starczyło na podróż. Ale mam same zepsute rzeczy niepełnowartościowe, i tak wyrzucono by je albo zniszczono. Dywizja pancerna nie powinna dostawać takiej żywności. A dla mnie wystarczy. Kto wie, czy w Akwizgranie będę mógł zjeść przyzwoity posiłek? — zaśmiał się słabo.

Ani Beck, ani Miller nie odezwali się. Patrzyli na Bauera beznamytnie. „Dlatego tak nas chciał eskortować”, pomyślał Beck. „Rozumiał, że to ostatnia szansa na odzyskanie jego łupu, zanim skład zostanie zlikwidowany”.

Smythe, który nie próbował już nadążyć za tokiem rozmowy, bezmyślnie wodził wzrokiem po pomieszczeniu.

— Ale mam jeszcze inne dobre wiadomości! — oświadczył Bauer, usilnie starając się zmienić temat.

— Na przykład jakie?

— Możecie dzisiaj przespać się w tym ciepłym pomieszczeniu. Załatwiłem z kwatermistrzem!

Beck i Miller osłupieli, słysząc tę pyszałkową uwagę. Smythe był nieświadom większości z tego, co zostało powiedziane, ale natychmiast dostrzegł surowe spojrzenie Becka, skierowane ku Millerowi, który wyglądał, jakby zamierzał uderzyć Bauera.

— Nadmiar uprzejmości — odparł Beck z kwaśnym uśmiechem.

— Dziękuję, ale po prostu spełniam mój obowiązek. Ktoś musiał was eskortować. Jak inaczej dojechalibyście aż tutaj?

— Czy nie sądzicie, hauptsturmfuehrer, że unteroffizier Bauer powinien zjeść z nami miskę gorącej zupy, zanim zniknie w ciemnościach nocy? — spytał Miller. — Byłby to rodzaj pożegnania dla uczynnego towarzysza podróży.

— Myślę, że to wspomniały pomyśl, poruczniku Miller, ale niestety nie wydaje mi się, żeby zupa miała być gotowa na czas. Poza tym unteroffizier z pewnością się niecierpliwi, chciałby już ruszyć w drogę.

— Zupa? — spytał Bauer. Rozejrzał się po stołówce i wtedy zauważył w okienku Marię mieszającą w kotle.

— Znaleźliście składniki na zupę tutaj? — spytał całkowicie zaskoczony.

— Ależ nie — rzucił Miller — nie tutaj. W tym budynku było pusto, jeśli nie liczyć kilku uszkodzonych worków zwietrzalej kawy. Za to o kilka budynków dalej znaleźliśmy całą masę wspomniałych zapasów. Najwyraźniej dywizja pancerna nie była w stanie zabrać wszystkiego razem z kuchniami polowymi.

Bauerowi pękło serce.

— Chcę prosić o jeszcze jedną uprzejmość — Beck położył rękę na ramieniu Bauera. — Muszę być pewny, że mamy wystarczającą ilość paliwa, żeby dojechać do naszego celu. Nie wątpię w dobre intencje kwatermistrza, ale warto się zabezpieczyć. Dlatego pokażcie mi wejście do jaskiń, gdzie stacjonuje oddział SS.

Bauer nie spodziewał się tego.

— Proszę wybaczyć, hauptsturmfuehrer, ale po co miałby pan chodzić właśnie tam?

— Czy to nie oczywiste? Kogo łatwiej nam prosić o paliwo niż inny oddział SS? Jeżeli zajmują teren wokół jaskiń, wysoko w górach, to założę się, że mają pojazdy, a to oznacza również paliwo.

Rozumowanie było logiczne. Bauer skinął głową.

— Ale tam jest wstęp wzbroniony. Mogą nas postrzelić.

— Dam sobie radę — protekcyjnie odparł Beck. — Pokażcie mi tylko kierunek. Nie musicie z nami wchodzić.

Bauer zamyślił się na chwilę.

— Her hauptsturmfuehrer? Nie sądzę, żeby opuszczenie składu było dobrym pomysłem. Jeżeli pan wyjedzie i będzie chciał wrócić, to warta podniesie alarm.

— Nie będziemy wyjeżdżać. Pójdziemy piechotą przez tylne wyjście, którego z powodzeniem używacie.

Posługując się wiadomościami, które zebrał wywiad korzystając ze starych dokumentów kościelnych, Beck już wcześniej zorientował się, w której części Chapelleburga powinny być jaskinie. Niestety, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się w tej chwili. Przewodnictwo Bauera było jak laska opatrności.

Przed opuszczeniem stołówki Bauer pojawił się z białymi kombinezonami dla siebie i pięcioosobowego patrolu, użytecznymi zarówno do maskowania, jak i ochrony przed żywiołami. Była noc, panowało przenikliwe zimno, ale zawieja zelzała i teraz w powietrzu unosiła się jedynie drobna śnieżna mgielka.

Wypełniwszy zadanie i doprowadziwszy Becka z małym patrolem do bocznej wiejskiej drogi, która prowadziła w miejsce, gdzie według relacji innych żołnierzy, zatrzymywały warty SS, Bauer ich pożegnał. Kapitan czułby się o wiele lepiej, mając pod ręką Smythe'a, zabezpieczającego tyły. Chcąc jednak zachować pozory przed Bauerem, zostawili „angielskiego jeńca” w stołówce pod opiekę sporej grupy ludzi Becka. Beck wyobraził sobie swoich żołnierzy, prawdopodobnie siedzących teraz nad miskami zupy, ugotowanej przez Marię.

— Panie kapitanie — zaczął Miller — leżymy po tej cholernej drodze już godzinę i nie ma śladu ani po wejściu do jaskini, ani po wartach SS. Może damy sobie spokój?

Minęło jeszcze parę przenikających dreszczem do szpiku kości minut. Patrol brnął przez dziewiczy śnieg. Nagle Beck zobaczył przyćmiony ognik na grzbiecie wzniesienia, może dziesięć metrów przed nim. Błysk trwał zaledwie kilka sekund.

— Kapitanie! — zawołał Hauser zduszonym szeptem.

— Widziałem, Charlie — odparł Beck.

Jeszcze jeden z patrolowych potwierdził. Beck przyzwał wszystkich gestem ręki. Poruszając się powoli i ostrożnie, zgromadzili się wokół niego. Kiedy cały patrol był w komplecie, Beck przemówił:

— Niewykluczone, że mieliśmy szczęście i ktoś poruszył płótno czy inną zasłonę wejścia do jaskiń.

— Źle by to świadczyło o sprycie Niemców — wtrącił Miller. — Należałoby sądzić, że raczej uważają na światła tuż przy wejściu.

— Prawdopodobnie uważają, ale przy takiej ciemności nawet najślabszy odbłask na ścianie jaskini jest widoczny. Przecież nie mają żadnego powodu stosować zaciemnienia wewnątrz — zauważył Beck. — Rozdzielimy się i podejźmy bliżej. Dan, weźmiesz Rice'a i Semancika i zajdziesz ich od prawej. Hauser i ja będziemy dalej szli tędy. Nastawcie zegarki. Spotkamy się tutaj za pół godziny albo szybciej.

Wszyscy skinęli głowami.

— Cokolwiek będziecie robić, zachowajcie, na miłość boską, ostrożność. Unikajcie wykrycia. Nie chcemy zaczynać tu dziś w nocy wojny. Musimy po prostu ustalić, czy rzeczywiście w tym miejscu są jaskinie, a jeśli tak, to ilu wartowników ich strzeże. Zrozumiano?

Znów wszyscy potwierdzili ruchami głowy. Bez dalszych rozmów Miller z dwoma patrolowymi powoli ruszyli. Beck poczekał, aż oddała się na pewną odległość i zwrócił się do Hausera:

— Zostań tutaj. Nie posuwaj się do przodu. W ogóle nic nie rób! Zrozumiałeś?
— Tak jest... panie kapitanie — Hauser przeżył zaskoczenie.
— Jeśli szlag trafi te podchody i usłyszysz strzały, to pędź z powrotem do składu i sprowadź resztę ludzi w ciężarówkach.

— W ciężarówkach, panie kapitanie? A co z wartą przy bramie?
— Charlie, jeśli tu coś spieprzymy, to co za różnica? Celem naszej misji jest zdobycie tego, co może się znajdować w jaskiniach. Przejedźcie obok, jeżeli będą wchodzić w drogę, to otwórzcie ogień albo ich rozjedźcie. Możecie rozwalić płot w tym miejscu, przez które wyszliśmy. Jest mi wszystko jedno co zrobicie. Macie tu być jak najszybciej w pełnej sile ogniowej.

— A siostry, panie kapitanie? Zostawić je czy zabrać?
— Co to za quiz, do cholery? — Beck był spięty. Objawiło się to w niezwykłym dla niego rozdrażnieniu po całkiem logicznym pytaniu. Zastanowił się przez chwilę.

— Weźcie je... Nie, lepiej nie. Zostawcie. Jeśli dojdzie do wymiany strzałów, mają więcej szans bez nas. Maria jest inteligentna. Gdyby chcieli je przymknąć to wymyśli jakąś historyjkę — spojrzał prosto na Hausera: — Gdyby do tego doszło, Charlie, powiedz Marii... Powiedz im wszystkim... Wróćmy po nie, jeśli będziemy w stanie. Ona zrozumie, co mam na myśli.

Beck spojrział w stronę, gdzie znikł Miller, i uznał, że wszyscy trzej mieli dość czasu, żeby zająć pozycję.

— O.K., ruszam. Pamiętaj, co mówiłem. W razie jakichkolwiek strzałów spieprzasz stąd jak zając.

Beck zaczął się ostrożnie przemieszczać po ośnieżonej drodze, starając się trzymać blisko pobocza. Po pewnym czasie z boku wyrosła stroma ściana, której krawędź znajdowała się mniej więcej sześć metrów powyżej.

W końcu Beck uznał, że w przybliżeniu osiągnął punkt na drodze, nad którym dostrzegł światło. Zatrzymał się i przysiadł na piętach. Pozostało mu czekać i nasłuchiwać. Jeżeli są nad nim wartownicy, to prędzej czy później rozlegną się odgłosy rozmowy lub ruchu.

Minęło kilka minut, nic nie zaszło. Beck czuwał w pogotowiu, całkiem nieruchomy, czekając na jakiegokolwiek dźwięki z góry czy z boku. Mógł teraz do pewnego stopnia odciążać umysł. Pozwolił myślom swobodnie płynąć. Ciszę nocy zakłócał jedynie ciągły szmer drobnego śniegu, osiadającego na wcześniejszych warstwach bieli, przypominający Beckowi dźwięk igły patefonu w ślepym rowku na końcu płyty. Czy postąpił właściwie, decydując się na wybór Hausera? Wolałby polegać na Millerze i jemu powierzyć sprowadzenie pozostałych ludzi w razie potrzeby, ale z Millerem czułby się bezpieczniej. Smythe miał rację. Miller stał się prawą ręką Becka. Wybierając Hausera, wziął pod uwagę duże prawdopodobieństwo, że nie trafi na wrogiego agenta. Hauser był wśród żołnierzy usuwających z drogi drzewo. Beck przypomniał sobie, że oddanie moczu zajęło sierżantowi bardzo mało czasu i

że skorzystał z nader skąpej osłony, która izolowała go tylko symbolicznie. Przypomniał sobie też, że o mało nie wrzasnął do Hausera, żeby schował się głębiej za drzewa, kiedy podeszła Maria z monetą. Czyli Hauser, podobnie jak Smythe, właściwie nie był poza zasięgiem wzroku w chwili zniknięcia Boyle'a.

Beck opierał plecy o skałę, dzięki czemu mógł przyglądać się miejscu, w którym powinni znajdować się na pozycji Miller i dwaj pozostali ludzie. Zorientował się, że w tym samym kierunku są zwrócenie ewentualni wartownicy. Gdyby był w stanie zauważyć Millera lub patrolowych, warta miałaby tę samą możliwość. Ale nawet przesuując wzrok bardzo powoli i dokładnie lustrując teren, nie dostrzegł żadnego ruchu.

Wszyscy trzej czaili się gdzieś naprzeciwko, Beck był tego pewien, ale podobnie jak on trwali bez najmniejszego poruszenia.

* * *

Steiner otworzył oczy. Poza słabym promykiem światła, zatrzymującym się na jego nodze, panowała ciemność. Z góry dobiegały stłumione odgłosy pracy. Światło i dźwięki były znajome, ale jakby obce.

Stracił orientację. Wiedział, że leży na ziemi. Ale dlaczego? I gdzie jest? Sięgnął lewą ręką ku światłu i krzyknął. Ostry ból przeszył mu klatkę piersiową i ramię. Wrócił mu pamięć.

Szedł wzdłuż szlaku. Szukał zakodowanych znaków, wydrapanych na ścianie jaskini, znaków, które miały go zaprowadzić do korytarza, gdzie znajduje się złoty krucyfik. Dokuczały mu rany i przez to droga zabierała o wiele więcej czasu, niż przewidywał. Wysiłek wraz z bólem, który odezwał się znowu, gdy morfina przestała działać, powaliły go. Przypomniał sobie, że przez długi czas posuwał się bardzo powoli. Bateria w latarce była bliska wyczerpania. W pewnej chwili stracił równowagę i upuścił latarkę. Upadł na chore żebra. Ból okazał się wystarczająco silny, ażeby pozbawić Steinera przytomności.

Powrót do pozycji stojącej okazał się dość trudny. Steiner okupił sukces kilkoma bardzo bolesnymi próbami. Kiedy w końcu odzyskał pion, poczuł krew. Przeciął sobie zębami dolną wargę. Obficie splunął. Ta prosta czynność sprawiła, że w piersi odezwał się ból prawie nie do wytrzymania.

Wolnymi, starannie odmierzanymi krokami Steiner pokonywał kolejne metry. Parę minut zajęło mu znalezienie sposobu poruszania się, przy którym ból byłby łatwiejszy do wytrzymania. Postępując naprzód, zastanawiał się, czy będzie w stanie wyciągnąć krucyfik z ziemi.

Myślał o tym przez pewien czas, potem uświadomił sobie, że ociera prawą ręką o kaburę. Przyszło mu do głowy» że logicznie rzecz biorąc, mógłby przy zachowaniu ostrożności ostrzelać trzon dookoła. Tak żeby nie uszkadzając krucyfiksu, łatwo go wyciągnąć.

„Czy byłoby słycać strzały w głównej komnacie?», zastanawiał się. Nie miał zielonego pojęcia. W każdym razie to on odkrył złoty krucyfik i on musi go stamtąd zabrać. Steiner podniósł prawą rękę i delikatnie przetaił rękawem brodę, chcąc usunąć zbierającą się krew.

* * *

Cierpliwość Becka procentowała. Niecałą minutę wcześniej usłyszał z góry wyraźny odgłos przytupywania. Ktoś rozpaczliwie bronił się przed zamarnięciem.

— Boże kochany, jak dzisiaj zimno — młodemu głosowi towarzyszyło szczękanie zębami. — W końcu mnie dopadło. Jeszcze przed chwilą wszystko było w porządku. A teraz jakby powiał wiatr prosto z- Arktyki.

— Za delikatny jesteś, Schmidt — skarcił go starszy głos. — Tam, skąd przyszedłem, uznaliby taką pogodę za lato.

— Wsadź sobie w dupę takie lato. Jest mróz jak cholera. Trzeba było starać się o przydział do Africa Corps.

— I albo nie żyłbyś już, albo został jeńcem w alianckim obozie. W Afryce jest *kaput*, zapomniałeś?

— Czy tak, czy tak, jest im cieplej niż mnie w tej chwili. Zamarznę na śmierć, jeśli nie wejdę do środka. Nie wytrzymuję. Muszą mnie zmienić. Muszę wejść do środka.

— Wolisz siedzieć razem z diabłem, niż stać tutaj na zewnątrz? Dostajesz bzika, jak Steiner.

— Muszę wejść do środka.

— Nie możesz zejść z posterunku!

— Nie zwracaj mi głowy — zaprotestował młodszy głos.

Rozległ się chrzęst kroków, młodszy głos zanikał:

— Jeszcze was tu trzech zostało. Jestem pewien, że powstrzymacie Eisenhowera, z nim przyślą zmianę.

Beck usłyszał szuranie, jakby ktoś ciągnął za sobą kawał brezentu. Dochodziło ze znacznie większej odległości niż głosy. Beck domyślił się, że grań, na której znajdowali się wartownicy, była nieco odsunięta od wlotu. Wiedział też, że co najmniej trzech ludzi strzeże jaskini od zewnątrz. Ale ilu ich jest wewnątrz?

Pozostało jeszcze prawie dziesięć minut do zbiórki, ale Beck uznał, że nasłuchał się tymczasem dość. Miller i dwaj żołnierze mieli prawdopodobnie ze swego ukrycia znakomity widok, kiedy zasłona została odciągnięta. Powinni się teraz wszyscy spotkać i wymienić obserwacje. Beck uniósł się z przysiadu, cały czas opierając plecy o skałę. Właśnie miał zacząć się wycofywać.

— Halt!

Beck zamarł.

— Halt! — w ślad za drugim rozkazem z góry posypała się seria. Becka ogarnęły mieszane uczucia: ulga, że nie on jest celem, a jednocześnie troska o Millera, Rice'a i Semanci-ka.

Ostrzał z grani nad głową Becka nasilał się. Do pierwszego wartownika wyraźnie dołączyła się reszta. „Koniec z zaskakującym atakiem”, pomyślał kapitan.

Zdumiony zobaczył, że Miller i jego ludzie odpowiedzieli wściekłym ogniem. „Dlaczego, do cholery, po prostu się nie wycofali?”. Dopóki prowadzili ogień, Beck był przygwożdżony. Wydawało mu się, że gdyby cała trójka zajęła się ratowaniem własnej skóry, to miałyby

szansę się przebić, zanim Niemcy zejdą z grani w dół.

Błyski amerykańskich pistoletów maszynowych lokalizowały jego ludzi równie dobrze, jak zrobiłaby to flara. Beck dostrzegł wyraźnie dwa źródła ognia. Któryś musiał dostać.

Z góry odezwała się ciężka broń maszynowa. Odpowiedział już tylko jeden Amerykanin. Beck patrzył, jak pociski szybko i z impetem wyszywają wzór wokół miejsca, skąd padały strzały. Przestrzeń zamknięto z dwóch stron ogniem podłużnym. Z amerykańskich pozycji nie odpowiadał już nikt, ale z grani nadal prowadzono bezlitosny ostrzał.

Beck wątpił, czy Miller i dwaj pozostali przerwali ogień w porę, żeby wydostać się z zagrożonego terenu i uniknąć gwałtownego ataku. Esesmani mieli pod ostrzałem bardzo rozległe pole. Kapitan obawiał się, że z jego ludzi zostały strzępy. W duchu modlił się, żeby Hauser dostał się jak najszybciej do składu. Może był już bliżej niż dalej? Beck poczuł uderzenie w ramię. Z góry sypały się na niego łuski naboji. Ogień prowadzono jeszcze przez blisko minutę. W końcu nastąpiła przerwa, ale Beck nie mógł się pozbyć dzwonięcia w uszach. Zamknął oczy i kilka razy przechylił głowę z boku na bok. Kiedy znów spojrzął, miał przed sobą lufę pistoletu maszynowego. Otaczało go kilku ludzi. Jeden natychmiast cisnął jego broń na ziemię, inny zaświcił mu latarką prosto w twarz. W oślepiającym blasku Beck nie widział przeciwników. Rysowały się przed nim ciemne sylwetki bez twarzy. Usłyszał dobrze znany dźwięk odwodzonego kurka w lugerze. Pistolet szybko znalazł się w zasięgu jego wzroku, centymetry dzieliły lufę od twarzy Becka.

— Kleist! Dawaj go do mnie. Natychmiast! — Rozkaz padł z grani.

Luger powoli odchylił się do góry i jakby wtopił się w ciemność. Padające na twarz Becka światło zmuszało go do mrużenia oczu. Kiedy zabrano latarkę, człowiek stojący na wprost kapitana chwycił go za ramię i szarpnął do przodu.

— Wy dwaj, zabierzcie go do Pelcha — zakomenderował. — Reszta pójdzie ze mną.

Hauser biegł najszybciej jak potrafił, ale przedzieranie się przez śnieg wymagało wysiłku, było bardzo trudne. Oddychał ciężko, mięśnie buntowały się, powstrzymując go. Biegł jednak dalej. Nie słyszał już wymiany strzałów. Czyżby walka się skończyła? A może po prostu znalazł się za daleko i gruba warstwa śniegu głużyła odgłosy?

Nie, jednak walka musiała się skończyć. Nie słyszał przecież, żeby wymiana strzałów robiła się coraz cichsza, aż przestała być słyszalna. Urwała się nagle. Było po wszystkim. Zastanawiał się, czy koledzy są górą.

Miał już niedaleko. Tylko parę metrów do dziury w płocie. Potem jeszcze ze sto do stółki.

Właśnie wtedy poślizgnął się.

Wbrew woli wydał z siebie zduszony okrzyk, poleciał do przodu i z rozmachem uderzył klatką piersiową o ziemię. „Dzięki Bogu, że spadł śnieg”, pomyślał, czując pod głową twardy kształt zwalonego drzewa.

Oszłołmiło go, oddychał z najwyższym trudem. Podniósł głowę i próbował zatrzymać spojrzenie na płocie przed nim, ale płot wirował, odpływał w lewo.

Hauser mocno zacisnął powieki, koncentrując się na oddechu. Po kilku sekundach udało mu się wstać.

Ile czasu stracił? Minutę, może dwie? Musiał biec dalej, -dostać się do stołówki i zaalarmować resztę. Czuł się solidnie zamroczony, bał się, że w pół kroku straci przytomność, udało mu się jednak chwiejnym krokiem osiągnąć plot.

W głowie kołatała mu wciąż jedna, jedyna myśl: „Wymiana strzałów ustała, ale czy nasi są górą?”

Rozdział 19

Maria i jedna z zakonnice kończyły właśnie zmywać naczynia po zupie. Smythe zaczął sarkać, że za bardzo się starają, nie potrzeba tyle zachodu, skoro skład wraz z wyposażeniem zostanie następnego dnia opuszczony. Ale Maria była sobą. Machnęła ręką, wypędzając Prestona za przepierzenie i zaczęła odkładać wszystko na miejsce.

Ludzie zajmowali całe pomieszczenie wyciągnięci na stołach, odprężeni i zadowoleni z gorącego posiłku, który uznali za wyborny. Kilku żołnierzy siedziało, prowadząc ciche rozmowy, inni pograżyli się we własnych myślach, pisząc albo czytając po raz nie wiadomo który listy z domu.

W brzuchatych piecykach znowu buzował ogień, dołożono drewna. Ten obraz spokoju mógłby pochodzić z każdej bazy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w ich własnym kraju.

Ale kraj nie był ich. Znajdowali się w Niemczech, jeszcze niecały tydzień temu przy tych samych stołach siedzieli zahartowani w bojach grenadierzy z dywizji pancerniej.

Nieoczekiwany, nagły trzask otwartych przez Hausera drzwi stołówki zabrzmiał jak ostry dysonans w pogoni nastroju, który panował w tym miejscu chwilę wcześniej.

— Walczą z Niemcami przy jaskiniach — wyrzucił z siebie zdyszany. — Ostra wymiana strzałów... potem cisza... Musimy tam wracać...

Wyczerpany Hauser bez tchu opadł na kolana. Dwaj najbliżej stojący żołnierze rzucili się ku niemu, sądząc, że mdleje. Zdołali go przytrzymać chwilę wcześniej nim poleciał do przodu na ziemię, po czym pomogli mu wstać.

Pospyły się pytania, w pomieszczeniu podniosła się wrzawa, która nasiliła się jeszcze, gdy Hausera otoczył ciasny krąg. Sierżant spoglądał półprzytomnie na wypytujących. Smythe przecisnął się przez grupę i wysoko uniósł ręce nad głową. Jego wkroczenie uporządkowało sytuację. Nie miało znaczenia, że komandor ma przydział do marynarki, i to brytyjskiej, nie amerykańskiej. Był przecież z obecnych najstarszy stopniem.

— Czy umiesz zaprowadzić nas na miejsce walki?
— Tak jest. Kapitan Beck powiedział, żeby szybko i w ciężarówkach...
— Słyszeliście — przerwał Smythe, wołając do wszystkich. — Ruszamy! Pełna gotowość bojowa. Kierowcy i zmiennicy do pojazdów.

Ludzie pospieszyli na zewnątrz, zbierając po drodze części umundurowania i ekwipunek.

— Nie marudzić! Hej, żołnierzu, zapomnieliście o broni... Czyj hełm został na stole?

Smythe zachowywał się w takich sytuacjach z wrodzonym talentem. W trudnych chwilach umiał postępować spokojnie i racjonalnie, wszystkiemu nadawać właściwy wymiar.

— Przenosić sprzęt na ciężarówkę! Szybko, na jednej nodze!... Sprawdzić amunicję... — wydawał krótkie rozkazy i polecenia, cofając się jednocześnie w głąb pomieszczenia po własną górę od munduru.

— Sierżant Post, weźcie Hausera do jeepa. Zaraz do was dołączę.

— Smeethis, Smeethis! — Maria prawie wpadła na niego w biegu. — Czy jest bardzo źle? Czy Becka zastrzelili?

— Sierżant Hauser nie mówił o nikim zastrzelonym, madame. Powiedział tylko, że była wymiana strzałów. A teraz proszę zostać tutaj i siedzieć cicho, zanim nie wrócimy z kapitanem Beckiem, który na pewno wszystko chętnie opowie. Musimy ruszać — chwycił górę od munduru i odwrócił się do wyjścia.

— Smeethis, jadę z wami!

Przystanął i przeszył ją wzrokiem. Nie przywykła do takich spojrzeń, przestraszył ją.

— Nie bądź niemądra! Kazałem ci tu zostać!

Patrzyła jak biegiem przemierza stołówkę i znika za drzwiami. Stała nieruchomo, jakby ktoś nalał jej pod stopy kleju. Utkwiła wzrok w wirujących białych płatkach, które gromadnie wpadały do stołówki z czerni nocy i rozpyływały się przy dotknięciu podłogi.

Jedna z siostrz w milczeniu prześlizgnęła się obok Marii, zasłaniając jej cały widok. Zamknęła drzwi. Suchy trzask zamka rozszedł się echem w pomieszczeniu.

Maria chciwie wylapywała stłumione dźwięki silników. Słyszała, jak ich ton zmienił się na wyższy, jęklivy, kiedy ciężarówka ruszyła. Potem dźwięki zaczęły słabnąć i zgasły w oddali. Ciszę w stołówce zakłócało już tylko drewno, rześko strzelające w pękających piecykach.

Maria uświadomiła sobie, że oczy zaczynają ją piec i wszystko nagle zasnuwa się mgłą. Uniosła ręce i powoli przesunęła je po twarzy. Na rękawach habitu zostały kropelki wilgoci. W końcu Maria obróciła się i zajrzała za przegrodę.

Naczynia leżały bezładnie na kuchni, tak jak je rzuciła.

Trzeba było je zebrać.

* * *

Dwaj esesmani mocno trzymali Becka, ciągnąc go wzdłuż skalnej ściany w kierunku drogi na górę, do jaskiń. Weszli na krętą ścieżkę, wydeptaną w śniegu. Oczy kapitana przyzwyczyły się z powrotem do nocy. Promienie słabego światła, pełznące przed latarkami, nie przeszkadzały mu. Kiedy mijali sporą połą ubitego butami śniegu, Beck podniósł wzrok ku grani. Poprawnie odgadł, że stąd właśnie zeskoczyli Niemcy.

Nieco dalej skręcili w lewo i Beck stwierdził, że kroczy po stromej, lecz stosunkowo szerokiej drodze. Szerokiej dostatecznie, żeby mogła przejechać ciężarówka. Zastanawiał się, czy Hauserowi udało się dotrzeć z powrotem do stołówki.

Osiągnęli szczyt. Becka zaskoczyła rozległość równej powierzchni. Był to bardziej płaskowyż niż urwisty grzbiet. Dookoła spostrzegł kilka sosen i znacznie więcej sporych krzewów, pojedynczo i w kępach. Zauważył, że niektóre drzewa mocno się chwieją i nie rozszerzają się u dołu. Podejrzewał, że ścięto je w innym miejscu i ustawiono tutaj dla zamaskowania wlotu jaskiń. Jego strażnicy sprawnie przeprowadzili go przez sztuczny las i zatrzymali się przed odpowiednio pomalowanym płótnem maskującym, zakrywającym znaczną część skały. Wyjaśniło się, skąd dolatywało go szuranie, kiedy przemarznięty wartownik wchodził do środka.

Jeden z esesmanów odchylił płócienną zasłonę, drugi wepchnął Becka w biegnące tunelem przejście. Przechodząc tamtędy, kapitan ocenił, że włożono wiele wysiłku, żeby poszerzyć do takich rozmiarów wlot, początkowo prawdopodobnie o wiele mniejszy. Trzeba było przebić się przez co najmniej pięć metrów litej skały, ale droga była teraz przejezdna dla czołgu.

Potem spojrzenie Becka przeniosło się na ziejącą przed nim ogromną komnatę. Z wrażenia aż się zatrzymał. „Zupełnie jakby ktoś przykrył dachem stadion”, pomyślał. Gdyby nie przyszło mu stanąć w tak olbrzymiej grocie, nie uwierzyłby w jej istnienie.

Zgrupowane po kilka lampy niewielkiej mocy zalewały skalne ściany szarawą poświatą. Beck przyglądał się zespołom ludzi, pracującym w różnych punktach komnaty. Mimo groźnych okoliczności, pomyślał o krzątających się elfach.

— Ruszaj się! — poczuł bolesne dźgnięcie w plecy. Jeden z wartowników popędził go łufą pistoletu maszynowego. Drugi chwycił Becka za ramię i bezceremonialnie pociągnął. Ruszyli w poprzek komnaty.

Kapitan zauważył najpierw jedną, potem dwie ciężarówki, załadowane zwojami kabli. Minęli następny samochód, tym razem pełny koszy z żarówkami i czegoś, co wyglądało na złożone wojskowe prycze. Na dalszych leżały używane deski i długie kawałki żelaznej rurki, przypominające mu poręcz, którą jego dziadek założył przy schodach na ganku. Elfy miały tu naprawdę dużo roboty.

Zatrzymali się przed oficerem z marsową miną, noszącym oznaczenia majora SS. Beck doszedł do wniosku, że jaskinie istotnie stanowią główną wygraną w ich grze: właśnie tutaj ukryto skarb, o którym wspominały przechwycone depesze z Enigmy.

Pelch spojrział na niemiecki kombinezon Becka, potem na amerykańskie buty wojskowe.

— Co pan tu robi? — zapytał po angielsku, z akcentem, ale płynnie. Widząc przed sobą Amerykanina, z rozdrażnieniem przymrużył oczy.

— Beck, William, kapitan, siły zbrojne Sta...

— Milczeć! — krzyknął Pelch. Na twarz wystąpiła mu intensywna czerwień. — Szkoda mojego czasu na rozmówki według Konwencji Genewskiej. Słyszysz? Ich reguły wojny nic dla mnie nie znaczą! — nieświadomie przeszedł na niemiecki. Zaczął wrzeszczeć. — To ja

tutaj ustalam reguły. A ty jesteś martwy. Rozumiesz? Martwy! — Pelch zrobił przerwę na zebranie myśli. Niemal się dławił. Zanim odezwał się znowu, minęło kilka sekund. Z powrotem przeszedł na angielski, głos brzmiał spokojniej, choć nadal złowrogo. — Czy myślał pan, kapitanie Beck... choćby przez chwilę rano, po przebudzeniu, że być może właśnie nastał pański ostatni dzień? Co, nie? Więc panu powiem... nastał! Dzisiaj. Tutaj. Zaraz!

Beck wiedział, że esesman mówi poważnie.

— Ale zamierzam dać panu wybór: szybka kula w łeb albo powolne, pełne cierpienia umieranie przez całą noc, a może dłużej. Tak czy owak, przed naszym odjazdem będzie pan martwy, a te jaskinie staną się pańskim grobem. Na to daję słowo. Moja oferta nie wynika z miłosierdzia — ciągnął. — Nie mam też ani czasu, ani ochoty bawić się z panem, kapitanie Beck. Chcę tylko wiedzieć, po co pan tu przyszedł. A w ten czy inny sposób na pewno zapragnie mi pan to wyjawić, proszę sobie nie robić złudzeń. Za szybką odpowiedź będzie szybka śmierć. Za każdą sekundę namysłu dokładam godzinę umierania. W końcu i tak mi pan powie.

Pelch zastanawiał się przez kilka sekund. Podniósł oczy, potoczył wzrokiem dookoła, jakby czegoś szukając. Wykrzywił twarz w sarkastycznym uśmiechu.

— Jak Amerykanie mówią „koniec pieśni”?

— Sturmbannfuehrer! Znaleźliśmy jeszcze jednego żywego — to był Kleist. Stał przy wejściu. Kilku jego ludzi ciągnęło amerykańskiego żołnierza, bez białego kombinezonu.

W jeńcu, którego transportowano teraz przez komnatę, Beck rozpoznał Millera. „Ty baranie, lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś zginął w tej potyczce”, pomyślał.

Doszedłszy do miejsca, w którym znajdowali się Pelch z Beckiem, Kleist brutalnie pchnął jeńca. Miller potknął się i upadł na ziemię.

— A reszta?

— Znaleźliśmy dwa ciała. To wszystko. Zakończyliśmy poszukiwania, ale dla ostrożności potroiłem wartość przed wylotem.

— Dwóch zabitych i dwóch jeńców, Kleist, to dla was wszystko? — twarz Pelcha spurpurowiała.

— Obserwowaliśmy strzelających. Sądząc po błyskach, liczba się zgadza. Poza tym wątpię, czy ktokolwiek jeszcze mógłby wydostać się stamtąd albo przeżyć.

— Ci dwaj przeżyli! — wrzasnął Pelch, wskazując na Becka i Millera.

— Ale żaden z nich nie był w polu skoncentrowanego ostrzału. Ten — wyciągnął rękę w stronę kapitana — siedział pod skałą, a tamten — kopnął Millera w żebra — przestał strzelać. Kiedy go znaleźliśmy, był całkiem zdezorientowany.

Pelch zamyślił się nad słowami Kleista.

— Jesteście pewni co do liczby strzelających?

— Tak jest. Widzieliśmy najwyżej trzech jednocześnie. Ten, którego znaleźliśmy oddzielnie, pod skałą, nawet nie nacisnął spustu.

Czterech ludzi? — zauważył Pelch. — Śmiała samobójcza misja...

— Proszę spojrzeć! — Kleist szybko przyklęknął i z dumą wskazał naszywkę Naczelnego Dowództwa na rękawie Millera. — To oni.

Beck zrobił wielkie oczy. „To oni?” Rzucił błyskawiczne spojrzenie na Millera, który również objawiał zaskoczenie. Potem zatrzymał wzrok na Pelchu.

— Tak właśnie przypuszczałem — skinął głową Pelch. — Kombinezony dywizji pancерnej na amerykańskich mundurach. Okazuje się, Kleist, że naszemu agentowi jednak się nie powiodło. Ale co się stało z resztą? Mieliliśmy oczekiwać większej siły, około pięćdziesięciu ludzi. — Pelch założył ręce z tyłu i przespacerował się w kółko. Zaczął głośno myśleć po niemiecku: — Przejechali całą drogę z Granville... wpadli na falę własnych, cofających się oddziałów... być może grupa zmalala wraz z początkiem ofensywy... część wpadła w panikę i zdezerterowała, wiecie przecież, że Amerykanie masowo dezzerterowali? — spojrzał na Kleista i dalej wyrażał swoje myśli na głos. — Jakoś przebili się przez nasze atakujące oddziały... przy tym też mogli stracić trochę ludzi, ale tych czterech przetrwało to wszystko i ciągnęło zadanie... Niewiarygodne, całkiem niewiarygodne... — urwał i obdarzył obu jeńców wszystkowiedzącym uśmiechem. — Ale w takim razie musicie płynnie mówić po niemiecku. To wam przecież pomagało, mam rację?

Miller odwrócił się częściowo i spojrzał na Becka. Miał już coś powiedzieć, ale kapitan zrobił lekki ruch głową, żeby go powstrzymać. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, cała grupka milczała. Ciszę przerwał Pelch:

— Bardzo dobrze, doskonale. Dziękuję serdecznie, panie nazwisko-nie-ma-znaczenia — Pelch uśmiechnął się do Millera. Przechadzka i gadanina do siebie były ukartowaną sztuczką. — To było bardzo wymowne. Amerykanie chętnie powtarzają, że czyny mówią lepiej niż słowa, czy coś podobnie głupiego.

Pelch zbliżył się do Becka i Millera, zacierając ręce. Był całkowicie usatysfakcjonowany.

— Nie ma potrzeby ciągnąć tego dłużej, kapitanie Beck. Dotrzymam słowa i obaj dostaniecie zaraz kulę w łeb.

Zwrócił się do Kleista:

— Zabij ich.

— Nie! — wrzasnął Miller.

Jeden z esesmanów trzasnął Millera z całej siły kolbą w głowę. Porucznik stracił przytomność. Beck pomyślał, że uderzenie mogło być śmiertelne.

Kleist wyciągnął z kabury lugera, Pelch zaczął się oddalać. Kleist spojrzał najpierw na zwiotczałe ciało Millera, rozciągnięte na dnie jaskini, potem na Becka. Nie mógł się zdecydować, od którego zacząć.

Wybrał Becka.

Pelch, który odszedł już kilka kroków, raptownie przystanął i odwrócił się:

— Chwileczkę, Kleist.

Wolno cofnął się, spojrzał w dół na Millera, potem przesunął wzrok na Becka. Twarz znowu wykrzywił mu złowieszczy uśmiech.

— Czy nie myślę się, że pan jest dowódcą?

Beck miał zamiar nie odzywać się. Za niecałą minutę miał przecież być martwy, podobnie jak Miller. Pomyślał jednak o Hauserze i przemknęło mu przez głowę, że może mieć

jeszcze szansę. Zyskując nieco czasu, nic nie tracił.

— Owszem, jestem — odpowiedział machinalnie po niemiecku.

— Bardzo dobrze. Wobec tego chciałbym się jeszcze jednego dowiedzieć. Nie ma to znaczenia dla przebiegu wojny, zapewniam pana. Ale może pan zaspokoić moją ciekawość.

Beck uśmiechnął się ironicznie:

— A co z pana słowem honoru i szybką kulką w łeb?

— Dałem je, proszę mi wierzyć, pana honor pozostanie bez skazy, tak jak i mój. Proszę mi wybaczyć. Obowiązku odpowiedzi nie ma — wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że ma pan już wszystkie możliwe odpowiedzi — rzucił Beck. — Cóż takiego mógłbym jeszcze dodać?

— Nie będę pytać, w jaki sposób wykryliście naszego agenta w swoich szeregach, proszę mi wierzyć, że mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie jednak drobny szczegół, niezwykła moneta. Czy ten przedmiot ma dla pana jakieś znaczenie?

Oczy Becka rozwarły się szerzej. Chodzi o pieniądź, który znalazła i dała mu Maria. Jaki związek ma moneta z tym miejscem? Zastanawiał się, czy powiedzieć temu bufonowi, że agent ją zgubił. Próbował właśnie sformułować stosowną odpowiedź, kiedy włączył się Pelch.

— Nie chce pan odpowiedzieć, prawda? — stwierdził strofującym tonem. — Czy po prostu nie wie pan, o czym mówię? — przyglądał się Beckowi jeszcze przez chwilę, po czym znudzony zrezygnował. — Wszystko jedno, to nie ma większego znaczenia — machnął ręką do Kleista. — Wykonać! — odwrócił się ponownie.

— Stop! — krzyknął Beck. — Wiem o monecie. Jest miedziana, z głową konia — modlił się, żeby Hauser z resztą ludzi wpadł wreszcie do jaskiń.

Pelch zrobił w tył zwrot i znowu na niego spojrział. Właśnie wtedy gdzieś z głębi jaskiń echo przyniosło dwa strzały. Beck rzucił się na ziemię równocześnie z Niemcami dookoła. Był przekonany, że Hauser sprowadził całą grupę i rozpoczął się zmasowany atak. Rozległ się następny strzał.

— Co się dzieje, do diabła? — rzucił Pelch przed siebie.

Wybuchło piekielne zamieszanie. Esesmani chwyтали za broń i zewsząd biegli w głąb głównej komnaty. Było ich coraz więcej. Niektórzy już zaczęli wkraczać na szlak. Padły kolejne strzały. Beck zobaczył, jak Pelch z Kleistern wymieniają skonsternowane spojrzenia.

— Wyjaśnić, kto to, i natychmiast zlikwidować — rozkazał Pelch.

Kleist zerwał się, pociągnął za sobą kilku żołnierzy. Także oni żwawo skierowali się w głąb komnaty. Beck nic nie rozumiał. Czyżby Smythe znalazł tylne wejście? Miller, leżący na podłodze obok Becka, zaczął się poruszać.

Pelch powoli wstał, głęboko zamyślony. Zachował całkowitą obojętność wobec gorącej atmosfery wokoło. Nagle strzelił palcami i wrócił do rzeczywistości. Przytrzymał mijającego ich żołnierza:

— Gdzie jest Steiner? — spytał.

— Nie wiem, sturmbannführer. Nie przeniesiono go na ciężarówkę?

— Idźcie zobaczyć. I wróćcie z wiadomością do mnie — zakomenderował.

Huknęły jeszcze dwa strzały, w tym samym rejonie, co poprzednie. Beck podniósł się i pomógł wstać Millerowi. Tymczasem Pelch łapał następnego przechodzącego żołnierza:

— Hej, wy! Gdzie jest lekarz?

— Widziałem go koło pierwszej ciężarówki. Aider ma paskudnie rozciętą rękę.

— Znajdźcie go i niech tu przyjdzie — warknął Pelch i szybko zmienił zdanie: — Albo nie. Zostańcie tutaj. Pilnujcie ich — wskazał jeńców. — Pójdę sam.

Pelch oddalił się zaledwie o kilka metrów, kiedy przed wejściem do jaskiń zagrzmiała seria złożona z trzech, może czterech wybuchów. W chwilę później do tunelu wpadł granat. Po komnacie rozprysnęły się odłamki skały, niesione ostrym podmuchem. Rozległ się łoskot strzałów z broni długiej i szcęk pistoletów maszynowych. Atak rozwijał się z podręcznikową dokładnością. Smythe rzucił do walki wszystko, czym dysponował.

Żołnierz pilnujący Becka i Millera rozglądał się gorączkowo. Część esesmanów zmieniła kierunek biegu i wracała. Beck wykorzystał rozgardiasz. Klasycznym ciosem, który mogłby demonstrować na kursach samoobrony, kopnął esesmana w pachwinę. Niemca podrzuciło, zwałił się jak worek na ziemię. Beck schylił się i podniósł broń. Potem, podtrzymując Millera, pospieszył ku wyjściu.

Ścigał ich świst pocisków. Bębniły one o dno jaskini i ściany dookoła. Beck i Miller stanowili jedyny cel dla depczących im po piętach Niemców.

Beck uwolnił ramię Millera i pchnął go za wysoki stos drewnianych skrzyń. Sam dał tam nura w chwilę potem. Przetoczył się za nim, chcąc zająć dogodną pozycję. Korzystając z osłony, wystawił lufę pistoletu maszynowego zza rogu i na ślepo przeorał teren przed sobą kilkoma długimi seriami. Po chwili cofnął broń i wziął kilka głębokich oddechów.

Miller wciąż stał tam, gdzie doleciał po pchnięciu go przez Becka. Miał na twarzy nieobecny, pusty wyraz. „Cios kolbą musiał mu coś przestawić w głowie”, pomyślał Beck.

— Dan! — wrzasnął kapitan. Sięgnął ku niemu i pociągnął go w dół za nogawkę. — Padnij!

Miller posłusznie zrobił powolny skłon do przodu i dopiero wtedy miękko opadł na ziemię.

Obracając się, żeby znowu wychylić się zza rogu, Beck dostrzegł kątem oka stemple na skrzyniach. Osłonę dawały im paki materiałów wybuchowych!

Ogłuszający ryk dwuipółtonowej ciężarówki przyciągnął uwagę kapitana do wylotu jaskiń. Beck odwrócił się akurat w porę, żeby zobaczyć zarys pojazdu wylaniającego się z tunelu. Płótno okrywające skrzynię ciężarówki zostało zdjęte, pozostawiając ją całkiem bez osłony. Dla kilku ludzi Becka, prowadzących wściekły ogień z tyłu, był to niemal transporter.

Cała siła ogniowa Niemców natychmiast przeniosła się na ciężarówkę. Pojazd poleciał do przodu niekontrolowanym ruchem i uderzył w jeden z załadowanych niemieckich samochodów, zaparkowanych na jego drodze.

Oba natychmiast stanęły w płomieniach. Beck wiedział, że nikt nie uszedł z życiem. Ogień oświetlił komnatę, jakby była lunaparkiem.

Nagle do jaskini wdarła się druga ciężarówka. Podobnie jak pierwsza, była bez płócienej osłony, a tył wypełniali ludzie Becka. Kierowca łatwo ominął dwa zjednoczone płomieniem pojazdy, waląc prosto na grupę Niemców zgromadzoną w głębi komnaty. Tym razem amerykańska odpowiedź na ogień okazała się niezwykle skuteczna. Grad pocisków z ciężarówki trafiał w cel i robił swoje.

Beck wstał zafascynowany, chcąc przyjrzeć się natarciu. Ciężarówka wdzierала się w głąb niemieckich pozycji, kosząc, ścinając i rozrzucając na boki esesmanów. Ktokolwiek prowadził, był niewątpliwie fachowcem. Samochód przetaczał się przez tych, którzy nie zdążyli zejść mu z drogi, jak kula rozbijająca ustawione kregle. Dobrze rzucony granat wylądował dokładnie pod pojazdem kładąc kres jego niszczącemu rajdowi. Wstrząśnięta eksplozją ciężarówka oderwała się od ziemi i koziółkując poleciała do przodu, cała w ogniu. Po drodze z impetem zawadziła o podobną stertę skrzyń za jaką znalazł osłonę Beck. Potężny wybuch objął całą dolną połowę komnaty.

Zanim ciężarówka się zatrzymała, Beck odwrócił spojrzenie w stronę wejścia. Garstka jego ludzi wypadła z tunelu, strzelając bez ustanku.

Beck chwycił Millera za ramię. Ruszyli biegiem, bez osłony, w stronę wejścia. Z prawej strony uderzył w nich podmuch nowej, potężnej eksplozji. Obu rzuciło na ziemię ponad metr dalej.

* * *

Kleist systematycznie podążał naprzód na czele grupki, która przez łączący korytarz zesłała na szlak prowadzący do kryjówek. Musiał zbadać, skąd pochodziły pierwsze strzały. Na szczęście cienki drut przeciągnięty wzdłuż głównej drogi i znaczący w ten sposób szlak, pozostał jeszcze nieruszony. Miano go zdemontować na samym końcu. Dzięki temu, mając kilka latarek, mogli robić dosyć szybkie postępy.

Kiedy z głównej komnaty, znajdującej się teraz nieco za nimi, a jednocześnie powyżej, dobiegły odgłosy wybuchów i strzelaniny, Kleist przystanął, rozważając, czy nie zawrócić.

Miał jednak rozkaz: zająć się określonym problemem. Kleist zaś, podobnie jak Pelch, ufał otrzymany rozkazom. Cokolwiek działo się na górze, stanowiło zajęcie dla sturmbannfuhrera. Mimo to Kleist odesłał większość swojej grupy w stronę powierzchni. Do asysty przy schodzeniu na dół zostawił sobie tylko dwóch ludzi.

* * *

Beck otworzył oczy, ale w głównej komnacie było ciemno, zupełnie ciemno. W jednej chwili straszliwa eksplozja zużyła większość cennego tlenu, który żywił płomienie. Resztką nieskonsumowanego tlenu została wypełniona duszącym pyłem i gruzem, wciąż jeszcze spadającym na ziemię. Wstrząs pozbawił Becka przytomności, ale na jak długo? Po raz

pierwszy od wjazdu ciężarówki w jaskini panował idealny spokój. Nikt nie strzelał.

Usta kapitana były wyschnięte. Twarz pokrywała mu gruba warstwa gryzącego pyłu. Miał go zresztą wszędzie, czuł, że deszcz drobin wciąż sypie się na niego i osiada coraz obficie. Przeciągnął palcem po spodniach i próbował oczyścić usta, zaczął się jednak dławić.

Usłyszał dobrze znany odgłos naboju wprowadzanego do komory. Rozległ się powyżej niego, jakby ktoś, kto tam był, znajdował się na wzniesieniu lub, inaczej mówiąc, Beck leżał w zagłębieniu. Dźwięk zabrzmiał po amerykańsku, ale w ciemności kapitan był kompletnie zdezorientowany. Jak daleko cisnął go wybuch? I w jakim kierunku? Beck pozostał w całkowitym bezruchu.

Poczuł na twarzy nagle smagnięcie zimnego prądu powietrza, doszedł więc do wniosku, że jest blisko wylotu jaskini. Skoro tak, to miał ponad pięćdziesięcioprocentową szansę, że znalazł się niedaleko swoich ludzi. Nie było wyboru, musiał podjąć ryzyko.

— Hej! — zawołał szeptem — to ja, Beck. Jest ze mną Miller. Żyjemy.

Przez kilka sekund nikt nie odpowiadał. Potem Beck poczuł, że ziemia pod nim się porusza. Tuż potem rozległ się niski, grząmiący dźwięk.

„Jezu Chryste — pomyślał — granat!”

Rozdział 20

Kleist i dwaj żołnierze, będący razem z nim, również poczuli nagły ruch podłoża. Instynktownie rzucili się ku skalnym ścianom, szukając podparcia, w miarę jak drżenie i wstrząsy nasilały się. W rzeczywistości wibracje były o wiele wyraźniejsze na dole niż w głównej komnacie na górze, gdzie leżał Beck. Ani Kleist, ani jego ludzie nie wiedzieli, że znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie epicentrum ruchów i z każdym krokiem zbliżają się do niego jeszcze bardziej. Ziemia pod nimi, nad nimi i wokoło zaczęła się przesuwać, wzbijając lekki obłok pyłu.

Wtedy padł kolejny strzał. Nastrój Kleista się poprawił. Tym razem usłyszał dźwięk dokładnie przed sobą, co się dzieje. Przyspieszył, dwaj ludzie za nim usiłowali dotrzymać mu kroku. Strzał huknął znowu. Kleist przystanął i ostro skreślił w lewo, schodząc z normalnego szlaku przez wąską szczelinę w ścianie. Esesmani podążali za nim. Ta część jaskiń wydawała się Kleistowi dobrze znana. Miał uczucie, że już tu kiedyś był.

Wkrótce po przejściu przez szczelinę droga znowu znacznie się rozszerzyła. Dotarli do miejsca przypominającego nastawnię przed parowozownią. Przejścia rozgałęziały się we wszystkie strony. Teraz Kleist zdobył pewność, że już tu wcześniej był... ze Steinerem.

Steiner! Kleist zastanawiał się, czy to on jest przyczyną. Czyżby obsesja znalezienia cygańskiego złotego krucyfiksów opanowała go aż do tego stopnia? Jakie to dziwne, że za pierwszym razem miał złe przeczucia, jakby coś ciemnego władało tą częścią jaskiń. Nie mógł się ich pozbyć. Może dlatego, że wówczas ani on, ani Steiner nie mieli prawa ani też

powodu, żeby badać ten teren. W tej chwili był wolny od podobnych niepokojów.

Uważał, że musi dalej iść naprzód. Dostał przecież rozkaz bezpośrednio od Pelcha. Miał „załatwić ten problem”. A Kleist budował swą karierę w SS na skrupulatnym wypełnianiu rozkazów.

Stał na rozstaju przez kilka sekund, próbując sobie przypomnieć, którą drogą szli ze Steinerem.

W ciszy, która ogarnęła znieruchomiłą trójkę ludzi, usłyszeli trzask. Kleist rozpoznał dźwięk iglicy trafiającej w próżnię. Nastąpił metaliczny odgłos przesuwania i znowu trzask. Powtarzało się to kilkakrotnie w szybkim rytmie. Komuś wyraźnie zabrakło naboju.

— Steiner! — zawołał, ruszając w stronę, skąd dochodziły dźwięki. — Ty stuknięty sukinyśnu, zabiję cię!

Niespodziewanie wstrząsy znowu się wzmogły. Mężczyzna idący z tyłu stracił równowagę i z krzykiem upadł. Kleist przystanął i spojrzął do tyłu, oświetlając latarką powalonego, zakłopotanego żołnierza.

— Wstawaj, do cholery! — warknął i ruszył dalej naprzód. Droga ostro zakręcała i jakieś trzy metry dalej, przechodziła w obszerną komnatę. Prawie natychmiast Kleist trafił promieniem latarki na długi złoty krucyfiks, wciąż jeszcze tkwiący w ziemi i chwiejący się z boku na bok.

Kleista zaskoczyła jego wielkość. Z podłoża wystawał przynajmniej metrowej długości lśniący trzon. Porucznik uznał, że krucyfiks używano w czasie procesji albo jako ozdoby ołtarza. Próbował nie myśleć o nim więcej.

— On jest mój! — wrzasnął Steiner. — To ja go znalazłem — zakrztusił się od dławiącego pyłu.

Kleist przesunął promień latarki nieco w lewo i odnalazł Steinera. Silne wibracje ziemi sprawiały, że nie można było utrzymać mężczyzny w smudze światła. Steiner ni to siedział, ni to leżał na ziemi. Twarz miał brudną, poprzecinaną śladami łez. Chmura wirującego gruzu unosiła się nad podłożem, sięgając już prawie trzydziestu centymetrów.

Wstrząsy obaliły Steinera, a silny ból w żebrach nie pozwalał mu wstać. Mógł tylko cisnąć bezwartościowym pistoletem w Kleista. Chociaż rzut wypadł słabo i bez przekonania, to i tak esesman zawył z bólu.

Dno komnaty pofałdowało się w kilku miejscach jednocześnie, ale Kleist zlekceważył to zjawisko.

— Do czego strzelałeś. Steiner? Do cygańskich diabłów? — Pokręcił głową z niesmakiem, poprawiając celownik lugera, wymierzonego dokładnie w środek czoła Steinera.

— Nie, Kleist. Znalazłem go! Nie widzisz? — zaskomlał Steiner. — Jest taki jak w cygańskiej legendzie, krucyfiks z lanego złota. I jest mój! Ja go znalazłem.... ale podzielę się z tobą. Kleist, podzielę. Jest obruszany, widzisz? Nie mogłem wyciągnąć go z ziemi. Ostrzelałem go dookoła i obruszałem. Po prostu wyciągnij!

Kleist spojrzął na niego. Nie czuł nic prócz odrazy.

— Ty głupcze. Głupcze — tylko tyle mógł powiedzieć. Oddał dwa strzały z najbliższej odległości.

Głowa Steinera rozprysnęła się jak dojrzały melon.

Duży kawał skały oddzielił się od ściany jaskini i roztrzaskał o niecałe pół metra od zwiotczałego ciała. Dookoła odpryskiwały mniejsze kawałki kamienia.

Od kiedy zaczęły się wstrząsy, ludzie Kleista czuli narastający niepokój. Kruszące się ściany wprawiły ich niemal w panikę.

— Panie poruczniku! Musimy się wycofać! Tu nie jest bezpiecznie — odezwał się błagalnie jeden z nich. Drugi wykonał już półobrót i zamierzał ruszyć do góry.

Kleist skinął głową.

— Za chwilę — usiłując utrzymać równowagę, krok po kroku zbliżał się do krucyfiks. „Nie zostawia się takiego skarbu”, pomyślał.

Mocnym chwytem i energicznym szarpnięciem wyciągnął go z ziemi. W tej samej chwili ściany i podłoże w jaskini zafalowały z dziką furią. Kleist miał wrażenie, że za chwilę ze wszystkich stron zwałą się na niego skały.

Odrzuciło go na kilka metrów. Wciąż ściskając krucyfiks, upadł na swoich ludzi.

— Wracajmy, panie poruczniku! Musimy! Natychmiast! — krzyknął jeden z nich, ciągnąc Kleista w kierunku wyjścia. Ten nie opierał się.

Wysforował się na czoło, wszyscy trzej pobiegli jak mogli najszybciej drogą, którą przyszli.

Pokonali zaledwie kilkanaście metrów, kiedy za nimi rozległo się niesamowite, mrozące krew w żyłach wycie.

* * *

— O Boże — westchnął Beck, rozpoznając Hausera. — Przysięgłbym, że ktoś rzuca granat. — Serce waliło mu tak mocno, że zastanawiał się, czy nie słyszy go sierżant.

— Nie, panie kapitanie. Miał pan szczęście. Po prostu kawałki skał poleciały na pana i kawalerię, która przybyła na czas, żeby doprowadzić bój do zwycięskiego końca — zażartował Hauser, lądując u boku Becka i Millera w głębokiej, spodkowatej jamie, wyrzeźbionej przez naturę.

Hauser natychmiast zapalił latarkę. W powietrzu unosiło się jeszcze tyle pyłu, że świetlna smuga nie mogła się przebić dalej niż na dwa, trzy metry. Spojrzał w górę, tam, skąd przed chwilą zjechał. W ślad za nim ześlizgnęli się na tę samą kupę gruzu Post, Geiger i Shoen.

— Miło was znowu widzieć, panowie — uśmiechnął się Geiger, przysunawszy twarz na centymetry do Becka i Millera. — Naprawdę myśleliśmy, że już po was — rozejrzał się po jamie. — A gdzie Rice i Semancik?

— Nie żyją — odparł Beck.

W grupce zapadła cisza.

— Z tobą w porządku, Dan? — spytał Shoen Millera, który potwierdził powolnym skinieniem głowy.

— Do diabła! — Shoen ze złością machnął ręką przed własnym nosem. — Gęste to gówno, że można je nożem kroić.

— Na zewnątrz wydawało się, że ciężarówki władowały się do środka akurat w momencie gdy, rozstąpiło się piekło — zauważył Post. — Widzieliśmy, jak pierwsza się pali, a druga

wylatuje w powietrze. Czy naszym ludziom udało się przedtem wyskoczyć? — zapytał niepokojnie.

Beck wolno pokręcił głową, potem odparł cichym, przygnębionym głosem:

— Nie widziałem, żeby ktoś wyskakiwał — ani z pierwszej, ani z drugiej. Wszystko stało się tak szybko, że nie mieli żadnej szansy... Nie sądzę... — głos mu zamarł.

Shoen wydał z siebie ciche gwizdnięcie.

— Jeju kochany, czyżbyśmy byli tu w komplecie? Tylko my?

— Gdzieś w okolicy jest Charney. Wpadł do jaskini razem z nami i dostał w rękę. Widziałem go tuż przed zgaśnięciem światła. Upadł, ale ruszał się całkiem rześko, gdzieś tam — Post wskazał poza kopiec z gruzu i dodał:

— Chyba, że jest pod spodem.

— Na zewnątrz został jeszcze Smythe. Siedzi w jeepie — uzupełnił Geiger. — Dostał w nogę, ale się wykuruje.

— Skąd właściwie bierze się to dudnienie? — Z trzęsienia ziemi? Ziemia mi tańczy pod tyłkiem — kwaśno stwierdził Hauser, zmieniając temat.

— Wiesz, Charlie, w tej chwili jest to mniejszy kłopot, jeśli wziąć pod uwagę, że nadstawiamy dupy maniakom z SS — skomentował Post.

— To nie było trzęsienie ziemi — oświadczył Geiger. — Ta jaskinia jest stara, naprawdę stara. Założę się, że eksplozje obruszały skały, które wciąż jeszcze się przemieszczają.

— Trzęsienie ziemi czy nie — włączył się Shoen — w każdym razie o mało nie zginęliśmy. Gdybyśmy stali przed wejściem, to pochowałoby nas pod tą kupą gówna, po której zjeżdżaliśmy przed chwilą. Jeszcze wszystko się chwieje — zauważył.

— Jaki będzie nasz następny ruch, kapitanie? — spytał Miller. Wciąż był zamroczony, ale mimo to nie chciał być na uboczu.

— Poczekamy tu, aż ziemia przestanie drżeć i pył trochę opadnie. To miejsce jest równie dobre, jak każde inne. Nie ma sensu ruszać się stąd po ciemku, zwłaszcza że na razie nie znamy drogi. A co z wejściem? — zwrócił się Beck do wszystkich. — Wyglądało na prawie zawalone, kapitanie — odparł Geiger.

— Sypało się tam mnóstwo świństwa... ale uważam, że jak tylko będziemy w stanie, powinniśmy sprawdzić czy można się przekopać. Nie rozumiem tych wstrząsów.

— Czulem przedtem zimny prąd powietrza — zauważył Beck. — Wylot nie może być zupełnie zasypany. Posiedzimy tu cicho przez kilka minut, niech ten pył opadnie — odchrząknął i próbował splunąć — a potem rozejrzemy się za Charneyem... i za innymi.

— Kapitanie, wbiegając widzieliśmy, w jaskini plamy światła, najwięcej w głębi. Nie wie pan, co to było?

— Małe ogniska służące do oświetlania miejsc pracy. Niemcy rozbierali na kawałki rodzaj drewnianego chodnika, który prawdopodobnie prowadzi na niższe poziomy. Widziałem, że mają tu reflektory i prądnicę, ale pracowali przy połowicznym zaciemnieniu. Bez elektryczności — odparł Beck. — Ostatni wybuch zgasił wszystko, co się paliło, i ogniska, i ciężarówkę. Natomiast tuż przed wtargnięciem naszych samochodów, z głębi jaskiń dobiegło kilka strzałów.

Post mu przerwał:

— To pewnie dlatego warty z zewnątrz zaczęły biec do wejścia. Nie mogły zrobić lepiej! Smythe skorzystał i dał rozkaz do ataku!

— Nie dziwi mnie, że byli zaciekawieni. W środku strzały spowodowały całkowite zamieszanie — ciągnął Beck. — W ich kierunku pobiegła większość Niemców pracujących w górnej części komnaty. Wtedy wpadły nasze ciężarówki, a wy, jak sądzę zaraz za nimi. Resztę widzieliście. Nasi ludzie, szczególnie z drugiego samochodu, posiekali esesmanów na miazgę. Niemcy chowali się po kątach. Chłopcy strzelali jak do kaczek.

Skończył. Zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu przez obrywające się skały.

— Wybuch musiał skończyć też z tymi, których nasi przeoczyli — zauważył Geiger.

— Myśli pan, kapitanie, że jeszcze trochę Niemców zostało? — spytał Hauser.

— Możliwe, ale chyba niewielu. Myślę, że nadszedł czas na sprawdzenie.

Żeby tylko przestało tak trząść.

* * *

Przez kilkanaście minut Kleist doświadczał wrażenia, że z tyłu robi się coraz cieplej. Fala gorąca zaczęła go ogarniać, poczuł zaniepokojenie. W końcu przystanął i obejrzał się, bliski paniki. Wydawało mu się, że za jego plecami rozszalał się ogień. Gorąco ustąpiło w chwili, gdy Kleist zauważył za sobą brak dwóch żołnierzy.

„Mięczaki — pomyślał — nie umieją nawet nadażyć i trzymać się razem... A przecież każdy z nich ma jedną rękę wolną. Ja mam obie zajęte i jeszcze udało mi się ich odsądzić”.

Zgasił na chwilę latarkę i uniósł głowę, wpatrując się w ciemną, ziejącą czeluść. Nie zobaczył nic prócz smolistej czerni. Ani śladu światła. Głupcy! Niech sami sobie znajdą drogę, a jeśli nie... marny ich los. Pstryknął wyłącznikiem latarki, odwrócił się i poszedł dalej. Uderzenia dziwnego ciepła niekiedy wracały. Zmuszał się, by je ignorować. Coraz bardziej podpierał się krucyfiksem jak laską.

W ostatnich minutach wstrząsy i drgania były niemal równie potężne, jak po znalezieniu Steinera.

Kleist nieugięcie parł ku głównej komnacie, trzymając latarkę w jednej, a krucyfiks w drugiej dłoni. Z całych sił starał się utrzymać równowagę. Był przekonany, że ruchy ziemi na niższym poziomie nie nasiliły się i, niczym za pomocą telegrafu, rozchodzą się falami wzdłuż całego szlaku.

Nagle wstrząsy zanikły, Kleist stanął w całkowitym bezruchu, cały zamieniony w słuch. O ziemię jeszcze uderzały kawałki skał i gruz, ale poza tym panowała zupełna cisza.

Wciąż jednak czuł gorąco... narastało z każdą chwilą. Jeszcze raz obejrzał się. I ponownie wrażenie gorąca znikło.

Czyżby umysł płatał mu figle? Ale nie. Wiedział przecież, że mu się nie wydawało,

naprawdę czuł gorąco, wielkie gorąco. Jak mogło jednak tak szybko ustąpić? Ruszył dalej, próbując potraktować to zjawisko racjonalnie.

Być może w czasie wstrząsów uzewnętrznili się promieniowanie cieplne z głębszych warstw skorupy ziemskiej. Może właśnie stamtąd dochodziło gorąco... a pomógł ruch powietrza. Przesuwanie się mas powietrza tłumaczyłoby przyplwy i odpływy ciepła.

Miał wyjaśnienie, lecz czy jedyne? Zaczął zastanawiać się nad innymi.

Na górze wybuchło zamieszanie, krótkie, choć bardzo gwałtowne. Jego odgłosy dotarły do Kleista, gdy mozolnie piał się w górę. Był już niedaleko od głównej komnaty.

Strzały, eksplozje... Pelch musiał mieć pełne ręce roboty. Wszystko przez tego chciwego skurwiela, Steinera. Pewnie w rozgardiaszu, spowodowanym strzelaniną na dole, jeńcy obezwładnili strażników i zaczęli karnawał z fajerwerkami.

Teraz znowu było spokojnie, wszystko wróciło do normy. „Pelch bez wątpienia kontroluje sytuację”, stwierdził Kleist z zadowoleniem.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że bezruch na górze może oznaczać coś innego.

* * *

— Proście, a będzie wam dane — stwierdził filozoficznie Geiger, gdy ściany i dno komnaty nagle przestały falować. Powietrze było jednak nadal gęste od pyłu.

— John — zwrócił się Beck do Posta. — Widziałeś, jak Charney dostał. Czy sądzisz, że potrafiłbyś go odnaleźć?

— Spróbuję kapitanie. Jeśli nie leży pod toną głazów, to gdzieś to znajdę.

— Dobra, ale uważaj na Niemców. Mogło się jeszcze paru schować, tylko udają, że ich nie ma.

Beck przestrzegł pozostałych.

— To się odnosi do wszystkich. Nie bierzcie ciszy za dobrą monetę. Musimy wspiąć się na czubek tej góry gruzu i sprawdzić wylot. Jeśli wymaga pracy, część się tym zajmie, a inni osłonią tyły.

Znów zwrócił się do Posta:

— Masz pięć minut, potem zamelduj się, żeby zobaczyć, jak nam idzie. Musimy wydość się na zewnątrz, zanim wrócą wstrząsy i wszystko zacznie się walić.

— Jak się czujesz, Dan? — Wytrzymasz na górze, czy chcesz tu trochę posiedzieć? — spytał Beck Millera.

— Góry mogą przenosić, kapitanie — odparł powoli Miller. — Głowa mnie boli tak, że bardziej nie może, ale właściwie wróciłem już do siebie. Poza tym nie mam broni.

— To się da zrobić — przerwał Geiger, wyciągając pistolet kalibru czterdzieści pięć. — Z pozdrowieniami do porucznika Smythe'a. Prosił, żeby zrobić z tego dobry użytek.

— Czy sądzi pan, kapitanie, że Niemcy schowali tutaj skarb? — spytał Hauser.

— Mógłbym się o to założyć. A jeśli rzeczywiście tak jest, to fortuna nie ucieknie Będziemy czuć, jak przy niemowlaku, dopóki ziemia nie przestanie drżeć. Tymczasem gasić światło, ruszamy.

Wchodząc do głównej komnaty Kleist poślizgnął się i upadł. Brzęk metalowej latarki, która potoczyła się po twardym podłożu, ściągnął gorączkowy ogień z jamy Becka i z miejsca na lewo od nich, oddalonego o jakieś dwadzieścia pięć metrów.

Beck zbił broń Geigera w dół.

— Po co strzelasz, do cholery? A może to któryś z naszych ludzi!

Natychmiast okazało się, że jest w błędzie.

— Nie strzelać! To ja, obersturmfuehrer Kleist! Dajcie szybko jakieś światło! — wciąż kurczowo trzymając krucyfiks, dławiąc się pyłem, obmacywał ziemię przez sobą. W końcu odnalazł latarkę. Powoli wstał i wyprostowawszy ramię zamachał nią kilkakrotnie. Napływająca od tyłu fala gorąca palila nie do wytrzymania.

Z drugiego końca komnaty Beck i jego ludzie nie widzieli smugi światła, choć w normalnych warunkach dostrzeżliby ją bez trudu. Dzieliło ich od Kleista może osiemdziesiąt metrów.

— Pst — cicho nakazał Beck. — Zobaczymy, co się stanie. To na pewno nie jest nikt z naszych... a z tamtej strony pojawiły się cztery błyski, albo nawet pięć.

— Nasi ludzie z ciężarówek? — z nadzieją spytał Shoen.

— Za daleko. Wątpię. Pierwszy samochód jest bliżej środka komnaty, a drugi potoczył się w głąb, gdzieś w okolicy tego skurwiela Kleista — zastanawiał się Beck, przypominając sobie człowieka, któremu zabrakło sekund, żeby stać się jego katem.

Z rejonu, gdzie widzieli przedtem błyski, usłyszeli przytłumiony szurgot kroków. Zaraz potem rozległ się szarpący zgrzytliwy dźwięk, jakby przesuwano ciężki, metalowy przedmiot. Po chwili usłyszeli wyraźnie włączającą się prądnicę. Dolną część komnaty zalało silne, żółtobrazowe światło. Ktoś zapalił reflektor.

Nawet z takiej odległości i mimo przypominającej mgłę pylistej zasłony Beck dostrzegł refleksy podłużnego przedmiotu trzymanego przez Kleista. Zmrużył na chwilę oczy, próbując go rozpoznać. Wtedy odezwał się drugi nieobcy mu głos.

— Kleist! — krzyknął Pelch. — Kryj się, szybko!

Lampa z przeraźliwym skrzypnięciem zaczęła się odwracać w stronę wejścia i sterty gruzu, na której znajdowali się Amerykanie. Szybko schronili się z powrotem do jamy.

Snop światła przesuwiał się stopniowo, omiatając ziemię przed Kleistem i odkrywając przed nim groteskowy obraz masowej rzezi dookoła. Wszędzie leżały zwęglone ciała, z niektórych pozostały jedynie kadłuby. Przewrócone na bok, poczerniałe, zgniecione pudło, który niegdyś było ciężarówką, kojarzyło się esesmanowi z gigantycznym stworem wyciągającym ku górze okaleczone łapy.

Kilka krótkich serii zaciemniło komnatę z powrotem. Kule Posta roztrzaskały reflektor.

Kleist zaczął biec w kierunku, z którego padało przedtem światło, ale w ciemności potknął się i upadł. Złoty krucyfiks wyleciał mu z objęć, przekoziółkował kilka razy w powietrzu i z brzękiem przetoczył się po dnie komnaty. Kiedy znieruchomiał, Kleist poczuł, że znów powraca gorąco. Ogarnęło go od stóp do głów. Tym razem towarzyszył temu ohydny smród. Gorąco zdawało się wysysać energię z ciała Kleista, smród uniemożliwiał mu oddychanie.

Przetoczył się na plecy i wydał z siebie ostatni, rozdzierający wrzask. Spojrzał w oczy piekła.

— W to walcie! — krzyknął Shoen, wskazując w głąb komnaty. Uwagę ludzi Becka przykuł przeraźliwy wrzask.

Nieco przed miejscem, w którym widzieli niedawno Kleista tuż nad podłożem, zawisł bezkształtny, migotliwy kłęb światła o zielonkawym blasku. Jego środek wydawał się gęściejszy, jakby jądro substancji miało większą masę. Skierowali tam ogień zaporowy. Zielonkawa poświata zniknęła.

Prawie natychmiast dostali się pod ostrzał ludzi Pelcha. Każdy, kto brał udział w nocnej walce, wie, że błyski z lufy są sygnałem dla nieprzyjaciela. Ale każdy kij ma dwa końce. Beck nie miał już wątpliwości, iż odpowiada im najwyższej pięciu Niemców.

Strzelanie ustało i Beck znowu usłyszał ostrożne szybko oddalające się kroki. „Zajmują nowe pozycje”, pomyślał. „Sześciu naszych, a ich pięciu, nie licząc Kleista, który prawdopodobnie nie żyje. Nieznany jest los Charneya. W sumie siły mniej więcej równe”.

— Jesteśmy tu uziemieni. Musimy się podzielić, wziąć ich w krzyżowy ogień, zanim zajmą pozycje. Inaczej role się odwrócą. Miller i Hauser ze mną na górę. Wy trzej przeniescie się w głąb jaskini.

Wyskoczyli z jamy dopiero, gdy gdakanie włączonej prądnicy znowu wypełniło jaskinię. Jak łatwo było przewidzieć, dźwięk zamienił się wkrótce w cichy, miarowy pomruk.

Ledwie Beck, Miller i Hauser zdążyli osiągnąć wierzchołek kupy gruzu i ześlizgnąć się na drugą stronę, frontowa część jaskini znowu spłynęła światłem. Tym razem jednak reflektor był skierowany w sklepienie niedaleko wlotu i dawał bardziej łagodne odbłaski niż bezpośrednie światło.

Post, Shoen i Geiger wyszli z ukrycia o sekundy wcześniej. Byli teraz z pół drogi między jamą i stertą skrzyń. Zmierzali do tych samych drewnianych pak, zza których Beck prowadził ogień przed ostatnim wybuchem. Widząc światło, zerwali się do biegu i zalegli pod osłoną skrzyń.

— Gdzie jest ten reflektor? — szepnął Beck.

— Nie widzę — odparł Miller.

— Za niemieckimi ciężarówkami! Środkowa przysłania silny blask — zauważył Hauser.

— Zrobili sobie tarczę z tych cholernych samochodów. Stąd nie dostaniemy reflektora.

Beck ostrożnie badał teren, z którego biło światło. Pył, sprawiający im tyle kłopotów wcześniej, prawie w całości opadł. Źródło światła ustawiono z dala od środka komnaty. Z punktu widzenia Becka było lekko przesunięte na prawo. Znajdowało się w tej części, którą ominęła eksplozja. Trzy niemieckie ciężarówki, przykryte wprawdzie grubą warstwą pyłu,

ale nieuszkodzone, stały zaparkowane burta w burtę z przodu.

Pelch również pomyślał o krzyżowym ogniu i skierował trzech swoich ludzi w lewo, żeby obeszlą pozycję Becka. Szeroko rozrzucony brnęli właśnie w ciemnościach przez rumowisko w głębi jaskini. Pelch wraz z lekarzem, którego szukał w chwili, gdy wpadli Amerykanie, pozostał za ciężarówkami, mając nadzieję ściągnąć na siebie ogień nieprzyjaciela.

Mrozący krew w żyłach wrzask i pojedynczy strzał zagłuszyły mruczenie prądnicy. Przenikliwie świszczący podmuch przetoczył się przez jaskinię, ciskając odłamki skał w martwe ciała i sprzęt wojskowy. Pelch natychmiast przekreślił wyłącznik i obrócił się w stronę, w którą poszli jego ludzie. Nozdrza wypełnił mu duszący odór, zaczął się dławić. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do jasności, dostrzegł przelotnie coś, co wyglądało jak parujący matowy, zielonkawy obłok światła. Znikało nie dalej niż trzydzieści metrów od niego.

Znowu odezwały się strzały. Ludzie Pelcha wymienili krótkie pozdrowienia z Postem, Shoemem i Geigerem. Nikt nie poniósł szwanku, ale obie grupki czuły się unieruchomione przez nieprzyjaciela.

— Do diabła, co to było... i ten zapach? — mruknął Beck. — Widziałem takie coś już wcześniej, kiedy wrzeszczał Kleist.

— Nie przypomina ludzkiej istoty — stwierdził Hauser. Przeniknął go dreszcz.

Beck uniósł się w przykurzonej pozycji i ruszył naprzód.

— Dalej... teraz! Póki jest ciemno!

Miller i Hauser podążali w małych odstępach za nim. Pokonali może dziesięć metrów, kiedy Pelch dostrzegł ruch i zaczął prowadzić wściekły ogień w ich kierunku.

Miller i Hauser rzucili się na ziemię znajdując osłonę za czymś, co okazało się stosem gratów. Becka znowu chroniły drewniane skrzynie. Modlił się, żeby tym razem nie zawierały materiałów wybuchowych.

Hauser wyciągnął zawleczkę z granatu i cisnął go tam, gdzie powinny znajdować się ciężarówki. Rzut okazał się o wiele za krótki.

Pelch miał właśnie włączyć prądnicę, kiedy kolejny przeszywający wrzask, a tuż po nim świszczący podmuch wiatru i mdły odór, wypełniły komnatę.

W całkowitej ciemności Pelch, Beck i pozostali zobaczyli, tym razem wyraźnie, przejmującą ich dreszczem, niepojętą zjawę.

Rozdział 21

Coś jakby obłok zielonkawej mgły unosiło się, zmieniając kształt, o metr, może dwa, nad dnem jaskini. Jego środek wciąż sprawiał bardziej materialne wrażenie. Huknęły strzały. Ogień do zjawiska otworzyli zarówno ludzie Becka, jak Niemcy. Zjawa powoli zbladła i znikła, ulotnił się też odrażający zapach.

Strzały umilkły.

Beck stał skonsternowany, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundami majaczyło widmo.

— Mój Boże... co to było? — spytał Miller.

Hauser zrobił nabożny znak krzyża.

Stan Pelcha graniczył z absolutnym przerażeniem. Major odwrócił się do prądnicy. Nie mógł opanować ręki, ale udało mu się włączyć urządzenie. Prądnica zaskoczyła z przeciągłym wyciem.

Beck zareagował natychmiast. Przyklęknął za skrzyniami i wysunął zza rogu broń. Nowe miejsce okazało się korzystne. Beck, Miller i Hauser wyraźnie widzieli stamtąd Pelcha, prądnicę i reflektor świecący za ciężarówkami.

Niemieckiego lekarza sparaliżował strach. Kiedy rozbłysło światło, bliski obłędu zaczął krzyczeć:

— Nie, nie! Wyłączyć!... Nie może nas widzieć... po nas też przyjdzie — rzucił się do prądnicy.

Pelch zastąpił mu drogę i brutalnie odepchnął. Lekarz upadł na ziemię szlochając. Naśladując Becka, Hauser nerwowo puścił serię w stronę reflektora. Pociski odbiły się rykoszetem o metalową obudowę soczewki.

Szukając osłony, Pelch dał susa ku wielkiej bryle prądnicy, przewrócił ją i rzucił się na ziemię. Potem przeczołgał się pod jedną z ciężarówek.

W drugim końcu komnaty ludzie Becka dalej prowadzili wymianę strzałów z Niemcami. Walka była twarda i zażarta, obie strony wypatrywały błysków nieprzyjacielskiej broni i bezlitośnie siekły dookoła. Mimo potworności, która ukazała im się przed chwilą, i jedni i drudzy, zachęceni przez Hausera, nadal powiększali swój niewiele znaczący udział w wojnie.

Również Beck, Miller i Hauser oddali po kilka serii w stronę Pelcha. Pierwszy przerwał ogień Miller, po nim Beck, w końcu Hauser. Liczyli teraz błyski broni po drugiej stronie, gdzie trwała potyczka.

Najpierw pojawiały się w czterech miejscach, potem w dwóch, powoli wygasły i te.

Ale kto zwyciężył? Czy po prostu przerwali ogień, czy wszyscy zginęli? Ilu pozostało przy życiu po obu stronach? Kto strzelał do kogo?

Z tej pozycji Beck nie potrafił powiedzieć, po której stronie są jego ludzie. A może w ciemności przemieszali się z żołnierzami Pelcha?

I wtedy znowu zdarzyło się to coś. Zmaterializowała się przerażająca mgła, ktoś przenikliwie krzyknął i otworzył ogień. Zaskowyczał wiatr, a wraz z nim powrócił odór. Widmo unosiło się przez chwilę nad samotnym człowiekiem, który zdążył oddać do niego zaledwie jeden strzał.

Gdy jego wrzaski ucichły, mgła przesunęła się o kilka metrów nad dnem jaskini. Rozległ się nowy okrzyk przerażenia, tym razem po angielsku. Beck natychmiast rozpoznał Shoena.

— Boże mój! Pomóż nam, pomóż! — Jego błaganie utonęło w łoskocie dwóch pistoletów maszynowych, które z nieco oddalonych od siebie miejsc zgodnie pruły w to nienazwane. Tak jak poprzednio, pociski zdawały się nie robić mu żadnej szkody. Po chwili mgliste widmo, uznawszy widocznie, że dokonało dosyć zamieszania, pomалу wyparowało.

Minęło kilka sekund, w ciągu których ci, którzy przeżyli, próbowali pojąć niewiarygodne zjawisko. Coś zabijało ich, jednego po drugim, Niemców i Amerykanów.

Coś. Widmo, którego nie miały się ich pociski.

— Pelch! To ja, Beck — zawołał kapitan po niemiecku. — Włącz światło, żeby tamci ludzie mogli tu wrócić.

Pelch słuchał, bezpieczny pod ciężarówką, ale nie mógł się zmusić do poruszenia. Nie bał się amerykańskiej sztuczki, teraz nie chodziło o to. Wiedział, że w jaskini pojawiła się uwolniona z piekła zjawa. Monstrum z cygańskiej legendy, której bali się jego ludzie.

— Pelch! Włącz światło. Żaden z nas stąd nie wyjdzie, jeżeli nie będzie światła.

— Proszę tak zrobić, sturmbannfuehrer — zawołał jeden z Niemców.

Odpowiedzią na obie prośby było milczenie. Po kilku sekundach Beck zawołał znowu:

— Geiger? Post? Shoen? Słyszycie mnie? — Przez chwilę nikt się nie odzywał. Beck poczuł ściśnięcie w sercu. Czyżby ta diabelska istota zabiła wszystkich trzech? A może padli w walce?

Lekko drżący głos odpowiedział mu po angielsku:

— Tu Post, panie kapitanie... Jestem sam. Żyje chyba jeszcze jeden Niemiec, leży około piętnastu metrów ode mnie.

— Pelch! Na miłość Boską, włącz światło! — wrzasnął znowu Beck.

Tym razem Pelch wytoczył się spod ciężarówki i zaczął manipulować przy prądnicę. Beck usłyszał grzechot i odetchnął.

— Beck, chodź pomóc. Nie mogę jej ruszyć. Leży na boku, przykryła wyłącznik.

— Daj latarkę — zawołał Beck do Hausera — za mną.

Ślizgając się i potykając w półmroku brnęli przez gruz na dnie jaskini. Dotarli do Pelcha i lekarza. Nie zamieniając z nimi słowa, Beck i Hauser zaczęli pchać prądnicę od tyłu, a Pelch i Miller ciągnęli z drugiej strony. Dopiero ich połączonym wysiłkiem prądnicę stanęła na kołach.

Pelch odnalazł wyłącznik i przycisnął. Rozległ się trzask, reflektor zaczął się rozświetlać. Nagle prądnicę zatrzymała się i światło znikło. Pelch zaklął i spróbował jeszcze raz. Nic się nie działo.

Wszyscy stali nieruchomo. Każdy z osobna przypominał małego chłopca, patrzącego w ślad za samochodem, który rozjechał mu rower. W oczach wciąż mieli szybko niknącą sylwetkę prądnicę.

Post pociągnął nosem.

— Czuję benzynę. — Prawie jednocześnie wszyscy zrozumieli, na czym polega kłopot.

— Jest na burcie ciężarówki — oświadczył Pelch.

W kilka minut uzupełnili paliwo, rozlane kiedy Pelch przewrócił prądnicę. Skończyli i Niemiec znowu przycisnął wyłącznik. Po chwili prądnicę ścichła i zaczęła miarowo mruczeć.

— Ustawmy reflektor trochę bardziej pod kątem — podsunął Beck. — Ludzie w głębi będą mieli więcej światła.

— Potrzeba do tego dwóch osób — odparł Pelch, spiesząc w kierunku lampy. Beck zrównał się z nim krokiem.

Kiedy odeszli o kilka metrów, Miller zauważył, że lekarz powoli unosi się z ziemi. Wyciągnął broń i nerwowo celował w reflektor. Prawie w tej samej chwili jego ruch zauważył Hauser.

— Stój, głupcze! — wrzasnął Miller, robiąc krok w stronę Niemca.

Ten szarpnął bronią i, nie panując nad sobą, strzelił do Millera. Kula uderzyła w bok głowy. Miller okręcił się w miejscu i upadł. Hauser sprężył się do skoku.

Spóźnił się. Pelch oddał trzy szybkie strzały, które trafiły lekarza dokładnie w środek czoła. Ciało mężczyzny, odrzucone impetem uderzenia do tyłu, straciło na chwilę kontakt z ziemią. W ułamek sekundy potem lekarz już nie żył.

Hauser odwrócił się i podbiegł do Millera. Natychmiast stanął koło niego Beck.

Pelch bez słowa schował pistolet i chwycił z jednej strony za statyw reflektora.

— Tfu, dostał, ale miał cholerne szczęście — skomentował Hauser, zbadawszy głęboką, długą na pięć centymetrów ranę powyżej ucha Millera. — Dojdzie do siebie, ani się obejrzymy.

Beck wykazał mniej optymizmu.

— Moim zdaniem wygląda to paskudnie. Już drugi raz dzisiaj Miller dostał w głowę, i to porządnie.

— Beck! — zawołał Pelch. — Chodź tu i pomóż mi.

— Zrób, co możesz. Oczyść ranę — powiedział Beck do Hausera i pospieszył do majora.

Ciągnąc razem, przekreśli reflektor o kilka stopni. Ciemny do tej pory kraniec komnaty skąpał się w jaskrawym świetle. Przesuwając lampę, dostrzegli migotliwy odbłask złotego krucyfiksu. Leżał na czymś w rodzaju ziemi niczyjej, o kilkanaście metrów od nich, w głębi jaskini. Wszystko dookoła było całkowicie wypalone.

Pelch natychmiast zorientował się, co widzi, i serce zabiło mu mocniej. „Czyżby Kleist albo Steiner odkrył złoty krucyfix, wspomniany w cygańskiej legendzie? — zastanawiał się. — Czyżby wyciągając go z ziemi, uwolnił tę potworną zjawę z piekła? Jeśli tak, to krucyfixs stanowi klucz do ratunku, jedyną nadzieję na opanowanie diabelskiej siły”.

Nie chcąc, żeby światło reflektora biło prosto w twarze ludzi, Beck zaproponował, żeby unieść go trochę wyżej, tak by jasna smuga padała na ścianę, dosyć wysoko nad podłogą. Kosztowało ich to wiele trudu.

— Co tak błyszczą na podłodze? — spytał Beck z zaciekawieniem.

— Niewykluczone, że nasz ratunek — odparł sucho Pelch.

Odpowiedź nie znaczyła dla Becka nic, więc ją zlekceważył. Lustrował wzrokiem resztę komnaty. Światło padało pod kątem na potężne gładkie i bogato rzeźbione ściany. Odbijając się rzucało mnóstwo groźnych cieni, które krzyżowały się na dnie jaskini.

Pod pewnym względem obraz przypominał nieme kikuty pozostałe po lesie zniszczonym pożarem. Co parę metrów rysowały się czarne, okaleczone postaci, zastygłe w najróżniejszych

makabrycznych pozach. Zorientował się, że większość stanowią ziemskie pozostałości żołnierzy SS, którzy zginęli w piekielnym uderzeniu ognia na chwilę przed wybuchem.

Beck poczuł rosnący ucisk w gardle. Omiótł spojrzeniem czarny, pogięty i wywrócony do góry nogami korpus, który niegdyś był ciężarówką pełną jego ludzi. Natężył wzrok. Zdawało mu się, że dostrzega kilka martwych kształtów wystających spod spodu. Musiał odwrócić oczy. W głębi po prawej stronie zobaczył Posta, szybko zbliżającego się do nich.

Z cienia za spaloną amerykańską ciężarówką wyłonił się powoli jedyny poza dowódcą człowiek pozostały z dumnego oddziału SS. Zaczął biec na środek komnaty.

— Hej, wy... — Pelch nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska — Stójcie! Wracajcie i podnieście krucyfiks.

Beck rzucił krótkie spojrzenie na Pelcha. „O co mu chodzi, do cholery?“, zastanawiał się. Żołnierz zwolnił z wahaniem, ale rozmyśliwszy się, pobiegł dalej.

— Nie słyszeliście?! — wrzasnął Pelch. — Wracajcie i podnieście go albo zastrzelę was na miejscu! — szybko wyciągnął pistolet z kabury i wycelował.

— Niech pan nie żartuje! — rzucił Beck. — Co pan chce z tym zrobić?

Pelch nie odpowiedział. Po prostu trzymał broń wymierzoną w żołnierza, który zauważywszy to chwilę wcześniej, zdał sobie sprawę, że major mówi poważnie. Z ociąganiem zawrócił po krucyfiks.

Post był już prawie przy ciężarówkach. Spojrzał przez ramię i wyraźnie zwolnił kroku, ze zdziwieniem zobaczywszy, że Niemiec się cofa.

— Co pan robi? — nalegał Beck. — Dlaczego ta błyszcząca różdżka jest taka ważna?

Pelch spojrzał na Becka z rozdrażnieniem. Ton jego głosu był jednak bardziej protekcyjnalny niż pełen złości.

— Błyszcząca różdżka? Ten przedmiot błyszczy, kapitanie, bo jest ze złota, z czystego złota. Ale to nie żadna różdżka, tylko krucyfiks, chrześcijański krzyż z wyobrażeniem rozpiętego na nim Chrystusa. — Pelch znowu pochylił głowę i utkwiał spojrzenie w krucyfiksie. — Sądząc po jego wyglądzie, przypuszczam, że długością i grubością dorównuje dużym średniowiecznym mieczom.

Znowu odwrócił się do Becka. Po pytającym spojrzeniu, które napotkał, zorientował się, że konieczne są dalsze wyjaśnienia.

Post doszedł do Becka i Pelcha i na moment przystanął. Zauważywszy Hausera, który schylał się nad Millerem, bez słowa ruszył dalej.

— Na co czekacie? Podejdźcie i podnieście! — wrzasnął Pelch do żołnierza, idącego przez komnatę. Mężczyzna zbliżał się ostrożnie do długiego, mrocznego cienia, dzielącego go od krucyfiks. Pelch przeniósł uwagę na Becka.

— Czy jest pan osobą religijną? Może katolikiem?

Beck pokręcił głową.

— Nie. Moi rodzice byli luteranami. Sądzę, że można powiedzieć to samo o mnie w wieku dziecięcym, ale potem, kiedy podrosłem, raczej odszedłem od luteranizmu.

— Ja też jestem ateistą — stwierdził Pelch niemal z dumą.

— Nie nazwałbym się ateistą. Wierzę w istnienie Boga — odparł Beck. — Po prostu nie mam za wicie szacunku dla religii stworzonych przez ludzi. — Spojrzał twardo w oczy Pelcha i dodał: — Ale po co to panu? Do czego pan zmierza?

— Z tymi jaskiniami wiąże się legenda, kapitanie Beck, bardzo stara cygańska legenda. Historia jest długa, ale powiem krótko: krucyfiks, który tam leży, został użyty jako narzędzie świętej władzy... przebito nim demona i przykuto do dna jaskini, gdzie tam na dole.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— Nie wierzyłem, kiedy usłyszałem, nie wierzyłem aż do dzisiaj. Ale mając dowód w postaci naszych ostatnich doświadczeń, jestem skłonny przypuszczać, że jeden z moich ludzi zabrał krucyfiks i w ten sposób uwolnił demona.

— Pelch, przyznaję, że wszystko, co się zdarzyło, wygląda dziwnie i nie jest łatwe do wyjaśnienia. Ale to, co pan sugeruje, przekracza granicę między zdrowym rozsądkiem a obłądkiem.

— Jak pan uważa, kapitanie. Czekać więc sobie tutaj, aż to coś powybijają was co do jednego, a ja po prostu będę trzymał się krucyfiksu.

— Skąd ta pewność, że krucyfiks może pana ustrzec?

— Nie mam na to dowodów, jeśli o tym pan myśli. Ale czym mamy zwalczać to coś? Wydaje mi się, że jedynym sposobem na okiełznanie złego ducha jest ponowne przywołanie go krucyfiksem.

Zanim Beck zdołał odpowiedzieć, dno jaskiń znów ogarnęły gwałtowne wstrząsy. Pelch utrzymał równowagę, chwytając za podstawę reflektora, ale Beck miał mniej szczęścia. Potknął się i upadł do przodu na metalową skrzynię z amunicją. Obaj machinalnie zwrócili twarz ku człowiekowi, próbującemu odzyskać krucyfiks.

— Podnieś go! — krzyczał Pelch. — Podnieś!

Tak silnych wstrząsów jeszcze nie przechodzili. Becka podrzuciło do góry i znów cisnęło z impetem na skrzynię. Na próżno kapitan usiłował wstać. Tymczasem Pelch z zapamiętaniem bronił reflektora, który w każdej chwili mógł się na niego przewrócić. Za nimi Hauser, Post i Miller, który odzyskał przytomność, przeżywali równie ciężki okres.

Żołnierz miał jeszcze do krucyfiksu niecały metr. Poruszał się jak cyrkowiec na trampolinie. Wyciągnął do przodu ramiona i robił szybkie, niewysokie podskoki. Odsunęło go to od celu, ale przez kilka chwil sprawiał wrażenie, jakby wpadł we właściwy rytm, dzięki czemu zachowywał pion. Nagle ugięły się pod nim nogi i piasnął o ziemię.

Przesunięty środek ciężkości wysokiego, masywnego reflektora przeważył. Pelch z wrzaskiem zwolnił chwyt i odskoczył, instynktownie chroniąc twarz przed odpryskami szkła.

Beck przetoczył się na brzuch, osłaniając rękami głowę.

Reflektor runął na ziemię z potwornym hukiem, ale Beck i Pelch wyszli cało. Równocześnie z nastaniem ciemności wstrząsy ustały. Tylko, podobnie jak przedtem, ciągle jeszcze spadały odkruszone kawałki skał. Gdzieś w komnacie usłyszeli przeciągłe dudnienie. Musiała obsunąć się część ściany.

Beck sięgnął do kieszeni, wyjął latarkę i zapalił ją.

— Wszyscy w porządku? — zawołał. Zaczął krztusić się i dławić.

— Nie gorzej niż poprzednio, kapitanie — odparł Post.

Mimo że Posta i dwóch pozostałych dzieliły od Becka niecałe trzy metry, kapitan nie był w stanie ich dojrzeć. Wstrząsy przyniosły z powrotem gęsty, gruboziarnisty pył.

— Nic się panu nie stało, Pelch? — lustrując teren dookoła, Beck dostrzegł Niemca, jak przez mgłę.

— Wciąż jestem cały i zdrowy — wykrztusił Pelch.

— Wdepnęliśmy w gówno po szyję — rzucił Beck. — Jeśli ma pan rację co do krucyfiksu, to bez niego jesteśmy na łasce tego czegoś.

— Dlatego natychmiast musimy go zdobyć — warknął Pelch.

Niemiecki żołnierz, leżący mniej więcej na środku komnaty, wydał prawie niesłyszalny okrzyk.

— O Boże, spójrzcie! — jęknął Miller.

Niedaleko miejsca, w którym upadł żołnierz, tuż nad ziemią, znowu pojawiło się amorficzne widmo. W gęstej chmurze pyłu jego zarys lśnił brązowym światłem.

Tym razem nie było jednak gwizdzącego podmuchu ani odoru. Beckowi wydało się, że zauważył jeszcze jeden szczegół.

Hauser z Postem doczołgali się do Becka i Pelcha, ciągnąc Millera.

— Beck — pospiesznie odezwał się Pelch — musimy dostać ten krucyfixs albo zginie-my! Niech pan bierze latarkę i idzie go znaleźć. Szybko!

— Wiem! — wykrzyknął Beck. — Światło! Zawsze widzieliśmy to coś, gdy było ciemno, nigdy przy świetle.

— To idiotyczne! — zaprotestował Pelch. — Czy naprawdę wierzy pan, że coś takiego, co potrafi wstrząsnąć ziemią, boi się, a może nie potrafi pojawić się, gdy jest jasno?

— No cóż, zastanówmy się... Kto widział to coś, kiedy światło było włączone? — postanowił sprawdzić Beck. Okazało się, że nikt.

— Co jeszcze wiemy? — spytał Beck. — Wszyscy musimy pomyśleć, przypomnieć sobie, co widzieliśmy, słyszeliśmy i... wyczuliśmy węchem... Liczy się każda obserwacja, każde wrażenie. Ale najpierw postarajmy się o światło, to nas zabezpieczy... Jeśli moja teoria ma ręce i nogi.

— Nie! Musimy najpierw zdobyć krucyfixs — zażądał Pelch.

— W porządku, mądry człowieku. Bierz latarkę i maszeruj tam sam. Bateria już się prawie wyczerpała... Sprawdź, jak daleko dojdiesz, póki nasz przyjaciel cię nie załatwi. A jeśli mimo wszystko zdobędziesz krucyfixs, zastanów się, w jaki sposób potem wydostaniesz się na zewnątrz. Czym według ciebie zajmie się to coś w czasie, gdy my będziemy po ciemku wymacywać dziurę albo odgrzebywać wylot?

Pelch zdecydowanie odepchnął rękę z latarką. Beck miał rację. Tymczasem kapitanowi przyszło coś do głowy:

— Czy któryś z was ma przypadkiem latarkę, harcerzyki? — spytał Millera i Posta.

Obaj przecząco pokręcili głową.

— My mamy światła. Całą linię — entuzjastycznie oświadczył Pelch. — Taką z

drucianymi osłonami żarówek. Oświetliliśmy tym... miejsca pracy — wyjaśnił ostrożnie. I zaraz szybko dodał: — Zdaje mi się, że są w tej ciężarówce!

Pelch niezwłocznie zaczął kierować poszukiwaniami. Prawie od razu znaleźli kabel z gniazdami. Żarówki starannie jednak wykręcono i do transportu zapakowano gdzie indziej. Przez kilka minut gorączkowo przekopywali wszystkie trzy pojazdy, aż w końcu Beck przypomniał sobie pobliską sterę, która niedawno go osłaniała.

— Bingo! — oświadczył Miller, podnosząc pierwszą skrzynię.

— John, Dan, Charlie, łapcie się za te paki i przenieście je bliżej prądnicy. Ja tymczasem pomogę Pelchowi wyciągnąć kabel.

Kabel leżał w zwoju na podłodze ciężarówki. Był cięższy, niż Beck przewidywał. Kapitan ocenił, że swobodnie wystarczy go na przeciągnięcie linii wzdłuż drogi powrotnej do składu.

— Po cholere wam było tyle kabla? — mruknął niewinnie. Zaraz potem pojął. Skarb ukryto w jaskiniach na znacznie niższym poziomie.

Pelch zlekceważył pytanie, ale jego pracy zaczęło towarzyszyć nerwowe gadanie:

— Kiedy wkręcimy żarówki na pewnej długości i podłączymy tę instalację, to możemy pociągnąć oświetlenie do krucyfiks...

Do spółki z Beckiem odłączył reflektor od prądnicy i zamontował pierwszą żyłę kabla.

— ... Druciane osłony będą chronić żarówki przed rozbitciem o ziemię...

Miller zaczął wkręcać żarówki do gniazd. Przyłączył się do niego Pelch.

Z każdą żarówką dookoła robiło się coraz jaśniej. A potem wszyscy poczuli to samo, chociaż żaden z nich nie podzielił się wrażeniem z innymi. Grunt znowu zaczął drżeć.

— ... A reszta pańskich ludzi może przyłączyć drugi odcinek kabla i zacząć od sprawdzenia, gdzie przy wylocie należy rozmieścić materiały wybuchowe...

— Blisko wejścia czułem przeciąg — oznajmił Beck. — Musi tam być jakiś otwór.

— Na przykład dziura nie większa od pięści — odparł Pelch. — Wierście mi, że kiedy oświetliliśmy wylot reflektorem, nie widziałem żadnych otworów. Jeśli nawet powietrze może się przedostać, to my się tamtędy nie zmieścimy.

— Umiesz dodawać otuchy, stary skurwielu — powiedział Miller ze słabym uśmiechem.

Przez kilka chwil panowało milczenie, potem Pelch podjął wątek:

— Tam stoi parę skrzyń materiałów wybuchowych.

— Widziałem je przedtem — potwierdził Beck, odłączając długi odcinek kabla i ciągnąć go po dużym obwodzie dookoła całej grupki.

— Ja też. Są drewniane skrzynie oraz plecaki, starczyłoby tego chyba żeby wywalić w powietrze sklepienie tej jaskini. Właśnie za tymi skrzyniami miałem stanowisko, kiedy zaczęła się wymiana ognia — uzupełnił Post.

— Dobrze. Hauser może ci pomóc w przeciągnięciu do nich kabla. Ja pójdę z Pelchem po krucyfiks.

— Przynieście plecaki. Będzie o wiele łatwiej — poradził Pelch.

Beck zdawał sobie sprawę, że Hauser i Post mają przed sobą trudniejszy, bardziej nierówny teren. Ich droga przypominała literę L przewróconą kątem prostym do góry; najpierw prowadziła do wejścia, a potem w lewo do materiałów. Kapitan wraz z Pelchem mieli w sumie więcej do przejścia, ale ich szlak wiódł po prawie płaskim gruncie w poprzek jaskini. Beck pomyślał jednak, że skoro idą po krucyfiks, będą bardziej narażeni na ściągnięcie zjawy.

Znalazł na szczycie prądnicy tablicę z wieloma gniazdami i podłączył kabel, którym się zajmował. Pierścień światła otoczył ich obecne miejsce pracy.

Post i Hauser nadal przynosili paki z żarówkami. Beck stwierdził nagle, że przynieśli już dużo więcej, niż zużyją.

— Wystarczy. Zaczynajcie teraz przyłączać odcinki kabla. Będziecie potrzebować mniej więcej tyle samo, co my.

Zadowolony ze stworzenia obszernego kręgu światła, Beck zaczął wkręcać żarówki, podobnie jak inni. Miał nadzieję, że zgodnie z jego przypuszczeniem widmo unika jaskrawego światła.

Z każdą chwilę rosła moc żarówek, ale i wibracje... też rosły. W końcu znowu zaczęły się równie silne wstrząsy, jak poprzednio.

Dalsza praca przebiegała w milczeniu.

W kilka minut później skończyli.

— Pozwólcie, że wyjaśnię, jak powinno się przenosić kabel. Miałem ostatnio doświadczenia w kierowaniu taką pracą — stwierdził Pelch. — Pierwszy człowiek, prowadzący, owija sobie koniec kabla i jeszcze dwa, trzy zwoje wokół ramienia i przez pierś, o tak — zademonstrował. — Drugi zostawia bardzo niewielki luz i również owija się w ten sam sposób. Potem obaj ruszają, wspólnie ciągnąc resztę przewodu z tego stosu. Mając na sobie zwoje kabla są oświetleni, a więc, jeżeli kapitan Beck ma rację, bezpieczni!

— Zachowuje się pan, jakby to ćwiczenie było u was wielokrotnie przerabiane — zauważył Beck znudzonym tonem.

— Zapewniam pana, że nie w tych warunkach. Ale jest jeszcze coś, co wy Amerykanie nazywacie niemiecką pomysłowością — próba sarkastycznego żartu nie powiodła się.

— Dan, czy możesz pilnować, żeby to działało — Beck wskazał na prądnicę. Nie miał pojęcia, co jeszcze mu powiedzieć. Wszyscy poza nim okręcali się właśnie zwojami kabla i szykowali do wymarszu.

Miller uśmiechnął się słabo:

— Przyglądanie się tej maszynie dostającej kręcka będzie naprawdę trudne.

Ich spojrzenia zetknęły się na moment, powstała niewidzialna więź, jaka łączy ludzi, którzy razem wyzwalali śmierć, dzieląc trudy walki.

— Uważajcie na siebie — powiedział ochryple Miller i odwrócił się.

— Hej! — rzucił Hauser — Siedź w środku, nie ruszaj się poza granicę światła. — Wystawionym na szczęście kciukiem wskazał na prądnicę: — I daj jej pić, gdyby chciała!

Intensywność ruchów ziemi utrzymywała się na stałym poziomie, nie malała ani nie rosła. Beck pomyślał, że wstrząsy kojarzą mu się teraz bardziej z poważnym rozdrażnieniem niż z niepohamowaną furią, której doświadczyli wcześniej.

„A może ta piekielna nemezis rozmyślnie się powstrzymuje, czeka na odpowiedni moment, żeby dopełnić ostatecznego zniszczenia?”, zastanawiał się.

Obie pary oddalały się wlekąc za sobą przewody. Ich odległość od prądnicy powoli rosła. Miller patrzył, jak sylwetki idących kołyszą się w nierównym rytmie. Głowę wypełniał mu śpiew krasnoludków królowej Śnieżki, maszerujących do pracy kolebiącym się krokiem.

Gdyby nie było powodów do lęku, z pewnością roześmiałby się.

W kilka długich minut później Miller zorientował się po świetlistych obręczach, że Hauser i Post są wysoko nad dnem jaskini, czyli prawdopodobnie wspinają się na gruzowisko przy wejściu. Spojrzył na Becka i Pelcha. Wyglądali, jakby szli obok siebie.

Ocecił, że mają za sobą połowę drogi.

Rozdział 22

Im dalej szli, tym trudniej było ciągnąć za sobą wydłużający się kabel. Ciężar rósł, każdy krok wydawał się Beckowi walką. Nie byli już w stanie posuwać się zrywami ani bez wysiłku podciągać przewodu po każdym pokonanym kawalku. Musieli teraz stosować brutalną walkę. Miarę postępu stanowiły centymetry.

Beck zastanawiał się, jak sobie radzą Post i Hauser. Przez krótką chwilę śledził ich szlak, zaznaczony połyskliwą smugą, potem zostały po nich jedynie wieńce światła, nieco nad dnem jaskini, po lewej stronie. Pomyślał, że musieli już wejść na szczyt gruzowiska albo znajdować się tuż pod nim.

Przez ostanie kilka minut Pelch nerwowo gadał. Wyrzucał z siebie nieskładne myśli i niepowiązane zdania, Beck uznał, że Niemiec raczej głośno myśli, niż prowadzi rozmowę. Próbował nie zwracać na niego uwagi i skoncentrować się na ciągnięciu przewodu.

— Z krucyfiksem mamy szansę — mamrotał Pelch. — Wyjdziemy z tego, wiercie mi... Będziemy wspominać to jak zły sen, chore godziny... Nie wierzę w piekło i diabła, w jaskiniach musi być coś innego... Jeśli tylko...

Becka paliły ręce. Czuł się, jakby nie miał na nich skóry. Z tęsknotą myślał o rękawiczkach, które nosił jeszcze kiedy go złapano. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, co się z nim stało.

— I co z nią?

— Mhm?

— Z monetą. Powiedział pan właśnie „Amerykanie musieli przyjść tu przez monetę.” Beck ciągnął z całych sił, ale przewód ani drgnął. Głośno wypuścił powietrze:

— Padam. Odsapnijmy.

Pelch też miał na to ochotę. Obaj usiedli na ziemi. Wstrząsy przenosiły się na ich ciała i nadawały głosom zabawne, wibrujące brzmienie.

— Opowiedz mi o monecie — poprosił Beck, cicho i bez tchu.

— Przecież wiesz — odparł równie zmęczony Pelch — Opisałeś ją...

— Wiem niedużo, tylko jak wygląda. Chcę usłyszeć co ty o niej wiesz.

Pelch spoglądał na niego szeroko rozwartymi oczami, przez kilka sekund nawet nie mrugnął. Potem zaczął się śmiać.

— Ty nie wiesz, prawda, Beck? — stwierdził. — Ty naprawdę nie wiesz. Znalazłeś monetę, kiedy odkryłeś naszego agenta wśród swoich ludzi... ale nie masz pojęcia, dlaczego przy nim była ani po co!

Śmiał się szczerze, z siebie, że dał się przedtem Beckowi wystrychnąć na dudka, i z zabawnej sytuacji w której byli.

„A więc moneta ma związek z jaskiniami”, pomyślał Beck. Ten skurwieli, który zabijał jego ludzi i próbował sabotować misję, po prostu zgubił. Ale kto to był?

Pelch powoli się uspokajał, choć w jego głosie wciąż brzmiała nuta rozbawienia.

— Zacząłeś mówić o niej tylko po to, żeby uratować swoje nic nie warte życie! Kleist już prawie ciągnął za spust! — strzelił, z przesadnym rozmachem, palcami, zatrzymując dłoń o centymetry od twarzy Becka.

Beck odbił rękę z wyraźną złością, ale Pech był za bardzo rozbawiony własnym odkryciem, żeby stracić równowagę.

— No dobrze, Beck, pomyśl. Jaki powód może mieć agent, żeby trzymać przy sobie tak niezwykłą rzecz?

— Identyfikację — Beck był zły na siebie, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

— Słusznie. Widzisz? Sam do tego doszedłeś. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda agent, ale wiedzieliśmy, że będzie miał monetę. Gdyby przeżył, a wy zaszlibyście aż tutaj, miał was zdradzić! Moneta uratowałaby mu życie. Nieprawdopodobne, żeby ktoś miał duplikat tak niepowtarzalnego okazu. — Zaczął rzeć ze śmiechu tak gwałtownie, że dźwięk wypełnił całą komnatę.

Beck miał zamiar sondować dalej, z nadzieją na dowiedzenie się czegoś, co stanowiłoby klucz do odkrycia agenta, kiedy poczuł, że wstrząsy nagle ustały. Pelch, który zauważył to również, z miejsca przestał się śmiać. Beck usłyszał krzyki Posta i Hausera. Odwrócił się w stronę wejścia i szokowany odkrył, że panuje tam kompletna ciemność.

Prawie w tej samej chwili powietrze zgęstniało od straszliwego odoru. Z preraźliwym świstem przeleciał koło nich podmuch wiatru. Beck dobrze wiedział, dokąd.

— Dan! — wrzasnął — Co się stało? Włącz im światło! Szybko!

Odpowiedź Millera była niesłyszalna.

Beck i Pelch zerwali się na równe nogi. Wpatrywali się w ciemność, ale pozostali na miejscu. Nic nie mogli zrobić. Wszystko zależało od Millera przy prądniczy. Pelch zaciągnął ściślej zwoje na swoim ciebie, pełen wdzięczności, że żarówki jeszcze się palą.

Wycie ucichło, ale mdły odór trwał. Po raz kolejny mglista zjawia, amorficzna chmura promieniująca zieloną poświatą, falistym ruchem przesuwała się po jaskini. Zawisła w pobliżu miejsca, gdzie w przybliżeniu powinien znajdować się wylot. Słyszeli oszalałe wrzaski Posta i Hausera. Chmura, niczym drapieżny ptak, który dostrzegł łup, opadła pionowo, by dopełnić przerażającego, bezbożnego aktu.

Ostatni, agonalny krzyk, odbił się echem od ścian jaskini. Beck wiedział, że potworność uwolniona z piekielnych czeluści dopadła jeszcze jednego z jego ludzi.

Ośmielone ciemnością zjawisko zaczęło powoli sunąć ku następnej ofercie Jego droga wiodła w stronę Millera i prądnicy. Żołnierz, który uszedł z życiem, bezskutecznie szukał światła i bezpieczeństwa.

Bez żadnego wcześniejszego znaku, przewód, niesiony przez Hausera i Posta, rozjarzył się na całej długości światłem. Równocześnie znikły widmo i odór.

— Kto to? — spytał Pelch, mrużąc oczy, żeby rozpoznać postać poruszającą się niepewnie wzdłuż kabla z jaśniejącymi żarówkami.

— Z takiej odległości nie widać wyraźnie rysów, trudno powiedzieć — stwierdził Beck. Pomyślał jednak, że to Hauser.

— Pospieszmy się — warknął Pelch. — Nie możemy czekać, ruszamy dalej — odwrócił się, napinając przewód. Z charkotem spróbował pociągnąć. — Przestań się tam gapić. Nic nie możesz zrobić! Pomóż mi! Beck szybko dołączył do Pelcha. Zaczęli ciągnąć razem.

Hauser upuścił ostatnie ogniwo przewodu, który trzymał, i zwałił się na ziemię koło Millera.

— Kto tam? — rozległo się pytanie Becka.

— Hauser, panie kapitanie! — odrzyknął. Miał zamiar dodać, że Post nie żyje, ale przecież nie miało to sensu. Spojrzał prosto na Millera.

— Co się stało? — jęknął.

— Musieliście zaczepić o skałę — powiedział Miller spokojnym, monotonnym głosem. — Przewód wyskoczył z prądnicy... i podskakiwał na ziemi jak wąż. — Wyciągnął rękę i powolnym ruchem wskazał niewidoczny szlak.

— Usłyszeliśmy hałas i śmiech, tam gdzie są Beck i Pelch — przypomniał sobie Hauser, wciąż ciężko dysząc. — Post odwrócił się w tamtą stronę i wtedy się poślizgnął. Obaj poleciliśmy na łeb na szyję. Mnie się udało wyskoczyć ze zwojów... John nie miał tyle szczęścia.

Na chwilę zamilkł. Miller gapił się w ziemię, jakby wciąż patrzył na przewód.

— To było straszne. Ta zjawa po prostu wyssała z Posta życie. Wchłonęła go, otaczała mgłą. Zrobiło się jasno jak w dzień, dookoła rozlał się blask. Wydawało mi się, że wyciąga z niego wszystkie soki. Cały skurczył się i pomarszczył... — Hauserowi zabrakło słów.

— Nie dostrzegłem stąd szczególnej jasności — zauważył Miller dalekim, nieobecny głosem — ale przez moment wyraźnie widziałem... to. Dziwne, byłeś przecież o wiele bliżej, ale zobaczyłem ja... — Umysł nieziemsko przerażonego Millera wiernie odtworzył piekielną wizję. Wyobrażenie zastygło w mózgu porucznika. Nie widział już Hausera, prądnicy ani światła dookoła nich. Znajdował się w ciemności, a dokładnie przed nim pojawiło się potworne widmo. Podświadomość Millera usiłowała wydobyć z najgłębszych pokładów coś, co mogłoby zająć jego umysł, siłą usunąć stamtąd wyobrażenie widma. Czuł się, jakby jego mózg wessała ciemność, w której są... jak oni się nazywają?

Miller próbował krzyknąć... wrzasnąć na zjawę, żeby poszła precz... tak, Poss i Hauser,

tak się nazywają... trzeba im powiedzieć, żeby ją przepłoszyli... Wszystko zaczynało mu się mieszać. Pamięć platała figle... krasnoludki... dlaczego niosą światła... ktoś nie chce lirów, tylko inne pieniądze.

Umysł Millera paraliżowały pojawiające się jak w kalejdoskopie wizje. Wizje z przeszłości, wiskające się do świadomości, broniące go przed obrazem, którego nie chciał zobaczyć nigdy więcej. Dzięki temu po kilku minutach opanował się i poczuł ukojenie. Ślady koszmaru całkowicie się zatarły. Miller nie mógł sobie nawet przypomnieć, o czym tak bardzo nie chciał myśleć. Wiedział, że o czymś bardzo, bardzo złym. Gdyby jednak wszystko zostało tak, jak teraz, to ów obraz nie mógłby już mącić mu spokoju, nie zmąciłoby go nic. Obojętnie znosił gorączkowe potrząsania Hausera. Jego podświadomość nie dopuszczała do burzenia równowagi. Po chwili Hauser przestał nim szarpać.

Również Pelch nie wytrzymywał napięcia. Raz po raz przerywał zmagania z kablem i rozmawiał ze swymi martwymi żołnierzami, leżącymi obok, albo wykrzykiwał do nich rozkazy.

Czasami zaczynał rechotać, kiedy indziej nie mógł opanować szloch. Potem, równie nagle, odzyskiwał pełną świadomość.

— Koniec. Nie ruszymy go dalej — wysapał Beck, patrząc na sam koniec naprężonego kabla i na swoje krwawiące ręce. — Brakuje nam około dziesięciu metrów.

Obaj stali wyczerpani, ze wzrokiem wbitym w niewyraźny odbłask złotego krucyfiks, tak bliskiego a jednocześnie tak dalekiego.

— Jeszcze jest sposób — oświadczył z podnieceniem Pelch. — wrócisz, odłączysz odcinek z drugiego kabla, którego używają twoi ludzie i przyłączysz do naszej części. Jeden kawałek powinien wystarczyć z dużym zapasem.

— Uhu! — Beck pokręcił głową. Nie odwracając się wyciągnął rękę i pokazał w stronę wejścia. — Używa go Hauser, który idzie do materiałów wybuchowych.

— Ale mając krucyfiks, będziemy mogli iść po materiały wybuchowe. Krucyfiks jest ważniejszy! Pospiesz się, tracimy cenny czas.

— Wrócić i po prostu odłączyć Hausera? Zostawić go tej zjawie, żeby pożarła go, jak innych? — Beck skrzywił się z niesmakiem. — Jesteś moralnym degeneratem. Potworem jak to, z czym walczymy.

— Takie oskarżenia nie mają ani sensu, ani znaczenia, Beck — zapłuł się Pelch. — Przyszło nam spełnić świętą misję wobec Rzeszy, zanim jaskinie zostaną odkryte... Znasz rozkazy! — Nagle zamilkł.

Beck spojrział na niego i pokiwał głową ze współczuciem:

— Co się tak wściekasz, Pelch? Daj spokój!

Niemiec zlekceważył uwagę, jakby jej nie słyszał.

— Każ twojemu człowiekowi wrócić do prądnicy, jeśli tak sobie życzysz.

Pozwalam ci. Ale powiedz mu, żeby się pospieszył, bo musimy dalej ciągnąć nasz przewód.

— Spójrz, głupi sukinsynu, on już prawie doszedł. Odpocznij sobie.

— A co potem? Czy Hauser będzie umiał otworzyć wylot? Zna się na materiałach wybuchowych? — spytał Pelch i rozejrzawszy się po ziemi, dodał: — Mam kilku ludzi, którzy to mogą zrobić.

Pelch dowiedział swego. Hauser nie był ekspertem od materiałów wybuchowych. W misji uczestniczył jako specjalista od pracy w tunelach.

— Nie sądzę, żeby którykolwiek z twoich ludzi się do tego nadawał — wycodził Beck.

— Naprawdę? Wobec tego powiedz, co ty proponujesz! No, powiedz mi.

Beck westchnął.

— To nie twój interes. — Mimo wszystko chciał jednak posłuchać, jak zabrzmiał jego pomysł, relacjonowany na głos. Mógł z tego skorzystać. — Hauser dojdzie do materiałów wybuchowych i przeniesie tyle, ile trzeba, do wylotu. Na saperskiej robocie znam się ja — skłamał, zastanawiając się jednocześnie, czy będzie miał dużo kłopotów.

— Dalej, kapitanie, — nalegał Pelch. — Co potem, kiedy już przeniesie materiały? On wciąż jest tam, a my tutaj... i mamy za mało kabla, żeby dostać się do krucyfiksu.

Przez chwilę Beck spoglądał Pelchowi głęboko w oczy. Wprost nie mógł uwierzyć, że stoi i z nim rozmawia. Wiedział, że gdyby skreślił Pelchowi kark, nie zakłóciłoby mu to ani minuty snu. Ale wyjaśniał dalej.

— Hauser wróci do prądnicy wzdłuż kabla. W ten sposób zostawi nam przewód, wzdłuż którego się wycofamy. Odłączy od niego tylko odcinek najbliższy prądnicy i przytarga go tutaj, żebyśmy mogli przedłużyć nasz kabel.

— Ale wtedy szlak do wejścia będzie w ciemności! — oświadczył Pelch, wyraźnie zadowolony z siebie.

— Nie spiesz się, ośle. Nie wszystko naraz — warknął Beck. — Zabrawszy krucyfiks, wrócimy w trzech do prądnicy. Podciągniemy do prądnicy kabel zostawiony przez Hausera i będziemy mieli gotowy szlak do wyjścia. Tamten przewód ma wystarczający zapas. W ten sposób nie trzeba się już wysilać

— Beck przerwał na chwilę. — Zmęczyłem się, brakuje mi tchu... a to ma sens. Kropka.

Pelch nie odpowiedział, uznał jednak, acz niechętnie, że pomysł jest wykonalny. „Bystry oficer z tego Becka — pomyślał. — Muszę pamiętać, żeby go przedstawić do awansu”.

— Charlie? — zawołał Beck. — Posłuchaj, co masz zrobić, kiedy skończysz z materiałami wybuchowymi... — Powtórzył instrukcje dokładnie tak, jak je przedstawił Pelchowi.

* * *

Beck całkowicie stracił poczucie czasu. Ile godzin, a może minut minęło od chwili, gdy wraz z patrolem wyruszył ze składu? Ile upłynęło, od kiedy ciężarówka wpadła do jaskini? Czas, który Hauser poświęcił na przeniesienie materiałów wybuchowych i pozostał w czynności, wydawał się wiecznością, w końcu jednak Charlie znalazł się przy nim i zaczęli przyłączać ostatni odcinek przewodu.

Pelch, któremu obsesja zdobycia krucyfiksu odebrała zdolność myślenia, siedział po turecku na ziemi i coś do siebie mamrotał.

— Mam nadzieję, że jednak nie we trzech — mruknął po nosem Hauser.

Beck go jednak usłyszał:

— Hej? Co we trzech?

— Robi się wycieczki do nieskończoności. Z Millerem jest zero kontaktu... całkowity odjazd... a ten Niemiec — skinął w stronę Pelcha — pieprzy, jakby mu odbiło. To znaczy, kapitanie, że tylko my zostaliśmy do pchania taczki. Niech pan nie dostanie świra, OK.?

— Czy z Millerem jest bardzo źle? — spytał Beck, kiedy zaczął ciągnąć przewód i zbliżać się do krucyfiks.

Hauser wzruszył ramionami.

— Po prostu spokojnie siedzi i nic nie gada.

Nagle zaczęły się znowu gwałtowne wstrząsy. Były o wiele silniejsze niż ostatnio. Becka i Hausera rzuciło na ziemię. Pelch leżał na plecach z szeroko rozwartymi oczami i podskakiwał, jak człowiek podrzucany w szybkim rytmie na kocu. Zaczął wykrzykiwać rozkazy do nie żyjących żołnierzy.

Z dużym trudem Hauser wysunął się przed Becka i po kilku minutach zbierania sińców dosięgnął krucyfiks. W chwili, gdy otoczył dłonią trzon, wstrząsy ustały.

Wyczerpani i obolali, Beck i Hauser leżeli przez moment zupełnie nieruchomo. Potem Hauser spojrział na kapitana i przesłał mu zwycięskie mrugnięcie. Beck odpowiedział i, wykrzywiając twarz w grymasie bólu, skrzył głowę ku Pelchowi. Niemiec leżał płasko na plecach, z rozpostartymi rękami. Wyraźnie sprawiał wrażenie znokautowanego.

Mdły odór wypełnił ich nozdrza. Zaraz potem usłyszeli dziki skowyt. Przetoczył się po nich gwałtowny podmuch, zasypując ich gruzem. Dookoła zawirowały tumany pyłu.

Ciało Pelcha zeszytniało. Poderwał się do siadu. Wyciągnięty jak struna toczył wzrokiem po jaskini, jakby pierwszy raz widział to miejsce. Rozdzierające wycie otrzeźwiło go, ale nie przejmował się nim ani trochę. Beck i Hauser zakryli uszy, lekko unosząc głowy.

Jak było do przewidzenia, odór i skowyt poprzedzały pojawienie się widma. Zjawy zmaterializowała się w cieniu rzucanym przez wypaloną amerykańską ciężarówkę. Wycie uciхло, a zapach prawie znikł.

— Kapitanie!

— Widzę, Charlie. Za żadne skarby nie strać krucyfiks... Czy możesz wstać?

— Tak — głos mu drżał.

— To dobrze. Podnieś się powoli... weź wolną ręką przewód i ruszaj ostrożnie w moją stronę.

Zaczęli wstawać jednocześnie. Beck zauważył latarkę Hausera na ziemi, instynktownie schylił się po nią i wsadził ją do kieszeni bluzy. Prostował się właśnie, kiedy usłyszał za sobą ruch.

Kątem oka zobaczył Pelcha, biegnącego ku niemu z wyciągniętym pistoletem. Nie miał czasu na reakcję. Nieco chybione uderzenie oszołomiło go. Beck upadł na ziemię. Podniósł się szybko i zobaczył jak Pelch dopada Hausera.

Oslupiały Hauser odwrócił się do Pelcha. Przez ułamek sekundy krzyżowali spojrzenia.

Potem Beck w milczeniu, niczym na zwolnionym filmie, widział jak Pelch uniósł pistolet i z najbliższej odległości oddał dwa strzały prosto w twarz Hausera.

Hauser był martwy, zanim jeszcze jego ciało rozpostarło się na dnie jaskini.

Zachlapany krwią, śmiejący się Pelch schylił się i wyjął krucyfiks z dłoni Hausera. Beck, bliski szoku po strasznej scenie, której był świadkiem, pozostał nieruchomy, zastygł jak sparaliżowany.

Mrucząc fragment piosenki zapamiętanej z dzieciństwa, Pelch przycisnął krucyfiks do piersi i zaczął wirować w makabrycznym tańcu. Nic sobie nie robił z widma, które, wciąż jeszcze w cieniu, także się poruszało, nadciągało w jego stronę.

— Pelch! Przynies krucyfiks, szybko! — wołał Beck. Widział, że Niemiec oszalał. Mógł zgubić krucyfiks albo po prostu zmęczyć się i wypuścić go z rąk poza zasięgiem kapitana. Beck się tego bał.

Ale Pelch nie słyszał głosu Becka, nie słyszał w ogóle nic. Nadal tańcząc, przesuwiał się do przodu, coraz dalej od Becka. Widmo zdawało się czyhać na niego, to wyskakując z pobliskiego cienia, to kryjąc się w absolutnej ciemności.

Nagle wszystko zaczęło układać się Beckowi w całość. Odkrył zasadę.

— Pelch... nie odwracaj się do niego tyłem, wtedy się zbliża... Chodź tutaj, tędy, do światła... Pelch, dobrze, odwracaj się do niego dalej, teraz obróć się razem z nim. Trzymaj je na dystans, masz krucyfiks.

Beck wołał do esesmana z mieszanymi uczuciami. Pragnął, żeby Pelch padł łupem widma i zginął w męczarniach, na jakie zasłużył. Ale jednocześnie obawiał się, że bez nieświadomej pomocy Niemca, nie uratuje siebie i Millera od zguby.

Pelch był mu potrzebny.

Beck wiedział, że nie wydostanie się z jaskini licząc tylko na własne siły. Trzeba było przecież doprowadzić lub donieść Millera do wylotu, trzymać przy tym kabel wystarczająco wysoko, aby mógł oświetlić im twarze, a jednocześnie przekładać dłonie na przewodzie. Do tego dochodziło trzymanie krucyfiksu w gotowości.

Beck podniósł kabel i zbliżył się do Pelcha. Przewodu nie starczało mimo dodanego odcinka. Pelch był już za daleko i wkrótce miał wydostać się poza zasięg ciężarówek.

— Pelch, przestań tam leżeć... chodź tędy... pójdziesz razem ze mną z powrotem do prądnicy.

Niemiec wydawał się głuchy na namowy Becka. Potem bez żadnego wyraźnego powodu, Pelch obrócił się i zaczął znów zbliżać się do przewodu. Ale jego nieobecne spojrzenie zdradzało, że jest zupełnie nieświadom obecności Becka.

Nagle uwagę Pelcha przyciągnęło widmo. Zareagował na nie bardziej zaciekawieniem niż przerażeniem. Jak dziecko zafascynowane pierwszym widzianym owadem, Pelch wolno podchodził do zjawy. Był zadziwiony.

Wyzywająco położył rękę na biodrze, stając w nienaturalnej, komicznej pozie. Widmo było jeszcze o parę metrów od niego, w osłonie cienia, ale kurczyło się i rozprężało, jakby miało zaraz skoczyć. Pelch zaczął szaleńcze przedstawienie. Przecinał powietrze krucyfiksem, wymachiwał nim nad głową i zadawał pchnięcia, niczym szpadą. Beck, nie wiedząc

czego się spodziewać, patrzył z niepokojeni.

Nadeszła kulminacja. W decydującym sztychu Pelch wypchnął krucyfiks przed siebie, przedłużył nim wyprostowane ramię, jakby zatapiał ostrze w ciele przeciwnika. Zastygł na chwilę w tej pozycji, a potem z odpowiednią mimiką powoli wkręcił je w ciało niewidzialnej ofiary. Skończywszy, zadowolony rozstawił szeroko nogi i wyrzucił ręce do góry, w szyderczym geście zwycięstwa.

Robiąc to rozluźnił uchwyt.

Beck głośno zachłysnął się powietrzem, patrząc, jak krucyfiks koziółkuje w powietrzu.

Ciągnąc za sobą kabel, Beck zaczął biec w miejsce, gdzie, jak sądził, powinien spaść krucyfiks. Kabel, napięty do granic możliwości, szarpnął go do tyłu. Kapitan jeszcze śledził wzrokiem wysoki, łukowaty lot krucyfiksu, ale szybko stracił go z oczu w ciemności.

Tymczasem Pelch stwierdził, że wymknęła mu się zdobycz. Wrzeszcząc odwrócił się i zaczął biec w tym samym kierunku, co Beck. Krucyfiks wyślizguje się z ciemności i lądował na ziemi. Z metalicznym dźwiękiem odskoczył jeszcze kawałek. Pelch, mający do niego niecałe trzy metry, dopadł go pierwszy.

Podniósł krucyfiks i znowu przycisnął do piersi. Nagle przyjaźnie uśmiechnął się do Becka, rozpoznając go.

Beck, wściekły, raptownie szarpnął się do przodu. Ostatni odcinek kabla, trzymany przez kapitana, odłączył się. Pelch i Beck zniknęli w ciemności. Beck w panice usiłował wydostać z kieszeni latarkę Hausera.

— Pelch, do mnie! — skrzywił się z bólu. Poraniona dłoń mocno ścisnęła latarkę i zapaliła ją. Na zmianę przesuwiał nikły promyk z twarzy Pelcha na krucyfiks, jednocześnie rzucając szybkie spojrzenia do tyłu, na widmo. Nie wiedzieć czemu, zjawa nadal unosiła się, zachowując stałą odległość od nich. Nie wykorzystała okazji.

— Widzisz, Pelch? Mam światło! Chodź tu! Chodź, szybko.

Z gardłowym okrzykiem Pelch przemierzył krótki dystans, kierując się wprost na Becka. Rozmyślnie zderzył się z nim, prawie go przewracając.

— Dobrze. Dobrze. Teraz chodź ze mną, idziemy do domu — Beck mocno objął Pelcha w pasie i szybko rozglądał się za wysłańcem śmierci. Ruszyli w stronę oświetlonego przewodu. Muszą przejść około dziesięciu metrów.

— Trzymaj go prosto przed sobą...tak, właśnie tak — łagodnie rozkazał Beck. Pelch milczał. Marszczył się jak dziecko, któremu oznajmiono koniec zabawy, ale słuchał kapitana.

Szli. Beck dzielił uwagę między drogę przed nimi i widmo. Zjawa poruszała się, skacząc z cienia do cienia, równoległe do nich. „Jeśli zamierza nas atakować, to chyba teraz, póki nie dotarliśmy do przewodu”, pomyślał Beck.

„Promień latarki niewiele już różni się od niektórych plam cienia, wybieranych przez widmo. Zjawa najwyraźniej może przemieszczać się z dużą szybkością. Jej bezładne zachowanie może łatwo spłoszyć Pelcha, sprawić, że będzie się chciał uwolnić. Niewykluczony, że wtedy upuściłby krucyfiks, albo po prostu go odrzucił. Pelch jest całkiem nieobliczalny”.

W ułamku sekundy, który zajęło Beckowi przeniesienie wzroku z drogi na widmo, zjawisko znikło, rozpląnęło się. Beckowi przysła do głowy jeszcze jedna myśl.

Być może wysłaniec piekła nie chce ich zatrzymywać w tej chwili. Być może czeka na odpowiedni moment. Czekają, że oczyszczą wylot jaskini.

Beck poczuł, że przechodzą go ciarki.

Rozdział 23

Czas pokazał, że Beck miał rację. Widmo rzeczywiście czekało na odpowiednią chwilę, żeby zaatakować. I miało kilka okazji podczas ich mozolnej drogi do prądnicy. Nic się jednak nie zdarzyło. W najgroźniejszym momencie Pelch żywiołowo odbił od reszty. Udało mu się wyślizgnąć z objęć Becka. Ruszył naprzód w podskokach, dziko wymachując krucyfiksem nad głową.

Kiedy osiągnęli bezpieczny krąg światła, Beck postawił Pelcha na baczność. Dotknięty obłędem Niemiec wyprężył się posłusznie. Na komendę „Prezentuj broń!” Pelch uniósł krucyfiks i wyciągnął go przed siebie, Beck wyjął złoty przedmiot z rąk Niemca i odszedł. Usłyszał, jak ręce Pelcha energicznie plaskają o spódnie.

Wiedząc, jak idiotycznie brzmi rozkaz, Beck zaczął się zastanawiać czy i on nie jest bliski postradania zmysłów. A jednak logika działała: Pelch stał w miejscu i ani drgnął. Sztuczka sprawiła, że Beck mógł spróbować, czy uda mu się wyrwać Millera ze stanu zubożenia. Miejscem pobytu Pelcha nie musiał się przejmować. Krew na boku głowy Millera zakrzepła. Hauser miał rację, że porucznik z tego wyjdzie.

Ale próby nawiązania z nim kontaktu spełzły na niczym. Miller skrył się w głębinach własnej jaźni, w świecie nicości, gdzie nic złego nie mogło mu się przytrafić. Przebywał tam, bezpiecznie odgradzony od przerażającej rzeczywistości tu, w komnacie.

Beck ostrożnie postawił Millera na nogi i z ulgą stwierdził, że jego funkcje motoryczne nie są zakłócone. Bez większego wysiłku przeprowadził Millera i postawił koło Pelcha.

Przed podjęciem decyzji co do porządku, w jakim będą szli, Beck poświęcił chwilę na sprawdzenie paliwa w prądnicy. Ku jego zaskoczeniu, poziom był o wiele niższy niż oczekiwał. Czy jednak na tyle wysoki, żeby zapewnić oświetlenie podczas ucieczki? Ile czasu potrzebne było do wyczerpania całego paliwa?

Znowu próbował się zorientować w upływie czasu, ale nic z tego nie wyszło. Niewyraźne sceny i zdarzenia zlewały się w jedno, zacierając wszelkie poczucie mijających godzin. Nie miał sposobu, żeby ocenić, czy paliwa wystarczy. Był wyczerpany i fizycznie, i umysłowo.

Nie było wyboru.

Ciągnąc za sobą kawałek rozświetlonego przewodu, Beck spędził kilka cennych minut bez powodzenia szukając zbiorników z paliwem w ciężarówkach i dookoła nich. Znalazł tylko puste.

Kiedy napełniali prądnicę, Pelch mówił, że na ciężarówkach jest jeszcze paliwo. Ale czy rzeczywiście? Może Niemiec był w błędzie? Beck wrócił tam, gdzie zostawił Pelcha i Millera... Może jeśli zapyta spokojnie i powoli..

Pelch i Miller wciąż byli w tym samym miejscu, stali jak dwa żywe trupy: Jeden sztywny niczym kij, z oczami błyszczącymi od podniecenia, drugi przygarbiony, zapatrzone przed siebie niewidzącymi oczami. Spojrzawszy na Pelcha, Beck do razu wiedział, że nie ma na co liczyć. W końcu, bliski zwątpienia, Beck przygotował się do wymarszu w stronę gruzowiska przy wylocie. Pomyślał, że na szczęście nie musi nieść Millera.

Powoli rozpiął nasiąkniętą krwią bluzę munduru niemieckiego lekarza i zdjął mężczyźnie szelki. Połączywszy je węzłem podszedł do Millera i zaczął jeden z końców o dziurkę od guzika w mundurze. Sam wziął drugi koniec ręką z krucyfiksem.

Miał w ten sposób coś w rodzaju smyczy.

Niskim, monotonnym głosem, graniczącym z mamrotaniem, Beck powiedział Pelchowi, że jako bohater dostępuje zaszczytu i będzie prowadził ich na zadanie specjalne. Pokazał mu, w jaki sposób podnieść przewód z ziemi i, trzymając go ponad ramieniem, przekładać na nim dłonie w czasie drogi. Zainteresowany nowością Pelch, z zapalem ruszył naprzód.

Beck ciągnął Millera tuż za sobą, zachowując niewielki odstęp od Pelcha. Prawą ręką ciągle przesuwiał nad ramieniem kabel.

* * *

Szli do wylotu długo i z mozolem, ale do podnóża sterty gruzu dotarli bez incydentów. Beck nie robił sobie jednak złudzeń, wiedział, że wkrótce sytuacja się zmieni. Każda minuta wolna od prześladowającego ich złowrogiego monstrum zbliżała ich do kataklizmu, do ostatecznej konfrontacji. Wiedział również, że nigdy nie wydostaną się z jaskiń, jeśli zjawa pozostanie na swobodzie. Albo musiała ich pożreć, albo trzeba było w jakiś sposób zawrócić ją krucyfiksem do piekła.

Pelch nadal szedł na czele. Pokonując niemałe trudności, Beck sprowadził wszystkich z gruzowiska do jamy, w której odzyskał świadomość, jak mu się zdawało, przed wiekami. Zagłębienie wyglądało na najlepszy i najbliższy położony schron w razie, gdyby doszło do wybuchu.

Kilka minut zajęła mu manipulacja przewodem i żarówkami wokół podnóża usypiska. Ciesząc się chwilą rozmieszczał je tak, by Pelch i Miller znaleźli się w kręgu światła. Kilkakrotnie musiał zaczynać od nowa, gdyż stwierdził, że nie starczy mu kabla dla siebie, do szczytu sterty gruzu.

Potrzebował światła nie tylko dla ochrony, lecz również, by widzieć materiały wybuchowe. Naszły go wątpliwości, czy widmo będzie czekać na eksplozję i otwarcie wylotu. Widmo nie było zainteresowane zewnętrznym światem. To raczej jaskinie stanowiły jego dom, w którym pragnęło zostać w samotności, przez nikogo nie niepokojone. Może pragnęło tylko usunąć ziemskich intruzów z pieczar i dalej wędrować nocami po swym królestwie. A może nie będzie już ich napastować, skoro są tak bliscy wyjścia? W głębi serca czuł jednak, że sam próbuje się oszukać.

W końcu rozmieścił kabel najlepiej, jak było można. Brakło mu tchu, był ledwie żywy, musiał przecież pracować jedną ręką, drugą mocno dzierżąc krucyfiks. Potem zaczął pospiesznie piąć się na gruzowisko. Raz po raz potykał się i ześlizgiwał, spod stóp przyskały mu odłamki skał. Doszedł jednak na górę i tam zwałił się na ziemię, żeby odpocząć. Był pewien, że w każdej chwili to może zacząć się znowu. W każdej chwili.

Przezcucie sprawdziło się. Łagodne drgania wystąpiły, gdy Beck zajmował się pięcioma plecakami zostawionymi przy wyjściu przez Hausera. Gorączkowo lokował je w różnych punktach, blisko podstawy usypiska, na którym, jak się zdawało, opierała się sterta. Tymczasem ruchy ziemi wzmagały się bez przerwy. Trzy plecaki, zawierające większość materiałów wybuchowych, kapitan umieścił najdalej od zagłębienia. Należało je zdetonować nieco przed pozostałymi.

Wstrząsy nasilały się, jakby diabły w piekle zgodnie dokładały do wszystkich kotłów, wytwarzając olbrzymie kłęby pary, mogące w każdej sekundzie wysadzić dno komnaty.

Gwałtowne trzęsienie ziemi obrzuciło najpierw jeden, potem drugi plecak. Beck musiał, manewrując jedną ręką, ułożyć je z powrotem. Ściskając pod pachą krucyfiks, męczył się z zapalnikiem. Usiłował za wszelką cenę przypomnieć sobie kolejność czynności, którą Geiger, Lundemann i Gregg tyle razy demonstrowali ludziom podczas ćwiczeń.

Po dwóch nieudanych próbach wszystko mu się rozjaśniło. Ustawił zapalnik czasowy pierwszego ładunku. Przeczołgał się do drugiego i tam również odbezpieczył zapalnik.

Ruchy ziemi ustały, zamarł także Beck. Chciał mieć pewność, że się nie myli. Nagle owionęło go gorąco, straszliwy żar przeniknął ubranie, ogarnął żywe ciało. Kapitan poczuł, jakby gdzieś za nim szalał ogień, mogący go spopielić. Poczuł znajomy odór i błyskawicznie się odwrócił.

Dokładnie niecałe trzy metry przed nim, unosiło się pulsujące widmo. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem rozjarzyło się tak blisko. Gorąco nie do wytrzymania i zapach ulotniły się. Beck lękał się, że jeśli znów odwróci się plecami do zjawy i żar powróci, zostanie z niego popiół. Wykorzystał więc technikę czołgania się tyłem i szybko dopełznął do ostatniego, trzeciego plecaka. Zdał sobie sprawę, że nie zdąży ustawić zapalnika. Musiały wystarczyć dwie eksplozje.

Wciąż ciągnąc za sobą przewód i ściskając krucyfiks, Beck odepchnął się, przetoczył na bok i ześlizgnął po usypisku do jamy. W chwili, gdy zatrzymał się na dole, zauważył Pelcha, który stojąc nad nim mierzył mu prosto w głowę z pistoletu.

Instynktownie skulił się i szarpnął w prawo. Kula uderzyła go w ramię. Wypuścił krucyfiks. Krzyknął z bólu. Pocisk przebił skórę i strzaskał obojczyk. Zanim Beck przyszedł do siebie i spojrzał w górę, Pelch chwycił krucyfiks i ruszył biegiem na gruzowisko. W nagłym przypływie nadludzkiej siły osiągnął szczyt bez najmniejszego kłopotu.

Beck przyglądał się, jak Niemiec, stojąc w półcieniu, blisko krawędzi, dziko wywijiał krucyfiksem i wrzeszczał coś do zjawy. Widmo jakby pęczniało, złowrogo sunąc do przodu. Pelch zachwiał się, ale prędko odzyskał równowagę.

Kapitan z przerażeniem dostrzegł, że Pelch niczym szermierz wypycha na wprost ramię, naśladując pchnięcie, które wykonał wcześniej na dnie jaskini. Brakowało milimetrów, by zaostrozonym końcem dotknął widma.

Ułamek sekundy później plecak, leżący tuż za Pelchem, zdetonował. Impet eksplozji rzucił Niemca prosto w mglistą, zielonkawą substancję widma. Zjawy wydała z siebie nieziemski skowyt, niepodobny do żadnego z dźwięków, które wcześniej budziły przerażenie dźwięcząc w setkach komnat i korytarzy.

Złoty krucyfiks, symbol wiecznego triumfu Boga nad złem, wniknął w ciemne jądro demona.

Zafascynowany Beck patrzył w osłupieniu, jak Pelch i blednące widmo zawiśli nieruchomo w powietrzu, stopieni w jedno wśród kawałów skal i odłamków gruzu, rozcinających powietrze dookoła.

Ciało Pelcha zastygło w groteskowej pozie, nieruchome, sztywne niby latawiec uwięziony przez dwa walczące za sobą wiatry. Potem otaczający Niemca bezkształtny rys widma zaczął się skręcać, kurczyć i zwierać, tworząc wokół ciała zamknięty, ciasny kokon.

W końcu pozostał tylko spłaszczony, zielony kształt człowieka, zawieszony w powietrzu i przebijające z przodu połyskliwe ostrze złotego krucyfiksu.

Równocześnie z ostatnim, potężnym wstrząsem, ta na wół demoniczna i na wół ludzka istota śmigała jak strzała z kuszy. Beck śledził wzrokiem jej chyży lot. Przeleciała kawałek nad dnem jaskini i niczym pozbawiona energii rakietą, straciwszy wysokość, po raz pierwszy grzmotnęła o ziemię.

Zderzyła się z podłożem o dwa, może trzy metry od drugiej żyły świetlnego szlaku, niedaleko miejsca, w którym Hauser podniósł krucyfiks. Zaostrozony koniec, który wiele wieków wcześniej zniewoliło zło w innym miejscu jaskiń, znów przeszył jego jądro i pogrążył je w piekielnych czeluściach.

Nawet z tej odległości Beck wiedział, że krucyfiks wibruje niczym kamerton na chwilę przed zamknięciem dźwięku. Kiedy złoty trzon zamigotał odbłyskami pobliskiego światła, Beck dostrzegł zmiażdżone i skurczone ciało Pelcha. Zielona poświata znikła.

Znowu było po wszystkim.

Beck krwawił bardzo obficie, ale wiedział, że musi dostać się na szczyt usypiska, żeby sprawdzić, czy jeden wybuch wystarczył do przebiccia wylotu. Próbował iść, ale był o wiele za słaby. Nie posuwał się, choć podłoże chrzęściło mu pod stopami. Obmacywał grunt i wykonując gwałtowne ruchy, chciał się podciągnąć, coraz bardziej brało jednak nad nim górę wyczerpanie. Parę razy energicznie potrząsnął głową, żeby nie stracić świadomości i zrobić przerwę na zebranie sił. Miał zamiar przez chwilę odpocząć przed następnym wysiłkiem.

Obejrzał się na Millera. Twardy, zdolny sierżant, który przeżył kampanię w Afryce Północnej, a teraz nosił dystynkcje porucznika, ale przede wszystkim człowiek, którego Beck zaczął uważać za przyjaciela, leżał skulony w kącie zagłębienia z rękami mocno przyciśniętymi do twarzy. Desperacko próbował wrócić do swego małego, wewnętrznego światła.

Ciche mrużenie prądnicy zastąpił czkający dźwięk urządzenia, które toczy beznadziejną walkę o utrzymanie się przy życiu. Prądnica wydała z siebie rozpaczliwy, ssący jęk, wstrząsnął

nią ostatni spazm i stanęła, pogrążając jaskinie w absolutnej ciemności.

Beck poczuł ukojenie. Dookoła było tak spokojnie... i cicho, bardzo cicho.

Powieki zaczęły mu ciążyć, zamknęły się. Głowa opadła, znajdując spoczynek w ciepłej krwi sączącej się z rany w ramieniu. Beck pozostał całkowicie obojętny na to doznanie. Po raz pierwszy od wielu godzin odzyskał spokój.

* * *

Maria była poza zasięgiem jego wzroku. Podglądała przez szparę w półotwartych drzwiach. Siostry nerwowo tłoczyły się za nią, oczekując kolejnych wiadomości o ruchach Niemca. Zobaczyła, jak Bauer ostrożnie zagląda do opuszczonego budynku, w którym urzędował kwatermistrz, i z ulgą kieruje się w ich stronę.

W niecałe pół godziny po wschodzie słońca śnieg przestał padać. Po raz pierwszy od ponad tygodnia niebo było czyste. Kwatermistrz i reszta Niemców ze składu spędzili ponad godzinę przed świtem, pakując resztki niewielkich zapasów na ciężarówkę, po czym odjechali.

Coś się jednak nie zgadzało. Po co Bauer wrócił... i dlaczego ma na sobie cywilne lachy zamiast munduru?

— Gdzie jest teraz? — nagliła szeptem jedna z zakonnicek.

— Prawie tutaj... Szybko, wracajcie... Do ściany, płasko, pospieszcie się! Usłuchały niczym wystraszone dzieci, zupełnie jak tamtego wieczoru w klasztorze. Poza matką przełożoną i dwiema czy trzema starszymi siostrami, reszta nie umiała się oprzeć często niezależnej, a czasami także wojowniczej woli współtowarzyszki. Wprawdzie Maria jeszcze odbywała nowicjat, ale zdecydowanie nie miała lęklivego charakteru.

Bauer zatrzymał się przy ich budynku, ale nie wszedł. Niedbale rozwarł drzwi na całą szerokość i zajrzał do pomieszczenia. Zadowolony, że również Beck i jego ludzie odjechali, poszedł swoją drogą.

— Zostańcie tutaj i bądźcie cicho. Zobaczę, czego on szuka.

Siostry dały wyraz popłochowi, niedowierzająco sykając i wydając z siebie westchnienia. Jedna zaczęła szperać pod habitem. Bezgłośnie słowa pojawiły się na jej wargach, nim jeszcze odnalazła różaniec.

Bauer brnął dalej, wyciskając w dziewiczym śniegu podłużne kraterki. Między trzecim i czwartym budynkiem za ich kryjówką skrzył, znikając z pola widzenia. Maria szybko i ukradkiem podążyła jego śladem. Stanęła za nim w chwili, gdy oderwał krótką deskę z zabitego okna. Budynek sąsiedował z tym, w którym Maria znalazła żywność.

Miała go.

— Hej, wy. Co tu robicie? — spytała napastliwie.

Bauera zamurowało. Obrócił ku niej twarz z osłupiałymi oczami. „Mój Boże, przecież to córka generała SS!”

Skulił ramiona, usiłując głębiej wcisnąć twarz w postawiony kołnierz płaszcza. Uniósł rękę, żeby zakryć usta.

— Właśnie szukam resztek, które zostały po żołnierzach... Im już niepotrzebne...
— Myślicie, że was nie poznają, unteroffizier, dlatego że jesteście bez munduru, w tych szmatach?

— Mogę to wyjaśnić.

— Wyjaśnić? Co wyjaśnić? Dezercję?! A także rabunek zapasów i żywności należących do Rzeszy?! — Maria podchodziła ku niemu z rękami opartymi na biodrach. — Widzę, że właśnie tym się zajmujecie. Macie jeszcze rzeczy schowane w tym budynku i teraz po nie wróciliście.

Bauera ogarnęło przerażenie. Jeśli była tu ona, to Beck i jego ludzie również muszą znajdować się w pobliżu. Złapali go na gorącym uczynku.

— Gdzie jest wasza ciężarówka? Musimy natychmiast dostać się do jaskiń!

— Co???

— Wasza ciężarówka! Chcę, żebyście przewieźli mnie i sio... i moje współpracownice do jaskiń.

— Ale tam jest SS! Wstęp wzbroniony! Mogą nas zastrzelić — jęknął.

— Wiem, co robię! Nie pouczajcie mnie! — warknęła i urwała, chcąc złapać oddech. — Sprawa największej wagi i pilności — dodała. — Jeśli zrobicie bez gadania, co każe, to zapomnę, że was kiedykolwiek tu widziałam, zrozumieliście?

* * *

Już kilka minut jechali wąską, krętą ścieżką, służącą jako pomocnicza droga do jaskiń. Nagle dojazd zablokował im podziurawiony kulami jak sito jeep z konwoju. Nieco przed nim, na poboczu, Maria dostrzegła ciężarówkę.

Wóz najwyraźniej utknął w śniegu. Nigdzie nie było śladu życia. Maria poczuła, że wpada w panikę.

— Zostańcie wszyscy tutaj! — rozkazała Bauerowi i siostrze, które stłoczyły się z tyłu pojazdu. Otworzyła drzwiczki ciężarówki i zeskoczyła w śnieg.

— Mówiła pani, że mogę odjechać, kiedy was tu przywiozę — błagalnie zaskomlał Bauer.

Maria zlekceważyła go i ruszyła naprzód. Mijając jeppa, zajrzała do środka. Było pusto. Nie zdążyła jeszcze obejść wraku, kiedy otworzyły się drzwiczki ciężarówki.

— Beck! — zawołała, biegnąc w ich stronę jak mogła najszybciej.

— Przykro mi, ale nie — odparł Smythe, gdy dopadła szoferki. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Zauważyła na jego nodze powyżej kolana przesiąkniętą krwią szmatę. — Cały czas miałem nadzieję, że ktoś będzie tędy przejeżdżał. Koszmarne miejsce. Nie chciałbym tu zamarznąć na śmierć.

— Smeethis, gdzie jest Beck... i reszta?

— Tam w środku — wskazał ku czemuś, co wyglądało na pokryte śniegiem rumowisko skalne na grani, prawie dokładnie przed nimi.

— W środku czego? Góry? — Przez chwilę badawczo przyglądała się terenowi, po czym dodała: — Ale tam nie ma wylotu. W jaki sposób weszli? I jak wyjdą?

— Zapewniam panią, że jest wylot. Po prostu zakrywa go większa ilość skał.

Wkrótce po tym, jak nasi ludzie wdarli się do środka, wylot się zapadł — urwał i przycisnął dłoń do uda, jakby łagodziło to ból. — Najpierw mieliśmy tu jednak trochę strzelaniny. Wyszło na to, że jako jedyny wlażłem kulce w drogę.

— Znowu roztarł udo. — Szybko rozprawili się z wartą, która stała tam, na górze, i zostawili mnie w jeepie. Już dosyć dawno udało mi się przekuśtykać tutaj. Z zapalonym silnikiem jest o wiele przyjemniej.

— Dlaczego nie wróciłeś po nas? — spytała Maria. — Musimy ich stamtąd wydostać.

— A wiesz, dziewczyno, że nawet miałem taki pomysł. Ale pewnie jeszcze nie dostrzegłaś, że ta ciężarówka nigdzie nie pojedzie. Zaryła się na dobre. A z jeeпа życie uszło dzięki Niemcom. Myślę, że nadaje się tylko na złom.

Nie musiał wspominać, że powrót do składu na piechotę był dla niego zupełnie niemożliwy.

— W każdym razie sędzę, że jeszcze się włóczą po jaskiniach — próbował ją pocieszać. — Słyszałem stłumione wybuchy, a od czasu do czasu wzgórze się trzęsło. Zdaje się, że właśnie teraz, gdy rozmawiamy, oczyszczają teren z ostatniego Niemca.

Po zaciętym, niewzruszonym wyrazie twarzy Marii, Smythe zorientował się, że nie wierzy w jego historię.

— W każdym razie, jeśli pomoże mi się pani stąd wydostać, to może odgarniemy trochę gruzu. Zdaje mi się, że na skrzyni tego wozu są znakomite łopaty. — Wyciągnął ramię, Maria pozwoliła mu oprzeć się na jej ramionach.

Smythe powoli obrócił się i wystawił obie nogi z szoferki.

Dziewczyna poczuła, że dając oparcie całemu ciężarowi ciała Smythe'a, zapada się głębiej w śnieg.

— Czy są z panią inne siostry?

— Tak. I Niemiec, Bauer.

— O cholera! Co mu powiemy? Jestem przecież podobno jeńcem Becka — Smythe przestraszył się, że straci przytomność. Kiedy ześlizgnął się z siedzenia na ziemię, silny ból przeszył mu nogę.

— Bauer zdezerterował i jest złodziejem. Moja w tym głowa, żeby nie było z nim kłopotów. Pomoże nam, a jeśli nie, to przysięgam, że oddam go w ręce pierwszych napotkanych Niemców.

— Skąd pani ma ten pistolet?

— To jego. Wyciągnęłam mu z kieszeni płaszcz, kiedy jechaliśmy tu ciężarówką.

— Mój Boże... Zakonnice chyba tak nie postępują.

— Jeszcze nie jestem zakonnica.

* * *

Słyszał głosy. Znajome głosy, ale bardzo odległe, jakby ktoś przycisnął mu głowę poduszką. Doleciała go prośba o światło.

Beck chciał im powiedzieć, że światła są, mnóstwo światel, tylko zabrakło benzyny. Usłyszał swoje nazwisko, a potem Millera.

Jeden z głosów należał do Marii, brzmiał jakby dziewczyna szlochała. Rozpoznał także drugi głos... Unteroffizier Bauer. Woła, żeby podać mu linę. Ale dlaczego Beck nie może ich zobaczyć? Przecież holują go do góry, ciągnąc i pchając jednocześnie.

— Niech pani sprowadzi jeszcze kogoś do pomocy — poprosił Bauer. — Jest za stromo, ześlizguję się.

Na zewnątrz Smythe natężył resztki sił, ciągnąc wraz z dwiema zakonnicami linę wlokącą Becka przez wąski tunel, który wykopali na górze usypiska, po prawej stronie.

Maria, szlochając, próbowała przywrócić Becka do życia, a tymczasem Bauer odkrył, że Miller mimo rany i wyraźnego szoku nerwowego może poruszać się pełzając. Wyjaśnił mu jakoś, że trzeba wyczołgać się na zewnątrz.

Miller po prostu usiadł niedaleko Smythe'a i nieobecny wzrokiem gapił się w przestrzeń.

— Słuchaj, chłopie, może przyłożysz do tego rękę i pociągniesz razem z nami? — zapytał Smythe, właściwie nie oczekując odpowiedzi. Odzewu rzeczywistości nie było.

Po ostatnim pociągnięciu Beck wydostał się w całości na zewnątrz. W chwilę później z wąskiego tunelu wyłoniła się także Maria.

Bauer, gnany spodziewanym wyjazdem, w podnieceniu czołgał się do wylotu. Przy okazji strącił stopą kilka odłamków skały. Jeden z nich upadł na pierwszy z założonych przez Becka zapalników.

Unteroffizier bezpiecznie osiągnął wylot tunelu i w tej właśnie chwili eksplozja znów zawałiła wejście do jaskiń.

* * *

Nie pamiętał, jak długo był pogrążony w śpiączce. Powiedzieli mu później, że dopiero po dwóch dniach spotkali postępujące oddziały amerykańskie, które zapewniły opiekę medyczną dla niego, Smythe'a i Millera. Potem prawie przez trzy tygodnie leżał w szpitalu. Cały czas myślał tylko o wyjściu stamtąd. Z niepokojem czekał, aż wszystko szczegółowo mu opowiedzą.

Zdaniem Smythe'a powrót obfitował w niebezpieczeństwa. Pierwszego dnia trzykrotnie byli bliscy wpadnięcia w ręce cofających się Niemców. Potem za każdym razem, kiedy spotykali oddziały amerykańskie, Smythe musiał energicznie bronić Bauera, którego obecność kwestionowano.

Smythe przypuszczał, że żaden anglikanin teraz ani w przeszłości nie słyszał tyłu modlitw różańcowych recytowanych unisono, co on w tych dniach.

Kiedy Maria kazała Bauerowi jechać na zachód, zamiast w głąb Niemiec, Unteroffizier prawie nie protestował. Dotarcie do linii amerykańskich i uniknięcie niewoli u Rosjan wyraźnie zgadzało się z jego planami. Otwarcie sprzeciwiał się za to, kiedy przed każdym posiłkiem Maria naruszała jego towar.

Jednak naprawdę wściekał się dowiedziawszy się, że wiezie aliantów, nie Niemców. Taką obrazę własnej inteligencji trudno mu było znieść. Z Marią grożącą mu pistoletem trzeba się jednak było liczyć i Bauer stosował się do poleceń.

Rozdział 24

Stan Maryland, współcześnie

Natrętny dźwięk końcówki taśmy trącej o obudowę magnetofonu przeniósł Becka z powrotem w terażniejszość. Zaraz potem generał odwrócił się do dwóch mężczyzn będących z nim w pokoju.

* * *

Sekretarz obrony Burns siedział głęboko zapadnięty w krzesło, z nogami skrzyżowanymi na biurku doktora Kenta. Elegancko założył ręce na uda i zdawał się spoglądać ciągle na czubki własnych butów. Kent stał przed magnetofonem, szykując się do przewinięcia taśmy.

Nie poruszając głową, Burns przeniósł spojrzenie na Becka.

— Czy właśnie o to chodziło? — spytał zdziwiony. — Oczekujecie ode mnie, że wystąpię do prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby odwołał podróż, opierając się na bełkocie z taśmy i urojeniach niezrównoważonego człowieka niewartych nawet godziny mojego czasu?

Beck był zdumiony. Nie mógł pojąć odpowiedzi Burnsa.

— Panie sekretarzu, czy pan nie słuchał? Czy nie słyszał pan, co tam się działo? I jakie potworności opisywał Miller?

— Czy to ja nie słuchałem? — zaripostował Burns. — A może to pan nie słuchał, generale? Ten człowiek recytował opisy urojeń z wydumanego świata. Dla mnie brzmiało to, jakby naoglądał się o wiele za dużo gwałtu w telewizji i nie potrafił odróżnić, co widział w okienku, a co zdarzyło się w życiu. — Burns spuścił nogi na ziemię i zwrócił się do Kenta.

— Niech mi pan powie, doktorze, coś o terapii, na przykład ile godzin dziennie tacy pacjenci jak Miller spędzają w świetlicy, przyklejeni do telewizora? — ton Burnsa był nieprzyjazny.

Zaskoczonemu celnym atakiem Kentowi odebrało mowę.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, doktorze — rzucił Burns — czy pan, jako profesjonalista, dopuszcza myśl, że opowieść Millera jest do pewnego stopnia wiarygodna? Myślę zarówno o taśmach, jak i o waszych sesjach.

Na twarzy Kenta pojawił się słaby uśmiech zakłopotania. Doktor rzucił nerwowe spojrzenie na Becka i przeniósł je z powrotem na Burnsa.

— No cóż, brzmi to, jakby doznał poważnego urazu... Powiem tak: w takiej zagmatwanej sesji jeszcze nie uczestniczyłem. Z tego powodu wezwałem generała Becka... próbowałem zweryfikować opisane fakty, dowiedzieć się, czy któryś rzeczywiście mógł mieć miejsce.

— No widzi pan? — Burns utkwił spojrzenie w Becku. Nawet pański medyczny ekspert zaczyna traktować zapis odpowiednio, jako wytwór fantazji.

Beck pochylił się do przodu i z trzaskiem opuścił dłoń na biurko.

— Co to, do cholery, znaczy? Jeszcze raz pytam, panie sekretarzu, czy nie słyszał pan, co mówił Miller?

— Proszę wybaczyć, generale — Burns zaczynał kipieć. Przeniósł spojrzenie z twarzy Becka na jego wyciągniętą rękę, wciąż pewnie opartą o blat biurka.

Gapił się na nią w złowrogim milczeniu, póki generał jej nie zabrał.

— Nie. To jak powinienem prosić o wybaczenie, sir — powiedział wolno Beck. Opanował się. Odwrócił się i przez chwilę stał twarzą do okna. Zamknąwszy oczy, przeciągnął dłońmi po policzkach. Uznał, że krzykiem nic u Burnsa nie działo. Powinien posłużyć się logiką i rozumem. Wypunktować szczegóły i przypomnieć mu fakty.

Odwracając się z powrotem, wcisnął ręce głęboko do kieszeni spodni. Jedną z nich natychmiast wyczuł saszetkę z monetą. Odchylił się do tyłu i znów oparł o parapet. Nieświadomie obracał w kieszeni futerałik.

— Prawdopodobnie powinienem zatrzymywać taśmę i wypełniać puste miejsca. Można opowiedzieć o wiele więcej, niż tu się nagrało — wskazał na magnetofon. — Słyszeliście relację wydarzeń z punktu widzenia Millera... Odbija się w niej narastające przerażenie, mieszają się fakty wzięte z pamięci i wrażenia z ostatnich minut koszmaru, kiedy umysł zaczął mu odmawiać posłuszeństwa... Słyszeliście coś wyrwanego z kontekstu. Nie słyszeliście natomiast — ciągnął Beck — nic o tym, co działo się, zanim Miller trafił do jaskiń... o ćwiczeniach przed misją, o Marii, o zakonnicach i klasztorze... o zdrajcy wśród nas, który zabijał moich ludzi...

— Stop! — wtrącił Burns. — Zakonnice? Zdrajca zabijający pańskich ludzi? Im dalej idziemy w las, tym jest dziwniej! Zamyślił się na kilka chwil i dodał: — Nie, generale, przykro mi, ale nic z tych rzeczy nie słyszałem. Po prostu ich tam nie było. Nie znoszę zajmowania się nonsensami, a materiał na taśmie sprawia wrażenie, jakby nagrał go ktoś niepotrafiący odróżnić zamglonych przeżyć sprzed wielu lat od scen z sensacyjnych filmów i sobotnich komiksów do straszenia ludzi.

Burns podniósł się z krzesła i rzucił przelotne spojrzenie na Kenta:

— Czy dałoby się coś zrobić, żeby pański Filmore przyniósł mi jeszcze trochę gorącej kawy, zanim odjadę. — Nie czekając na odpowiedź i nie pytając pozostałych, czy i oni mieliby ochotę, Burns skoncentrował uwagę na Becku. Kent posłusznie wykręcił wewnętrzny numer i przekazał zamówienie.

— Zanim pan odjedzie? — zapytał Beck. — Więc nie chce pan nawet rozważyć takiej ewentualności, że w jaskiniach czai się prawdziwe niebezpieczeństwo.

— Generale, miejsce szczytu nie zostało jeszcze wybrane. Akwizgran stanowi tylko jedną z propozycji.

— To nie ma znaczenia, sir, skoro otworzy się wylot jaskiń...

— Panie generale, przecież nawet ich jeszcze nie odnaleziono!

— Nie, sir. Dzięki Bogu pozostają zawałone, dokładnie tak, jak zostawiliśmy je w 1944 roku. Ale teraz, przy rozbudzonym na nowo zainteresowaniu, odkrycie ich jest tylko sprawą czasu. Niebezpieczeństwo polega na tym, że po oczyszczeniu wylotu robotnicy zaczną tam myszkować. Wkrótce światło czyjejś latarki padnie na złoty krucyfik, ktoś wyciągnie go z ziemi i znów uwolni to monstrum. — Beck urwał, a po chwili dokończył: — I niewykluczone, że tym razem nie uda nam się go powstrzymać.

— Jeśli pan w to wierzy, jeśli pan naprawdę sądzi, że w tych jaskiniach zamknięto coś, co musi tam pozostać, to czemu ta myśl nie dręczyła pana wcześniej? Skąd ten pośpiech po czterdziestu latach?

Beck pokręcił głową.

— Nie wiem. Może za bardzo się bałem, może zwyczajnie nie chciałem stanąć twarzą w twarz z problemem. Jaskinie przywalilo, zostały zapomniane. To zjawisko przestało się błąkać, wróciło tam, skąd przyszło. Byliśmy bezpieczni — przerwał. — Ale artykuł w gazecie i wezwanie doktora Kenta dotarły do mnie prawie w tym samym czasie... A kiedy usłyszałem taśmy...

— Generale, generale, generale — Burns poklepał Becka po ramieniu. — Proszę posłuchać taśm jeszcze raz. Proszę odłożyć na bok wspomnienia z tej przekłętej przez los misji. Nie pozwolić, żeby panu przeszkadzały i zniekształcały nagrane słowa Millera. Niech pan usłyszy tym razem, co naprawdę tam jest: bardzo chory człowiek papla, co mu ślina na język przyniesie. Walka może pomieszać człowiekowi w głowie. Pan miał więcej szczęścia niż Miller, ale przez te wszystkie lata niepotrzebnie pan cierpiał.

Beck spojrzał mu prosto w oczy. Wiedział teraz, że traci czas, że musi zwrócić się bezpośrednio do Białego Domu.

Bzyknął telefon na biurku Kenta. Doktor wysłuchał informacji, przeprosił i opuścił pokój. Zanim drzwi się zamknęły, wszedł Filmore. Podał Burnswi parującą filiżankę kawy i również znikł.

Sekretarz obrony ostrożnie sączył napój, przyglądając się sponad filiżanki Beckowi i próbując czytać w jego myślach.

— Poważnie, generale, niech pan pomyśli. Jak mogę opowiadać prezydentowi... hm, takie rzeczy? Śpiewające krasnoludki... zielonkawa mgła... głowa konia...

— Co?

— Powiedziałem „śpiewające...”

— Nie! Głowa konia. Gdzie pan o niej słyszał? Miller nic nie wiedział o monecie.

— Moneta? On nie wspominał monety. Zdaje mi się, że jego słowa brzmiały dokładnie: „Jest na niej głowa konia, ale ją zgubiłem”.

— Słyszał pan to na taśmach? — spytał całkowicie osłupiały Beck.

Generał słuchał taśm dwukrotnie z Kentem, a teraz jeszcze raz z sekretarzem. Zorientował się jednak, że jego umysł wciąż gdzieś błędził. Niezmiennie wciągały go własne wspomnienia, przeżycia uzupełniające braki w bełkocie Millera i dodające do niego fakty. Ani razu nie usłyszał wzmianki o głowie konia.

— Proszę spojrzeć — wyjął z kieszeni saszetkę i wyłożył monetę na dłoń. — O tym właśnie mówił Miller! Na awersie znajduje się głowa konia. Pelch powiedział mi, że zdrajca misji miał ją przy sobie jako znak rozpoznawczy. Miller, według pana, mówił, że ją zgubił. Monetę znalazła Maria i dała ją mnie.

Burns wziął pieniądze z dłoni Becka.

— Nie wie pan, czy ten krążek ma coś wspólnego z rzekomym skarbem? — zainteresowanie sekretarza ożyło na nowo. „Może jest w tej historii ziarno prawdy, przynajmniej jeśli chodzi o skarb”, pomyślał. A jeśli skarb naprawdę istnieje...

— Nie wiem, ale zawsze podejrzewałem, że związek istnieje — stwierdził Beck. — Byłoby to sensowne. Ale Miller... zdrającą? — nowina oszołomiła generała.

— Hmmm — Burns obrócił miedziak rewersem do góry i zaczął mu się badawczo przyglądać. Przypomniał sobie, że widział podobną monetę jako deputowany do Izby Reprezentantów. Ale szczegóły rysowały mu się niewyraźnie.

— W czasie debaty nad ewentualnym wybicciem monety z okazji dwóchsetlecia konstytucji tworzyły się w Kongresie grupy nacisku broniąc najróżniejszych interesów — Burns podmuchał, chcąc ostudzić kawę, ale nie odrywał oczu od monety. — Ktoś, zdaje się że z delegacji stanu New Jersey, puścił obiegami zdjęcia mone używanych tam wkrótce po kolonizacji. Nie pamiętam już w jakim celu ani co chciał przez to wykazać. Ale dokładnie pamiętam głowę konia, właśnie taką jak tutaj, i łaciński napis dookoła Nova Caesarea, też taki jak tu. I daty. Były trzy pieniądze, chyba z 1786, 1787 i 1788 roku. Jestem przekonany, że pański miedziak pochodzi z tej serii.

Nie wspomniał tylko, iż jedną z monet opatrzone podpisem informującym, że na aukcji osiągnęła cenę 52 tysięcy dolarów. Jeśli okaz generała należał do skarbu przechowywanego w jaskiniach, to aż trudno było odważyć się na szacunkową ocenę wartości pozostałej części.

— Proszę spojrzeć tu, na rewers: E Pluribus Unum. Czy nie brzmi to w znajomy sposób? Stan New Jersey przyjął tę dewizę jako pierwszy, teraz noszą ją wszystkie amerykańskie monety — Burns odstawił filiżankę na biurko i wyjął papierosy.

Beck skinął głową bez zainteresowania. Jego myśli skupiły się na Millerze.

— No cóż, panie generale, naprawdę muszę jechać — pospiesznie rzucił Burns. — Być może jest w tej historii więcej niż widzą oczy... a właściwie słyszą uszy. — Zaśmiał się lekko, robiąc gest w stronę magnetofonu.

— Więc pan pomoże? Poradzi pan prezydentowi, żeby natychmiast ogłosił, iż szczyt odbędzie się w Waszyngtonie albo gdziekolwiek indziej, byle nie w Akwizgranie? To powinno powstrzymać, a przynajmniej opóźnić starania o otwarcie jaskiń. Będziemy mieli czas, żeby przedyskutować sprawę z niemieckim rządem — Beckowi o mało nie zabrakło tchu.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wrócił Kent. Widząc, że spotkanie ma się ku końcowi, przystanął, rezygnując z sadowienia się za biurkiem.

— Powiedzmy, że jestem otwarty na wszystkie propozycje. Pańska moneta stanowi przynajmniej konkret, namacalną poszlakę, która wskazuje, że być może powinienem jeszcze raz przesłuchać taśmy w czasie weekendu.

— Panie sekretarzu, apeluję, żeby zacząć działać jeszcze dzisiaj. Im dłużej czekamy, tym ryzyko staje się większe.

— Proszę się nie przejmować, panie generale. — Burns uniósł ręce w uspokajającym geście. — Jest czwartek, wigilia Bożego Narodzenia. Do poniedziałku nic się nie da zrobić. Podejrzewam, że również w Niemczech święta będą obchodzone przez cały weekend. — Rzucił spojrzenie na Kenta: — Czy można dostać taśmy, doktorze?

Kent natychmiast podszedł do magnetofonu i zdjął szpulę.

Beck nerwowo przestępował z nogi na nogę. Miał złe przeczucia, nie chciał czekać do poniedziałku.

— Powiem coś panu, generale. Wieczorem idziemy z panią Burns na obiad. Będzie obecny sekretarz stanu. Wymyślę jakiś pretekst, żeby wspomnieć Akwizgran i gazetową historię o jaskiniach w Chapelleburgu. Zobaczą, może uda mi się domyślić, jakie są poglądy prezydenta lub sekretarza stanu na temat miejsca szczytu. Co pan sądzi o takim początku?

Beck poczuł pewną ulgę. Nie było to wiele, ale oznaczało postęp, a więc coś. Kent wręczył taśmy Burnsowi.

— Dziękuję... A jeśli zauważę jakiegokolwiek oznaki sugerujące, że Biały Dom lub sekretariat stanu woli inne miejsce, to zadzwonię do pana. Będąc dobrze poinformowanym źródłem, może pan jutro z rana puścić przeciek do prasy. Nie chcę jednak — podkreślił — żeby w jakiegokolwiek formie wiązano moje nazwisko z tą sprawą, zrozumiano?

Beck energicznie przytaknął. Chociaż ciągle nie opuszczało go śmieszne przeczucie, chciał wierzyć w słowa sekretarza obrony.

— Z pewnością nie muszę panu mówić, że w pana interesie jest zapewnienie anonimowości dla siebie. Niech się pan posłuży dziennikarzem, którego uważa pan za przyjaciela. — W ostatniej chwili udało mu się zdecydowanie poprawić nastrój Becka, znakomicie to sobie wykalkulował.

— Brat mojej żony jest radcą prawnym w Nowym Jorku. Mam wrażenie, że jeden z jego klientów zajmuje się numizmatyką. Może pokazałbym mu tę monetę w przyszłym tygodniu i zapytał, ile jest warta? — Burns uniósł dłoń z miedzakiem.

— Pomyślę o tym... na pewno. Co dalej?

— Więc już pan pomyślał. Wesołych świąt, panowie — Burns uśmiechnął się i mocno uściśnął im dłonie.

* * *

Maria usłyszała otwierające się drzwi garażu i powitała go w kuchennych drzwiach. Objęli się bez słowa. Trwali tak, przytuleni w milczeniu, przez kilka sekund.

— Moje biedne maleństwo, wyglądasz, jakbyś spał w mundurze. Musisz zaraz go zdjąć. Idź się przebrać — nakazała łagodnie i lekko go popchnęła.

— Jadłeś śniadanie?

— Nie — westchnął, zaczynając rozpinać guziki w drodze do sypialni.

— A wczoraj nie jadłem obiadu. Ale czuję się podle, najpierw wezmę prysznic.

— Bez kilku posiłków z głodu nie umrzesz. Ale załóż na razie szlafrok, bo naleśniki są prawie gotowe. Prysznic weźmiesz później.

Chciała zapytać, co tak nagle wyciągnęło go z domu poprzedniego wieczoru, ale mądrość wzięła górę. Po ponad czterdziestu latach bycia żoną żołnierza przyjmowała jako pewnik, że powiedziałby, gdyby mógł. Dlatego nigdy nie pytała.

* * *

— Czy to ty, kochanie? — zawołała Millicent Burns do męża. Wiedziała bez pytania, słyszała, jak przemawia do psa, kiedy wszedł do foyer.

— Tak, najdroższa.

— Cieszę się. Cóż za nudny rządowy interes wyciągnął cię z ciepłego łóżka o świcie w taki ohydny dzień? — spytała, choć odpowiedź wcale jej nie ciekawiła. Zatrzymała się o pół metra przed nim i pochyliła się, nadstawiając policzek.

Zgodnie z rytuałem, obojętnie musnął go wargami. Po spełnieniu obowiązku wobec ciała pani Burns odwróciła się i skierowała do jadalni, gdzie zaczęła wydawać polecenia.

— Sandra, podgrzej herbatę dla pana sekretarza i zapytaj, czy ma ochotę na grzanekę... z margaryną.

Gospodyni spojrzała na Burnsa, który kręcąc głową w milczeniu odrzucił ofertę. Z marmurowego schowka na ścianie wziął „The Washington Post” i utrzymując należyty dystans, ruszył za żoną.

* * *

Maria leniwie mieszała łyżką zupę i spoglądała na męża.

— O czym myślisz? — zapytała, kładąc wolno rękę na jego dłoni.

Beck otrząsnął się z własnych myśli i uśmiechnął się do niej.

— Myślę, że jestem najszcześniejszym facetem na świecie — podniósł do ust jej dłoń i pocałował. — Co sądzisz o tym, żeby wszystko teraz rzucić, jechać na lotnisko i złapać samolot do Niemiec? Moglibyśmy spędzić tydzień u twoich kuzynów.

— Mówisz poważnie?

— Tak mi się wydaje! Nie byliśmy w Akwizgranie pięć, nie: sześć lat.

— Zapomniałeś, że nie lubisz Kurta? Zawsze mówisz, że jest kryptonazistą, a Heide? — Zaśmiała się. — Sama nie wiem, kogo bardziej nie znoszę... jej samej czy antypatycznych dzieci.

— Ładne mi dzieci! Kiedy się spotkaliśmy, mieliśmy tyle lat, co one teraz.

— Jest jeszcze parę innych powodów, dla których nie możemy jechać, nawet gdyby były miejsca w samolocie. Jutro będą dzwonić nasze dzieci i wnuki. Przecież robią to na Boże Narodzenie co roku. Jak by wyglądało, gdybyśmy właśnie wtedy lecieli nad oceanem? Hm? — pieszczotliwie zmierzwiła mu włosy. — Masz ty czasami pomysły.

— Tylko tam myślałem — schował się z powrotem we własnej skorupie.

* * *

— Do pana sekretarza, proszę pani — gospościa wręczyła żonie Burnsa bezprzewodowy aparat telefoniczny.

— Halo, kto mówi? — po kilku sekundach zakryła mikrofon dłonią:

— Jakiś generał McHugh — zmarszczyła brwi, nie kojarząc rozmówcy.

— To facet z CIA. Zostawiłem dla niego wiadomość przez telefon w samochodzie — szepnęła, wstając od stołu i celowo usuwając się poza zasięg słuchu małżonki. Szybko zaczęła wchodzić po schodach na piętro.

— Wesołych świąt, generale. Dobrze, że pan dzwoni tak szybko. Bardzo nie lubię się narzucać, zwłaszcza w święta, ale spawa dotyczy... — rzucił spojrzenie za siebie i z zadowoleniem stwierdził, że jest sam. — ... bezpieczeństwa narodu.

— Urwał i po chwili dodał: — Proszę się nie rozłączać, zabezpieczę nas przed podsłuchem.

Burns odstawił bezprzewodowy telefon na nocny stolik w sypialni i podniósł słuchawkę aparatu podłączonego do gniazdka. Wybrał odpowiedni kod na szarej kostce wielkości pudełka papierosów, przymocowanej do jego podstawy, i natychmiast wyłączył przenośny telefon. Siadł na krawędzi łóżka, zostawiając otwarte drzwi, żeby wiedzieć, czy ktoś się nie zbliży, i zaczął rozmowę:

— Zna pan oczywiście generała Becka, prawda? Tak... był, ale od kiedy przejąłem departament, jest w moim pionie... W każdym razie generał objawia symptomy poważnego stresu... ostatnio doszło do tego niebezpieczeństwo gwałtownego, agresywnego zachowania. Moi ludzie obserwowali go trochę. Dowiedziałem się, że regularnie składa wizyty psychiatrze, niejakiemu Davidowi Kentowi, w jednym ze szpitali wojskowych... Tak, właśnie o niego chodzi. Doktor Kent zadzwonił do mnie zeszłej nocy i dziś rano spotkałem się z nim w szpitalu. Wygląda na to, że Beck ma urojenia, wymyśla niestworzone historie o walkach z okresu drugiej wojny światowej, opisując bardzo szczegółowo wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca... Co? O, tak, dobry oficer, dlatego taka szkoda... Nie, ani słowa prawdy w tym wszystkim. Przejrzałem jego papiery. Doktor Kent powiedział, że Beck często ma piekielne wizje, gada o trzęsieniach ziemi, wybuchach, konających i wariujących ludziach, a nawet, niech pan uwierzy, o walce ramię w ramię z Niemcami przeciwko demonowi!... Co? Bardzo chaotyczne... Tak, co do joty. Ale naprawdę zaniepokoiło nas, to znaczy mnie i doktora Kenta, że zdaniem Becka prezydent jest w niebezpieczeństwie... tak, właśnie tak powiedział... Rozumie pan, dlaczego podnoszę alarm?... Dobrze. Wiedziałem, że pan zrozumie... Hm... Owszem, zgadzam się, ale jak? Nie chcemy robić szkody ani jemu, ani rodzinie... Z pewnością stała opieka medyczna... Tak, ale również chronić, żeby nie zrobił czegoś złego sobie albo, broń Boże, nie próbował zamachu na prezydenta... hm, tak, rozumiem... Dyskretnie, tak... Mógłby pan? Myśli pan po prostu o ZNIKNIĘCIU? To byłby chyba najlepszy sposób, ale musielibyście go chyba uprowadzić... Ale głupiec ze mnie, oczywiście, że eksperci... To nie będzie trudne, po prostu szepnę, że wyjechał w poufnych sprawach departamentu... Nie, żona nie może tymczasem o niczym wiedzieć... Hm, tak, jestem pewien, że nawet w świąteczny weekend doktor Kent się zgodzi. Jest równie zaangażowany, jak my... Tak, dziś wieczorem? O wiele szybciej niż oczekiwałem, ale... Tak, tak, ma pan rację. Zaraz zadzwonię do Kenta i powiem mu, żeby oczekiwał pacjenta.

* * *

Wycierając ostatnie naczynia, Maria słyszała szum wody. Kiedy poszedł pod prysznic, pomyślała, że musi wygonić go do łóżka na parę godzin ucziwego snu. Może powinna mu

pomóc i dobrze wymyć plecy? Po powrocie wyglądał na wyczerpanego i spiętego. Prysznic i odpoczynek wprawia go w dobry nastrój na resztę dnia. A chciała przecież, żeby później, wieczorem, kiedy będą wymieniać podarunki, czuł się odprężony. Żadnego wczesnego chodzenia spać, to dobre dla starsuszków.

— Już idę — zawołała, szybko zamykając biodrem dolną szafkę na naczynia. Wysuszyła ręce ścierką do naczyń, po czym ruszyła przez pokój i frontowy hall do drzwi wejściowych. Ciągle jeszcze ogarniało ją dziecięce podniecenie, kiedy w święta wpadali niespodziewani goście. Nim doszła do wejścia, przystanęła i przez drzwi z łukiem, prowadzące do salonu, z aprobatą spojrzała na ubraną choinkę.

Otworzyła drzwi i serce jej zamarło. Wcale nie przyszli goście. Ostatnią rzeczą, jaką pragnęła zobaczyć w ten weekend, był jeszcze jeden wojskowy mundur. A stało przed nią aż trzech ludzi w mundurach.

— Ze chce pani wybaczyć. Generał McHugh. Czy możemy wejść?

* * *

— Bardzo dobrze, doktorze, rozumie pan znakomicie... Tak, tak, wiem... Jak powiedziałem, na bezpośrednie polecenie samego prezydenta.... Ho ho ho... Zgadza się, tylko generałowi McHughowi i mnie osobiście... Najostrzejsze środki bezpieczeństwa... Tak, całkowita izolacja, z dala od innych pacjentów... Dobrze traktować, tak. Wiem, że pan się postara... O.K., na razie ma pan do zrobienia mniej więcej tyle. Kończę już, bo wychodzę. Jeszcze tylko słówko na ten inny temat. Wieczorem będzie z nami na obiedzie również główny chirurg. Myślę, że znajdę odpowiednią chwilę, żeby wymienić pana nazwisko w związku ze stanowiskiem, o którym mówiliśmy nieco wcześniej... Nie, nie, żaden kłopot. Ale rozumie pan, że to zajmie kilka tygodni, może nawet kilka miesięcy. I przez ten czas nie będzie wiadomości... Dobrze... Dobrze... Tak, wzajemnie dla pana i bliskich. Do widzenia... Co? Akwizgran? Ależ nie, nie ma najmniejszej szansy. Rozmowy będą w Camp David... Hm, jestem pewien. Przeczyta pan w poniedziałkowej prasie... jeszcze raz wzajemnie.

Burns szedł do jadalni. Żona delikatnie trzymała przed sobą lusterko, próbując zebrać odwagę do wyrwania zbędnego włoska z brwi.

— Skończyłeś, kochanie? — spytała nie odrywając wzroku od lusterka.

— Tak, kotku — zawołał gosposię: — Sandra? Chyba nabrałem ochoty na grzanek... ale z masłem, nie z margaryną. — Usiadł na krześle.

— Kochanie, czy nadal myślisz o tym głupim gubernatorskim wyścigu? — Millicent Burns należała do istot stadnych, które rozkwitają żyjąc w Waszyngtonie, w drodze z jednego oficjalnego przyjęcia na drugie.

— Głupim? Nie ma w nim nic głupiego — wziął gazetę, rozłożył całą płachtę, zaczynając od rzutu oka na tytuły. — Muszę ci wyznać, że ostatnio poświęcałem temu wyścigowi sporo uwagi. Niewykluczone, że zrezygnuję z teki w gabinecie wcześniej, niż mówiliśmy. Moglibyśmy pojechać na urlop, na przykład spędzić miesiąc w Europie, zanim ta maszynka zacznie się kręcić.

— Och, kochanie — wyduła wargi. — Naprawdę nie chcę opuszczać Waszyngtonu i znowu mieszkać tam, gdzie przedtem. To było takie... takie prymitywne!

— Zapewniam cię, kotku, że wracamy tylko na chwilę. Wiesz dobrze, że parlament stanowy jest tylko przystankiem na naszej drodze do Białego Domu. Możesz trochę pocierpieć.

— A skąd zamierzasz wziąć tyle pieniędzy, żeby przywódcy partii uznali cię za poważnego kandydata? Wszyscy mówią, że kampania pochłonie małą fortunę!

Wolno opuścił gazetę i spojrzał na nią. Twarz przeciął mu chytry uśmiech. — Małą fortunę? Jeśli tak, to chyba będę musiał poszukać wielkiej fortuny, prawda kotku?